





19323

Polka mit demselben wagen
10627. vltis

Борисов. Купил



OJCOWIE NASI.



ANDRZEJ STRUG

OJCOWIE NASI

NOWELE

WYDANIE DRUGIE

TEGOŻ AUTORA:

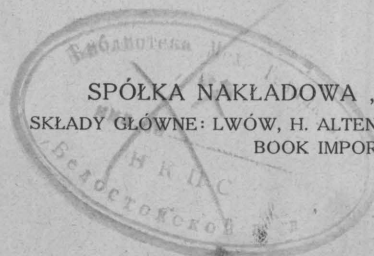
LUDZIE PODZIEMNI. Serja I. (Nekrolog. — Co złe to w grzy-
zy... — Wigilje. — Z ręki przyjaciela. — Na stacji. —
Zmora. — Ojciec i syn). Polskie Towarzystwo Nakładowe.
Lwów, 1908. Cena 3 korony 50 hal.

JUTRO... (Pamięci tych, co przeszli mękę oczekiwania. Ich
myśli, pracującej w ostatnią noc bezsenną. Ich samotnemu
męstwu). Spółka nakładowa „Książka”. Kraków, 1908. Cena
2 korony.

ZE WSPOMNIEŃ STAREGO SYMPATYKA („Ludzi Podziem-
nych”, serja II.: Z powrotem. — Odruchy. — Ze wspomnień
starego sympatyka). Spółka nakładowa „Książka”. Kraków,
1909. Cena 3 korony 20 hal.

W TWARDEJ SŁUŻBIE. („Ludzi Podziemnych”, serja III.: Pro-
log. — Cienie. — Sielanka. — Ostatnie Listy). Spółka na-
kładowa „Książka”. Kraków, 1909. Cena 2 korony 60 hal.

DZIEJE JEDNEGO POCISKU. Powieść. Wydanie drugie.
Spółka nakładowa „Książka”. Kraków, 1910. Cena 4 korony
80 hal.



SPÓŁKA NAKŁADOWA „KSIĄŻKA”, KRAKÓW

SKŁADY GŁÓWNE: LWÓW, H. ALTENBERG; NEW-YORK, THE POLISH
BOOK IMPORTING Co.



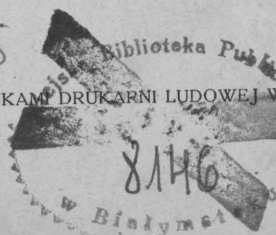
Przedruki, nieuprawnione przez autora,
wzbronione. Wszelkie prawa autorskie
co do tłumaczeń i przeróbek zastrzeżone.

Copyright by Andrzej Strug, 1911.



5 Biblioteka Publiczna
CZCIONKAMI Drukarni Ludowej w Krakowie — 11-11.

884-311.2



32
7.10.201
1/4/45

MOGIŁKA.

Ojcowie nasi.

Jeszcze wczoraj mogli się byli przekraść.

Dziś, o tej porze, byliby już wszyscy w pasie nadgranicznym, gdzie nie podchodził nieprzyjaciół. Całą dobę stracili na błędzeniu, kołowaniu i zawracaniu po bezdrożach. Przedwczoraj młody Linkiewicz zginął gdzieś w lesie po nocy, a z nim wszystkie mapy. Stary Linkiewicz drżał o los syna i domagał się, żeby go partja szukała. Szukali go też, a bardziej jeszcze map. O przewodnika bowiem było trudno w okolicy, gdzie chłopci byli szczególnie zajadli na Polaków. Nikomu nie można było zaufać, bo tropili ich nietylko kozacy Chaneńki, ale i chłopci.

Partja zdaleka okrążała wieś, zapadała na dzień po lasach i jarugach, a w nocy posuwała się wciąż ku południowi, ku granicy. Tak parli już ostatnim wysiłkiem, a dwa tygodnie minęło od nieszczęsnej potyczki pod Kozyrkami. Jeść nie było co, wódki ani kropli. Po nocy otaczali samotne karczemki lub odosobnione sadyby na polanach leśnych i zabierali wszelką żywność, a ludzi straszili postronkiem, jeżeli pisną przed kimkolwiek bodaj słowo o przemarszu partji. Poczym znikali, uciekając przed kozakami, których cała brygada, rozbita na małe

oddziały, ogarnęła wielką połąć kraju i, przeszukując wszędy według wskazówek wystraszonej i nieprzychylniej ludności, parła ich bez wytchnienia ku granicy.

Pułkownik wymyślał im się systematycznie i uparcie wciąż ku prawemu skrzydłu, chcąc wydostać się poza niezmiernie rozwinięty front obławy i odechnąć choć przez jeden dzień spokojnie. Ale niepodobna było ukryć przed wszystkim, co żyje, przechodów sporego oddziału. Pomimo wszelkich manewrów i ostrożności, pomimo rozpuszczania mylnych informacji przez przypadkowo napotykanych ludzi — zawsze ktoś ich tam dostrzegał i kozacy zmieniali kierunek pościgu — zachodzili, okrążali i partja musiała cofać się, zmieniać plan, kółować, błądzić i z konieczności posuwać się w fatalnym kierunku do fatalnego miejsca, gdzie na dwie mile od granicy rozstawione były trzy bataljony piechoty, działające w porozumieniu z brygadą kozacką.

Była późna jesień, po nocach zdarzały się już przymrozki. Liść leciał gęsto z drzew, odsłaniając coraz okropniej głębie leśne i kępy zarośli, poza którymi przemyciała się partja lub gdzie zapadała w cichości, nie paląc ognia w ciągu dnia.

Pułkownik musiał za każdym razem długo prosić i długo tłumaczyć na rozum, zanim ktokolwiek zgodził się pójść na zwiady. Rozkaz nie znaczył już nic. Nic, jeno strach i okropne położenie trzymały jeszcze w kupie tę garstkę ludzi.

Stopniał w ciągu dwóch tygodni oddział, który

wyszedł cało z klęski. Na pierwszym postoju, po pierwszym obrachunku było jeszcze przeszło trzysetu ludzi — sto koni — piętnaście furgonów — były zapasy amunicji — były pieniądze — i było mocne postanowienie obejść nieprzyjaciela, bronić się w razie przypadkowego spotkania i dążyć do wielkiej partji Wykrota, która nie brała udziału w walce i manewrowała wzdłuż granicy, mając w odwodzie pas neutralny. Po drodze znikali ludzie i zmieniali się zamiary dowódcy. Kozacy następowali zblizka i w wielkich masach. Porzucono tedy furgony, zabrawszy tylko konie i co się dało z bagażów, i oddział opuścił drogi bite i gościńce i wparł się w lasy i bezdroża, które chroniły od masowego ataku konnicy.

Ludzie ginęli, błędząc po nocach, patrole, wysyłane na zwiady, wracały rzadko. W ciągu pierwszego tygodnia po rozbiciu oderwały się od całości dwie kupy wbrew zakazowi pułkownika i poszły próbować szczęścia na własną rękę. Porzucano na drodze chorych, przemęczonych — zostawiano ich na gościńcu lub pod jaką siedzibą ludzką. Oddział nikł w oczach i pewnego dnia z groźnej partji bojowej stał się bezładną kupą uciekinierów — myślących tylko o własnym ocaleniu.

Tego ostatniego dnia było ich w kupie tylko dwudziestu trzech.

O ledwie szarzejącym brzasku wywlekli się z zarośli przemarznięci, niewyspani i głodni. Pułkownik prowadził ich przez mokre, puste łąki, kierując się w tej nieznajomej okolicy według znikają-

cych już gwiazd. Oddział brnął po kolana w torfowiskach, zmierzając ku dalekiemu pasmu lasów, które miały być im osłoną w dalszym marszu.

— Prędzej! Dalej tam! Nie zostawać! — wołał co chwila pułkownik, nie odwracając się poza siebie, i brnął po łące ze sztuczerem na ramieniu i z workiem na plecach, jak szeregowiec. Przed paru dniami oddał swego konia pod bagaże, a wczoraj szkapą padła właśnie w najgorszej chwili, w złym, odłoniętym miejscu, gdzie lada moment mogły ich dostrzec podjazdy kozackie.

Nie było nawet czasu wykrajać nieco padliny dla zgłodniałych ludzi. Był to ostatni koń oddziału.

Pułkownik rozważał wszelkie możliwości, pracował głową nad utrzymaniem właściwego kierunku i przeklinał przygody ostatniego dnia, stratę map, zawieruszenie się kilku najdzielniejszych ludzi i z nimi ostatnich paru tysięcy złotych. Do wczoraj wierzył jeszcze, że garstkę swoją doprowadzi szczęśliwie do granicy — teraz wiedział, że chyba cudem uda mu się uniknąć spotkania, a najprawdopodobniej — że o tej porze już się znajduje wewnątrz pętli, która się będzie ścigała, zaciskała...

— Wypadnie to chyba tak pod sam wieczór... — myślał.

Nie rozpaczał, ale był zły. Robił wszystko, co był powinien i co było w mocy ludzkiej, a nawet ponad to. Reszta nie należy do niego. Zginie on i wyginą co do nogi jego ludzie. — Będzie to tak — pod wieczór... — myślał sobie. Ale pułkownik wiedział, że od tego jest wojna, żeby wojować —

czyli nie dospać, nie dojeść, deptać każdego, póki się ma siłę, ukrywać się i przekradać, kiedy się jest słabym, a przede wszystkim o każdej porze być gotowym, żeby zabijać i ginąć.

Pułkownik był żołnierzem. Z porucznika w wojsku rosyjskim, awansował na pułkownika i miewał pod swemi rozkazami i po pięciuset ludzi, ale marzył zawsze, żeby mieć bodaj jedną rotę prawdziwych żołnierzy, którzy umieją broń trzymać i ślepo słuchają, jak wrzaśnie naczelnik. Z jedną taką rotą pod Kozyrkami przebiłby się przez wszystkich kozaków i poszedłby w głąb kraju próbować jeszcze szczęścia. Z pełną nienawiści zazdrością patrzył wówczas zblizka na sprawne i pewne ruchy oddziałów nieprzyjacielskich. Ochrypl od krzyku i naganiania swoich ludzi — widział ich męstwo, dobre chęci i niepoprawne, okropne niedołęstwo żołnierzy, tudzież samowolę i wieczne szlacheckie warcholstwo podwładnych „oficerów“ — nawet w najgorszej chwili, na polu bitwy. Gdyby nie ono — o tej porze partja trzystu ludzi byłaby już w głębi kraju, rządziłaby się, jak u siebie, ludzie byliby najedzeni i pewni siebie — a gdyby przyszło do spotkania, biliby się, ginęliby w walce — gdzie przecież mogło być jeszcze i zwycięstwo. A teraz...

— Dalej tam! Nie zostawać! Wyciągaj nogi jeden z drugim! Byle do lasu!

Nie chciało mu się oglądać na mizerną gromadkę, bo brała go złość i obrzydzenie. Ludzi swoich nie żałował, ani się z nimi nie cackał, dbał

jednak o to, żeby uczynić teraz wszystko, co trzeba i można dla ich uratowania. Żołnierze go nie lubili, ale bali się go — kiedyś. Teraz ani go lubili, ani go się bali, ale słuchali go we wszystkim, jak nigdy — bo wiedział każdy, że jeżeli ich pułkownik teraz nie wyprowadzi, to żadna siła ich już nie uratuje.

Pułkownik zatrzymał oddział w kępie łożyny, nad wązką, pokrętą rzeczka, kazał szukać płytszego miejsca i pozwolił wytchnąć przez chwilę, a sam wyszedł na skraj kępy i przez lornetę bacznie badał okolicę. O jakie pół mili na rozległej, wolnej równinie dymiło się z kominów jakiejś wsi i widać było dzwonnice kościoła. Patrząc zaś w górę rzeczki — dojrzał między wierzbami bardzo blisko samotną chałupinę.

Ludzi trzeba było nakarmić. Od osiemnastu godzin nikt nic w gębie nie miał. Wziął tedy dwóch ludzi i poszedł wzdłuż rzeczulki, nakazawszy reszcie zaszyć się w łoży i siedzieć cicho.

Chałupka była nędzna. Z półtora morga wokoło było ogrodzone płotem z żerdzi. Na podwórku chłopak wyrostek łupał mokre szczapy wierzbowe.

— Co to za wieś? Tamta z kościołem?

Chłopak otworzył gębę i zbaraniał.

— Wieś?...

— Nie bój się — my swoi. Jaka to wieś?

— A Namłotów u nas nazywają...

— Niechże cię wszyscy djabli wezmą!...

Pułkownik już wiedział, gdzie się znajduje.

Trzeba było zmarnować całą noc w piekielnym marszu, żeby się znaleźć w tym samym miejscu, gdzie byli wczoraj o tejsamej porze. Ten Namłotów mijali o świcie, tylko oczywiście z tamtej strony.

— Wojsko jakie we wsi jest?

— Wojsko? Nie wiem, wielmożny panie.

— We wsi byłeś wczoraj?

— A byłem.

— Wojsko widziałeś?

— Były kozaki.

— Dużo?

— Tego ja nie wiem, czyli dużo.

— Oficerów, starszych, widziałeś?

— Nikogom nie widział, ino gadały, że we dworze stoją jakieś generały.

— Gadaj prawdę. Ze wsi ludzi gnali na obławę? Zwoływał sołtys ludzi? Na kiedy — na dziś? Gadaj prawdę, nic ci nie będzie.

— Nic ja nie wiem, wielmożny panie.

— Gdzie ociec, matka?

— Matka pomała.

— Wieczne jej odpoczywanie. A ociec?

— Wczoraj na wieczór poszli do wsi, bo wołali.

— Kto — poco?

— A bo ja wiem. Sołtys pono nakazywał.

— Dobrze. Co jest w chałupie do jedzenia? Chleba gotowego niema? Gdzie dół z kartoflami? Ruszaj!

Po przetrząśnięciu izby, komory i obórki nie znaleziono nic więcej, jak pół bochna chleba, króbkę soli i odrobinę cuchnącego sadła. Zato przynie-

siono trzy worki. Chłopaka spuścili do dołu i kazali mu nagarniać kartofle.

— Tylko się śpiesz, uważasz? Zapłacimy trzy razy tyle, co warto! — wołał pułkownik do dołu.

— Chłopaka trza będzie w tym dole zamknąć, proszę pana pułkownika — szepnął jeden z ludzi.

— Sam wiem, co z nim robić! A ty jeden z drugim chleba tak nie żryj — bo i tam są głodni.

Pułkownik popędzał chłopaka i był całkowicie zaprzątnięty temi kartoflami. W istocie jednak był najpewniejszy, że za lasami, za rzeką, na tym samym gościńcu, który przecięli wczoraj nad ranem, już czekają na nich kozacy — a kto wie, czy i nie piechota — bo przez dwadzieścia cztery godziny wszystko się stać mogło. Jeżeli w tych lasach są większe przerwy — rozważał — a oczywiście, że są, to nas tu przyciąpią. Ciekawa to rzecz, czy piechota już jest, jeżeli jest — to będzie mój własny pułk. Oryginalne!

To mu się bardzo spodobało. Wstyd mu tylko było swoich obdartych, wymizerowanych i potruhałych ludzi.

— Gdyby to były dzielne chłopcy, jak się patrzy, tacy, jakich miałem pod Kozłówką, gdyby ich było tak bodaj z pięć razy więcej, tobym ich napasł temi kartoflami, dałbym się im wyspać w lesie ze dwie godziny i uderzyłbym wprost. Toby było po kawalersku, po polsku. Gębyby pootwierali „apszeroncy“. Niechnobym jeszcze natrafił na trzeci bataljon! Ha, ha...

W tym trzecim bataljonie miał pełno przyjaciół.

Zachciało mu się ich zobaczyć, polec z ich ręki, a przedtem ich trochę powystrzelać.

Kiedy chłopak wylazł z dołu, pułkownik dał mu pięć złotych (ostatni pieniądz, jaki miała partja) i kazał wziąć worek na plecy. Chłopczyzna poszedł z ochotą, bo był ciekawy powstańców.

W łozach wszyscy co do jednego spali pokotem, pokuleni, pookręceni z głowami. Trudno się było kogokolwiek dobudzić, szarpani i kopani ludzie otwierali błędne oczy i zapadali napowrót w sen. Jaki taki podnosił głowę, ale głowa mu sama opadała. Na ten widok straszna senność ogarnęła i pułkownika. Zaczął tedy wymyślać i grozić.

— Wojsko za nami w pół mili. Wstawać — bo śmierć! Wstawaj! Ruszaj!

Dopieroż zaczęli się podnosić. Wszyscy mieli białe twarze, podsiniałe oczy i czarne usta. Oczy błyszczały gorączkowo, nieprzytomnie.

Chleb i sadło rozerwane były w mgnieniu oka. Ci, co nic nie dostali, wymyślali i brali się do bicia. Pułkownik pogodził ich kolbą od sztucera i w krótkości zapowiedział, że jeżeli nie chcą wyginać co do jednego, tu na miejscu, nad tą oto rzeczką i jeżeli chcą być wieczorem za kordonem, to niech ruszają co siły ku lasowi.

Chłopak pokazał im na rzece płytkie miejsce — po kolana — ale zdziwił się niezmiernie, kiedy mu pułkownik kazał wlażyć do wody za innemi.

— Pokażesz nam drogę przez las. Smyczyński — weź go na postronek! A ty, kochanku, pro-

wadź dobrze, bo z nami niema szpasów. Jak się dobrze sprawisz, to wrócisz do domu na wieczór.

Chłopak z przerażeniem wbił oczy w dziką postać Smyczyńskiego, który go brał, jak psa, na postronek.

W lesie, na tysiąc kroków od brzegu, rozbito obóz.

Z suchych, niedymiących gałęzi nałożono ognisko i nastawiono kociołki. Pułkownik wrócił na skraj lasu i pilnie rozglądał się przez lornetę. Nakazane było trzymać straż na odległości trzystu kroków od obozu, na wszystkie cztery strony, ale placówki posnęły natychmiast.

Większość ludzi na biwaku też chrapała, a reszta patrzyła chciwie na kotły, gdzie się cwałowały kartofle, dla pośpiechu nawet nieobrane.

— Chłopak — jakże ci na imię?

— Jędre.

— Gadaj, Jędre, do granicy daleko?

— Na kordon? To panowie tam?

— Ty się nie pytaj, tylko gadaj!

— We trzy godziny zajdzie na komorę we Wólczy, a do Pijawna, już na tamtej stronie — we cztery godziny. Ino, proszę państwa, jak na granicę — to trza iść ku wsi, a we wsi wojsko.

— Głupiś, my pójdziemy bokiem.

— Na każdym boku po trakcie kozaki jeżdżą dzień i noc.

— To będziem się bić i przebijem się. Nam to nie pierwszy raz. A wojska dużo?

— Ohoho!... Pełna wieś, a i za wsią w polu

stoją pod płachtami, a konie na linkach pouwiązane jeden koło drugiego, może na pół mili.

— Głupioby było tak na samej granicy... „Ruszaj“ się zbłądził za tym razem.

— Mordować ludzi aż do śmierci to on potrafi, owszem, gnać po nocach, owszem. Wymyślać też — a jak przyjdzie do czego...

— A tymczasem, żeby nie „Ruszał“, tobyśmy już o tej porze ziemię gryzli...

— Albo tak, albo nie.

— Możeby i lepiej było.

— Lepiej to zawsze jeszcze żyć.

— Oj, żyliśmy też, żyli przez te dwa tygodnie.

— Wydostanę sobie kartofla, bo mnie strasznie mdli. Już się trochę podgotowały.

— Dajże i nam jednego!

— Oj wódki-by teraz, wódki.

— Napijesz się dziś wieczorem galicjanki.

— Albo piwa grzanego u Abrahama...

Siedzący przy ogniu byli to przeważnie „państwo“, prócz jednego wachmistrza Smyczyńskiego, który był gajowym. Było tam dwóch urzędników, pisarz od rejenta, uczeń aptekarski, syn dzierżawcy, subjekt sklepowy, dwóch praktykantów gospodarskich, synów szlacheckich — sama młodzież. Najstarszy z tej kompanji był pan Chądzyński, młody nauczyciel gimnazjalny, bardzo szanowany w partji za swoją uczoność i za to, że był poetą, który nawet drukował swoje utwory w gazetach warszawskich. Szanowano go i za męstwo, którego nieraz dał dowody, ale lubiono w partji po-

kpiwać i z jego uczoności, i z poezji, a nawet i z tego męstwa, które było też jakieś zbyt poetyczne i zanadto nadzwyczajne. Szanowano go i za to, że prowadził djarjusz partji w wielkim notesie i że zachowa dla historii ich nazwiska, zasługi, bitwy i cierpienia. Ale pozwolono sobie pokpiwać i z tego pamiętnika.

Pan Chądryński, oparty o sosnę, pisał ołówkiem w swoim wielkim, czerwonym notesie „dzień to ostatni i ostatnie są te moje słowa. Czuję to wyraźnie, jak gdybym własnymi oczami widział moje skrwawione ciało, leżące martwo na ziemi. Widzę zawczasu i poznaję tego „mojego“ niewiadomego żołdatę, który, niewidzialny zdaleka, porazi mnie kulą z za drzewa. Myślę jasno, rozumiem rzeczy niedostępne dla człowieka w innej chwili, jak jeno w takiej godzinie.

Jest we mnie teraz dwóch ludzi: jeden, który zginie dzisiaj — to ten prawdziwy ja. Drugi — ocalony, żyjący długie lata.

Z radością i z dumą patrzę na jego życie. Widzę jego wszystkie czyny i myśli. Piękną jest każda jego myśl, płodna jest każda w narodzie robota. Zewsząd chciwie wyciągają do niego ręce niemocni po klęsce rodacy. To, co im mówi, jest prawdą, z krwi i z cierpienia zrodzoną i życie nowe utwierdzającą w jego trudnych początkach. Mocne jego słowo i niezawodna wola. Przez cały młody wiek i przez dojrzały jego wiek aż do najpóźniejszej starości jednakowa i niezłomna jest jego wierność ojczyźnie.

Uczyły go głosy walk ponad siły i gwar bitew, jęki

rannych towarzyszy, porzucanych po nocy, wycie tłuszczy kozackiej, łoskot morderczych strzałów i szum lasu nad biwakiem. Widziały jego oczy obrazy męstwa, piękne, jak czyny hoplitów greckich, a ginące w przegranej sprawie, wdeptane w ziemię, w dzikim leśnym ostępie, który krzywdą dziejów nie da nigdy nazwać Termopylami. Widziały jego oczy obraz ponurych krzywd wojennych. Obraz karanych zdrajców. Obraz spalonego, zrabowanego miasta. Zhańbione kobiety, splugawione kościoły. I czarniejszą od piekła martwą ciemnotę ludu polskiego — niewinnego zbrodniarza, który łańcucha swego czepia się zębami i kąsa rękę, co go spuścić z łańcucha na wolność zamierzała, co mu ojczyznę jego za matkę dać zamierzyła.

Idzie w życie, nauczony mądrości, krwawo i ciężko zdobytej, w dostojnym trudzie aż do śmierci zasłużonej, aż do wiekuistego we chwale odpoczynku...

...Niema we mnie ku niemu zazdrości. Ani goryczy. Ani pokusy, żeby jak dziki zwierz wsunąć się w gąszcz leśny i na własną rękę próbować ocalenia. Szepczą mi głosy złe, żeby się odłączyć samopas, broń porzucić, ślady żołnierstwa z ubrania pozdierać i przekradać się cichaczem, nocami, ku gościnnemu dworowi. Jako anioł stróż obiecuje mi zły głos ratunek pewny, opiekę, przechowanie.

Nakazuje mi w imię rozumu, w imię pożytku. Nazywa to, co zrobię, szaleństwem

Ale są sprawy, wyższe nad rozum. Przeto zginę, jak tylu współbraci, zostanę na pobojuwisku, jak

zostały tysiące. Bóg nie dał Polsce zwycięstwa, Bóg każe dzisiaj Polakowi tylko cierpieć i zechciał jeno w mądrości swojej krwi upuścić mojemu pokoleniu. Niechże płynie i moja! Oko Boga liczy trupy nasze — policzy ono i mojego. Nie człowiekowi badać wyroki boskie i odwieczne cele. Niech nasza krew ofiarna obmyje naród ze wszystkich obmierzłości, niech mu otworzy oczy na grzechy ojców naszych. Niechże wsiąknie i ta moja krew w tę łakomą krwi ziemię ojczystą! Niechaj ona ją użyźni ku lepszej przyszłości!

..... W tej godzinie rozumiem rzeczy, dla wielu niepojęte. Nie mam łez nad cierpieniem człowieka, bo cierpienia żąda wyrok nieba. Twardo sprawuje swoje sądy nieodgadniony rozum świata..“

— Proszę pana Chądyńskiego, trzaby skoczyć obaczyć, co się robi z pułkownikiem. Cemuż on nie wraca? Trzaby się naradzić w razie czego...

Stary Rykwiła był to jedyny chłop w oddziale. Był to chłop prawdziwy, na roli osiadły, nie rzemieślnik wiejski, nie łyk, nie dworak, ani parobek, który za panem czy za paniczem do powstania poszedł, jeno gospodarz z dziada pradziada. Bijał się mężnie, na panów był zajadły i nosił się ponuro. Dziwna nienawiść była w tym człowieku do pułkownika. I teraz podejrzewał, że „Ruszaj“ po prostu uciekł.

Pan Chądyński wyrwał swoje myśli jakby z tamtego świata i spojrzał przed siebie. Kilkunastu ludzi chrapało, broń stała w kozłach, a kilku

siedziało przy ognisku rozzutych i suszyło buty.

— Nie bójcie się, wróci pułkownik.

— Taki jakiś ten dzisiejszy dzień... Kto mądry, ten czuje. A „Ruszaj“ jest mądry! On już wymyślił sobie jakiś przełaz. Dla wszystkich ten sposób za ciasny, ale on jeden przelezie.

— Głupstwo.

— Głupstwo. On pan, jemu wolno. Cemu jednak i pana ze sobą nie zabrał, kiedy mu pan równy?

— Dla tego nie zabrał, że wróci.

— Akurat. Już z godzinę, jak go niema.

— Jeszcze się kartofle nie ugotowały, a u was już godzina.

— Poszedł sobie skrajem lasu ku jakiemu dworowi. Nocą się przekradnie i będzie cały. On wiedział, że my tu zginiemy. Nie dziwi mię, że tych tam ciaraszków za sobą nie wołał, bo to chłystki, ale że pana Chądyńskiego nie wziął...

Pan Chądyński wzruszył ramionami i zabrał się do pisania. Ale przy ognisku rozległy się wiwaty i okrzyki radości, jakich od jakiegoś czasu nie bywało w oddziale.

— Wiwat kartofle!

— Panowie wiara, towarzysze, do jedzenia! Ruszaj!

— Gotowe śniadanie. Gdzie sól?

— Wstawaj! Bataljon na nogi! Ruszaj!

— Ruszaj!

Wodę odlano z kotłów i w obłokach pary znikło wszystko. Zerwał się i pan Chądyński.

Parząc się i dmuchając, pożerali ludzie kartofle

Ojcowie nasi.



ze solą, zapomniawszy o wszystkich przebytych trudach i o tym wiszącym nad nimi i dyszącym z lasu niebezpieczeństwie.

Jędrkowi też dano w czapkę kartofli. Chłopak jadł, bo był jeszcze naczeczko, ale z pogardliwym politowaniem spoglądał na ludzi, chwających sobie tak mizerne jadlo.

Żuł te nieomaszczone ziemniaki i wyciągał rękę do soli.

A co wyciągnął rękę, to wysunął trochę postronka z pod wachmistrza Smyczyńskiego, który z tego łakomstwa ukucnął.

Aż za którymś razem przesunął się między ludźmi na czworakach tak szybko, że zanim się kto spostrzegł, wydobył się z koła, stanął na nogach i z postronkiem popędził w las. Tylko się raz mignął między drzewami. Poleciał za nim jaki taki, ale rychło powrócili. Wszyscy zaczęli gadać, co się stało, jak się stało, kto zawinił i co z tego będzie?

— Moją radą — zaczął Rykwiła — na pułkownika niema co czekać, tylko brać nogi za pas, bo ten hycel nam naprowadzi kozaków.

— Milczeć! Ja tu starszy — huknął Smyczyński. Chcesz, stary, po mordzie?

— Ano spróbuj!

— Ano masz!

— Nie bić!

— Nie bić się, Rykwiła, do nogi sztucer!

— Gdzie pułkownik?

— Na co nam pułkownik? I ja potrafię krzyknąć „ruszaj“.

— Panowie — zaczął pan Chądzyński.

Nagle ucichło wszystko. Gdzieś bardzo daleka rozległy się strzały. Stukały gdzieś po lesie pojedynczo, nieregularnie, jakby nieśmiało. Aż zaczęły raz po raz trąkotać salwy. Jeszcze przez chwilę trwali wszyscy w osłupieniu — i zaczął się gwar, okrzyki, ludzie obuwali się na gwałt, nakładali worki, rozbierali broń z kozłów.

Salwy grzmiały bez ustanku.

Nadbiegły obudzone wystrzałami placówki. Oddział sformował się i był gotów do wymarszu. Śpiesznie ładowano do worków, do kieszeni pozostałe kartofle. Stary Linkiewicz, który od czasu zgubienia syna wpadł w manję, zaczął się głośno modlić. Szyler, urzędniczek, i Gadziński, szlachecki syn, rwali się do bitwy, głośno dopominając się, żeby prowadzić na strzały, bo i tak już wszystko jedno. Galicjanin Szymborski, uczeń gimnazjalny, pierwszy zauważył, że to strzela piechota. Na to Wiklarski, pisarz od rejenta, zawołał trzykroć, jak nieprzytomny: — Śmierć, śmierć, śmierć! — Pila-wiec, dworski furman, zawołał uroczyście, jakby oznajmiając coś nowego, co sam wymyślił: „Raz kozie śmierć“. A na to Linkiewicz: „Wieczne odpoczywanie racz nam dać, Panie!“... Pan Chądzyński nerwowo wodził dłonią po bagnecie sztucera, a Smyczyński, nie słuchając, co gadano, patrzył pilnie a niespokojnie w tę stronę lasu, gdzie poszedł pułkownik. Rykwiła patrzył na niego ponuro, z pode łba, ale milczał.

— Ejże praż! Rotami wałą!

— Nasi to są ludzie. Z naszej partji. Aż tu ich wparto!

— Jeżeli to konny oddział, to choć niektórzy dopadną granicy.

— Akurat konni. Do konnych-by tak nie strzelali. Ależ wał!

— Jak pójdą w las, to się wpakują na nas, a za nimi Moskale.

— Będzie nas więcej.

— Będzie więcej trupa.

— Razem zawsze lepiej.

— I żyć i umierać...

— Przejdziem my granicę, ale do królestwa niebieskiego.

— Mamy po sto dwadzieścia ładunków. To rozumiem!

— Ja tam się nie poddam. Wystrzelam wszystkie naboje.

— A oni będą czekać, aż sto dwadzieścia razy wygarniesz. I oni nie kluskami strzelają.

— A wiesz, że mi się chce spać?

— „Ruszaj“ tam siedzi na drzewie i patrzy. Co nam z tego przyjdzie? Zabrałby nas i poprowadził. Najgłupiej tak stać i czekać i nic nie wiedzieć.

Poranne słońce wydobyło się nareszcie z chmur, które wisiały na niebie od nocy.

Wesoło się zrobiło w lesie. Przez przerzedzone z liści gałęzie wpadały do lasu ciepłe promienie. Migotały na słońcu chwiejące się gęsto i bez ustanku spadające żółte, bure, czerwone liście bukowe. Ci-

sza była, powietrze stało bez ruchu, w oddali wpadało w las raz po raz niespokojne zgrzytanie salw, jak gdyby ktoś rozdzierał i pruł nad samymi uszami sztywne, odporne, mocno utkane płótno. Między drzewami biegał wystraszony zajęczek i raz po raz przysiadł, zwracając się w stronę wystrzałów. Zrywał się, podlatywał, przysiadł, aż ocknął się tuż przed gromadą groźnych ludzi.

Oślupiał i przysiadł, rozpaczliwie strzepnąwszy słuchami. Porwał się ku niemu któryś z młodzieży i byłby go niechybnie złapał rękami, gdyby nie krzyk znajomy:

— Baczność! Na ramię broń!

Pułkownik stanął przed nimi niespodziewanie, bo ukazał się nie od tej strony, w którą poszedł. Zato trzymał garścią za czuprynę Jędrka, który płakał. Przyszedłszy przed front, puścił chłopaka, dał mu jeszcze stołka kolanem i oddał go w ręce wachmistrza. Wszyscy wbili oczy w naczelnika z pytaniem, z nadzieją, ze strachem, co powie.

— W łakach za rzeką mordują naszych! Jest ze sto ludzi. Ogarnęli ich od lasu kozacy, a piechota atakuje. Noga z nich nie ujdzie!

— Idźmy na pomoc! — zawołał, wystąpiwszy z szeregu, młody Szymborski.

— Milczeć, szczeniaku, kiedy cię nikt o radę nie pyta. Dwa bataljony następują, za pół godziny będzie z nimi koniec. Tymczasem my się przemkniemy. Pośpiech! Rozumiesz jeden z drugim? Co siły w nogach! Zrzucać worki, płaszcze, wszystko — tylko pilnować ładunków, jak oka w głowie. Pod-

pasać się, nogi opatrzyć — buty dobrze opatrzyć, bo potym na nikogo nie będzie czekania. Macie na to pięć minut czasu.

— Dalej! Ruszaj!

— Panie pułkowniku! Czy jest jeszcze jaka nadzieja? — spytał któryś ze synów szlacheckich.

— Nadzieja! — Też słowo żołnierskie. Jest i Wiara i Miłość i Święta Zofja z trzema córkami. Nadziei niema, ale jak będziecie nogi wyciągać, to się wydostaniem — właśnie dla tego, że jest bitwa.

— Hańba uchodzić z pola bitwy...

Ale Smyczyński ujął „Szymborcza” pod gardło swoją chłopską garścią i, potrząsnąwszy nim kilka razy, doprowadził do opamiętania. Pułkownik spojrzał na chłopca serdecznie. Gdybyż to miał takich jeszcze dziesięciu, pokazałby on dzisiaj swoim „apszeroncom”, jak to wyglądają prawdziwi powstańcy i jak to giną polscy żołnierze...

Pognali gęsiego przez las. Jędrak, prowadzony na postronku, pokazywał drogę. Szybko wydostali się na wąską drożynę leśną i z pół godziny szli wartko w zupełnym milczeniu, tylko suche liście szeleściły im złowrogo pod nogami. Który był słabszy, przemagał się, a zdążał za innymi. Wszelako po jakimś czasie rozerwał się łańcuch ludzi. Przyszostali: czeladnik piekarski Frączek, który miał odparzoną nogę, Gońca, dworski gajowy, chory już od tygodnia, i pan Gołoński, wędliniarz z Turubina, którego losy powstania i jego partji zaniosły aż w te strony, a który utracił już oddawna całą swoją otyłość rzeźnicką, ale nie mógł się po-

zbyć zatykania w gardle i duszności. Rzęził, chrapał i z wytrzeszczonymi oczami, ponsowy z wysiłku, został na samym końcu. Z rozpaczą widział, jak szybko oddala się kolumna, z rozpaczą widział, jak oddalają się od niego nawet ci dwaj, co przyzostali w tyle. Nikt się nawet za nim nie obejrzał. Chciał wołać, ale nie mógł głosu wydobyć. Chciał przystanąć, żeby złapać oddech i krzyknąć — ale bał się stracić bodaj jedną chwilę. Biegł drobniutkiemi kroczkami, zataczał się i czuł, że lada chwila upadnie.

Pan Chądryński dobrze znał pułkownika i wszystkie jego dziwactwa. Zastanawiał go też bardzo pewien szczery i całkiem swobodny uśmiech, jaki ożywiał teraz twarz „Ruszaja”. Uśmieszek ten przywarł do niego od chwili wyruszenia z biwaku i wydawało się, że pułkownik śpieszy się ku czemuś niezmiernie miłemu i radosnemu, co stać się ma lada chwilę, bardzo prędko — ale przecież im prędzej, tym lepiej. Wbrew swemu zwyczajowi naczelnik nie zważał zupełnie na oddział, nie popędzał zostających w tyle, nie wymyślał. Pan Chądryński pociągnął go za rękaw i zapytał oczami.

Pułkownik przystanął i, kiedy ludzie ich wymięli, poszli obok siebie z tyłu oddziałku.

— Niech pułkownik gada, co wie. Mnie można. A ja powiem, że strasznie mi się nie chce za kordon.

— Rzec gustu. A tym się chce... — wskazała na idącą przed niemi gromadę.

— Między niemi jest jeszcze z pięciu, co też są gotowi...

— Błazeństwo! Żeby był choć jeden pluton — toby było coś... Pan-byś wyleciał w pięciu z lasu na dwa bataljony, jak ten galicyjski uczeń? Nie uchodzi na wojnie taka pantomina!

— Okropnie słuchać, jak tamtych wycinają w pień.

— Na wojnie dużo przykrości. To jest nic. Gdyby nam teraz drogę zastąpili, tobyśmy wydali batalję według wszelkiej nauki wojskowej. Niechbyśmy wpadli na cały pułk — jabym się bronił do upadłego, bo to jest rzecz honoru wojskowego. I to jest piękne — idzie cały pułk na dwudziestu. Ale w pięciu rzucać się na pułk dla fantazji — to za głupie i za poetyczne. I na taką rzecz nie pójdą nasi ludzie. A inna rzecz — jak będzie potrzeba — łajdaki oni, wystraszone to, a wymizerowane, że patrzeć nie można, a jednak niech w tej chwili nam zastąpią drogę — to się będą bronić wcale porządnie. Pan nie wojskowy.

— I pułkownik naprawdę myśli, że my do tej granicy...

— A zobaczymy, co tam za lasem.

— Możeby ludzi uprzedzić, umocnić.

— Umacniać zawczasie — to znaczy tylko gorszego strachu napędzać! Niech sobie wierzą, że uciekniemy. Ha ha... Widzisz pan, jak się śpieszą?

Pan Chądzyński spojrzał bystro na pułkownika, który uśmiechał się dobrotliwie.

— A jak dziś przejdziemy kordon — co pan

będzie robił? Będiesz pan jeszcze wracał z jaką nową partją?

— A pułkownik?

— Ja panu powiem: mnie tam nic nie obchodzi polityka, ani dyplomacja. Ani to, czyśmy już ze szczeniem przegrali, ani to, czy tam jakie Francuzi... Ja żołnierz i moja rzecz bić się do upadłego. To też jeżeli mi dadzą stu ludzi podmustrowanych i gdzie będzie choć ze dwudziestu dawnych żołnierzy — to wracam, tylko się wyśpię. Ja nie mogę wstydu się najadać przed Moskalami. Na wojnę się idzie z żołnierzami. A nasi — jak przyjdzie do czego — to jedni chcą tylko umierać — a inni tylko uciekać. Rób tu obroty z takimi.

— Żołnierzy panu nikt nie stworzy. Duch znaczy wszystko. Duch tworzy cuda!

— Nie gadaj pan głupstw! Na wojnie znaczy żołnierz, co umie strzelać i co ma z czego strzelać i który słucha i ma kogo słuchać. Tego u nas nigdy nie było, ale zato ducha — ohoho... Pan nie wojskowy!

— Czemu pan ciągle taki uśmiechnięty, panie pułkowniku?

— Bo czuję blisko granicę. Będę dzisiaj spał. Przez dwa tygodnie nie dosypiałem, a przez trzy noce całkiem nie spałem.

— Wszyscy my będziemy dzisiaj spali...

— Tak pan prorokuje? Ha, ha, zobaczymy.

Salwy terkotały bez ustanku i stawały się coraz groźniejsze. Echo leśne powtarzało wiernie każdy odgłos. Raz po raz między gałęziami przelatywały,

kracząc, wrony. Z ludzi lały się strugi potu, zrzadka odzywało się słowo. Szybko przesuwali się drzewa. Jędrak zapowiadał, że za dwa pacierze wejdą w poręby, przez które środkiem idzie gościniec. Na tę wieść o gościńcu westchnął jaki taki i żał mu się robiło gęstego lasu. Nagle wystrzały ucichły. Przyszło zato zdaleka granie trąb. Powtarzał się jakiś sygnał, oddalał się, przybliżał, zlewał się w bezładny chór, zawisł jeszcze w powietrzu oderwany jego pojedynczy dźwięk i w tejże chwili zaczęły się głucho, przeciągłe wrzaski i wycia ogromnej gromady ludzi. Zlewały się z niemi echa leśne.

— Stój! — krzyknął pułkownik. Baczność! Równaj front! Do szeregu!

Wyszedł przed front, oparł sztucer o ziemię i szerokim ruchem zdjął kaszkiet.

— Słuchajcie, bracia! Tam nasi giną! Już na nich idą na bagnety — to koniec. I oni chcieli do granicy — a jak nieprzyjaciół zastąpił — stoczyli batalję i wyginęli mężnie. Tak i my! Słyszycie, jaki tam krzyk? Na ura idą żołdacy. I nam wolno się ratować, ale jak trzeba będzie, zginiemy mężnie! Co? Jak tamci za lasem! Cześć ginącym braciom. My im pomóc nie mogli, bo nas garść — ale iak po drodze da się co urwać — to pójdziem. Co? A jak nas zaczepi rota, dwie rot, albo i cała brygada — to żaden z nas się nie podda. Po żołniersku zginiemy, po polsku! Cześć mężnym! Ruszaj!

— Oddział baczność! Oddział, prezentuj broń!

Stali we dwa szeregi wzdłuż drogi i oddawali honory ginącym za lasem. Stopniowo umilkł rej-

wach bojowy. Zrzadka padł jeszcze samotny strzał. Ustalała się już cisza, aż uderzyła w las kapela wojskowa. Hucznie, tryumfalnie grzmiły trąby i głucho, jak rytmicznie zdaleka dochodzący strzał działowy, odbijał bęben takt bojowego marsza.

Pułkownik stał sztywno, jak na paradzie, z odśloną głową i twarzą ku dalekiej bitwie. Jego żołnierska dusza oburzała się na swoją ciężką krzywdę. Nie dał Bóg Polsce zwycięstwa, nie dał jej czasu zorganizować armję, nie dał jej ginącym wojownikom nawet tego miłego uchu żołnierza dźwięku trąby wojennej, co przygrywa do dzielności i krew do boju zagrzewa.

Nadeszli na to trzej zapóźnieni i stanęli, dysząc ciężko. Pułkownik odsunął oddział w las, nakazał ciszę i poszedł ku porębie ze Smyczyńskim, prowadzącym na postronku przewodnika.

Gołowski — wędliniarz — położył się na ziemi i rzęził.

— Cóż z wami będzie?

— Wody — na miłosierdzie boskie.

— Wody niema, ale jakże wy dalej pójdziecie?

— Zostanę tu, zostanę, nie bójcie się nic. Kozacy mnie tu znajdą i dobiją.

— Pomożemy wam. Weźmie was dwóch mocniejszych między siebie pod pachy. Wydechajcie się tymczasem...

— Gnać się dalej tak nie będzie.

— Bić się tu chyba będziemy gdzie niedaleko.

— Proszę was, bracia... każdego z osobna, który się dzisiaj uchroni... Do żony mojej napiszcie, do Turobina...

...Litości, kroplę wody w godzinę skonania...
Moje pożegnanie i błogosławieństwo dla dzieci...

...Niech wiedzą dzieci, żem dla ojczyzny... O Boże
miłosierny, ratuj!... Napiszcie, żem w ostatniej
chwili...

I pan Gołoński zaczął się dusić. Ratowali go,
jak mogli.

— Panowie bracia! Koledzy — zaczął pan Szym-
borski — postanówmy sobie i przysięgnijmy sobie,
że żaden się żywy nie da. Pomścimy braci! Mamy
po sto dwadzieścia ładunków. Dwie godziny się
możem bronić. Chwałę się okryjemy. Nabijemy
Moskali. Koledzy!

— Módlmy się, bracia. Na kolana padnijmy
i opiece boskiej się oddajmy! Ręce do nieba pod-
nieśmy i wołajmy z ufnością: Kto się w opiekę
odda panu swemu!

— Cicho, stary, módl się pocichu. Zgłupiał
z tego strachu...

— Ja się nie boję, bo Bóg nad nami!

— To wiadomo, ale Moskał bliżej.

— Nie bluźnij, bo wszyscy przez ciebie zginą!

Cisza zrobiła się za lasem. Ludzie uspokoili się
i jaki taki układał się już do spania. Po kwadran-
sie spała już połowa. Pan Gołoński leżał nawznak
bez ruchu i bez kropli krwi w twarzy, z głową
opartą na kolanach Rykwiły, który siedział pod
bukiem i spał, chrapiąc głośno. Stary Linkiewicz
modlił się, klęcząc ze złożonymi rękami, z głową
opartą o drzewo. Słońce przedostało się do nich
przez obnażone gałęzie i w jego ostrym świetle

piślały się na twarzach ludzkich wyraziście okropne
trudy pochodu.

Przeglądało słońce obszarpany przyodziewek
żołnierzy, uwalanych w ziemi, ich nędzne buty,
ich broń, dawno nie czyszczoną. Barwne liście bu-
kowe migotały na słońcu i spadały na nich spo-
kojnie, jak cichy śnieg. Wszyscy już spali; spali,
siedząc oparci o drzewa, leżeli nawznak lub twa-
rzami do ziemi, opierali się o siebie nawzajem, tu-
lili się do siebie, lub chrapali, rozwaleni w poje-
dynkę opodal. Linkiewicz modlił się ze wzdycha-
niem i głucho bił się w piersi. Pan Chądryński
pisał.

„...O czym może śnić człowiek, który ma umrzeć
za chwilę?

„Ile lat musi minąć, zanim Polska dźwignie się
po klęsce?

„Jakie pokolenie żyć będzie po nas? Czy długo
nas będą wspominać? Czy sprawiedliwie osądzi
nas potomność? Co nam będą pamiętać, czy na-
sze trudy i męki, czy też tylko to, że przegraliśmy
sprawę?

„Słodką jest chwila poświęcenia. Łaskawy jest
uśmiech wieczności, witający zbliżającego się ku
niej człowieka. Wszelka słabość płynie z ciem-
noty. Gdybyż wiedzieli to, co ja, ci śpiący ludzie...
Byłby między nami spokój, byłaby cicha radość...

„I ja zostawiam życie, przyjaciół i kobietę
kochaną, która nigdy nie dowie się, żem ją ko-
chał i że myślałem o niej w ostatnich moich chwi-
lach... A już niczego nie żałuję. Odeszło ode mnie

wszystko, co jest z tego świata. Niema już we mnie nienawiści do wroga, choć lada chwila będę słał ku niemu mordercze kule, zanim mi nie wytrącą broni z ręki. Ślepi są ludzie, dopóki żyją na ziemi...”

Pan Chądryński podniósł głowę na szelest liści na drodze. Nie spodziewał się nikogo innego, jak tylko pułkownika z wachmistrzem i przewodnikiem, jak gdyby nie było już innych ludzi w całej okolicy. Niewyraźnie przez drzewa i krzaki zobaczył dwóch konnych, jadących stępą.

Głośno szurały po liściach kozackie konie. Pan Chądryński spojrzał niespokojnie na śpiących, potem drgnął całym ciałem na myśl, że tamci dwaj poszli ku porębom i że to ku nim jadą kozacy. Dwaj konni znikli mu z oczu — tylko szelest liści szedł jeszcze za nimi przez chwilę i umilkł. Zaczął rozmyślać pan Chądryński — czy budzić śpiących — czy iść na pomoc tamtym, czy i co należało robić. Cekał, czy za temi dwoma nie jedzie większa siła. Nadśłuchiwał bacznie, aż wreszcie poznał, że kozacy byli przywideniem zmęczonego bezsennością i trudami umysłu. Bo oto teraz po węzłowatym pniu bukowym biegnie ruda wiewiórka, za nią druga, trzecia, dziesiąta. Wszystkie zwierzątka z całego lasu wyłażą na ten jeden buk. To widzi wyraźnie — a to przecie nie jest prawdą. Za drzewami biega tam i z powrotem jakiś pies czy wilk i znowu staje się bardzo dużo i psów i wilków. Ludzie śpiący, którym się przyglądał, uśmiechali się wszyscy przez sen. Uśmiechał się i modlący

się na klęczkach Linkiewicz. Ale pan Chądryński dobrze wiedział, że to tylko złudzenie. To dziwne i zabawne — pomyślał i zasnął.

Znalazł się wśród rodzinnego miasta o jakiejś bardzo wczesnej godzinie. Ulice były puste, bramy i sklepy pozamykane. Dąży do czegoś, śpiesząc się gorączkowo, i błądzi, zawraca i nie trafia w ulicach znajomych od dziecka. Nareszcie otwiera się okno na drugim piętrze — w oknie ona. Staje oczarowany. Nigdy na niego nie patrzyła tak, nigdy się tak nie uśmiechnęła. Woła do niego: „pójdź!” Brama zamknięta, więc idzie po ścianie, czepiając się za co może, podnosi się szybko, z łatwością. W oknie ona podaje mu obie ręce, zbliżają się ku jego twarzy okrutne, cudne oczy i rozchylone usta. Ogarniają go płomienie niewiarogodnej rozkoszy.

Tuman snów unosił się nad powaloną przez trudy gromadą. Rafalski — kasjer pocztowy — uczynił jakiś fatalny błąd w rachunkach i po raz setny sumuje olbrzymią kolumnę cyfr, śpiesząc się niezmiernie i myląc się nieustannie. Morduje się i gorączkuje — bo w drugim pokoju siedzi pan pocztmistrz i czeka, uśmiechając się zjadliwie. Rafalski widzi, jak świdruje w nim złemi oczami z okularów. On go śmie posadzać! Rafalski za chwilę zerwie się i znieważy naczelnika. Ale spostrzega, że stary urzędnik już kiwa ku niemu dobrotliwie ręką i uspokaja go: — panie kasjerze, daj pan pokój rachunkom. Teraz już wszystko jedno, jakie tam już teraz rachunki. Patrz pan, co się dzieje. — I czyta głośno z gazety jakieś straszliwe, niewiarno-

godne nowiny, o niepojętych przewrotach, o tym, że księżyc zbliża się do ziemi „powoli ale stale“ i że za trzy tygodnie nie będzie ani śladu z życia ludzkiego. Nieprawda! woła Rafalski. Ano, to pan czytaj. Pan pocztmistrz podchodzi i podaje mu numer. Ale Rafalski odpycha go i nie chce patrzeć! Okropny jest jego strach.

Szymborski mocował się z napastnikiem, który przyniósł go całym swoim ciężarem, dusił go za gardło i usiłował mu odebrać jego ładownicę ze stu dwudziestu nabojami. Rozpaczliwie broni jednego swego skarbu, ale już omdlewa od wysiłków i, widząc, że nie poradzi, zaczyna się targować: „dam ci dwadzieścia ładunków — tylko mnie puść!...“

.....
Deptały po zmożonych ludziach ciężkie majaki. Szturmowały do nich stare wspomnienia życia, wyprawiały się przed nimi niepojęte dziwolagi, dusiła ich zmora. Przewracali się, jęczeli przez sen, męczyli się. Każdy przeżywał w tym śnie coś najtajemniej własnego, każdy w tym krótkim uspieniu coś dla siebie wyczytał i odgadł. Nie śniło się nic tylko Linkiewiczowi, który się wciąż modlił, i Gołońskiemu, który już skonał i leżał po dawnemu z głową, opartą na kolanach chrapiącego Rykwiły.

Z wielkim trudem i znowu z kopaniem i z szarpaniem budził ich pułkownik ze Smyczyńskim. Powoli gramolili się ku wstawaniu pomordowani ludzie, powoli przychodzili do przytomności i spo-

strzegali, gdzie są i co się z nimi dzieje. Pan Chądzyński po tej chwili snu czuł się wypoczętym i rzeźkim. Pułkownik i wachmistrz mieli łyskające oczy i zawziętość w twarzach, a bagnety mieli obaj czerwone. Jędek, który wciąż chodził za wachmistrzem na postronku, trząsł się, jak w febrze, był błądy i oczy rozwarły mu się szeroko.

— Co się stało?

— Nic. Dwuch kozuniów na nas wlało przypadkiem. Nie zdążyli nawet krzyknąć. Trza ich będzie poodciągać z drogi dla niepoznaki, bo mogą przechodzić inni. Konie przywiązaliśmy w lesie. Wstawaj! Ruszaj!

— Co słyhać, pułkowniku? — spytał szeptem pan Chądzyński.

— Nic, droga niby wolna. Jeżeli chłopak nie łże, to te lasy za gościńcem idą aż do samej granicy. Możemy dojść — dla czego nie? Możemy... Trzebaby tylko przez tę porębę jakoś delikatnie. Pusto, psia krew, goło — widać naokoło na jakie trzy wiorsty...

— A Gołoński umarł, panie pułkowniku. Krew go zalała.

— Daj mu tam, Boże! Ładunki i broń zabrać!

— Linkiewicz nie chce iść za nic.

— Ej, ty! Organista! Chodź z nami, będziesz się modlił po drodze. Wstawaj, bo cię tu znajdą! Słyszysz? Ruszaj!

Ale napróżno tłumaczono mu i szarpano go na wszystkie strony. Stary głowę zadarł do góry, a oczy miał już zupełnie błędne i nie widział nic,

prócz jakichś rzeczy tajemnych, które się działy tam wysoko w przestworzach niebieskich. Zabrano jego sztucer i naboje i zostawiono ich obu. Pan Chądzyński, który szedł na samym końcu, obejmował się jeszcze raz. Trup Gołońskiego leżał z twarzą, przykrytą kaszkietem żołnierskim, a stary Linkiewicz klęczał u jego stóp z rozkrzyżowanymi ramionami i patrzył w niebo i modlił się głośno.

.....

Około czwartej po południu wyszedł już z ludzi ostatek sił. Wlekli się wszyscy w kupie, noga za nogą, opierając się na sztucerach, zataczając się i ledwie dysząc. Granica musiała być już gdzieś bardzo blisko. Jaki taki pomyślał sobie, że może nawet są już za linią kordonu i, nic o tym nie wiedząc, mordują się tylko niepotrzebnie. I tylko ta bliskość granicy podtrzymywała jeszcze cudem siły ludzkie. Ale wszystko ma swój koniec.

Nastąpił moment, kiedy kilku odrazu zważyło się na ziemię i nie mogło już powstać.

Pułkownik błagał ich, żeby się jeszcze prze mogli.

— Tylko pół godziny, ani minuty więcej! Słyszycie? Pół godziny, z zegarkiem w ręku — i spanie! Pół godziny — i żarcie i wolność! Ruszaj!

Nic to jednak nie pomogło. Należało wytchnąć. Rozłożyli się w krzakach na brzegu sporej polany, na której stały samotne purpurowe buki i kilka bladeżółtych klonów. Rozłożyli się w łańcuch frontem do polany, mając za sobą las — i granicę. Na-

kazane było nie spać i trzymać broń gotową. Większość jednak już po minucie zaczęła chrapać, a reszta z głodu gryzła i żuła gałązki bukowe lub pożerała surowe grzyby.

Mijały właśnie cudowne godziny jesienno-południa. W ciepłych promieniach słońca, w zapachu więdnących liści rozpowyjał się rzewny smutek i słodka, niewyraźna tęsknota. W smętnej, łaskawej pogodzie stały wielobarwne buki, srebrzyły się pajęczyny po łące.

— Jędrus — mówił dobrotliwie pułkownik. — Rozważ ty, chłopcze, jeszcze raz! Wymiarkuj sobie, kochaneczku, i obejrzyj się, póki czas. Czyś ty się aby nie zmylił? Już się teraz przyznaj. Mów prawdę. Nic ci nie będzie.

— Ja, proszę wielmożnego pana pułkownika, tędy lasami nie chodził. Ale ten las jest rządowy i nazywa się Buczynowski las. U nas wszyscy wiedzą, że on podchodzi pod samą Austrię. Tędy dużo szwarcunku chodzi w spokojny czas, a w tę wojnę i trzy razy tyle. Nasi ludzie wszędzie tu mają swoje przechody, ale ja tu nie bywałem, przepraszam wielmożnego pana...

Smyczyński słuchał pochmurnie, ponuro patrząc na chłopca.

— Gadaj, chłopak — rzekł — daleko teraz do tej twojej wsi? Pokaż, w której stronie Namłotów?

Jędrus zafrasował się. Prawdę powiedziawszy, nie on już nie wiedział. Ani gdzie jest wieś, ani gdzie jest „Austria“, ani też — w którą stronę te-

raz idą. Bał się niezmiernie powstańców, bo ludzie gadali, że oni za byle co wieszają na gałęzi. Z tego strachu kręcił, jak mógł, i łął, że Namłotów jest o dwie godziny drogi — bo „obeszliśmy wkoło lasami i że teraz wieś się przybliżyła“, że granica „ino patrzeć“. Uspokajał pułkownika, że tu żadnego wojska być nie może, bo cesarz austriacki nie pozwolił Moskalom zbliżka podchodzić, że dalej, jak za Namłotów, kozaki nigdy nie chodziły i t. d.

Jędrek był chłopak rozgarnięty i byłby innego czasu wszędzie trafił. Ale od tej chwili, kiedy pułkownik i wachmistrz, do którego był przywiązany na postronku, zaczęli żgać bagnietami w kozaków i kiedy kozaki zwały się z siodeł, pomroczyło mu się w głowie. Okolica tamtejsza była jeszcze znajoma i tam wszystko wiedział. Ale potem zaczęło się chodzenie po nieznanomych lasach.

Mijali polany, poręby, bagienka leśne, stare lasy, jakieś zagajniki. Napotkawszy jaką osadę ludzką, już zdaleka zbaczali w las, nadrabiając drogi i okrażając niebezpiecznych ludzi. Jędrek chciał z duszy trafić, jak trzeba, bo bał się bardzo pułkownika i spodziewał się, że go panowie hojnie nagrodzą, a zresztą dumny był z tego, że on, Jędrek, prowadzi całą „partję“. Szedł wprawdzie na sznurku, ale na ramieniu trzymał sztucer, a u pasa miał ładownicę. Zdawało mu się, że jest żołnierzem, i okropnie mu się chciało ten sztucer i tę ładownicę przynieść ze sobą do domu. Zasługiwał się więc, jak mógł, ale teraz czuł, że zbłądził.

Pułkownik, miarkując według słońca, wiedział,

że kierunku naogół nie utracił, ale o tej porze sam już sobie nie dowierzał. Mimo całej odporności i woli co chwila zasypiał. Zapadał w chwilowe odrętwienia podczas pochodu, szedł, jak nakręcony, mówił machinalnie i czuł, że śpi. Po chwili budził się i niezmierne znużenie podcinało mu nogi. Przemagał się, a dla ulgi wymyślał swoim ludziom, wlokącym się, jak po smole. Bezladne obrazy przesuwaly mu się przez głowę.

Pierwszy tryumf — zabranie transportu nieprzyjacielskiego i zniesienie do szczętu rot piechoty wraz z oficerami... Wielkie nadzieje, wszędzie szczera ochota do walki. Gościnne i ofiarne dwory, posłuszne chłopstwo, sprawnie działająca machina wojewodów, naczelników, komisarzy, skarbników i powódź instrukcji i cyrkularzy, które znamionowały, że ktoś ruchem rządu. A lada moment na to wszystko miał przyjść i wszystko objąć gienjalną głową i mocną ręką pan Ludwik, prawdziwy żołnierz i prawdziwy rewolucyjny generał. A oto Langiewicz.

Zamęt i zajadłość dyskusji z nieznanymi komisarzami, przybywającymi od tajnego rządu z poleceniami, pełnemi dziwolałów. Kłótnie w szeregu, polemiki i rozłamy po lasach podczas pochodu, w obliczu nieprzyjaciela. Kogo słuchać? Co robić?

Znowu moment szczęścia. Przyszły sztucery belgijskie. Znowu strapienie: gdzie ładunki?

Zaczęła się nareszcie wiosna, ustalała się pogoda. Miło się zrobiło w lasach. Z dnia na dzień na spodziewaniach, oczekiwaniach, na pochodach

i kontrmarszach, na obozowaniu i rzadkich drobnych utarczkach zeszło lato. Wciąż się coś miało zacząć naprawdę. Ot jutro — ot pojutrze — ot za dwa tygodnie. Ale wciąż było tylko to samo. Wielkie było święto, jak się dało coś urwać. Niezmierzna, dziecinna radość panowała wówczas w obozie. Nikt nie wiedział, że na wojnie takie tryumfy nie znaczą. Pułkownik tęsknił do planu, do wodza, do wielkiej armji. Tak zeszło — ot i koniec... Robił, co był powinien, aż do ostatka, ale wiedział, że właściwie nic nie zrobił.

Myśli te były smutne, ale pułkownik nie poddawał się nigdy rozpacz. Wiedział, że nic on tu nie zawinił, więc był, jak zawsze, spokojny w duszy swojej. I jak zawsze był na coś zły. Pułkownik miał niezłomne przekonanie, że dowódca powinien być zły i opryskliwy o każdej porze dnia i nocy i w każdej okoliczności. Inaczej niema dyscypliny. To też złościł się bez przerwy przez cały czas kampanji, tymbardziej, że nie było takiego dnia i godziny, żeby nie miał zaco i na kogo.

A teraz do wściekłości doprowadzała go myśl o tym jego pułku, który, jak to wiedział zawczasu, operował nad granicą. Najtajniejszym marzeniem jego od czasu, jak złamał przysięgę wojskową, było — spotkać się na polu bitwy z dawnymi kamratami. Była w tym pewna kawalerska i próżna chętność — popisać się przed starymi znajomymi. Były w tym jednak i mściwe uczucia i nieubłagane porachunki.

Porucznik Zawalenko i kapitan Batyszyn byli

to wrogowie, których kazałby powiesić, gdyby ich złapał. Oni to bowiem jeszcze na długo przed powstaniem publicznie zapowiadali, że w razie wojny z Polakami porzucą służbę. A jemu poufnie przysięgali, że wstąpią do szeregów powstańczych, służyć swoją sztuką wojskową słusznej sprawie, walczyć o wolność Polski i o wolną Rosję. Wtajemniczeni byli obadwaj w ważne roboty spiskowe, przygotowawcze. A kiedy przyszedł miesiąc styczeń, ostali w wierności. Kiedy ich widział po raz ostatni, jeszcze będąc w mundurze rosyjskim, już mieli zimne, oficjalne twarze. Nie rozumieli zupełnie, o co mu chodziło, i tak znakomicie odegrali komedję zdumienia, że pułkownik przypuszczał, że sam zwarjował i że wszystko, co było przedtym, i to, czego się od nich domagał — było tylko majakiem. Przeraziło go to. Kilka godzin spędził w okropnej walce o zdobycie jasnego sądu o tym, co zaszło. I zrozumiał nareszcie i przeboleł ten srogi zawód.

Ale raną jęczącą był dopiero porucznik Kiryłow. Tamci byli to koledzy, ludzie zaufani, którzy mogli być dla ruchu pożyteczni — ten był najszczerzym i jedynym na ziemi przyjacielem. Kolegowali ze sobą w szkole wojskowej. Razem w pułku dobijali się pierwszych stopni oficerskich. Razem pili, razem marzyli, mieli wspólną kasę i wspólną każdą myśl, razem mieszkali i jak jeden człowiek jednocześnie zakochali się w jednej i tej samej pannie. Jemu to zeszło z pola późniejszy pułkownik, kiedy przyjaciel zakochał się i zako-

chał się śmiertelnie i przez jakąś fatalność właśnie w „niej“, w tejsamej... Dla niego wyrzekł się panny, jakiej drugiej nie mogło już być na świecie. Pomagał mu u panny, która się w nim właściwie zakochała — toczył z nią tajemnicze narady, podczas których krwawiło się mu serce, i oddał ją przyjacielowi. Bo groził Kiryłow, że się zastrzeli. Trzymał nad nią koronę w cerkwi podczas ślubu i przez cały czas trwania obrzędu ręka mu się nawet nie zatrzęsła.

Olga była Rosjanką, Olga byłaby drugą Pustowjówną — gdyby...

Kiedy oboje żegnali przyjaciela, idącego do walki, — Kiryłow miał tam za nim pośpieszyć i w połowie lutego miał się już stawić. A pozostał. I kiedy pułk wyszedł w pole, poszedł z pułkiem.

Temu człowiekowi chciałby pułkownik spojrzeć w oczy. Z tym chciałby się spotkać w polu, w tej godzinie bitwy, — kiedy to piechota już biegnie do ataku. Pułkownik nie wiedział, coby zrobił z przyjacielem. Możeby go zamordował z rozkoszą, możeby stanął, odrzucił broń i spytał: „cóż, zabijesz mnie?“

W ciągu całego dnia od chwili, kiedy zobaczył z lasu bitwę na łąkach nad Czarną i poznał przez lornetę barwy swojego pułku, obraz ten stał mu wciąż przed oczami. Teraz stracił już nadzieję spotkania.

Drzemał i budził się. Zamyślał się, a myślenie przechodziło w sen. Kiedy się ocknął i otworzył oczy, oblał go zimny pot.

Na przeciwnym brzegu polany ostrożnie wynurzał się z zarośli łańcuch piechoty. Na lewym skrzydle kroczył, czając się, pochylony Kiryłow i pokazywał na niego szablą żołnierzom. Pułkownik osłupiał i nie miał władzy ruszyć się z miejsca, ani nawet krzyknąć na swoich. Wszyscy śpią — myślał z rozpaczą.

Tymczasem żołnierze, skradając się ostrożnie, doszli do buków, do połowy polany. Kiryłow przełożył szablę do lewej ręki i wyjął rewolwer. Straszliwa gorycz zalała serce pułkownika. Porwał się całym wysiłkiem i wszystko znikło, jak gdyby długi cień, padający od buków, pochłoniął ich i zagasił.

Pułkownik przestraszył się tej wizji. Przysiągłby, że to nie był sen. Długo wpatrywał się w polanę i ze śladami pewnej podejrzliwości badał cienie pod bukami.

— Panie Chądzyński — spytał — co to są halucynacje?

Pan Chądzyński czytał coś ze swojego wielkiego notesu. Czytał właśnie swoje wiersze, napisane podczas długiego obozowania przed dwoma miesiącami. Za wielkiego poetę się nie miał, ale wiedział, że w każdym jego utworze jest jakaś iskierka. Utwory swoje lubił i teraz przeglądał je, jak gdyby się z nimi żegnając. Albowiem przypuszczał, że te rzeczy już zaginą — a swojej rychłej śmierci w tych lasach był pewien i o tej godzinie tak samo, jak rano i w ciągu całego tego dnia.

— Halucynacje, panie pułkowniku, są objawem

nienormalnie funkcjonującego mózgu. Ot naprzykład z przemęczenia.

— A jak się pokaże właśnie coś takiego, jakby to ktoś naumyślnie przed człowiekiem ułożył? Taka jakaś najtajemniejsza myśl, czy chęć... Jakby to sam djabeł wymyślił?... Taka zjawia musi coś znaczyć — to chyba przecucie... jakieś jasnowidzenie? Co?

— A co pułkownik zobaczył?

— Et, głupstwo... Zmordowany jestem i tyle.

— Pułkownik nie jadł dzisiaj nic?

— Nie mam apetytu.

— Nie zostawiliśmy pułkownikowi ani jednego kartofla. Hańba!

— Gorsza hańba, żeśmy zblądzieli. Prawdę powiedziawszy, to nie wiem, w którą stronę iść. To jest dopiero hańba! A wieczór za pasem. Z głodu mi osłabną na nic — i znowu paru trzeba będzie zostawić. I jak na urągowisko mamy huk naboju, a niema do kogo strzelać. Też położenie...

Omieciński, uczeń aptekarski, wrzasnął przez sen niehumanym głosem, zerwał się na równe nogi i wystrzelił. Na to Sularczyk, czeladnik szewski, ocknął się, porwał za sztucer, wymierzył ku polanie i wypalił też. Za nim strzelił Frączek i jeszcze hrabski lokajczyk Antek Wasiak. Zrywał się jeden za drugim.

Ale paru spało dalej martwym snem, nie ruszywszy się nawet po strzałach. Echo przesunęło się po lesie i zamilkło.

Obłoczek dymu prochowego zawisł nisko nad

polaną i stał w spokojnym, jasnym powietrzu, rozścielając się wązkim pasmem.

Pułkownik już się nawet nie gniewał za ten alarm. Nic nie rzekł Omiecińskiemu, który się przysięgał, że zupełnie „nie spał“ i że widział najwyraźniej żołnierzy, wychodzących z lasu po tamtej stronie. Należało jednak brać nogi za pas, bo na wystrzały lada chwila mógł się zjawić nieprzyjacielski patrol, albo i większa siła.

Długo budzono, namawiano i straszono tych, którzy jeszcze pomimo całego gwałtu spali, jak zarżnięci. Rafalski już zupełnie nic nie rozumiał. Oganiał się, jak mógł, od szarpiących go kolegów, wierzgał nogami na wszystkie strony, wymyślał okropnymi wyrazami i kulił się do ziemi. Postawili go na nogach, natręśli go i wreszcie oprzytomniał. Najtrudniej szło z Lenkiewiczem. Zgadzał się na wszystko, wstawał, brał broń i ruszał z miejsca, ale zrobiwszy kilka kroków, zbaczał w zarośla, układał się cichaczem do spania i zasypiał natychmiast. Byłby już zginął, gdyby go nie pilnował młody Szymborski, który nie opuszczał go ani na krok i kopaniem zmuszał do wstawania. Lenkiewicz bowiem był to jego kolega i przyjaciel, a ponadto Lenkiewicz strzelał „gienjalnie“, nigdy nie chybiał i, zasiadłszy gdzie za drzewem, a mając naboju pod dostatkiem, starczył sam za dziesięciu strzelców.

Szymborski zaś był najpewniejszy, że jeszcze będzie bitwa, bo inaczej rozpląkałby się z rozpa-

czy i z tej hańby. Mozolił się tedy z przyjacielem i z tej irytacji bił go już naprawdę z całej siły.

Opóźniało to pochód, ale pułkownik już się o nic nie gniewał.

Jędre od czasu do czasu niespokojnie patrzył na wachmistrza i gadał: „dobrze idziemy!” albo „teraz już wiem!”

— I cóż ty wiesz? — pytał Smyczyński.

— Tym lasem het będziemy szli przed siebie pół godziny, może ze trzy kwadrancy i będzie znów zachodzić tasama rzeka Czarna (bo ona się tu ciągnie lasem przekręca). Za rzeką jest już zaraz granica.

Ale wachmistrz mu już nic nie wierzył. Czuł, że zbłądzili i że błądzą dalej. Darli się przez las według słońca — ale linja granicy jest kręta. Mogą iść wciąż wzdłuż kordonu aż do samej nocy i po nocy wleżą właśnie w najgorsze miejsce...

Pułkownik pytał Omiecińskiego głosem przyciszonym.

— Naprawdę widziałeś Moskali?

— Żebyśmy się tak z tego miejsca nie ruszyli, żeby we mnie piorun strzelił, panie pułkowniku...

— Dobrze, dobrze... Piechota była?

Omieciński odpowiadał z wielkim przejęciem, głosem tajemniczym i jeszcze raz poprzysiągł, że to nie był sen, bo on ani oka nie zmrużył — a co to było? Niewiadomo. Jakaś straszna tajemnica, może fata morgana, albo jakie czary?

— Piechota była, panie pułkowniku. Szli we dwa rzędy, szeroko rozrzuć w tyraljerkę.

— A jakie mieli kołnierze? Lampasy u kaszkietów jakie były? Widziałeś? Pamiętasz?

— Pamiętam. Na kaszkietach mieli czerwone, a na kołnierzach...

— Głupiś! Jeżeli na kaszkietach mieli czerwone, to i na kołnierzach. I nie całkiem czerwone, tylko ciemno-karmazynowe.

— Skąd pan pułkownik to wie? — Omieciński aż się przeraził.

— A oficer był z niemi? Oczywiście, że był, bo samopas żołdatów nie puszczaają — idzie tylko o to, czyś ty go widział?

— Był i oficer. Młody, wielki Moskal...

— Czy on nie był czasem czarny? Wąsy czarne? — pytał z niepokojem pułkownik.

— Jak Boga kocham, był czarny!

Pułkownik był głęboko przejęty tym, czego się dowiedział. Już teraz miał zupełną pewność spotkania się z przyjacielem. Bóg go ostrzegał, jak gdyby mu chciał powiedzieć: przygotuj się zawczasu!

I pułkownik był gotowy. Tylko przywarł mu do twarzy tensam dziwny uśmiech. Szedł głęboko zamyślony, a w jego uśmiechu mieniały się ustawicznie skurcze: szyderstwa, rozkoszy, zgrozy i strachu. Pułkownik niezmiernie kochał przyjaciela.

.....

Nareszcie coś się zaczęło wyjaśniać. Uczyniło się w lesie o wiele widniej, a po chwili poprzez drzewa ukazał się szeroki świat. Smyczyński poszedł

z Jędrkiem patrzeć, a reszta została w lesie. Nikt nawet nie siadał. Czekano z biciem serca na wiadomości, bo nadchodził wieczór.

Wachmistrz stanął na brzegu ogromnej, starej, zapuszczonej i już nieco porastającej poręby. Przez szkła zobaczył daleko, daleko dwa wiatraki, obracające leniwo skrzydłami na tle nieba.

Prowadząc lornetę po horyzoncie, znalazł jeszcze rząd topoli i bałą murowaną dzwonnice...

— Chłopak — co widzisz?

Ale Jędek i bez szkieł dawno poznał okolice i zatrząsł się ze strachu przed wachmistrzem. Poznał swoją wieś.

— Co to za wieś?

— Oj, nie wiem, proszę łaski pana wachmistrza. To chyba jest jakaś wieś już po tamtej stronie!

— A w Namłotowie wiatrak jest?

— Wiatrak?

— Młyn jaki jest? Dokąd do mlewa wozicie?

— A jest we wsi wiatrak.

— Jeden?

— Dwa są wiatraki: jeden pański, drugi księży, ale, proszę pana wachmistrza, wiatraki są też wszędzie...

Smyczyński wyraźnie usłyszał turkot wozu. Wóz szedł po twardej, ubitej drodze. Zaczęło hurkotać — jakby jechało dużo wozów, jeden za drugim.

— Co to może być za gościniec?

Wiedział Jędek, co to za gościniec, wiedział, że w tym miejscu, od tej poręby idzie polna droga, która przecina gościniec i prowadzi znowu lasami

aż do dawnej komory w Wilczy. Na skrzyżowaniu dróg stoi karczma, gdzie szynkuje główny szwarcownik na okolicę Gierszon. Można by tu zaczekać do wieczora, a Gierszon za pieniądze, albo i całkiem za darmo ze strachu dałby człowieka, któryby wszystkich przeprowadził. Wszystko to Jędek doskonale wiedział, ale bał się przyznać, że zbłądził, że kłamał, więc milczał i tylko wzdychał. Chciało mu się ludzi z tej biedy wybawić, ale prze-mógł strach, bo się nasłuchiwał, że powstańcy za byle co wieszają.

— Pocoś łgał? Chciałeś nas zgubić? A skąd my mamy wiedzieć, że i teraz nie łżesz? — Tak mu powiedzą i powieszą.

Postał Smyczyński, postął i wrócił do lasu. Kiedy doszedł, wszyscy patrzyli pilnie w głąb lasu i nasłuchiwali bacznie. Z poza nich z głębin lasu dochodził słaby, niemilknący szmer. Na tle tego szmeru to coś stuknęło głucho, jak kołkiem po pniu bukowym, to znowu doleciał jakby głos ludzki, to wydało się, że ktoś rozmawia, to jakby koń parsknął... Odgłosy te zdawały się dochodzić odrazu ze wszystkich stron.

Pułkownik był blady, jak trup. Panu Chądzyńskiemu zupełnie mimowoli układał się w głowie pewien dziwny wiersz, coś w rodzaju hegzametu. Miał wrażenie, że słowa te wypływały same z głębin lasu. Lenkiewicz pilnie opatrywał broń. Szymborski miał płomienie w oczach...

Wpadła prawie na nich i o jakie dziesięć kroków przystanęła wilczyca z trojgiem małych. Sta-

nęła cicho, jak widmo, błysnęła kłami i znikła bez szmeru. Co chwila bokami szmyrgały zające.

— Co? Oblawa? — szepnął pułkownik do wachmistrza.

Smyczyński ponuro kiwnął głową. Cicho, porozumiewając się tylko giestami, pułkownik wyprowadził ludzi na porębę. Jak okiem zajął, sterczały tu pnie. Bliżej lasu młode buczki puszczały się już bujnie, trzeba było brnąć przez ich gęstwą po kolana. Sypał się z pod nóg deszczem jasno-żółty liść. Dalej stały pojedyncze kilkonastoletnie drzewa, nasienniki, a jeszcze dalej czerniały na porębie, jak złomy kamienia, luźne porozrzucane sęgi i olbrzymie i już czarne stare kłody bukowe. Ku tym sęgom i kłodom zmierzali, biegnąc. Ale zaledwo dopadli i pochowali się, jak który mógł, wystawiwszy broń ku lasowi, od prawej strony o jakie tysiąc kroków z pomiędzy pieńków i z poza takich samych pólśażków wyrosło nagle wśród ciszy wielkie mnóstwo rozproszonych ludzi. Uderzyły bębny i ciżba żołnierska rozlała się w obie strony w długi łańcuch. Szybko ogarnął łańcuch szeroką połąć polany.

Trąby z pośpiechem wygrały sygnał i odrazu z kilkudziesięciu miejsc buchnęły dymy i grzechot wystrzałów uderzył w cichy las. Czerwone zachodzące słońce oblało świat purpurą i złotem. Mienił się w słońcu cały ogromny, jak krwawe morze, las bukowy. Czerwono-złote stało się wszystko: i pnie i kłody i przebiegający między nimi żołnierze. Obłoki szarego, gęstego dymu szły pochyło

ku górze i tam na wysokości uścielały się, różowiejąc...

.
.
.
.
.

Już od godziny kule stukały głucho w kłodę bukową, za którą leżał pułkownik wraz z trzema towarzyszami. Gwizdały im i śpiewały śmiertelnie koło uszu, szły górą, grając, a najczęściej wlepiały się w kłodę, która odpowiadała posłusznie za każdym razem, jak gdyby liczyła wystrzały. Przelatujących kul niktby nie zliczył. Walily do nich całe dwie rotę, gdyż na polanie bitwa oddawna była już skończona. Wybici byli wszyscy co do nogi, ranni byli już dawno podobijani i obrabowani ze wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość dla żołdatów.

Już dwa razy kapitan dowodzący wstrzymywał ogień i krzyczał: „poddaj się!” Bo, pominawszy wszelki nonsens takiej walki we czterech przeciwko dwom rotom piechoty, a wreszcie i sotni kozaków, którzy stali opodal pod lasem, przyglądając się beczynninie — kapitan zauważył, że w tym głupim spotkaniu padła już nieprawdopodobna ilość żołnierzy i ranieni byli trzej oficerowie. Dopiero kiedy mu żołnierz podał sztucer, leżący obok jednego z zabitych, kapitan zrozumiał.

Broń była najnowsze systemu, celna, daleko-nośćna, odtylcowa.

Odsunął tedy linję strzelców i prał zdaleka w tych kilku pozostałych. Żołnierze celowali długo, jak na mustrze. Najlepsi strzelcy starali się i popisywali się jeden przez drugiego, ale potężna kłoda broniła zatraconych Polaków. Wybiegło wreszcie kilkunastu na ochotnika, wrzeszcząc „ura“, ale kiedy po drodze wywróciło się aż czterech, reszta przypadła do ziemi i, usadowiwszy się za pniakami, zaczęli zbliżka ostrzeliwać kłodę. Tu dopiero trafiony został Rykwiła, który przez cały czas, jak maszyna, nabijał broń i podawał Lenkiewiczowi, a ten ani razu nie chybiał. Teraz dopiero kula oberwała pułkownikowi część ucha. Dostał i Szymborski w sam środek czoła.

Już rzadziej strzelał Lenkiewicz, ale też nie chybiał i był cały, bo kryły go dwa potężne konary, ucięte na pół łokcia ponad pniem. Tamtędy, jakby przez małe okienko, puszczał w żołnierzy swoje niechybne kule.

Znowu zaprzestano strzelać. Kapitan wyszedł przed linję strzelców, machał białą chustką i znowu coś krzyczał po rosyjsku, czego Lenkiewicz nie rozumiał.

Pułkownik, poznawszy oficera, kazał chłopcu nie strzelać i wylazł na kłodę, złożył ręce koło ust i krzyczał:

— Kapitan Ma—twie—jew! Iwan Arkadjewicz! Pa—słu—szaj!...

Kapitan wnet przyłożył do oczu lornetę i patrzył.

Naraz, o jakie sto dwadzieścia kroków przed niemi ozwał się gruby głos:

— Wasze błagorodje! Zdajties', Boga radi! Dowolno dokazali! Pożaliejcie liudiej i siebie! Zdawajties', wsia czetwiortaja rota za was prosit' budiet... Car was pomiłujet za chrabrost'! Zdajties', wasze błagorodje...

Pułkownik spojrział i poznał podoficera niegdyś swojej rotę, którego swojego czasu wybawił od sądu wojennego.

Żołnierz stał z ręką na daszku, salutując oficerowi.

— Deniszczuk! Zdorowo, brat!

— Zdajties', wasze błagorodje.

— Deniszczuk! Poruczik Kiriłow tut? Słyszysz? Poruczik Kiriłow?

— Nikak niet, oni z tretim bataljonom w die-rewnie!

— Deniszczuk, skażi poruczikowi Kiriłowowi wot czto. Skażi ty jemu...

Ale Lenkiewicz, który strzelał bez przerwy już od godziny, który już nie widział naokoło siebie świata i nie rozumiał już nic — jeno tę niepomowaną żądzę strzelania, nie mógł wytrzymać dłużej, jak kilka chwil. Podczas zawieszenia broni celował on do kapitana, żeby, jak tylko się zacznie strzelanina, powalić jego pierwszego. Na tego kapitana miał on oddawna chęć, ale stary oficer trzymał się zawsze zadaleko. Teraz zbliżył się nieco i stanął wyraźnie na tle czerwonej ściany lasu.

— Teraz pewny — szepnął chłopak i zupełnie mimowoli nacisnął cyngiel. Kapitan upadł.

W odpowiedzi na to gruchnęły strzały z tamtej strony i pułkownik zwałił się z kłody, nie zdążywszy nic przekazać dla przyjaciela. Lenkiewicz został sam jeden. Nabił znowu, wymierzył i zwałił tego, który przed chwilą rozmawiał z pułkownikiem, nabił jeszcze raz — ale już dopadli żołnierze i kilka bagnetów jednocześnie przygwoździło go do ziemi.

Na polanie trąbki sygnałowe grały „zbor“.

.....
Zapadała noc. Długo kramarzyli się żołnierze z latarniami, zbierając swoich rannych i zabitych. Długo w noc turkotały po gościńcu wozy chłopskie, odwożąc rannych żołnierzy do lazaretu — a zabitych na uczciwy pochówek.

Koło północy martwa cisza usłała się nad polaną. Noc była chłodna, zbierało się na przymrozek. Wyiskrzyły się na niebie gwiazdy i migotały bladym, zaświatowym odblaskiem. Cicho leżały trupy, gdzie który padł.

Pan Chądryński, powalony nawznak z kulą w płucach i przebity kilkakrotnie bagnetem, otworzył jeszcze raz oczy i ujrzał gdzieś jak gdyby w otchłannym dole, w niezmiernie głębokiej przepaści, świetny, mistyczny znak Wielkiej Niedźwiedzicy. Wiedział, że wisi nad nieogarnionym ciemnym zwierciadłem spokojnych wód — w których odbijają się gwiazdy, i czuł, że już nie jest sobą. Długo błądziła w bezgranicznej przestrzeni jego

nieśmiertelna dusza, wyparta z ciała przez śmierć. Pozostał gdzieś daleko obcy, okrwawiony trup. Pozostały tam przy nim i dawny ludzki ból i dawna ludzka myśl i dawne ludzkie czucie. Szybko znikała resztką pamięci o tym wszystkim. Już się zaczęło olbrzymie niepojęte „coś innego“ i oto się odbywa. Długo jeszcze ważyła się dusza jak na skrzydłach ponad gwiazdami. Opadała i wznosiła się. Zbliżała się i jak siedem słońc pałało siedem gwiazd Wielkiej Niedźwiedzicy. Oddalała się — i gasło wszystko. Aż o jakiejś godzinie nocy...

Pomiędzy pniakami i sagami drzewa zaczęły się przemykać czarne, jak sama noc, cienie. Zapadały się na chwilę i gasły fosforyzujące iskierki. Długo, ostrożnie, bez szmeru podchodziły, zbliżały, podkrażały się i cofały ponure widma.

Jeszcze je trwożył ostry zapach prochu i świeże ślady żywych ludzi, którzy tędy przechodzili. Jeszcze nie dowierzał mądry, zawsze ostrożny i zawsze walczący zwierz. Ale zwyciężył głód. Podkrażały się wilki coraz bliżej. Coraz wyraźniej świeciły po nocy bystre ślepie, wypatrując. Odważył się wreszcie najodważniejszy, odważył się najgłodniejszy i, węsząc, pytając, gotowy każdej chwili uskoczyć — dotknął ostrym, wilgotnym pyskiem bielejącej w ciemnościach twarzy trupa i zionął mu w zastygłe oczy gorącym swoim żywym oddechem.

.....
.....
O szarym świetle przyszli pierwsi ludzie, a obzarte wilki uskoczyły w las. Pozdejmowały chłopy

czapki nad tym nieszczęściem ludzkim i szeptały pacierz za zmarłe dusze katolickie. Było ich najpierw trzech. Mieli ze sobą łopaty, każdy miał też i worek pod pachą.

Ale nie było co brać, żeby tak zanadto. Odrazu to było wiadomo. Zrobiło się chłopom jeszcze smutniej. Obchodzili jednak pilnie to miejsce i coraz to się bardziej dziwili.

— Ścierwy, gałgany, obdarły, obrały kaździutkiego, aż strach patrzeć...

— Buty znowu na nich nicwarte, palce wyłażą. Chybaby te cholewy...

— Et! nie zbogacą nas te cholewy! Pieniądze, te pierścionki, ten zegarek, to co innego. Poco ma się w ziemi marnować?

— Przyodziewek złachany, upaprane wszystko w tej krwi. Oj, Boże miłosierny...

— Niechże spoczywają w spokoju.

— A światłość wiekuista niech im świeci.

— W imię Ojca i Syna i Ducha świętego.

Amen.

— Ot, ma ślachta za swój bunt, za swoją pańską śmiałość.

— Co to znaczy! Wiele ich tu jest? Ze dwadzieścia, nie więcej, a nad Czarną było wczoraj sto i coś. Sto trupa. Tyż żaden nie uszedł cały, bo który tylko skoczył w las, to go tam kozaki zadźgały.

— Pokaleczonych zabrali nie więcej, jak na pięć furmanek.

— Dobijały żołdacy sztykami, który się ruszał. — Co pobrały — to sama ślachta, starszyna.

— Bedom ich kurować w lazarecie, potym pójdzie sąd, a potym ich powieszają dla większego postrachu.

Westchnęły chłopcy ciężko, zobaczywszy pohańbione, poogryzane trupy ludzkie. Użaliły się, zobaczywszy rozciągniętego i gęsto pokłutego bagnietami bosego chłopaka — wyrostka. Był to Jędrzek i niechybnie poznałby go który z chłopów, gdyby nie to, że go bez noc wilki na szczęt popsuły.

— Trza ich więc tedy pogrześć po ludzku, nie szczęśników. Co mają leżeć? Tyż są ludzie...

— Poczekajmy, przyjdą insi, co się będziemy sami mordować?

— Kiedy strach tak nad niemi stojać po próżnicy. Bierzwa się!

Wyznaczyli miejsce pośrodku pobojuwiska, żeby nie było daleko nosić, splunęli w dłonie i zabrali się do łopat.

— Tamtych nad rzeką ksiądz ma dziś jechać pokropić. Jenerał pozwolił — że to niby tak dużo naraz padło. Tylko krzyża ani żadnego znaku zakazano stawiać.

— Sołdatów wszystkich na cmentarz złożyli, na pierwszym miejscu. Będą popy i parada z muzyką, a potym, powiadali, wystawią im okrutny pomnik murowany.

— To tyż nie jak trzeba — przecie ony nie katoliki?

— Poco my ich mamy u siebie mieć? Tylko będzie po nocach straszło. Zabójce!

— Słodatowi każą, to idzie.

— Jemu nie każą przetrąconego dobijać, ani palców nieboszczykowi obrzynać dla tego pierścienia.

— Jak nie zabronione, to pozwolone.

— Zbóje są, złodzieje. Trzy dni we wsi stoją, a pokradli, co ino leżało na wierzchu. Do dziwek się zabierają. Chodził sołtys do samego jenerała, powiada — jaśnie panie, my cesarzowi wierni byli przez cały czas, choć nas ciągle podmawiały. Zaco mamy cierpieć?

Jenerał go pochwalił i rękę mu podał, ale jak kradli, tak kradną.

— Kiedy ich stąd djabli wezmą? Zrobiły swoje — niech se idą. Pogaństwo! Księżę żyto i wszystko Wawrzonkowe i Gruchalakowe i jeszcze Druciarzowe stratowały na klepisko. Szły polem, gdzie popadło, jak te świny. A nam kto wynagrodzi?

— Cichajcie — bo i całe wsie paliły i całe miasta paliły i nikt ani pisał.

— My byli wierne i za porządkiem.

— Na wojnie nikt nie pyta.

— Jak ony nie pytają, to i my możemy nie pytać! Mało to chłopów?

— A zaczniście ino — chce wam się tak leżeć, jak te pobite?

— Jakby się chłopcy ruszyli — to nikt nie poradzi.

— To pociście się nie ruszyli?

— A bom nie wiedział, czyja prawda. Ale po prawdzie, to żal zmarnowanego narodu. Ile tysięcy...

— Żal jest — ale same sobie winne.

— Pańskie zachcenie, pańska wojna. — A nam co?

— Ej, Boże miłosierny, co też się wyrabia po świecie...

— Ziemię wydzielać będą aż na wiosnę. A jak przez zimę przyjdzie Napoljon, to co?

Nadchodziły chłopcy z Namłotowa też z łopatami, z siekierami i też z temi workami pod pachą. Pokiwali głowami nad ludźmi, tak strasznie pobitemi i złupionymi. Ledwo który znalazł na nieboszczyku czyli delikatnie odpasał ten rzemień, zdjął mu, wzdychając, tę dziurawą kataną, podjął tę czapczynę, do grobu nikomu niepotrzebną, ale przeważnie nie łakomił się nikt na marną zdobycz, tylko z tego chrześcijańskiego obowiązku kopali chłopcy pracowicie, pogadując o tej niesłychanej wojnie, o Polakach, o doli chłopskiej, o woli cesarskiej, o tej ziemi, wydzielać się mającej, o tym panu ze dwora, co go dziś zabrały do kryminału, o tym wójcie, co ma dostać od cysarza mental i sto rubli za wierność i zasługi.

.....
.....
.....

O południu skończyły chłopcy robotę, uprzątli dobrzy ludzie, przykryła gościnna ziemia to nie-szczęście człowiecze. W ciasnym dole zmieścili się

wszyscy, poszarpani przez okrutną śmierć. Urwały się ich cierpienia i ich cele i ich czyny. Poszły w zaświaty te dusze nieznaną swoją drogą. Derda, zdalny do ciesielki, wyrzucił sporą figurę z młodego, gładkiego bucza i wypalił nawet na poprzecznym ramieniu tajemnicze znaki I. N. R. I., które stoją zawsze nad ukrzyżowanym Panem Jezusem.

Dźwignęły chłopcy krzyż i postawiły we swoje miejsce. Nadzwigali jeszcze głazów, odziomków i szczap, nawalili na wierzch, żeby broniły od wilków. Starszy od bractwa, Jewczyk, znający modlitwy kościelne, odmówił nad grobem, co należało. Ponakładali czapki, powzdychali, zabrali się i poszli.

Przyszły zimne szarugi jesienne. Przez długie, czarne noce mocowały się wichry z krzyżem, aż się pochylił nad mogiłą, jakby ją chciał jeszcze sobą przykryć i ochronić. Wyl wicher w nagich gałęziach, chodził nad lasem głęboki szum, jakby od dalekiego morza. Lały się strugami zimne deszcze i wsiąkały w rozkopaną ziemię. Nikt tu nie bywał. Czasami podeszły te głodne wilki, węsząc i próbując się dokopać. Czasami wrona siadła na krzyżu, kracząc. Osiadła szybko usypana ziemia, aż ją podparły pierwsze mrozy.

Zawaliły polanę faliste zasy śniegowe, zasypały i pniaki i drobne krze i mogiłę. Jeny krzyż wysterczał nad białą płaszczyzną, stojąc na pust-

kowiu, i w ciche mroźne noce księżycowe rzucał za siebie czarny cień. Przebiegał czasami przez małoznaczny wzgórek śniegowy leśny zwierz, znacząc za sobą nikły łańcuszek śladu. Pustka, spokój i samotność pilnowały grobu i tej jego czci.

Przyszła pora cieplejsza, jako przychodzi co roku o swoim czasie. Poszarzały śniegi, pokruszały, wyszły na wierzch odziomki drzew, wydobywały się z pod długiego ucisku połamane krzaki i młode pędy bukowe. Bełkotały na spadkach wiosenne strumyczki, wypijała ziemia resztę wilgoci. Wyjrzały najpierwsze kwiateczki, puściła się chybko trawa.

Odżyła i przeszła w cudną młodzieńczą zieloność czarna ściana lasu. Gęstniały, rosły, chciwie żerując, młode buczi, walczyły z dzikim zielskiem i ze sobą nawzajem, przepychając się w ścisłości o to życie. Zaczęły się radosne gody wszelkiego stworzenia.

Śpiewało ptactwo ponad porębą, buczały owady. Pracowały przychodzące z oddala pszczoły.

Przychodziły chyłkiem od gajowego gromadki dzieci po bujnie pleniące się na porębie jagody. Zdaleka okrażały złowrogi krzyż, trzymając się ze strachu za ręce. Za nic w świecie nie podeszłoby żadne bliżej jak o stać do strasznego miejsca, gdzie w szczerzej pustce w niepoświęconej ziemi leżą pomordowane „Polaki“.

Trawa i wszelakie zielsko szybko ogarnęły już wyrównany kopczyk. Przyszła jesień i barwić się zaczęły buki, przykracał się dzień, leciał z drzew liść i ziarenka nasion siał się po świecie. Czepiało

się wszystkiego babie lato, wiedły łodygi ziół i traw, marniały kwiaty...

I tak co roku.

Szło wszystko o swojej porze. Zamierało życie na polanie co jesieni, odradzało się na wiosnę. Podrastały buczki. Szybko szły w górę te, których nasiona rzucił los na zapomnianą mogilkę. Stała ich pośrodku polany znaczna kępa, górująca ponad resztą. Walczyły o miejsce, o życie młodsze drzewa. Dusily się nawzajem, odbierały sobie chleb i powietrze i światło słoneczne. Długo jeszcze sterczał w górze ponad młododrzewiem krzyż pochylony — aż zrównały się z nim potężniejsze drzewa żywe, pod ziemią walczące korzenie wyparły go, jako martwą rzecz. Któregoś roku obalił się krzyż, spróchniał do szczytu w cieniu i wilgoci i wdeptało go w ziemię nieustające życie. Szły w głąb korzenie, szukając swojego żeru. Pożerały, co natrafiły pod ziemią, aż któregoś roku doszły do pogrzebanej od lat tajemnicy.

Zarastał mogilkę młody, gęsty las, opuściło mogilkę wszystko, co tam gdzieś żyło na dalekim świecie, daleko, daleko za lasem. Przechodziły jeno ponad nią we mgłach jesiennych, nisko wiszących nad ziemią, bolesne, ciche, zdaleka płynące westchnienia sióstr, matek, kochanek, szukających bolesną tęsknotą tych niewiadomych grobów. Jeszcze przez długie lata — po polach i lasach błędziły żalosne tęsknice, nie mogąc nikedy trafić ani odszukać wśród nawału bratnich i cudzych mogił ukochanego swojego miejsca. Lata płynęły. Zapo-

mniały siostry, pocieszyły się kochanki, wymarły matki.

Któregoś roku przeszli przez gąszcz gajowy z panem nadleśniczym, nacechowali najdorodniejsze buki. Przyszli potem ludzie z siekierami podcinać w gąszczu marniejsze drzewiny, przyszli pomagać tym, które były mocniejsze.

Któregoś roku usłyszały rozrosłe drzewa dziwne odgłosy, które nie były ani głosami ptaków, ani owadów, ani żadnego zwierza leśnego. Nie był to ani plusk ulewy, ani wycie wiatru, ani grzmot burzowy, ani też głos człowieka, który przemykał tędy zrzadka.

Zdaleka płynęły przenikliwe, złowrogie, donośne głosy. Płoszyły się ptaki, bacznie, nieufnie nadsluchiwały, obracając się w tę stronę, wytrawne lisy. Szło przeciągłe, mocne gwizdanie, szedł za nim długo żelazny rumot i głuchy zgiełk. Po kilka razy na dzień przechodziły przez las tajemnicze łoskoty — a las powtarzał je za każdym razem posłusznie.

Wymarło pokolenie, dla którego było jeszcze „porębą“ to miejsce, gdzie szumiał o tej porze tęgi, dorosły bór. Już w ziemię patrzali ci, co się porodili pod znakiem klęski w onym nieszczęśliwym roku. Dźwigał na sobie każdy tę ciężką pamięć, jako niemiłosierne dziedzictwo. Całą swoją niedolą i niedolą dzieci swoich pamiętał tę krew ojcową. Ale nikt już tych czasów nie wspominał. Dawno zeszedł z pola ukarani winowajcy. Cichuteńko żyli, cichuteńko, nieznacznie wymierali ci, którym dało

się ujść cało. Nieśmiało wracali do kraju wygnańcy i z radością umierali na rodzanej ziemi.

Już im przebaczyli tę starą winę potomni. Ich zamiary, czyny, męczarnie zagrzebał szary, powszedni dzień, pełen nowych trosk, nowych prac, nowych wielkich celów.

Nowa kolej pozyskała dla bogactwa narodowego daleką dziedzinę, szczerą pustkę, gdzie nadzwyczajne bogactwa leśne dopiero z otworzeniem nowoczesnej komunikacji stały się czymś realnym. A dalej — wszelkie oznaki węgla, a dalej — zupełnie sprawdzone pokłady rudy żelaznej, a dalej — glina cementowa, glina ogniotrwała.

Upadł pod siekierą las bukowy i pojechał w świat koleją. Kiedy się usunęła jego ściana — pokazały się kominy fabryczne, wiecznie dymiące, pokazało się wielkie przemysłowe miasto, które tymczasem wyrosło, a w którym nic już nie zostało z dawnej wioski, prócz ozdobnego i starannie utrzymywanego pomnika dla poległych za ojczyznę żołnierzy i oprócz dawnej nazwy. Do Namłotowa ściągali ludzie zewsząd po tę ciężką pracę i po ten ościsty chleb. Budowali szosy i koleje, murowali domy, wypełniali tłumami fabryki, kopalnie. Pobiegły w różne strony od miasta boczne odnogi żelazne. A kędy przeszła taka droga, wyrastał aż pod niebo komin, a gdzie raz stanął komin — śmierć i zniszczenie padało na wszystko, co chciało żyć wedle woli boskiej.

Puściły się były wnet buczki na nowej porębie. Rozrastały się bujnie, uparcie, niebacznie. Aż

któregoś dnia letniego zaczęła się zapadać pod niemi ziemia, rwały się delikatne korzonki i młodociane drzewinki spadły w głęboką czeluść. Posuwała się linja robót, obsypywała się codzień ziemia i codzień ginęły drzewinki.

Któregoś popołudnia pracowali ludzie na spiekocie, złani potem, złamani trudem i jak zbawienia wyczekując wieczora. Leniwie obracały się łopaty, ładując glinę na wagonetki. Leniwie pokrzykiwał na nich dozorca, stojący pod parasolem. Nagle posypały się z góry wraz z darnią i ziemią jakieś kości. Potoczyła się żółta czaszka człowieka, szczerząc zęby. Potoczyła się za nią druga — trzecia — piszczele, żebra — kręgosłupy.

Ustała robota. Sam dozorca podszedł patrzeć. Obstąpili ludzie wokoło te stare resztki.

- Dziura w czole wybita. To od kuli.
- Pod okiem kość przebita...
- To po jakiejś bitwie...
- Ale po jakiej...
- Mało się ludzie to mordowały od początku świata...

Patrzeli w górę robotnicy, gdzie na sam brzeg wyszedł jeden, żeby odgrzebać i zepchnąć na dół, co tam jeszcze zostało w starym grobie.

Spadały kości raz po raz, zsuwały się czaszki po pochyłości i zataczały się daleko. Zgromadzono to do kupy, naliczono dwadzieścia głów.

Gapił się na to i stary dziadyga — który prowadził konia przy wagonikach.

Stanął, patrzył razem z innemi, a kiedy się już napatrzył, zawołał:

— Wiem, wiem. To z powstania. Tu na porębie były tyż zakopane. Prawdę powiadam! Tego dnia — było na jesieni, rodzony syn mnie przepadł, jak kamień we wodę. Jak tu jeszcze wkoło nic nie było, nic a nic, jeno te lasy, lasy...

I wypełzłe oczy starego nędzarza rozglądały się w pociesznym zdumieniu po tej rodzinnej okolicy, po tych dymiących kominach i po tych obcych ludziach.

Dozorca gnał do roboty, ale ludzie odsłonili głowy i stali w milczeniu.

ICH SYN.

Oddawna już milczeli oboje, wsłuchani w dalekie głosy derkaczy, nawołujących się po łąkach, i w jeszcze cichsze, ledwo dosłyszalne dla duszy szeptanie gwiazd. I on i ona słyszeli w tych odgłosach nieprzebraną mnogość żywych, własnych myśli. Łudzili się, że w tych nikłych, dolatujących do nich poszeptach nocy wypowiada się to, co zostało jeszcze między nimi niedopowiedziane i niewyraźne.

Ona pragnęła, żeby ktoś za nią potrafił powiedzieć mu, jak ona go kocha, jak drży o niego i jaka to męka zaczęła się dla niej od chwili, kiedy jej oznajmił, że — idzie. Chciała, żeby wiedział, że ona zupełnie nie potrafiła mu wszystkiego o sobie opowiedzieć. Chciała, żeby on wiedział wszystko, wszystko, co ona czuje. Tego, co odbywało się w niej przez te trzy dni ostatnie, niepodobna było wyrazić, choć byli ze sobą ciągle razem i wciąż mówili tylko o sobie i o swojej miłości. I zdawało jej się, że Michał patrzy na nią chwilami z wyrzutem i z cichym, pełnym gorczy żalem. — Bo nie wie, co się we mnie odbywa. Bo nie potrafię zupełnie mówić — bo nie warta jestem jego...

Dla czego on się nie domyślił wszystkiego? Ja

nie umiem powiedzieć, ale on przecie powinien to wszystko odczuć...

I ufała, że ta cicha noc zbliży ich, że w tej ostatniej chwili pożegnania zajdzie coś takiego, co zespoli ich ze sobą i wypowie mu wprost do duszy wszystko, wszystko...

A on miał złudzenie, że ona wyczuje teraz właśnie to, czego nie rozumiała aż dotychczas. Że w tej ostatniej chwili jakiś tajemniczy cień, czuwający nad nimi wśród nocy i nie opuszczający ich ani na krok, szepnie jej prawdziwe słowo: On nie wróci! Napatrz się na niego, żebyś mogła pamiętać! A pożegnajże go uczciwie, żebyś nie żałowała potem, po niewczasie, przez całe życie!

Siedzieli w milczeniu. Upływały drogie chwile ich ostatniego wieczora. Michał wiedział, że niebawem w czarnej alei rozlegną się ciężkie, szurgające kroki dwojga starych. Zacznie się poczciwa, nudna, wzdychająca rozmowa o tej krwi, nadaremnie przelanej, o zdradzie dyplomacji europejskiej, o ciężkim podatku narodowym, o niewdzięczności chłopca... Jeszcze raz będą wychwalać jego cnoty obywatelskie i „nadludzkie“ męstwo, jeszcze raz będą próbowali odwieść go od „szaleństwa“.

Stary Nieławicki będzie perorował, stara będzie chlipała, a panna Maryla będzie siedziała milcząca i nikt nigdy nie odgadnie, co ona myśli.

— Panno Marjo... Rozstaniemy się dzisiaj i kto wie... kto to wie, kiedy się spotkamy?

I ani słowa więcej! Z całej siły powstrzymywać

musiał swój ból. Wydierały mu się słowa szczerze. Okropna prawda, którą dźwigał w sobie oddawna, a która o tej godzinie stała się jeszcze oczywistsza, bardziej niż kiedykolwiek domagała się wypowiedzenia. Za chwilę będzie za późno — mów!

Wiedział, że powiedzieć tego nie można i niewolno. Któż mu uwierzy, jeżeli zapowie, że zginie? Jakim prawem ma ją dręczyć w tej ostatniej chwili i zatruwać jej i tak ciężkie tygodnie czekania? Czy chce jej przysporzyć łez i cierpienia?

Nie. Ale wobec powagi śmierci powinny już zniknąć wszelkie względy. Dość było o nich pamiętać przez całe życie. Formy, względy, rozważa, „należy i nie należy“, poprawność, przyzwoitość, logika — kobieta a mężczyzna...

Jakąż niewolą jest życie, jeżeli nawet w godzinę śmierci...

Ta kobieta, która nie wie, że nigdy nie będzie jego żoną, martwi się teraz, a na pocieszenie myśli o szczęśliwych czasach, kiedy już po wszystkich burzach, wspominając z dreszczem przebyte cierpienia, będą razem we dwoje przez długie lata...

I niepodobna jej powiedzieć, że nie zobaczą się już nigdy, że pomartwi się, popłacze, poczeka rok, drugi i — wreszcie, po przyzwoitej żałobie, ktoś szczęśliwszy, ktoś żyjący, ktoś inny zostanie jej mężem. Jakże jej to powiedzieć, że tamtego będzie również kochała, że dla niego będzie miała pocałunki, promienne spojrzenia...

Że ten obecny będzie istniał jeno jako ciężkie wspomnienie, jako dawne, obumarłe i z każdym

dniem coraz mniej bolące cierpienie — a wreszcie nie zostanie z niego nic. Inaczej być nie może i nie powinno.

To sprawa życia — ale jakże trudno to zrozumieć temu, który umiera!

Należało postąpić rozumnie. Trzeba było zaraz pierwszego dnia po przyjeździe powiedzieć: idę do partji, wiem, że nie wrócę, i oto twoje słowo, oto twój pierścionek z turkusem. Nie można się wiązać z trupem. Kocham cię zawsze i odchodzę!

To byłoby ciężkie na razie, ale byłoby to rozumne. Byłaby męka i gorycz, ale nie takie, jak teraz. Nie miałby w sobie tego ustawicznego, niedającego się ogarnąć udręczenia, nie miałby tych dzikich pretensji do biednej, niewinnej dziewczyny. Poszedłby od niej złamany, ale z dawną miłością w sercu, poszedłby ponury i samotny, ale zacząłby nareszcie być tym, czym być powinien wobec bliskiej a nieuniknionej swojej śmierci.

To byłoby rozsądne i męskie. Ale rozsądnym byłoby również nie iść wcale do partji. Rozsądnym byłoby przedewszystkim — drwić z przywidzeń i niedających się uzasadnić przeświadczeń, że zginie. Kto mu to powiedział?

Nie po raz pierwszy usiłował zadrwić z tych rzeczy tajemnych i niedocieczonych — ale i za tym razem, natychmiast, jak tylko poważił się o tym pomyśleć, zmroziło go ostre spojrzenie nieznajomego, straszliwego oblicza. Był to bowiem ktoś, który wiedział już wszystko. Ten się nie myli.

Z nim niema dyskusji. Jego groźnym spojrzeniom można tylko wierzyć...

— Tak, zginę. Wiem o tym i idę. Wiem, że na nic się nie przydam straconej sprawie, a jednak pójdę. Wiem, że mam prawo tego nie czynić, wiem, że mam prawo żyć i zostać z Marylą. Ale wiem i to, że nic i nikt mnie nie powstrzyma od spełnienia woli tajemniczego ducha, który mnie pcha ku śmierci. Ta wola jest już moją własną wolą i moją nieprzepartą żądzą.

— To czego chcesz od dziewczyny? Poco dręczysz i ją i siebie? Pożegnaj ją i idź, dokąd cię ciągnie.

— Czego od niej chcę? Żeby mnie zrozumiała. Chcę, żeby wszystko odgadła.

— Poco ci to już teraz?

— Bo ją kocham. Nigdy jej tak nie kochałem, jak właśnie teraz.

— I gdzież tu sens? Zostań!

— Nie.

W ostatnich czasach Michał godzinami toczył ze sobą podobne rozprawy. Nie walczył już ze sobą, bo wiedział z góry, jak postąpi — usiłował tylko ogarnąć w sobie te pochłaniające żądze i tajemne nakazy, które go pchały ku śmierci. Ale wiedział, że było to wszystko nadaremne. I wiedział, że to jest już teraz zupełnie niepotrzebne. To też męczące jego myślenie było jakby mimowolne, nie przerywało się jednak ani na jedną chwilę.

Nie miał komu powierzyć tych swoich tajem-

nic i nie umiałby ich zresztą wypowiedzieć. Nie próbował nawet mówić o tym z narzeczoną.

— Panno Marjo... Gdybym nie wrócił... Nie chcę pani dręczyć, ani pytać o nic. Chcę, żeby pani wiedziała — że ja chcę tylko pani szczęścia. Czy będę — czy nie będę — niech pani będzie szczęśliwą. Jedni umierają — odchodzą — znikają. Niechże ich wspominają ci, co pozostaną. Niech oni mają w ludzkiej duszy swój zakątek, jakąś swoją rocznicę, od czasu do czasu jedno westchnienie. Tego dość, to umarłemu zupełnie wystarcza. Niech idzie swoją koleją życia. Niechże ten umarły, gnijący gdzieś pod ziemią, nie przeszkadza ludzkiemu szczęściu. Niech mi pani przyobieca...

Maryla zerwała się z ławki.

— Niewolno panu! Ja nie pozwalam ani słowa więcej! To niegodziwe, okrutne...

Nie umiała i nie mogła nic więcej powiedzieć. W ciemnościach rozległo się szlochanie.

Michał ukląkł i przytulił usta do jej rąk. Dziękował jej za to, że nie chciała być rozsądną, że odepchnęła ze wstrętem to zaofiarowane szczęście, którego dla niej tak gorąco pragnął, które jej dawał najszczerzej z głębi duszy. Pomimo zupełnego wyrzeczenia, w tej swojej nieprzebranej w poświęceniu miłości, zabijała go straszna, nieprawdopodobna myśl, że po nim kiedyś — ktoś inny... Nie dziwiły go żadne sprzeczności. Już niczego nie pragnął więcej. Rozpłynął się cały w jednym momencie uwielbienia i wdzięczności i żalu za tym jej szczęściem.

W owej chwili uciszyły się targające, trudne myśli i sprzeczne uczucia. Zaczynał się w duszy niespodziewany spokój. Z mroków cierpienia wyłaniała się nareszcie jakaś prawda. Już przeczuwał bliskość momentu, kiedy pogodzi się jego ofiara z pragnieniem własnego szczęścia. Widmo nieuniknionej jego śmierci przestanie go dręczyć i spojrzy z pogodnym uśmiechem na pozostające przepiękne życie. Jeszcze chwila — a powstanie od stóp ukochanej jako ten, który już wszystko w sobie zrozumiał, przecierpiał i pogodził. Zdobędzie to, czego mu brakło — męstwo...

Ale w czarnej alei już się rozległy pośpieszne kroki.

— Marylko! Panie Michale!

— To mama...

Michał po raz ostatni mocno, mocno wtulił twarz w jej dłoń. Wiedział, że to już jego ostatnie pożegnanie, bo nazajutrz o świcie wyruszał.

Powstał i poszli na spotkanie matki.

— Panie Michale, nie pojedzie pan jutro...

— Pojadę, pani — muszę!

— Nie pojedzie pan — bo już niema poco. Straszna katastrofa!... Niema nad nami miłosierdzia boskiego... Same klęski — a ta chyba najokropniejsza... — Pani Nieławicka mówiła szybko, przerywanym głosem, przez łzy.

Maryla ujęła pod ramię narzeczonego i wśród ciemności przytuliła się do niego z całej siły.

— Są wiadomości od Rataja?

— Rozbite wszystko, wymordowane, rozpędzone,

Mazów spalony! Okropne rzeczy się działy! Prawie nikt nie uszedł! Zabici obaj Zalescy, Karłowicz, Janek Zwierzchowski — jedyny syn! Nieszczęsna ta matka. Jutro pojedę ją przygotować, a jeżeli będzie można, to i zawiadomić. Tylko jak ja tam pojedę? Jakże ja to powiem?

— Trzeba, proszę matki, czekać na pewniejsze wiadomości. Po każdej potyczce opowiadają takie rzeczy. List jest? Od kogo?

— Jest list. Jest. Zobaczysz go sam. Jest człowiek, który tam był i na własne oczy wszystko widział. Cudem ocalał. Znekany, zmordowany, jak widmo...

— Ranny?

— Nie, Bogu dziękować.

— A jaki on jest? Kto?

— Jakiś Guciewicz, urzędnik z Garwolina. Dzielny, porządny człowiek. Sama prawda mu z oczu bije!

— Nie mówię, żeby łgał, ale w popłochu niejedno się wydaje. Może też uciekł przed końcem, — a może na samym początku, trzeba się rozpytać szczegółowo...

— To się rozpytuj, panie Michale, owszem, owszem. Tylko nie krzywdź uczciwego człowieka! Skąd wiesz, co za jeden? Ja starsza od ciebie i na ludziach się znam. Pan Guciewicz mówi prawdę!

— Kiedyż to było?

— Przedwczoraj napadli niespodziewanie — pewnie znów jaka zdrada. Bili się przez kilka godzin. Niesłychane męstwo! Ale cóż — było dzie-

więciu na jednego, jak zawsze — i armaty. Śladu nie zostało z wielkiej partii! Okropny rozlew krwi. Boże, Boże!

W lamencie pani Nieławickiej, w jej niezmierzonym, gorączkowym podnieceniu przebijają wyraźnie nieświadoma radość. Ktoś słuchający zdaleka, sądząc z intonacji jej głosu, przypuszczałby, że opowiada jakąś radosną nowinę. Maryla tuliła się coraz mocniej do ramienia narzeczonego. Po policzkach spływały jej łzy bólu nad tą nową klęską. Była w tych łzach i tajemna, niedozwolona, mocna i szalejąca radość, bo ta klęska oddawała jej z powrotem ukochanego.

Wiadomość ta wzburzyła do dna zbolełą duszę Michała. Ze zgrozą i z nienawiścią ścigał w sobie obmierzłe echo, które powstało w nim — po pierwszym wrażeniu tego, co usłyszał przed chwilą. Tam, gdzieś w głębinie, w mrocznym, najtajniejszym zakątku, gdzie za siedmiu zamkami, w ciężkich okowach zawarł na wieczną niewolę swoje własne ludzkie szczęście — ozwał się teraz urwany okrzyk radości. Zbuntował się w swoim lochu niewolnik. Dźwięczą szarpane kajdany. Nie ostaną się ani kraty, ani mury, ani okute drzwi, prowadzące z ciemnicy na słoneczny świat boży. Wydrze się oszalałe szczęście — i już mu nie da rady. Już po raz drugi nie przewycięży siebie. Ulegnie, upodli się — a potem zapomni — a potem i tak umrze — kiedyś, kiedyś...

Pan Guciewicz pożerał z przykrą łapczywością kolację, którą przed nim zastawiono. Jadł i opowiadał przerywanym, chrapliwym głosem, z gorączką w oczach. Nawet się nie przywitał, nawet nie spojrzał, kiedy weszli Michał z Marylą. Usiedli oboje przy stole i słuchali. Pan Nieławicki siedział z twarzą, ukrytą w dłoniach. Po łysej głowie chodziły mu muchy, ale stary nie czuł nic, zapamiętawszy się w zgrzocie. Dwie świece chwiały się na stole od przeciągu, bijącego od otwartego okna, i obtapiały się, świecąc mizernie żółtymi kopcącymi płominkami.

Był to młody dwudziestokilkoletni brunet, wymizerowany, jak cień, z dzikim zarostem, ze skudloną głową. Znać było na nim wszystkie trudy i nędze pochodzącego z szaleństwa kłęski. Czarna, brudna ręka chciwie raz po raz sięgała do kieliszka.

— „...Cały rynek się już palił. Dym, swąd, gorąco... Wypadamy kupami z domów i do mostu! Wązka uliczka, stroma, z pieca na łeb spuszcza się do rzeki — niewiadomo skąd się tam wzięła kupa żołdatów. Coraz ich więcej wypada z chałup, gdzie rabowali. Biegniem razem z nimi, pomieszani ze sobą, na wyścigi do mostu. Most się już pali, nasi rąbią deski — ścisk.

Naczelnik nie puszcza nikogo — jaki taki kładzie się i strzela — reszta pcha się do mostu.

Przewrócili naczelnika, podeptali. A my strzelamy. Przed nami o sto kroków leżą żołdaty i do nas... A tu wywala się z uliczki straszna masa żołdatów, więc my w nogi przez popsuty most,

przez ogień. Aby do lasu, aby do lasu! Tymczasem...”

— Rataj ocalał? — przerwał mu Michał.

— Akurat! Kartacz mu przez pół głowy oberwał. Pan wiesz, jak to w lesie, kiedy kartaczami walą? To gorsze, niż w otwartym miejscu. Co za strach! Gwizd, huk, trajkot! W głowie trzeszczy, zgrzyta... Tego nikt nie wytrzyma dłużej, niż na jakie pół godziny! Jak tylko padł naczelnik, poszło wszystko hurmem w las. Idziem z dobrą godzinę, dźwigając rannych, a tam precz jeszcze walą za nami z armat...

— A wielu was wyszło cało? — spytał Michał.

— W lesie było nas jeszcze ze czterystu.

— A potym co?

— Potym? Nic. Jedni poszli naprawo, a reszta nalewo.

— A pan?

— A ja zbłądziłem. Znalazłem potym na wygonie spętanego konia, zabrałem go i jechałem dalej na oklep. Szkapa mi ustała, a potym w nocy padła gdzieś w szczerym polu. Szedłem przed siebie po omacku, cały dzień przespałem w lesie o głodzie, pod wieczór wylazłem, a teraz tu jestem.

— Gdzie też o tej porze może być partja?

— Jaka partja? Żadnej partji niema.

— Mówiłeś pan, że w lesie było jeszcze ze czterystu ludzi w kupie. Przecież nie wszyscy zbłądzili?

— Hola, panie obywatelu ziemski! Dosyć tego

świdrowania oczami! Ja tu się przed tobą nie będę spowiadał! Dobrze ci w domu za piecem, pod pierzyną — a ja od dwóch miesięcy na łóżku nie spałem, w sześciu potyczkach byłem, zawszem nie dojadł, ani razum nie dospał... Czego ode mnie chcesz? To ja uciekinier? Tchorz? Dobrze jaśnie państwu w bezpiecznym dworze — a ja co? Niebezpieczny przybłęda, niechluj, mnie wszy jedzą...

— Ale dajże pan spokój, przyjmujemy cię, jako drogiego gościa, przygarniemy, dopomożemy, przechowamy cię, dopóki będziesz chciał...

Pani Nieławicka zbliżyła się do niego, objęła go za głowę i, pomimo odrazy wobec jego niechlujstwa, pocałowała go w czoło.

Pan Guciewicz rozplakał się rzewnie.

— Pani droga! Matko rodzona! Mnie tu nie wierzą, mnie obrażają — patrzaj na moją nędzę, matko dobrodziejo...

Szybko wstał, rozpiął kurtkę i, nie zważając na obecność pań, odgarnął łachmany czerwonej koszuli i odsłonił czarną jak smoła pierś, suchą jak deska.

— My tam wszyscy tacy — polscy rycerze, ginący bez nadziei i bez sławy. Kto nas będzie pamiętał? Kto nas pożałuje? Jedna śmierć nas przygarnie, jeden Bóg nam policzy...

I pan Guciewicz zaniósł się od płaczu. Pocieszano go, przepraszano. Było dla wszystkich oczywiste, że biedak jest wyczerpany do ostateczności i nawpół przytomny po przebytych wrażeniach — a do tego jeszcze kilka kieliszków starki na pusty

żołądek... Przez jakiś czas bełkotał jeszcze słowa bez związku, wreszcie oparł głowę na stole i w jednej chwili usnął. Michał z panem Nieławickim musieli go zadźwigać do dalekiego pokoiku i tam złożyli go na kanapie.

— No i co, panie Michale? — zaczął stary dziedzic, kiedy powrócili do stołowego pokoju.

— Nic. Biedny człowiek.

— Takie jest to całe nasze nieszczęsne powstanie. Zaledwie z trudem i z mozolem, z niesłychanymi kosztami i z poświęceniem zbierze się kupa ludzi, zanim się uzbroją i oswoją — spada klęska i idzie wszystko na cztery wiatry. Tylko krew i zniszczenie — giną tysiące najdzielniejszej młodzieży, płoną wsie i miasta... I tak w kółko, w kółko, jota w jotę wszędzie i zawsze tak samo. I ty chciałeś iść...

Pani Nieławicka serdecznie, po macierzyńsku ucałowała w głowę swego przyszłego zięcia.

— Odzyskaliśmy cię, drogi panie Michale. Jakażby z tego była korzyść dla kraju, gdyby i twoja krew polała się tam pod Mazowem? Ocalił cię tylko ślepy traf, parę dni opóźnienia.

— To nie traf, a wyraźnie Opatrzność boska, to jest wyraźny cud — za który do końca życia powinniście oboje z Marylą Panu Bogu dziękować! Moje dzieci, moje drogie dzieci!

Stary miał łzy w oczach. Był strapiony i rozczulony. Wielki ciężar spadł mu z serca. Nieśmiało, ukradkiem spoglądał na przyszłego zięcia, bojąc się, żeby ten nie dostrzegł jego radości. Naumysł-

nie wzdychał, wyrzekał i usiłował pocieszać Michała.

Rozmowa się nie kleiła. Michał stał pod oknem, patrzył w noc i uparcie milczał.

— ...Klęska, zatracenie... To już jest koniec. Ale to sobie każdy z nas może powiedzieć, że wszystko, co było trzeba, tośmy robili. Żeby tak każdy spełniał swoje obowiązki, to byłoby inaczej. Bóg świadkiem, że się nie chwale, ani też ciebie, panie Michale, nie chcę wychwalać. Ale prawda prawdą. Gdyby każdy szlachcic wypłacał swoje powinności jak ja — to starczyłoby pieniędzy na wszystko: byłaby broń, żołnierz w partii byłby syty i ubrany, chłop-by nie pomstował, że go objadają, możnaby było nawet wynagrodzić straty, wyrządzone przez wojnę, i dopomóc pogorzelcom. Gdyby teraz Rząd Narodowy miał w każdym powiecie takiego komisarza jak ty, panie Michale...

— Twój pomysł był szalony, drogi panie Michale. Dużo bólu sprawiłeś nam i Marylce. Dla Ojczyzny, dla matki — ach, czegożybyśmy dla niej... Ale to twoje wybieranie się do partji było — już teraz powiem wszystko — nierozsądną egzaltacją, godną jakiegoś poety a nie poważnego obywatela, który ma na głowie tyle ważnych spraw narodowych. Teraz, kiedy się wszystko odmieniło, sam przyznasz... Partjom nigdy nie zabraknie żołnierzy. Chwała Bogu, na to nikt się jeszcze nie skarżył. Garnie się młodzież, idzie masa dzielnych, prostych ludzi — bo to łatwe. Ale rząd narodowy musi się opierać na poważnych, wpływowych obywatelach —

i takim pełnomocnikom, jak ty, Michale, niewolno lekkomyślnie narażać życia. I tak nad tobą wisi ciągle niebezpieczeństwo. Urzędników narodowych prześladują okrutniej, niż ludzi z partji — bo im przecież wiadomo, że na was opiera się wszystko.

— Trudno, cóż, trudno!... To już koniec. Ale cokolwiek czeka nasz nieszczęśliwy kraj — my wypełnimy do końca nasz obowiązek i będziemy sobie mogli powiedzieć, panie Michale, i naszym dzieciom w spuściźnie zostawić, że...

Michał szybko zęgnął się ze staremi, ucałował jeszcze raz długo ręce Maryli i wyszedł.

Starzy padli sobie w objęcia.

— Chwała Bogu...

— Nareszcie od trzech dni po raz pierwszy usnę spokojnie.

— Aż strach pomyśleć, co by to było, co by to było, gdyby nie ślepy traf...

— Widać Bóg nad nami czuwa...

— Skarżyliśmy się nieraz, że nie mamy syna, a jednak lżej bez syna w takich czasach. Gdybyśmy go mieli — to byłby młodszy od Marylki. Ktoby takiego utrzymał w domu? Nie godziłoby się nawet zabronić — a pozwolić?... Ilu to takich synów, młodych, serdecznych chłopców poległo bodaj pod Mazowem...

— Swoją drogą z Michałem trzeba pomówić poważnie — co dalej? Kiedy koniec, to niechby pojechał za granicę na kilka miesięcy, dopóki go nie zawadzili. Potym da się to jakoś załatwić, a teraz trzeba zejść z oczu...

— W jakim listopadzie mogłybyście go odwiedzić z Marylką. Dziewczyna się wytęskni, a i tobieby dobrze zrobiło południe po tym wiosennym zapaleniu płuc. Do Włoch — czy tam gdzie... Wrócilibyście razem — na wesele.

— Marylko — zwróciła się pani Nieławicka do córki — idź, dziecko, zobacz, czy Szpręgiewska wydała temu biedakowi czystą bieliznę i wszystko, jak kazałam. Trzeba się nim zaopiekować jak najserdeczniej...

Ale Maryli nie było w pokoju. Wysunęła się pocichu zaraz za narzeczonym. Teraz szukała go po ogrodzie. Kilka razy nieśmiało zawołała nań po imieniu, wreszcie zwróciła się prosto ku szpalerowi grabowemu, gdzie była ich ławeczka. Coś jej mówiło, że zastanie go właśnie tam. Sprawiało jej to radość i zdejmowało niepokojem. Szła szybko, naprzelaj przez trawniki, wreszcie pobiegła, biełąc się wśród nocy.

Tajemnicze cierpienie smagało ją boleśnie, najboleśniej — teraz właśnie, kiedy już wszystko ułożyło się pomyślnie. Nie dziwiło jej to. Już nią ośladło niewytłumaczone a nieomyłne przeczucie. Gdzieś się podziały ze szczętem ulga i własna, samolubna, niedobra radość.

— To przecież nie dla tego, że nasi przegrali — tłumaczyła się wówczas przed sobą, tłumiąc radosne bicie serca.

Teraz zapomniała już o klęsce pod Mazowem, o odmiennej sytuacji. Wiedziała, że Michałowi coś grozi, że teraz w tej chwili dzieje się z nim coś

straszego i że nie można tracić ani jednej chwili. Trzeba ratować! Trzeba zdążyć...

Dziwnie jasno czyniło się w jej myślach. Widać było rzeczy wszystkie w ich prawdziwej nagości. Nie umiałyby słowem ani wyraźną myślą wypowiedzieć tych nowych prawd, które sypnęły się na nią niespodziewanie. Ale była w nich zgroza rzeczy najważniejszych i ostatecznych w życiu człowieka. Tu ważyło się szczęście i niedola — życie i śmierć. Czyje życie? Czyja śmierć?

— Moja i jego. — I biegła na ratunek. Nie miała czasu myśleć nad tym, co uczyni.

Kiedy stanęła zdyszana w tym miejscu, gdzie powinna być ławeczka, zobaczyła go wyraźnie, jakby oczami, w tym nieprzeniknionym mroku. Zaczęła mówić do tej ciemności szybko, gorączkowo.

— Co się z panem dzieje? Dla czego się pan ze mną tak dziwnie pożegnał? Dla czego pan mi nic nie powiedział? Co to jest? Co się stało, panie Michale?

Ciemności odpowiedziały głosem zwyczajnym, który nie zdradzał żadnego nieszcześcia.

— Nic się nie stało, panno Marylo! Chciałem pomyśleć trochę przed spaniem. Jakże mnie tu pani wynalazła?

— Niech pan nie kłamie! Ja wiem...

— Cóż pani wie?

— Wszystko. I jak pan mi teraz wszystkiego nie powie, to znaczy, że mnie pan nie kocha zupełnie...

— Ja pani nie Kocham... Co znowu?

— Co za dziwny głos! Dla czego pan mówi tak zwyczajnie. Dla czego pan udaje?

— Nic nie udaję. Co pani jest, panno Marylo?

— Co panu jest? Ja nie potrafię powiedzieć — ale ja wiem! Pan rodziców oszukuje i mnie pan oszukuje. Oni uwierzyli — ale ja nic byłabym nie warta, gdybym uwierzyła... Niech pan mówi! Natychmiast! Ja mam prawo wiedzieć, ja — narzeczona!

— Panno Marylo! To nerwy — przecież nie się nie stało złego? Tamtych rozbili i już nie pójdę do żadnej partji.

— Nieprawda. Pan pójdzie! Pan jest opętany, pan jest szalony — ja nic nie wiem, nic nie rozumiem, ale pan pójdzie! Pan tego chce, a mnie pan okłamuje i zdradza!

W jej głosie nie było już łez. Mówiła twardo, groźnie.

— I czemuż pan teraz milczy? Wymyśla pan jakie nowe kłamstwo? Pan mnie kocha! Kto kocha, ten nie porzuca, jak tego psa, bez szczerego słowa. Ten nie odchodzi bez porozumienia, chyłkiem, wygodnie. Gdybym tu nie była przyleciała — to jutro odjechałbyś stąd o świcie, a dopiero później — piękny, okropny, nieludzki list — a potem, a potem już nic! Już tylko śmierć! Miałeś mnie zawsze za dziecko nierozumne, bom nie umiała nigdy mówić, bom była nieśmiała, bom była, jak głupia panienczka. Zupełnie mnie nie znałeś! Ja dużo wiem! Każde dziecko dorosło w ciągu tego roku! A ty byłeś, jak ślepy! I jakiś ty śmieszny — mó-

wieś do mnie, jak do głupiej panienczki, która ci się spodobała, mówiłeś, jak gdyby się nic nadzwyczajnego nie stało, a oczy cię same zdradzały przez całe te trzy dni. Przez całe trzy dni myślałam o tym, jak ty patrzysz. Przez trzy noce śniły mi się twoje spojrzenia. I czekałam — lada chwila powie wszystko. I nic. A jak przyjechał ten nieszczęsny rozbitek i wszystko się odrazu odmie niło — darowałam ci wszystko w jednej chwili. Już się chciałam strasznie, okropnie cieszyć. Już chciałam Bogu dziękować i Boga przepraszać za to wielkie moje szczęście, wśród ogólnej niedoli, już sobie ślubowałam, że całym życiem będę się starała odwdziżyć za to darowane ze krwi szczęście... Spojrzałam na ciebie i zmroziło mnie. Poznałam, że się zbliża do mnie coś strasznego, że zaczyna się jeszcze gorsze, niż było przedtem. Kto mi to powiedział? Nie wiem. Ale ty mów! Ty mi wszystko wyznaj! Niech będzie, co chce. Niech będzie wszystko najgorsze — ale ja muszę wiedzieć. Chcesz, żeby mnie potem, jak się coś stanie, przez całe życie dręczyła i truła myśl, żeś się ze mną rozstał w kłamstwie, a nie w szczerości i że ani razu, ani razu nie byłeś ty ze mną dusza w duszę...

Objęły ją ciemności mocnym uściskiem i porwały ku sobie.

Bolące, rozkoszne płomyki zaczęły palić jej czoło, oczy — a potem usta. W usta długo, okropnie, aż do utraty tchu.... Potok jej gorących łez ob-

łał ten pierwszy pocałunek. Ta pierwsza pieśczoć miłości wzburzyła do dna dziewiczą duszę. Niewysłowiona i nigdy nie przeżywana słodycz pocałunku zgasła w jednej chwili wszystkie przecucia i rzeczy okropne. Sam na sam z niepojętym zjawiskiem utonęła w nieprzebitych ciemnościach. Pomagało się wszystko i stało się, jak we śnie. Szybko upływały sekundy rozkosznego uśpienia, bez myśli, bez trwogi, bez woli.

— Odgadłaś. Już cię nie będę oszukiwał. Byłoby lepiej nie mówić. Powiem wszystko. Jutro o świcie wyruszam — jak było zapowiedziane. A wiesz dla czego? Muszę. Chcę i muszę. Choć ciebie kocham na śmierć i życie. Tak trzeba. Nie mogę inaczej. Zgódź się ze mną. Rozstańmy się w zgodzie.

— Ja nie rozumiem. Mów wszystko...

— Od dwóch lat pracowałem i byłem pożyteczny dla ruchu. Nie jestem żołnierzem i niewiele zaważy jedna moja strzelba w gromadzie. Czyniłem swoje z wiarą, potem bez wiary, bo tylko do czasu można się było ludzić. Byłem jak wielu. Ale te klęski — ta krew... Ale to niesłychane zniszczenie... Z dnia na dzień coraz gorzej, coraz okropniej... Cudze cierpienie, cudza krew — i wieczne cudza. Tysiące ludzi takich jak ja rzucają dom, rodzinę. Niebezpieczeństwa, śmierć, rany, męczarnie. Idą starcy i gina. Dzieci wykradają się rodzicom. A ja? A ja? Byłem pożyteczny, pracowałem w tym chaosie wydajnie, porządnie, jak maszyna — wreszcie ta krew zaczęła mi zalewać duszę. Ja nie mogę

już dłużej. Oddawna walczyłem ze sobą. Ja rozsądny, ja zawsze wierzyłem w to, co pożyteczne, rozumne. Ale ta krew... I ja chcę stanąć, i ja chcę piersi nadstawić. Mogę zginąć, mogę wyjść cało. Jak wyjdę cało, to do końca życia będę spokojny — bo spełniłem swoje, a gdybym nie poszedł — cień jakiejś hańby będzie nade mną stał przez całe życie. Będę do końca nieszczęśliwy — będziemy nieszczęśliwi oboje. Ja tego nie chcę. Módl się, żebym ocalał... A jeżeli zginę, jak tylu, tylu ludzi, z których każdy też pragnął dla siebie własnego szczęścia — to niechaj się stanie. A ty — ty zrozum tę moją myśl ostatnią i najdroższą — i nie odrzucaj od siebie życia i szczęścia... Nie mów nic! Mnie tylko wspominaj w modlitwach... Nic nie mów!...

Trzymał ją przytuloną i drżącą od łez i całował długo, chciwie, jak przy ostatnim pożegnaniu. Duszę całą wlewał w te nienasycone, w te pierwsze i już na całą wieczność ostatnie pocałunki. Nie mógł się od niej oderwać i nie mógł już nic mówić.

Ale nie powtórzyła się już płomienna i zapominająca o całym świecie rozkosz pierwszej pieśczoć. Usta Maryli były zmartwiałe i już na nic nie czułe. Pozwalała się całować, nie zdjęła ramię z szyi ukochanego człowieka, przytulona była do niego z dawną mocą — a była mu jakby już obcą. I znowu wydało się jej wszystko snem. Upadła bez władzy na jakieś puste dno, bez woli i bez żadnego pragnienia.

— Tak jest chyba, kiedy człowiek umiera. I ja umieram — pomyślała. — To dobrze. Umrzemy razem.

— Jedynym moim pragnieniem jest to — żebyś ty mnie rozumiała. Ja muszę iść! Ja muszę chcieć tego — inaczej nie byłbym wart naszego szczęścia. Nasze szczęście wśród tylu nieszczęść! Pomyśl tylko! Jak można żyć z wieczną pogardą dla siebie samego? Przecie z tym żyć nie można, a coś dopiero być szczęśliwym? Na szczęście trzeba zarobić. W tych strasznych czasach za szczęście trzeba odpokutować. Niewolno teraz szczęścia po prostu brać i z niego w spokoju korzystać. Krew i cierpienie upominają się o swoje. Domaga się tego jakaś wielka sprawiedliwość. Jej obrazić niewolno, bo dusza się wzdryga przed tym, jak przed świętokradztwem — a jeżeli rozważać to nawet na chłodno, na rozum brać — to i rozum ci odpowie, że taka zbrodnia się mści, że woli Boga nie oszuka sprytny rozum człowieka...

— A więc ty zginiesz. Pójdiesz ode mnie i już cię nigdy nie zobaczę. Zostawisz mnie samotną, w żałobie, czekającą na śmierć, bo po śmierci twój Bóg pozwoli nam już się połączyć...

— Nie wszyscy giną. Będę rozważny. Nie idę na samobójstwo — tylko na walkę.

— Tacy jak ty — giną zawsze. Ocaleje tylko ten, który ucieknie. A ty nie będziesz uciekał...

— Będę się bił, a jak będzie trzeba, to będę uciekał... Każda wojna składa się z nacierania i uciekania.

— Jakże ja cię pożegnam, mój drogi, mój ty ukochany, ukochany...

— Żegnaj mnie, jak żołnierza. Serdecznie, dzielnie, z wiarą.

— Nie kłamiesz przede mną? Czy ty nic nie czujesz? Ja czuję!

Ot teraz: tak okropnie wyraźnie. Myślę sobie: może jeszcze nie pojedziesz jutro. Może jeszcze się rozmyślisz. Ale jeżeli pojedziesz jutro o świcie... To będzie koniec. To będzie śmierć. Śmierć!

— Tego nikt nie wie!

— Ja wiem. Ach! Patrz! Ach!

Wśród szeptanej rozmowy wydarł się Maryli nagły, przenikliwy okrzyk. Jasna smuga blasku sunęła pochyło po niebie. Wyraźnie widać ją było przez gałęzie ciętej grabiny. Przekreśliła niebiosą i zgasła. Maryla dygotała całym ciałem i konwulsyjnie garnęła się do Michała. Uspokajał ją i tulił. Powoli wracała jej zdolność myślenia, mogła mówić. Zaczynało się znowu coś zwyczajnego. Spostrzegła — gdzie jest, przypomniały jej się zdarzenia jej życia i dzisiejszego dnia. Rozmawiali jeszcze z pół godziny.

— I gdzież ty pójdiesz, kiedy Rataj zniesiony?

— O cztery mile stąd w innej stronie, w lasach organizuje się oddział. To jest tajemnica. Tam pojedę.

— Będziesz pisał?

— Jak tylko będzie można.

— Jędrek pojedzie z tobą i tam zostanie?

— I on i jeszcze paru moich ludzi.

— Jędrak będzie o ciebie dbał — to dobrze. Mam tu mój krzyżyk na szyi. Noś go zawsze. Miałam go na sobie od małego dziecka. Myśl o mnie, nie narażaj się bez potrzeby. Myśl o mnie!

— Nie jestem zapaleńcem. Bądź spokojna.

— Będę z tobą zawsze, o każdej chwili. I zawsze, zawsze, zawsze — tylko z tobą. Rozumiesz? Zawsze, zawsze wierna — aż do godziny śmierci. Tak mi Boże dopo...

— Tego niewolno! Żadnych przysiag! Jeżeli mnie kochasz...

Ode dworu dobiegło ich wołanie matki. Szli śpiesznie, w milczeniu, trzymając się za ręce. Nie mogli mówić. Dopiero tuż przed samym dworem, zanim doszli do przestrzeni, na którą biło światło od okien, Michał ukląkł przed narzeczoną i przytulił głowę do jej kolan. Porywczo, śpiesznie, ze wszystkiej siły ucałował ją. Oderwali się nareszcie. Już w progu — kiedy matka, rzedając dobrotliwie i napędzając do spania, odwróciła się na chwilę, Maryla szybko przycisnęła do ust rękę narzeczonego. Michał drgnął z bólu.

Zamknął się w swoim pokoju, zapalił świecę i poczuł natychmiast, że życie jego już się urwało. Pożegnał na zawsze wszystko, co było jego własne. Cóż mu pozostało? Jedynie to — co należało uczynić: umrzeć. W tej świadomości była ulga. Zaczynał się jakiś niebywał, ale w spokój. Zdawało mu się, że nie obchodzi go już nic na świecie. Obcą i daleką stała się Maryla. Dawniemi stały

się zdarzenia z przed paru chwil. Postarzało wszystko. Życie własne wydało mu się niezmiernie długie, był zmęczony i nadewszystko teraz zapragnął spoczynku. Szybko rozebrał się i zgasił świecę.

Pomimo wszelkich wysiłków, nie mógł pograć się w bezmyślnym odrętwieniu przedśennym. Napróżno odpędzał, urywał zaczynające się myśli i obrazy.

Niepokoilo go mętne półświatło, idące od otwartego okna, drażnił go szelest liści i pachnący powiew z ogrodu. Tam — na tym wolnym świecie, żył o tej porze cały odmet zjawisk — które już na zawsze powinny pozostać dla niego obce. Gniewał go szmer liści — razila go w oczy jakaś gwiazda na niebie, którą widział ze swego kąta. Zapragnął głębokiej, czarnej ciemności. Zapragnął ciszy martwej, kojącej. I zatęsknił: jakże dobrze będzie — już w grobie.

Długo, mozolnie trzeba będzie jeszcze żyć, kto wie, może jeszcze przez kilka tygodni. Trzeba się będzie włóczyć po lasach, trzeba będzie czekać, znosić trudy, przedsiębrać różne prace — po to, aby spotkać się nareszcie ze śmiercią. Tysiące niepotrzebnych, nużących zabiegów...

I nie po raz pierwszy wydało mu się to wszystko niesłychanym jakimś nonsensem. Jak obłąkany w chwili ocknienia świadomości — patrzył z przerażeniem na siebie, na swoje czyny i myśli i na ten los, który sobie sam zgotował.

— Czemu ja się dręcę? Co za tuman ogarnął mnie, którego nazywają wszyscy chłodnym, roz-

ważnym, przytomnym? Kto mi powiedział, że zginę? Skąd ta obłąkana pewność? Jakiemi drogami przedostała się ona ze mnie do prostej duszy Maryli, kiedy ani jednym słowem nie dałem jej do zrozumienia, że idę na śmierć, kiedy udawałem przed nią męznego żołnierza, który idzie walczyć, ale nie szuka śmierci? I ona mówi: — tacy jak ty nie wracają. Jakiż jestem ja? Fatalista? Samobójca? Czy ja chcę śmierci? Może ja chcę?...

— Nie! Wszystko we mnie rwie się do życia. Stoi ono przede mną bujne, piękne, bogate i ukochane, jak nigdy. Pragnę kochania, rozkoszy — chcę patrzeć w oczy Maryli, chcę całować jej usta, chcę żyć z nią dusza w duszę przez długie lata. Ja nienawidzę śmierci! Ja się boję grobu...

— A więc...

Jakże łatwo powrócić do życia! Sam los mu sprzyja, który stał z powierzchni ziemi żołnierzy i wodza, z którymi miał walczyć. Zginął za niego kto inny. Teraz może bez żadnego wstydu i udawania wyrzec się szalonego zamiaru i wrócić do życia. Teraz w tej chwili należy tylko zasnąć jak najprędzej, a jutro rano obudzi się jako nowy człowiek i śmiać się będzie ze swoich przywidzeń, udręczeń. Podniesie się z ciężkiej gorączki, ozdrowieje i będzie wszystko, jak dawniej.

I znowu radość zaczęła mu podnosić pierś w szybkim oddechu. Radośnie zabiło serce. Wyzwolić się! Obronić się od śmiertelnych podszeptów! Żyć! Żyć! Polska ma już dość krwi i ofiar! Co będzie, jak wyginą wszyscy? Kto stanie do

pracy, kto będzie narodem w tym czarnym dniu jutrzejszym, który nastąpi po ostatecznej klęsce? W tym niedalekim dniu, kiedy trzeba będzie wdwojnásób myśleć, pracować i cierpieć? Kto żąda mojej śmierci? Niema na świecie takiego nieludzkiego prawa! Niema w najszlachetniejszej duszy ludzkiej takiego ciężkiego obowiązku. Jest tylko obłęd zatracenia, który w tym strasznym roku porывa ludzi słabych, przeczulonych. A ja chcę być mocny!

Nadaremno.

Ponad burzliwe, dobywające się z całym rozpędem życia myślenie, ponad wszelkie oczywistości, postanowienia i obronne szyderstwa, wydobywało się powoli i spokojnie dawniejsze widmo. Jeszcze przed chwilą godziła w nie zuchwała myśl. Udawała chytra myśl, że nie dostrzega, że nic się nie stało.

Teraz już się korzył niewolnik i pochylił czoło przed panem swoim. Zdumiewał się własnej śmiałości i nie wiedział, jak przebłagać pana. Ale nie było gniewu w pańskim obliczu. Po dawnemu spokojne, zimne i martwe było jego spojrzenie.

Te niewiadomo czyje i niewiadomo skąd patrzące oczy były mu już oddawna znajome. Michał był pewien, że widział je w snach dzieciństwa, że potem w różnych kolejach życia, bez żadnego powodu, wynurzały się one i wstrząsały go dreszczem odrazy i strachu. Ich martwy spokój był pełen okrucieństwa. Teraz wyraźniej jeszcze niż kiedykolwiek widział je nad sobą na tle ciemności.

Oczy patrzyły już na niego obojętnie, jak na rzecz martwą. Przesądzony był jego los. Po to żył na świecie, żeby tak się stało.

Teraz dopiero zrozumiał i policzył znaki proroctwa, których pełno było w jego życiu. Dalekie zdarzenia, dziwne trafy, urwane myśli, chwile i błyski i głębokie zadumy bez treści... Sny i przywidzenia, nagle smutki, niepokojące szeptania czyichś głosów...

Oddawna powinien był odgadnąć swoje losy, powinien być gotów. Zeszło krótkie, nieopatrzone życie. Ot i koniec.

Przyszła chwila tępej rezygnacji. Niech tam będzie! Była w tym chwilowa ulga. Nic nie poradzisz, człowieku — pocóż się dręczyć? Zginę. Tylu zginęło, będzie o jednego więcej. To proste i zrozumiałe. Wstyd szamotać się ze sobą i biadać nad sobą, kiedy potokiem leje się krew. Czyjaż ona jest? Czy każdy szedł ze ślepym zapałem i z wiarą? Czy nie było ciężkich walk wewnętrznych i nadludzkich zwycięstw w tych niewiadomych ludziach, co tysiącami szli z gołymi rękami o głodzie i chłódzie, w poniewierce i trudach niezmiernych — po to, żeby zginąć? Czyż o tej późnej porze, kiedy już niema ani żadnego planu, ani żywej wiary, kiedy przeżyły się już wszystkie nadzieje i wszystkie złudzenia, nie zbierają się jeszcze gromady ludzi, idące ginąć tak, jak poginęli tamci, pierwsi?

Burzliwie, hucząc i porywając za sobą wszystko, płynie potok polskiej krwi. Z pod samego serca, przez szeroko rozwartą ranę uchodzi najdroższa

krwawość narodu. Już polegli ci, co byli najlepsi, ci, co dla ojczyzny byli najdrożsi i nikt ich nie zastąpi w dalszej służbie. Przez sto lat słać się będzie naród w bezsilności po tym upuście krwi, a jednak tak każe przeznaczenie w swojej niepojętej dla człowieka mądrości. Ono — prowadzi do jakiejś przyszłej doli, do jakiegoś nieznanego celu ten nieszczęsny, wybrany lud, chłostany krwawo ręką boską już w trzecim pokoleniu. Cóż znaczy jednostka ludzka? Co znaczy jej cierpienie i jej zawsze samolubne i głodne pragnienie szczęścia? Wstyd i hańba ujść cało.

I poznał Michał, że gdyby ocalał, nigdy nie byłby szczęśliwy, że nigdy nie byłby spokojny. Nie zaznałby słodyczy życia z Marylą, nawet jej przeducudna miłość nie zagłuszyłaby tych strasznych głosów, idących z pod ziemi, z samotnych grobów, porozrzucanych po lasach i polach. Zrozumiał, że żyć nie może i że żyć nie będzie. Wiedział już teraz wszystko. Odgadł tajemnicę spokojnych, długich spojrzeń swojego widma. Nie było w jego czynie szaleństwa, ani gwałtu nad samym sobą. Szedł spełniać swoje przeznaczenie. Posłuszny był woli Boga, który kieruje biegiem światów, który z drobnego nasionka wywołuje trawy polne i rządzi losami narodu. Porwało go upojenie śmierci i już go wchłonął obracający się nieustannie krwawy wir zatracenia.

Nie spał, ale myśli jego były, jak sen. Lekko, łatwo nosiły go myśli po szerokim świecie, przez

gęstwę trudnych jego spraw. Wszystko było jasne, spokojne, jak w czytanej opowieści o cudzych losach.

Czytał o sobie, o Maryli. Widział ją w chwili, kiedy otrzymuje wiadomość: — Michał zginął. Ze spokojnym współczuciem patrzy na jej łzy, na rozpacz jej osamotnienia. Jest piękną w swoim smutku i w czarnej żałobnej sukience. Miło mu, że ona pamiętać go będzie, miło mu wierzyć, że wierną mu pozostanie aż do śmierci. Piękną jest melancholja jej zmarnowanego życia. Posmutnieją na zawsze jej cudne oczy, wypłaczę we łzach krasę swoją, przepłaczę młodość, a potem...

...Porwała się w nim w ostatnim wysiłku już konająca woła do życia. Ujrzał Marylę tak wyrażnie, tak prawdziwie, tak blisko... Patrzała na niego przez łzy — już z beznadziejnym błaganiem. Tego spojrzenia nie mógł znieść. Cała jego miłość stopiła się w bezbrzeżnym żalu, niemożliwym do zniesienia, łkającym krwawymi łzami. Straszliwa była krzywda niewinnej dziewczyny, która wczoraj była jeszcze dzieckiem. Niczym nie naprawi zbrodni, która się nad nią stała. Nie pomoże rozkaz, ani żadne rozsądne namowy. Bo ona jest z takich, co raz w życiu kochają.

A w roku krwi i ofiary jest tysiące takich jak ona, dla których ulgą jest dorzucić na stos całopalenia przed ołtarzem Ojczyzny i swoje własne cierpienie — bez potrzeby, z szaleństwem samoudręczenia. Niema rady i niema cudu, któryby ją odmienił. Wiedział, że wierną mu będzie przez całe

smutne życie. Widział to tak samo wyraźnie, jak własną śmierć.

— Marylo! Marylo! Czemu ty nie chcesz żyć? Dla czego w świecie cieniów ściga mnie bez litości twój straszny żal? Wieczną cichą spokojność obiecuje zmarłemu śmierć — ale ja nie zaznam i tam spokoju. Z jakąż radością patrzyłbym stamtąd na twoje szczęście. Jak można kochać trupa? Czemu ty mnie jeszcze pamiętasz? — wołał do niej jak gdyby już z grobu.

Na to wołanie cicho skrzypnęły drzwi i biała postać zamajaczyła w ciemności. Nagie, gorące ramiona owinęły się koło szyi Michała. Przywarło do niego ze wszystkich sił dygocące ciało dziewczęcia. Zalały mu twarz palące łzy...

.

Ból, rozkosz, uściski, łzy. Szał miłosnego zapamiętania, błoga nicość. Niesłychany nowy byt poza wszystkim, co istnieje, poza czasem, poza wszelkim miejscem na ziemi.

Aż znienacka wyjrzy niezłomna, wszechwładna rzeczywistość. Przyjdzie lekki powiew nocy, cichy szelest drzew i przypomni wszystko. Z przerażeniem wzdryga się dusza przed przyjść mającym niechybnie światłem dnia. Przed tym nielitościwie blizkim dniem prawdziwego życia, które ma wrócić, które czeka niecierpliwie, coraz niecierpliwiej...

Tulą się do siebie z trwogą. Duszą się w uścisku rozpacz. Omdlewają, umierają i toną w głębinie nieszczęścia. Zalewa ich ponura, czarna to-

piel i dręczącym, obłąkanym snem wydaje się wszystko. Usiłuje dusza zbudzić się, mocuje się, żeby zepchnąć z piersi tłoczącą zmołę. Nareszcie! Co za ulga...

Budzą się w bezgranicznej radości, we łzach wdzięczności za nieprawdopodobne szczęście. Stapiają się dusze i odtąd razem idą ich myśli. Każde dziwi się sobie, bo w sobie dostrzega najtajniejsze myśli tej drugiej ukochanej duszy. Byli jednym człowiekiem. Już wiedzieli o sobie wszystko...

Za oknem czarne drzewa stały się ciemno-zielone. Chłodny powiew przychodzącego dnia szumiał w gałęziach, rozgarniał je. Ukazywały się i zakrywały się natychmiast płaty już jasnego nieba. W pokoju wśród głębokiej pomroki błąkały się niepewne, niepokojące smugi. Dusze ogarniał lęk. Same przymykały się powieki. Oczy nie chciały widzieć, nie chciały jeszcze wiedzieć o niczym.

Ujrzał nareszcie Michał wpatrzone w niego oczy Maryli. Była w nich zgroza, strach, nieprzebrane ukochanie i śmiertelne znużenie, jak gdyby w ciągu tej nocy przeżyli długie lata, pełne straszliwych kolei. Poznał, jak umierający, że oto już żył, że przebył na ziemi już wszystko i że na niego czas.

Zwolna, łagodnie, mocno, nieubłagane uwalniał się z zaciśniętych kowulsyjnie objęć Maryli, z trudem przełamując opór jej ramion.

BESTJA.

Gęsty mrok, przepojony zapachem kadzidła i śwędem dopiero co zgaszonych świec woskowych, wypełniał kościół Św. Anny w Wilnie. Wysoko pod czarnym ostrołukowym sklepieniem zdawały się jeszcze przygasać odgłosy organów. Cicho, jak westchnienia błędziły w duszy głębokie akordy i echa tysiąca głosów ludzi, którzy przed chwilą jeszcze przepełniali kościół. Szepty ich modlitw słały się jeszcze wśród ciszy i zmroku, wznosiły się, opadały, wpełzały do czarnych kaplic i kłębiły się, zebrząc zmiłowania i wysłuchania u stóp milczących ołtarzy. Złowrogo, obojętnie i ponuro połyskiwały w ciemnościach złocene ozdoby ołtarzów. Tonęły w ciemnościach i zdawały się wciąż konać i przygasać drobne płomyczki oliwnych lampek ofiarnych, wiszących tu i owdzie w nieokreślonej przestrzeni, gdzieś, zda się, w niezmiernie odległości, jak nikłe gwiazdeczki na ciemnym niebie.

Po solennym nieszpоровym nabożeństwie przed rzęsiście oświetlonym głównym ołtarzem, po potężnych głosach organów i przejmującym hymnie: „Mocny Boże!“, śpiewanym przez tłum, mroki i ciższa opanowały przybytek. Wyszli ludzie, złożywszy

u stopni ołtarza swoje zgryzoty i klęski, wszystkie swoje nadzieje i błagania, z głębi duszy wydarte westchnienia i łzy serdeczne.

Teraz w mroku i ponurości pustego kościoła tajemnicze i zawsze nieme bóstwa dumają w swoich ołtarzach nad tym ogromem ludzkiego bólu, z wiarą i pokorą złożonego u ich stóp. Rozpoczęła się niedocieczone i okropne misterjum, gdzie sam na sam staje cierpienie człowieka wobec niemiłosiernego Przeznaczenia. Rozpoczęły się zawody dwóch mocarzy, którym w ręce oddał człowiek swoją duszę i losy swoje zawierzył, poznawszy słabość sił własnych i kruchość życia swojego na ziemi. Będzie walczył Bóg z Synem Ciemności — będzie mu wydzierał dobrych, będzie mu ciskał na pastwę grzesznych. Osłoni Bóg dobrą sprawę przed piekielną mocą djabelską. Obroni Bóg Polskę znękaną, odtrąci ramię duszącego ją Szatana, ulituje się krwi, łzom, mogiłom i zgłiszczom, uzna, że dość męczeństwa i ofiary, że oczyszczoną jest grzesznica i godną spocząć nareszcie. Ulituje się Bóg nędzy narodu. — Wielki Boże — Wielki Mocny...

Przez żelazną kratę bocznej kaplicy widać było w górze przy niepewnym pełganiu lampki wielki krucyfiks. Ginęła w cieniu pochylona głowa Chrystusowa. Tylko rozkrzyżowane ramiona i przybite ręce występowały wyraźnie z ciemności. Zgrozą zdejmowały kurczowo zastygłe palce i śmiertelnie rozciągnięte ramiona. Była w nich niemoc Boga-człowieka, umęczonego i już zabitego przez ludzi.

W mroku kościoła, ściskając kurczowo zimną kratę kaplicy, klęczał kilkonastoletni chłopiec. W oczach jego palił się blask nieprzytomnego uniesienia. Ze drżeniem, w lęku śmiertelnym wpatrzywał się w obraz swojego Boga.

Już od kilku godzin klęczał na tamsamym miejscu, nie czując znużenia, nie spostrzegając upływającego czasu. Kiedyś, o pewnej godzinie wszedł do pustego kościoła, ukląkł i zanurzył się w modlitwie. Zaczęli napływać do świątyni pobożni, zabłysły światła, zaczęło się nabożeństwo wieczorne, grzmiały organy, przelewały się jak fale morskiego przypływu potężne strofy hymnów. Justynek nie słyszał nic i nie wiedział o niczym, co się działo wokoło. Opustoszał kościół, umilkły wszystkie głosy i pogasły światła. On klęczał po dawnemu i nie odrywał rozpalonych w ekstazie oczu od wizerunku ukrzyżowanego Chrystusa.

Mówił mu o Polsce. Jemu, wszechwiedzącemu, oznajmiał o klęskach, katuszach narodu i o wiekowym jego ucisku, wskazywał mu na morze krwi rozlanej, na zgłiszczę i cmentarze, na sieroctwo, łzy, na zagubę sprawy słusznej i świętej. Wzywał pomsty i kary na okrutnego wroga, sprzymierzonego z szatanem i czyniącego sprawę szatańską z bezwstydem i bezbożnym bluźnierstwem. Pytał z głębi rozdartego serca — Zaco? Zaco, Panie? Co czynić ma naród, ażeby ustała kara, której dłużej znosić brak nam już sił? Czyż taka jest wola Twoja, żeby do ostatniej kropli wyciekła polska krew? Żeby bez śladu i znaku zatraciło

się imię polskie? Panie, Panie — Wielki Boże — Mocny Boże!...

I chwilami, w osłupieniu zgrozy stawały struchlałe oczy chłopca, na twarzy zjawiał się nawpół jeszcze dziecinny skurcz przerażenia — w martwej postaci ukrzyżowanego dostrzegał ślad i zaczątek jakiegoś poruszenia. W niewyraźnym półmroku kaplicy zdawało się przeżyć rozkrzyżowane ramię. Usiłuje się zdjąć z haka przebita dłoń. Łada moment uniesie się głowa, która dotąd w bezwładzie spoczywała na piersiach. Ukaże się niegodnym oczom wybranego cud, okaże się niesłychany znak łaski Boga... Stanie się, sprawdzi się to, co jeno było w podaniu i w legendzie i w żywotach świętych wybrańców pańskich. — Wysłuchana jest prośba twoja. I stanie się, jako prosisz — dla wiary twojej...

Przemijał jednak moment i spragnione oczy chłopca nie mogły uwierzyć chwilowej uludzie. Boleśnie, w tęsknym zawodzie wzdychała pierś i łzy napływały do oczu. I żałował śmiałości swojej, i błagał Boga o przebaczenie za hardość i dumę swego marzenia. — Niegodnym jest cudu, niegodnym, Panie. Aleć wysłuchaj kornej modlitwy mojej, przybliż godzinę zlitowania swego, spuść rosę ochłody na piekło życia, w którym wije się naród. Oszczędź w miłosierdziu swoim, daruj winy nasze, które wielkie są, pofolguj w karze — bo oto umiera w męce naród.

I znowu w błagalnym zapamiętaniu opowiadał Chrystusowi, co się dzieje w Polsce, co się dzieje

w Koronie, na Litwie, na Rusi, jak bezkarnie pastwi się wróg nad powalonym i śmiertelnie rannym narodem, jak znieważa kościoły katolickie, jak prześladowuje kapłanów wiary prawdziwej, jak nie przepuszcza dziecku, starcowi i niewieście, dobija rannych, katuje uwięzionych, na śmierć męczeńską skazuje jak Neron niewinnych i czystych. Opowiadał o wszystkim, co się wówczas działo, mówił ze szczegółami, porywczo, gorąco, jak się mówi do człowieka, zapominając ustawicznie, że zwraca się do Tego, który wie o wszystkim, co się staje, i zna dzieje jutrzejszego dnia i przyszłego stulecia.

Napróżno kościelny dzwonił kluczami, dając znak, że kościół się zamyka. Powyłaziły już ze swoich ulubionych ciemnych kątów wszystkie zamodlone starowiny-dewotki i samotni mistycy, szukający ukojenia w rozmowie z Bogiem. Justynek nie słyszał nic i wciąż się modlił. Dopiero dziad kościelny, obchodzący z latarnią wszystkie kąty, wynalazł go niespodzianie, natrząsł go za ramię, zburczał i ocucił.

Przed kościołem owiało go ciepłe powietrze czerwcowego wieczoru. Chwiejąc się na nogach, nawpół przytomny patrzył na skrawek gwiazdowego nieba, na ciemną ulicę i rozglądał się wokoło, nie wiedząc, dokąd pójść i co czynić. Stary kościelny Ozimek ukazał się na progu z latarnią. Długo dzwonił kluczami stary, zamykając furkę w wielkich odrzwiach kościoła. Wreszcie spoj-

rzał na chłopca raz i drugi, poświecił mu w oczy latarnią i rzekł dobrotliwie:

— Niech już pan Justynek sobie idzie. Dosyć się panicz namodlił na dzisiaj. Będzie dość! Panu Bogu miłosiernemu też nie trza się zanadto na przykrzać. A na panicza i do domu czas, mama czeka niespokojna. Kto w takie czasy wieczorem w domu siedzi, ten na tym nie straci... Nie daj Boże... Trza się teraz pilnować, oj trza!

Ulice były puste. Rzadko kto przemykał się chyłkiem, szybko sunąc wzdłuż murów. W niewielu oknach widać było światła. Wydawało się, że to noc głęboka. Strach zapędził do domów mieszkańców i trzymał ich w zamknięciu. Stan obleżenia, stosowany z całą bezwzględnością, codziennie wzrastający szereg nowych, coraz mniej prawdopodobnych rozporządzeń policyjnych, trwożne pogłoski o nastąpić mających niesłychanych katastrofach — wszystko to z godziny na godzinę spadało na głowy mieszkańców Wilna, których tryb życia dotychczas mało różnił się od zwyczajnego, chociaż w kraju prawie od pół roku wrzała wojna.

Tajemnicza postać nowego wielkorządcy, który od paru dni zaledwie objął władzę, rzuciła ponury czarno-krwawy cień na stolicę, na cały kraj i na wszystko, co żyło.

O nowym generał-gubernatorze krążyły złowrogie legendy. Zapowiadano masowe egzekucje najznakomitszych więźniów stanu, wrózano cały pop top bezprawi i bezeceństw, które lada dzień miały

spaść na Litwę, opowiadano sobie o tak potwornych zamiarach Murawjewa (tak nazywał się następca Nazimowa), że w istocie mało kto wierzył w te plotki. Jednak panika już się szerzyła i ogarniała najtrzeźwiejszych. Nie wierzono w pogłoski, ale już mówiono szeptem. Usta uśmiechały się drwiąco z fantastycznych baśni, ale serca ścisnęła zimna obręcz niewytłumaczonego przerażenia. Już wyczekiwano z bolesną ciekawością jutrzejszego dnia. Sny były pełne wizji i dręczących majaków. Bolesne, trawiące przecucie, któremu nie mogła poradzić trzeźwa myśl, nakazywało gotować się na rzeczy najgorsze, na rzeczy już ostateczne. Nie zaszło jeszcze nic nowego, co byłoby niesłychanym dla ludzi, przeżywających ciężki czas wojny. Jeszcze żyła wiara w dobrą odmianę i w zwycięstwo, a jednak widmo zniszczenia i zagłady krążyło niewidzialne pomiędzy ludźmi, ocierało się o nich w biały dzień, błędziło po opustoszałych ulicach i stukało kościanym palcem w zamknięte okienice dworców wileńskich. Jeszcze gorsza, jeszcze bolesniejsza trwoga ogarnęła każdą matkę, której syn poszedł, czy uciekł i błakał się o tej porze bez wieści po niezmiernych i przepaścistych puszcach litewskich. Martwym i niemym, jak sama śmierć, stawał się ból tych, którzy mieli kogoś swojego w przepełnionych więzieniach wileńskich, na zamku, u karmelitów. Wszystkie kościoły były przepełnione, bo bliżej Boga tulili się ludzie przed tą niedającą się ogarnąć ani pomiarkować trwogą,

która jak pył zarazy wisiała w powietrzu i truła, dusiła za każdym oddechem.

Były to pierwsze upalne, duszne dni czerwca. Powietrze stało bez ruchu, przesycone gorącym pyłem. Parne były noce, mgły przysłaniały niebo. Przepowiadano wielką burzę. Zdawało się, że sama natura czeka na coś w odrętwieniu, w martwej trwodze. Lada chwila nagarną się czarne chmury, zgaszą słońce i deszcz piorunów runie na ziemię. Zaleje ją potop niesłychanej ulewy, zerwą się mosty, rzeki wystąpią z brzegów, grad wybije urodzaje i ogień niebieski porazi wszystko, co żyje.

Justynek z lękiem i niedowierzaniem rozglądał się wokoło. Dziwnie wydawało mu się na świecie. Wszystko było niepotrzebne, nieprawdziwe i nudne. Obco mu było i samotno, jak sierocie. Wypędzono go bez litości z cichej, bezpiecznej przystani, odezwano go od jego Boga, opiekuna i powiernika trudnych myśli. Kiedy już stykał się duchem ze straszliwą i przesłodką tajemnicą — ludzka wola, ludzki obyczaj kazały mu wyjść na tę pustą, ponurą, duszną ulicę.

Tuż za progiem kościoła wszystkie troski tego doczesnego świata obiegły zewsząd duszę chłopca. Jak kwiat górski, gdy nad nim przeleci nawałnica śniegowa, czuła na sobie dusza dziecka ciężki, mrozący pancerz lodowy. Wzdrygnął się Justynek. Obejrzał się jeszcze raz na zamknięte drzwi kościoła i rozplakał się, tłumiąc łkania.

Na rogu ulicy o mało go nie przewrócił ktoś, biegnący z przeciwnej strony.

— To ty, Justek? Żegnaj, koleżko, dziś idziem do partji. Już nas przyjęli — idziem w siedmiu, a naczelnikiem jest pan Paszkiewicz z siódmej klasy. Najgorsza rzecz, że nie mamy jeszcze żadnej broni. Ledwom się wydarł babce. Zamknęła mnie stara w spiżarni, alem takie straszne brewerje wyprawił przez trzy godziny, że musiała puścić na słowo honoru i na pamięć rodziców. Tłukłem po kolei słoje z marynatami, z powidłami, poszły dwa gąsiorzy nalewki. Mnie samemu było szkoda, ale cóż robić? O siódmej mieliśmy być na punkcie zborowym na Łukiszkach. Jak tylko otworzyła z kłódki, wypadłem i tyle mnie widziała. Goniła mnie jeszcze po ulicy Kubidurska, gospodyni, ale ją prędko zatknęto...

— Żleś zrobił, Stasiu. Złamałeś słowo i co gorsza przysięgę na pamięć zmarłych.

— Żleś zrobił. Ale czasu nie było na żadne gadanie. A stara też mnie wzięła zdradą i zamknęła, bobym się przecie tak nie dał. To nic. Wyspowiadam się, kapelan w partji wszystko odpuszcza. A jak będzie można, to napiszę do starej list. Cóż, kiedy ona nic a nic nie zrozumie.

— I cóż tak lecis boso i bez czapki?

— Buty mi już dawno zabrała, a o czapce zapomniałem. Daj mi swoje, Justek, daj i czapkę, przecie to dla ojczyzny. Nakazane było pozabierać płaszcze i po dwie koszule, ale jakże ja mogłem? Jeszcze mnie pan Paszkiewicz gotów nie przyjął.

Daj, Justek, w domu powiesz, że ci ukradły te łobuzy z Łukiszek przy kąpaniu.

— Ty wiesz, że nigdy nie kłamię. A buty masz. Masz i czapkę. Niech cię Bóg prowadzi.

— Ty jesteś, Justek, jak święty. Daj gęby. A pomódl się też za mnie, jak się dowiesz, żem zginął.

Strasznie smutno zrobiło się chłopcu, kiedy kolega, wciągnawszy na siebie jego buty, pobiegł dalej. Zazdrościł mu dzielności i odwagi i tego, że może polec za ojczyznę, że zobaczy bardzo ciekawe rzeczy w tajemniczych puszczech, w obozach leśnych. I tego, że już jest prawie dorosłym, jeżeli tak poważny człowiek, jak pan Paszkiewicz z siódmej klasy, bierze go ze sobą na wojnę. Żałował, że powstanie nie zaczęło się o kilka lat później, kiedy byłby już księdzem i z krzyżem w ręku szedłby przed szeregami, odprowadzałby msze polowe w obozach, zagrzewałby do męstwa i w komży, ze stulą na szyi dysponowałby na śmierć braci, umierających na pobojoisku.

— A tak, cóż ja teraz mogę? — myślał. — Jestem mały i chorowity, niktby mnie nie chciał ze sobą wziąć, a gdybym poszedł sam, toby mnie napewno wypędzili z obozu. Modłę się, wciąż się modłę, ale widać jestem zbyt grzeszny, jeżeli Bóg mnie nie wysłuchuje...

Rozważał swoje grzechy z tego dnia: po pierwsze, za wiele jadł przy obiedzie, był łakomy, bo na obiad były kołduny, po drugie — żal mu było butów i czapki, których zażądał od niego kolega.

Właściwie, nie było mu ich żal, tylko bał się rozprawy w domu. Po trzecie — największym jego grzechem i może śmiertelnym było przypuszczenie, że stać się może cud. Jak śmiał, jak się odważył pomyśleć, że dla niego, dla marnego, małego Justka Pan Bóg zezwoli Synowi swojemu uczynić znak widomy łaski swojej, że dla jego dziecinnej prośby zechce zstąpić na ziemię... — Łakomstwo, skąpstwo, duma — rozważał gorzko. Strapiony powlókł się do domu przez puste ulice. Przed samym domem przystanął i pełen niepokoju i strachu patrzył w wąskie smugi światła, bijące z za zamkniętych okienic. Bardzo bał się ojca, bo po pierwsze wraca tak późno, a po drugie — buty. Matkę miał zawsze po swojej stronie, ale ojciec nigdy tych butów nie zrozumie. Będzie długo krzyczał, kto wie, może go nawet za tym razem wybije...

Justynek otrząsnął się na myśl o biciu, ale po chwili uśmiechnął się łagodnie, promiennie. Jakże słodko jest cierpieć za dobrą sprawę. Niech będzie, co chce, niech go biją, nawet chciał, żeby go obito.

* * *

Kiedy Justynek po nocy, pełnej dręczących majaków, zerwał się z łóżka, wesołe słońce zalewało ego izdebkę. Nie wiedział, która była godzina, ale czuł, że się już nieodwołalnie spóźnił. Łzy żalu i rozpacz strugami spływały mu po twarzy, kiedy się ubierał. Resztką ciężkich snów, jakieś groźne półczwary, tajemnicze ostrzeżenia, niewyraźne odbicia wizji z za świata przeszkadzały mu myśleć.

Jak nieprzytomny wybiegł z domu. Nikt mu nie przeszkadzał, nikt go nie pytał, dokąd idzie. Dom był pusty, nie było nawet służącej.

— Już wszyscy dawno poszli, a mnie nie budzili umyślnie...

Ulice były puste. Spotkał tylko po drodze wozowcę, starego Matyjaszka, który apatyczny i zaspany włókł z wysiłkiem swoją beczkę na dwóch kołach.

— Matyjaszek, która godzina?

Stary przystanął, podychał ciężko, spojrzał na słońce.

— Bo ja wiem, paniczku. Będzie szósta, będzie może i wpół do siódmej...

— To już po wszystkim! Już się wszystko skończyło!

— Ze księżdzami? A ja nie wiem, nie wiem ja, paniczku. A ludzie zawsze są głupie. — Wszystko, co żyje, poleciało na tych księdzów. Ciekawe te wszystkie ludzie z miasta, a te panie czy tam baby zawsze rade popłakać. Tylko nic z tego nie będzie.

— Tak?

— Nic nie będzie, bo i być nie miało. To tak łatwo księdza czyli kapłana wyświęconego powiesić, czy choćby rozstrzelać? Kto się na taką rzecz waży? Tego i za imperatora Nikołaja nie bywało. Życie kapłańskie naprzód w ręku Boga, a potem w ręku Ojca świętego. Bez jego pozwolenia żadnemu włos z głowy nie spadnie. A czy to Ojciec święty pozwoli swojego księdza katolickiego tknąć? Czy

za papieżem nie stoi cały świat katolicki? Nie taki Moskał mocny i nie taki on śmiały...

Stary gadał jeszcze, ale Justynek był już daleko. Miasto precz było, jak wymarłe. Dopiero na ulicy Dominikańskiej zatrzymał go zbity tłum ludzi. Ponad głowami tłumu w miarowych odstępach połyskiwały na słońcu bagnety. Szła kędyś ta linja bagnetów precz w nieskończoność ku Łukiszkom. Ludzie stali w milczeniu, oczekując. Justynek pchał się i przeciskał, jak tylko mógł, ale napróżno usiłował dostać się do pierwszych szeregów. Chwilami ukazywała się przed nim pusta, odgradzona przestrzeń ulicy, ale natychmiast ktoś starszy odpychał go i zasłaniał mu wszystko. Ta pusta przestrzeń, gdzie za chwilę miało dziać się coś strasznego, ciągnęła ku sobie chłopca, jak głęboka przepaść. Zdejmował go lęk i okropna ciekawość. Gotów był uciekać jak najdalej od strasznego miejsca, a pchał się uporczywie i prześlizgiwał między zbitą masą ludzi, korzystał z każdego poruszenia sąsiada, żeby zająć jego miejsce. Deptali go, potracali, ścisкали w tłumie, aż nagle niespodziewanie ujrzał przed sobą wolną przestrzeń, bruk ulicy, a po drugiej stronie żołnierzy i czarny zbity tłum ludzi. Tuż przed nim klęczały na bruku dwie kobiety, stara i młoda, i czytały półgłosem litanję za konających. Żołnierz, stojący obok z karabinem u nogi, spoglądał na te niewiasty z ukosa i wrogo, ale jakby ze strachem.

Pośrodku wolnej przestrzeni biegał i kręcił się tam i z powrotem czarny piesek z podwiniętym

ogonem, wystraszony i ogłupiały. Nie mógł się dostać z pomiędzy dwóch ścian ludzkich. Jedni go odpędzali z oburzeniem, inni nawoływali zcicha, chcąc go uprzątnąć czymprędzej z ulicy. Niektórzy uśmiechali się bezmyślnie, a psina biegła w kółko, przystawała, porywała się, przypadała do ziemi, warując, i skomlała z przerażenia. Wreszcie pies przysiadł na bruku, podniósł do góry mordkę i zaczął głucho wyc.

— Czuje nierozumne zwierzę! — Oj, czuje psina, prawda jest! — Ja tam wierzę w swój rozum, nie we psie wycie. — A bo co, jak kto woli — są i tacy, co jeszcze wierzą w moskiewską litość. A ja wolę w psie czucie. — Ksiądz, nie jest sobie człowiek zwyczajny. — To naprzód, a po drugie nie był w lesie z bronią w ręku złapany. — Nie, panowie, najgłówniejsza — choćby tam nie wiem co, wedle kanonów musi sam biskup z księdza wszystkie święcenia zdjąć i dopiero go wydać. — A jakże, będą się panu biskupa pytać. — Muszą! — A zobaczysz pan! — A zobaczę: wyprowadzą, wyrok przeczytają, oczy mu zawiążą, żołdaci zmierzają, wytrzymają go nieszczęsnego i halt, a potem tylko na Sybir pójdzie za innymi. — A wiesz pan, co to za jeden ten nowy? — Niech będzie najgorszy pies — ja swoje wiem. — Nic pan nie wiesz! Samego diabła na djabelskie rządy nam nasłali. — To chyba według pana Nazimów był anioł? — Pan sobie kpisz, a prawdę powiadasz pomimo woli. Prawda, Nazimów przy nim anioł. — Strachy na Lachy! — Cóż on wszystkich księży patryjotów

powywiesza? — Wszystkich! — Będzie nas żywcem ze skóry obdzierał? — Będzie! — No i co jeszcze? Będzie nas na ogniu smażył, będzie nas żywcem w ziemię zakopywał? Co pan tu kraczesz do wszystkich djabłów? — Zapłacił ci kto taki, żebyś ludzi straszył, ducha odbierał? — Wynoś się pan stąd lepiej. Nasi chłopcy już niejednego strachaję sprali. Oberwie się i panu! — Głupiś pan! — Sameś głupi. — Wstyd panom i hańba takie kłótnie wszczynać w tym miejscu i w takiej chwili — podniósł się cienki głos jednej z modlących się niewiast — cicho — cicho tam!

Nagle wszystkie głowy obróciły się ku lewej stronie. Szedł skądś od tej strony, posuwał się od ludzi do ludzi głuchy gwar. Szybko, w jednej chwili doszło i ogarnęło tłum szeptanie, jęki, wzdychanie. Padały bezładne słowa, pytania, wykrzykniki. Coraz częściej rozlegały się głośnie łkania kobiece, urywane słowa modlitw, wykrzyki błagalne, nabożne i przekleństwa. Wszyscy pchali się, patrząc chciwie. Linja tłumu załamała się w paru miejscach. Kilkunastu ludzi wybiegło na środek ulicy, ale żołnierze, tłukąc kolbami, klnąc i wrzeszcząc, zaprowadzili wnet porządek. W czasie tego zamieszania Justynek znalazł się znowu w zbitym tłumie ludzi. Nie widział już nic, tylko plecy jakiegoś chłopca w przepoconej parciance i zapłakane oczy jakiejś pani, patrzącej z wysiłkiem ponad głowy ludzkie. Widział jeszcze w oknie pierwszego piętra przeciwnieległej kamienicy dwie czarno ubrane panie, stojące ze złożonymi jak do modlitwy rękami, a mię-

dzy niemi na oknie paliły się dziwnym płomykiem w słońcu dwie żółte, grube świece. Potym zaczęto go ze wszystkich stron napierać — tłum chwał się wprawo i wlewo. Chłopcu zabrakło miejsca do stania, schwycił się oburącz za ramiona chłopca, ale chłop zapadł się nagle i Justynek zobaczył, że wszyscy klęczą z odsłoniętymi głowami.

Środkiem ulicy szli powolnym krokiem żołnierze. W pierwszym szeregu czterech doboszów. Gęsto otoczony bagnetami szedł ksiądz Iszora, ogromnym wzrostem górując nad żołnierzami. Czarne, wielkie oczy wzniosł ku niebu i, nie patrząc na nic wokoło, zdawał się nie iść a płynąć gdzieś za świat zwolna, uroczyście. W tłumie zaległa martwa cisza i słychać było tylko głucho kroki żołnierzy i dziwne, przenikliwe ćwierkanie szpaka, wywieszonego z klatką przed okno tuż stojącego domku. Nagle wśród ciszy rozległ się wielki, głęboki głos skazanego:

— Miserere mei, Domine, Domine...

Wówczas przodem idący dobosze wysoko podnieśli pałeczki i uderzyli w bębny. Drgnęło wszystko na ten łoskot, a trajkotanie bębnów zalało ulicę i zgromadzone tłumy.

* * *

Napróżno apoplektyczny pan Undrewicz ponsował i dusił się z gniewu na widok jawnego nieposłuszeństwa ze strony cichego i uległego dotychczas Justynka. Napróżno pani Undrewiczowa błagała jedynaka, żeby jej wyznał, co go gnębi, i żeby

przestał irytować ojca uporczywym swoim milczeniem na wszelkie słuszne pytania.

Mały zaciął się. Wymykał się z domu bez opowiedzenia i nawet wbrew wyraźnemu zakazowi ojca. Nie umiał czy nie chciał odpowiadać, dokąd i poco chodził. Zaciął się w jakimś dziwnym milczeniu. Oczy jego patrzyły nieprzytomnie, zdawał się nawet nie słyszeć tego, co się wokoło niego działo.

— Ten hultaj się tylko wciąż modli i modli. Łazi to po wszystkich kościołach, wraca po nocy i nic się nie uczy... On sobie, osieł jeden, myśli, że jego bez nauki przyjmą do seminarjum za samo modlenie. A zresztą djabli go wiedzą, gdzie on chodzi... Może znów jaki głupi uczniowski spisek... O nieszczęście...

— Ja za niego ręczę. Justyś do żadnych głupstw nie będzie należał. Dziwne dziecko. On nawet jak gdyby nie widział, co się tu dzieje. To nie z braku serca — o nie — tylko dla tego, że duszą żyje za światem. No i modli się ciągle. Cóż, że się dużo modli? Przecie będzie księdzem, będzie wzorowym kapłanem...

— Dobrym księdzem będzie taki, co ojca za młodu słucha. Niewolno stronić od kościoła, ale niewolno w kościele mieszkąć. A tymbardziej, jak rodzice zakażą. Wykierujesz ty go na dobrego kapłana, jak go będziesz przede mną broniła i uczyła nieposłuszeństwa. Przecie on już teraz patrzy na nas, jak na jakich obcych. Dobrego słowa nikomu nie powie. Milczy, jakby mu mowę odjęło. Ponury,

jakby siedem wsi spalił. Z takiego nie będzie pociechy.

— Ja Justysia znam lepiej niż ty. Kocha nas bardzo, ale on ma duszę mistyczną. Ty tego nie rozumiesz...

— Tak, zawszem głupi. Tak — ale jakbym był ojcem, jak się patrzy, gdybym miał zdrowie i mógł się irytować bez narażenia się na nagłą śmierć, czego mi nie daj, Boże... Gdybym ja mu tak wyróżnął dwadzieścia pięć co sobotę... Dusza mistyczna... Ma osiem piętnasty rok i już dusza mistyczna!... Nieszczęście! Od ziemi to nie odrosło, a już odzienie ze siebie zdejmą dla byle łobuza. Do domu boso wraca niby Św. Jan Kanty... Nieszczęście dla naszego domu...

— Żeby tylko chciał cośkolwiek zjeść... Nie wiem, doprawdy, czym to dziecko żyje. On jest chyba chory. Od tygodnia prawie niczego nie tknie przy obiedzie...

— Mówi, że nie może. A ja ci ręczę, że gdyby dostał to, co mu się należy, tak dobrze, na pokładankę, jak robił u nas w domu ojciec nieboszczyk, to zarazby nabrał apetytu, bez żadnej mikstury.

— Doktor Wołoncewicz mówił, że jest zdrow, tylko delikatny, wrażliwy, czyli tam nerwowy, jak powiadał doktor. Radził kąpiele słone. Od jutra będę robiła.

— Różgi solonej mu potrzeba. Rozpieszczony jest przez matkę i tyle...

Justynek zmizerniał, osowiał, wreszcie zamilkł zupełnie. Niepodobna było z niego wydobyć, co mu jest. Na groźne pytania ojca, na błagania matki odpowiadał: Tak, nie. Nic mnie nie boli, proszę ojca. Nic mi nie jest, proszę mamy.

Zdawało się, że chłopiec nosi w sobie jakąś straszną tajemnicę. Zdawało się, że ktoś go niemiłosiernie skrzywdził i że dusza dziecka zmartwiała i zawarła się przed całym światem. Były to sprawy niewypowiedziane dziwne i tajemne. Nie wiedział, jak się z nimi zwierzyć i nie było przed kim.

Wszyscy wokół niego wzdychali, ubolewali i płakali nad tym, co się działo. Znajomi, ciotki, kumoszki znosili pełno straszliwych opowieści. Gdzieś tam, w tajemniczej kamienicy w mieście rezydował nieuchwytny Wydział Litewski, gdzieś tam, po lasach i moczarach tkwiły kupy zbrojne. Grasowały po kraju karne ekspedycje wojskowe, niszcząc dobytek ludzki i paląc dwory. Krwawe bitwy, bohaterstwo i klęski, poświęcenie bez granic i klęski. Wyteżone z dnia na dzień oczekiwanie na jakąś odmianę, na czyjąś pomoc, na zmiłowanie boże. Lada dzień stać się miał ów fakt przełomowy, decydujący nareszcie o wszystkim. Jeszcze nie, jeszcze nie dziś — jutro — pojutrze — za tydzień... Nie wiedział nikt, coby to miało być. Wierzono w Wilnie, że tajemnicę zna Wydział Litwy, który rządził i wydawał odezwy. Wierzono, że Rząd Narodowy w Warszawie zna ów dzień i godzinę, kiedy sprawa powstania wydzwiga się z pod ru-

mowiska drobnych, codziennych, już spowszedniałych od pół roku okropności i klęsk, kiedy się dzwignie, porwie wszystkimi siłami i zwycięży nareszcie lub zginie.

Przemordowane dusze domagały się ulgi. Ostatnim wysiłkiem goniły już nadzieje. Gromady powstańców tułały się po puszczach z rozpaczliwym męstwem, ludzie, rządzący tym całym zamętem, radzili bezzadanie, siwając w ciągu jednej nocy, umierając wśród nadludzkiego trudu.

A człowiek zwyczajny, człowiek poczciwy i bierny, ten, który stanowi o wszystkim i nieprzebraną mnogością swoją zawsze przeważa szalę, na którą kładą się szczerozłotym ciężarem: gienjusz, poświęcenie i męstwo — ten, wciąż modląc się o zwycięstwo i wciąż jednakowo i szczerze kochając ojczyznę, zapragnął nareszcie spokoju.

Tak było w Polsce wszędzie o tej porze, choć wszędzie huczały wystrzały i wszędzie jeszcze potokiem lała się krew. Gorzały miasta i dwory, rozpasaly się wszelkie bezeceństwa wojny, zwyczajnym stał się najbardziej niesłychany gwałt, spowszedniała szubienica. I doszła do swojego kresu zdolność cierpienia. Obciążona ponad wszelką możność chwiała się, gięła się dusza. Niebawem miała upaść.

Szczerze zapragnął końca obywatel Litwy. Wyzwał stary Undrewicz, eks-patron trybunału wileńskiego, pomstował na Moskali, ale więcej pretensji i żalów miał do „tych“, co niebaczenie wciągnęły Polskę, Wilno i jego samego w wir wypadków i nie potrafili przez pół roku doprowadzić sprawy

do pożądanego rozwiązania. Pani Undrewiczowa już płakała codziennie, bo codzień przybywało nowe jakieś nieszczęście. Doktor Wołoncewicz umiał na pamięć wszystkie błędy i nieudolności kolejnych rządów narodowych, a zwłaszcza Wydziału Litwy.

Ksiądz Brazulis, stary przyjaciel domu, był stronnikiem biskupa wileńskiego i twierdził, że zbrodnią jest stawiać na kartę całą przyszłość kościoła katolickiego na Litwie i Rusi przez lekkomyślne wciąganie do powstania całego duchowieństwa. Ksiądz był gorącym patryjotą i trawił noce na modłach o powodzenie słusznej i świętej sprawy. Młody pan Prądzyna, który wraz z bratem chodził z partją Albertusa i bił się zwycięsko w puszczy Łabonarskiej i w lasach Łańskich w powiecie Wiłkomierskim, a świeżo uszedł cało z pogromu pod Giedrojciami, gdzie na pobojuwisku zostawił młodszego brata, klócił się zajadle ze starszemi panami, ale przyznawał sam, że wszystko idzie źle po obozach i że on już więcej do lasu nie pójdzie, bo właściwie wszystko ma się ku końcowi.

— Koniec, koniec — wzdychali wszyscy wokoło.

— Na nic nasze wysiłki, na nic straty, ofiary, cierpienia...

— Na nic żałoba, zgłiszcza, mogiły...

— Ot i koniec. Czas już odetchnąć, spocząć i bodaj się spokojnie wypłakać...

Jeden pan radca Miodragowicz uparcie użerał się naprawo i nalewo, szydząc z rozbolałych patryjotów i wróżąc jakby nawet z pewnym dziwnym zapalem dalsze klęski i niesłychane okropności.

— Koniec, powiadacie? Śpieszy wam się, miłośnicy. Powoli, braciszku, długo poczekasz do tego spokoju. Jeszcze się doczekacie ładnych rzeczy. Co tu u nas było? Po prawdzie to jeszcze nic nie było. Cierpliwości oto trzeba. Bo wam powiadam, jakim Miodragowicz, jak jestem Litwin i mądry człowiek, historia jest cierpliwa! A jak się raz w jakim narodzie likwor zamąci, to on się przez jedną noc nie ustoi. Wam już pilno do tego końca? Żaden z was nie widzi, że to zaledwie początek? Ślepi i głusi! I głupi! Bo to się dopiero właśnie na dobre rozpoczyna. Zachowajcie jeszcze łyżę w zapasie, bo się przydadzą...

— Jak to, zmiłuj się radca...

— Murawjew!

Na to słowo milkła dyskusja w dworku na Małej Pohulance, tylko pani Undrewiczowa wzdychała: — Boże, zmiłuj się nad nami! — a ksiądz Brzulis zaczynał szeptać pacierze.

Codzień sypały się nowe rozporządzenia, ogłaszane plakatami po mieście. Przewroty i nieprawdopodobieństwa zaczęły ogłuszać ludzi dzień po dniu. Mieszało się w głowach. Znikały różnice między winnym i niewinnym, między powstańcem a jego przeciwnikiem — lojalnym obywatelem, bo każdemu zarówno groziła katorga, śmierć, ruina, wywłaszczenie. Ziemia zapadała się pod nogami żywiołu polskiego na Litwie. Na miejsce wojny zaczęło się wyniszczanie do gruntu, tępienie wszelkiego życia i każdego śladu życia. Jak wobec mo-

rowego powietrza tracił człowiek wszelką wiarę i pozostającą resztę sił. Oniemiała, z twarzą skazoną od zgrozy, osuwała się Litwa coraz głębiej w śmiertelną czeluść.

Był Justynek i na egzekucji obywatela z pod Lidy pana Laskowicza, oraz wiekowego księdza Rajmunda Ziemackiego. Stał zblizka i widział, jak siedemdziesięcioletni starzec upadł pod słupem, zanim zdołano dać ognia. Widział, jak przywiązany powrozami trup słuchał wyroku i jak go przeszyły kule.

Wraz z tysiącami ludzi chodził wieczorami na Łukiszki modlić się na grobach straconych. Te modlitwy wieczorne na strasznym miejscu, gwar szepotanych wokoło pacierzy wśród powszechnego płaczu i żałobnego uniesienia tłumów, pogrążały duszę chłopca w dziwnej, nawpół radosnej, nawpół bolesnej ekstazie. Niebiański uśmiech męczeństwa i ziemskie, ludzkie, gorzkie łyżę mieszały się ze sobą.

Między niebem a ziemią, gdzieś w zawrotnej, niewiadomej przestrzeni błędziła dusza chłopca, zatracając na długo zdolność opamiętania się. Wszystko stawało się jakby nieprawdziwe, działało się jak przez sen. Zapominał Justynek o własnym istnieniu, zatracił się i gdzieś się sam sobie podziwiał.

Ktoś go budził. Bywał to czasami groźny głos ojca, czasami matczyne pieszczoty. Bywały chwile zadumy i zapatrzenia się na jakieś drzewo, to na ptaka, to na muchę, siedzącą w słońcu na ścianie i migocącą złotymi skrzydłami. Stawał przed nim

wówczas świat zwyczajny, okrutny i nieubłagany, i Justynek wzdrygał się ze strachu i obrzydzenia.

Pewnego wieczora udało mu się wymknąć z domu „na groby” i gdy zdyszany stanął na miejscu, na Łukiszkach, uderzyło go okropne, nie do zniesienia duszące i gęste smrodliwe powietrze. Buchało od grobów, jak z jakiejś potwornej kloaki. Opodał stała kupka ludzi. Nie rozumiał nic Justynek, ale wytrzymać tego powietrza nie mógł żadną miarą. Odsunął się o kilka kroków, potym jeszcze dalej.

Spojrzał bezradnie osłupiałym wzrokiem na stojących w milczeniu ludzi.

— Widać mi się w głowie pomąciło i nie trafiłem na miejsce. Gdzież ja zaszedłem, nieszczęsny? Łukiszki — nie Łukiszki... — Rozmyślał i gubił się we własnych myślach, jak gdyby trujące wyziewy, bijące od mogiły rozstrzelanych, obezwładniły go i odebrały rozsądek.

Gromada ludzi w milczeniu wciąż odsuwała się od grobów. Przystawali, poruszali się zwolna o kilka kroków, zatrzymywali się znowu. Za każdym podmuchem wieczornego wiatorku uderzała fala okropnego fetoru. Z urągowskiem odganiała ludzi, którzy przyszli, ażeby uczcić to, co im było drogie. Bezczelnie, w bezwstydnym wyuzdaniu śmiali się djabli ze swojego prostego pomysłu.

— Co to jest? Ale co to wszystko jest? — zawołał nagle Justynek z płaczem w głosie.

— Co to jest, smyku? Pociągnij nosem, to zaraz będziesz wiedział. To znaczy, że generał graf Murawjew takim sposobem poucza głupich Pola-

ków, że nie trza się modlić ani skamlać, ani litanjów nad grobami śpiewać... Bo pana Boga niema, ani nie było nigdy — ino ludzie są wilki wściekle, zacieczone, a ten zaś świat to dzika puszcza. Rozumiesz?

— Nie bluźnij, asan, i głupstw nie powiadaj, jeszcze komu, ale dziecku.

— Ja, moja pani, nie bluźnię, tylko się z głupoty ludzkiej śmieję i ze swojej własnej też. A on mądry — ot sposób na Polaczków. Poco żołdatów stawiać, poco odganiać?... nawiózł... groby uszlachcił. No i co? Będiesz się teraz który modlił? Będziesz się tutaj ty modliła, ty, stara dewotko? Będziesz się tu modliła, ty myszo kościelna; choć sama śmierdzisz, jak nieszczęście.

— Pójdiesz precz — czego ode mnie chcesz?

— Warjat!

— Pijany, czy co?...

— Zapamiętany. Ja tego człeka znam. Ogrodnik jest od księży Dominikanów, pobożny człowiek...

— No, co teraz, bracia? — wrzeszczał ogrodnik. — Co? Jest tu nas ze trzydziestu chłopów. Idziem prosto na plac do pałacu. Straż wydusim rękami i do niego samego. Naprzód mu złamię prawą rękę, prawą nogę. Potym się szydłem wykole lewe oko. A tymczasem podłożę się pod niego taki malutki ogieniek i, zanim wpadnie większa siła, podsmażym go zletka. Ino aby nie odrazu! Ino aby nie na śmierć! Niech się pomęczą długo, długo...

— Idźcie do domu, wypijcie się...

— No, który ze mną? Tchorze! Podlece! Bydło! Który idzie?

— Ja idę! — zawołał Justynek i podskoczył do ogrodnika.

— Chodź, mały, chodź, szczeniátko pocziwe. Wezmę cię na barana i tak pójdziem. Nauczę cię rozumu, bom sam zmańdrał. Pójdziem do kościoła prawdziwego, pójdziem się modlić do Szpasa na gorzałkę grzaną. Nie piłem dwadzieścia lat — a teraz będę pił do końca życia. Tak mi, panie Boże, dopomóż, żebym nigdy nie był trzeźwy!

* * *

„Tylko męczeństwem i krwią, tylko ofiarami, jakich w dziejach przykładu niema, tylko niezłomnym męstwem, cierpieniem i wytrwałością w walce Polska zdobędzie swą niepodległość i będzie znowu wielkim i wolnym narodem...”

„Ludu ewangeliczny! Idź na walkę z rezygnacją męczenników, a zdobędziesz palmę zwycięstwa!...”

U państwa Undrewiczów krytykowano surowo odezwę Wydziału Litewskiego. Nie podobala się nikomu ani z treści, ani z tonu. Jeden ksiądz Brazulis pochwalał religijny nastrój tego dokumentu, świadczący o wysokim rozumie autora, gdyż, zdaniem księdza, poratowanie nie mogło przyjść znikąd, jak tylko od Boga. Pan Undrewicz dusił się z gniewu.

— Jeszcze podbechtują, jeszcze pchają! Pora gorzkie żale śpiewać, a nie fanfaronować i drażnić wroga.

— A co, nie mówiłem? — tryumfował radca Miodragowicz — macie, państwo, koniec! Powiadaliście, że Murawjew w jednej chwili cały ten ogień zdeptał. A tymczasem tylko kopyta sobie oparzył, a ruch się wzmacza na każdy gwałt, na każdą nową zniewagę. To jak gdyby choremu synapizmy postawił...

— Dajno radca pokój synapizmom! Cóż to radca codzień co innego kraczesz? Chorągiewka na dachu! Dzisiaj mu się Murawjew zrobił potrzebny. Idź mu podziękuj, że Polskę na dobrą drogę naprowadził! Głupstwa...

— Odezwa, moi panowie — wywodził doktor Wołoncewicz — jest nowym, haniebnym dowodem nieudolności kliki, która się dorwała do władzy. Tego dłużej znosić niepodobna. Obywatelstwo powinno dać odprawę tym chłystkom! Odezwa powinna być mężna, rewolucyjna...

— Hańba! Hańba! Trzeba budzić nienawiść, jadłem rozpalać ludzi, szczuć... Ślamazary jedne, wywodzą jak z kantyczek... — młody Prądzyna nie mógł mówić z irytacji.

— Grzeszysz, młodzieńcze — rzekł z powagą ksiądz Brazulis — nic nie stworzysz nienawiścią! Nic bez Boga...

„Ludu ewangeliczny! Idź na walkę z rezygnacją męczenników, a zdobędziesz palmę zwycięstwa!...”

Justynek po raz dziesiąty odczytywał odezwę od początku do końca. W późną noc, samotny w swojej izdebce upajał się każdym jej słowem.

Nic go nie obchodziło, że słyszał, jak ojciec i ludzie dorośli, mądrzy potępiali odezwę. Była ona dla niego objawieniem, świętością. Była jakby umyślnie dla niego napisana. W dziwny sposób połączyła ona w jego umyśle rozproszone wrażenia. Ktoś obcy, nie wiedzący nawet o jego istnieniu, wyjaśnił mu najtrudniejsze myśli, wszystko w nim odrazu odgadł.

Zdawało mu się, że wysłuchane zostały jego samotne modlitwy i że ktoś mądry, natchniony przez samego Boga, wziął go za rękę i prowadzi po tej ziemi, między trudnymi sprawami ludzkiemi.

Bo wszystko było nad wyraz trudne. Dla czego ludzie znoszą wszystkie krzywdy, dla czego tylko płaczą i wyrzekają? Dla czego tłum dwudziestotyśięczny patrzy na klęczkach, jak tracą z pośród niego najlepszych? Przecie każdy zosobna chce walczyć. Dla czego nie rzucają się wszyscy i nie wydrą katom ofiary? Co za okropna jakaś siła pęta i obezwładnia ludzi? Modlą się wszyscy za ojczyznę, ale Bóg wymaga czynów, Bóg da siły, potrzebne do zwycięstwa, ale trzeba wystąpić w pole! Dla czego ludzie zacni i szczerze kochający ojczyznę, jak ojciec, mama i znajomi, wzdychają i kłócą się o różne sprawy, a swoją drogą jedzą, śpią i żyją naogół zwyczajnie? Dla czego ze wszystkich jego znajomych tylko młody pan Prądzyna był w partji, no i Stasiak Grębecki, kolega, na którego przytym wszyscy wymyślają, jako na tego wyrodka, co do grobu wpędza starą babkę?

Dla czego tak mało przykładów męstwa i ofiary?

Czemu nie ubiega się nikt o palmę męczeństwa? Czemu tak się nie podoba odezwa, niosąca nareszcie słowa prawdy? Dla czego zbrodnia najgorsza, pohańbienie grobów męczenników, nie zagrzała nikogo do ofiary, jeno tego starego ogrodnika, który bluźnił Bogu z rozpacz i poszedł zresztą pić, zamiast dać świadectwo prawdzie? Ślepi ludzie — nie wiedzą, że pomoc boża, że niesłychany jakiś cud wisi nad niemi i nad całą sprawą — jednego tylko trzeba, żeby ktoś, bodaj jeden ze wszystkich, zrozumiał wolę boską i oddał życie za braci, nie jak to czyni żołnierz na wojnie, bo takich jest dużo i to nie wystarcza — ale jako dobrowolny męczennik, który nie walczy i nie broni się od wroga, a oddaje się w całopaleniu i z własnej woli, z miłością w sercu wkracza do ognistego pieca, albo na arenie z uśmiechem niebiańskim idzie na spotkanie rozżartego lwa.

Zaczął Justynek marzyć o takim świętym a powołanym męczenniku sprawy polskiej.

— Będzie to ktoś jeden. Łaska spływa rzadko, ludzie są niegodni łaski. Nad losem Polski boleje oddawna Syn człowieczy, ale napróżno czekają cudu ludzie, dopóki nie znajdzie się wybrany, który odgadnie wolę bożą. I spodziewał się Justynek, że ta dobra odezwa oświeci ludzi, choć przez wielu i bardzo wielu będzie niezrozumianą i zganioną.

Trafi ona swojemi drogami do rąk jakiegoś niewiadomego samotnika, który ze wszystkich najościwiej cierpi, i jego natchnie do czynu.

O zesłanie dla Polski takiego wybrańca modlił

się teraz Justynek, na tę intencję suszył i pościł, doprowadzając do rozpaczyny matkę, widzącą, że jednak niknie jej w oczach. Chłopiec po dawnemu wyklekiwał po kościołach, albo przed Ostrą Bramą, zapadając na całe godziny w ekstazę rozmodlenia. Chodził na długie, samotne błędzenie po okolicy, po jarach i wzgórzach, skąd, smutnie dumając, patrzył na nieszczęsne miasto lub czytał jaką książkę nabożną, pożyczoną z biblioteki księdza Brazulisa, który roztaczał opiekę nad chłopcem i zaprawiał go niejako do przyszłego powołania.

Pewnego popołudnia, gdy wdrapał się z trudem na ulubione swoje wzgórze, zaledwie usiadł pod brzozą i zdołał odetchnąć, zdumiał się, spojrzawszy z góry na miasto.

Wszystko naraz zmieniło się na świecie w sposób nieprawdopodobny. Długo spoczywał Justynek bez ruchu w przestachu i zachwycie. Troiło mu się w oczach.

Dziwne uczyniło się starodawne miasto Wilno. Uroczyście a pięknie wyglądało wszystko, na co tylko spozrzał, stawało się jak gdyby nieprawdziwe, ozdobione.

Stawał cały świat w dziwnie przenikliwym odblasku. Wyraźnie, jak na dłoni, wydawały się wieże, dachy, okna. Każdy załamek muru, każde drzewo, każda ulica ostrym zarysem odcinały się, jak wystrychowane cienkim rylcem na „landszafcie“.

Nigdy tak nie wyglądało miasto. Nigdy Wilja nie była taka srebrna, nigdy nie sięgała tak wysoko baszta na górze zamkowej. Wzgórza okoliczne,

gaiki i parowy rzeźbiły się wyraziście i uwydatniały nieprzebrane bogactwo mocnych, świeżych barw, które nie istniały zwyczajnego czasu.

Zdawało się chłopcu, że aż dotychczas przez całe swoje życie patrzył na świat przez jakieś mętne i brudne okno i że nigdy nie widział prawdziwej postaci żadnej z rzeczy. A teraz ktoś umył i przetarł starą szybę. Jakże wypiękniało wszystko.

Spokój i szczęście unosiły się w powietrzu. Oczu nie można było oderwać od miasta, pełnego wesela i uśmiechów.

Od stu lat nie powstała tu krzywda. Żyją ludzie w braterstwie, radując się życiu. Nikt nie zapłacze, nikt nie westchnie. We wszystkich tych kościołach jeno dziękują ludzie Bogu za swój los i chwałę śpiewają swojemu Stwórcy...

Westchnął Justynek, oprzytomniał. Zateśknił za czymś, czego nie było, co nie przyszło. Coś mu nakazywało spodziewać się rzeczy nadzwyczajnej, jako niezwykłym było mu wszystko, na co spojrział. Miał się ozwać w nim czy nad nim jakowyś głos dobrej rady i natchnienia. Miał się ukazać znak tajemniczy na niebie czy na ziemi.

Znowu stało się wszystko zwyczajne. Po swojemu, powszednio wyglądało miasto i rzeka, domy i dzwonnice. Szumiał wietrzyk w brzożach, biła na mieście jakaś godzina...

Westchnął Justynek i zatopił się w czytaniu. Rozłożył na kolanach ciężką książkę w grubych, skórzanych okładkach. Prastary był jej gruby druk—

czzerwony i czarny. Dziwne były stare ozdoby na kartach, pełne tajemniczego znaczenia, które śnać zrozumiałe było ongiś dla dawnych, od wieków pomarłych ludzi.

„Błogosławiony, który czyta i słucha słów proctwa tego i zachowuje to, co w nim jest napisano. Albowiem czas jest blisko.“

Czytał Justynek po swojemu, tak jak zwykle książki nabożne. Usta szeptały natchnione słowa, oczy przykuwały się do wydrukowanej karty, a gdzieś daleko, głęboko, niewiadomo gdzie, rodziły się rzeczy nadzwyczajne, ciekawe i straszne, rozkoszne, bolesne, senne i prawdziwe. Powstawały niespodziewanie jaskrawe i wyraźne obrazy, odzywały się śpiewania anielskie. Rozsuwały się wielkie jak świat purpurowe zasłony, odkrywając tajemnicze przybytki...

Szeptał doń martwemi ustami Chrystus ukrzyżowany, dalekim odgłosem gromów odzywał się gniew boży na grzeszników, przeciągali korowodem święci pańscy, prorocy Izraela. W głębi kolosalnych katedr, pośród gotyckiego zmroku, odprawiały się uroczyste nabożeństwa, snuli się w dymie kadzideł kardynałowie i biskupi, tłumy księży — niezliczona mnogość wiernych.

Zjawiały się przestrach i zgroza wobec tajemnic wiary, przychodziła słodka omdłałość i roztopienie się pod promieniem łaski...

Tak płynęły mu długie godziny poza światem i jak gdyby poza samym sobą. W pewnych momentach budził się i przykuwał uwagę do czy-

tanego ustępu. Wówczas ciężko pracował głową, mozoląc się nad rozwikłaniem zagadek mistycznego języka. Po sto razy powtarzał niezrozumiały ustęp i jakże często nie mógł zupełnie wybrnąć.

„I słyszałem głos wielki z kościoła, mówiący siedmiu Aniołom: Idźcie, a wylejcie siedm czas gniewu bożego na ziemię.“

Serce w chłopcu ścisnęło się z bólu. Widział własnymi oczami to morze gniewu boskiego, zalewające Polskę. Wszystko wokoło stało pod tą karzącą powodzią.

— Zaco? Zaco, Panie?

Nie mógł znieść Justynek nieprzebranej krzywdy swojego narodu. Łzy zaczęły kapać na karty starej księgi. Płakał i czytał.

„A bestja podobna była rysiewi, a nogi jej jako niedźwiedzie, a gęba jej jako gęba lwowa. I dał jej smok moc swoją i władzę swoją.“

„I kłaniali się smokowi, który dał władzę bestji, i kłaniali się bestji, mówiąc: Któż podobny bestji? A kto z nią walczyć będzie mógł?“

„I otworzyła usta swoje bestja na bluźnierstwa przeciwko Bogu, aby bluźniła imię Jego i przybytek Jego i te, którzy mieszkają na niebie.“

„I dano jej walkę czynić ze świętymi i zwyciężać je. I dano jej władzę nad wszelkim pokoleniem i ludem i językiem i narodem.“

Czerwona jak od krwi stała się karta, na której stały straszne słowa. Jakiś mocny, rażący czerwienią blask uderzył chłopcu w same oczy. Justynek oderwał oczy od książki i spojrzał w dal.

Wilno płonęło. Purpurowym ogniem gorzał cały świat. W ogniu stały domy, wieże, drzewa i góry Ponarskie. Żywym ogniem płynęła rzeka. Na krańcu świata, opierając się brzegiem o ziemię, stała krwawa tarcza słoneczna. Na niej zdawały się kreślić czarne litery tajemniczego pisma: — A bestja podobna była rysowi — a nogi jej jako niedźwiedzie...

Wisiła nad miastem ciężka chmura. Spodem czerwieniła się od zachodzącego słońca, ale masa jej była czarna. Zwolna coś się w niej rozpowijało. Kłębiły się w jej wnętrzościach krwawe, gęste dymy, wywłoczyły się z niej smugi, cieniał, wydłużał się jej kształt. Zrobił się jakby łeb z ostrą paszczą, wyciągała się szyja, rozpostarły się we cztery strony grube łapy...

Wisił potwór nad miastem i krajem. Poruszał się zwolna, czyhając na coś. Rósł i olbrzymiał w oczach, ogarniając już całe niebo, grożąc całemu światu.

Nagle znikło słońce, schowawszy się pod ziemię. Zgasły mocne barwy i świat zaciągnął się jakby siną mgłą. Nad smutną ziemią tkwił na wysokości potworny kształt bestji i panował.

W bolesnej zadumie, pełnej złego przeczucia, stał chłopiec na wzgórzu i patrzył na rodzinne miasto. Zdawało mu się, że rozumie teraz strasz-

liwe proroctwo. Wyjaśniły się trudne słowa, którymi mąż natchniony przemawiał do wieków potomnych. Dokonały się dzieje, szatan zapanował nad światem.

Zapadał wieczór. Na mieście zapalały się światełka. Pierwsza gwiazda mieniła się srebrem na pociemniałych niebiosach.

Chłód powiał z dołu. Ozwała się gdzieś sygnaturka na Anioł Pański. Za nią druga, trzecia — biły dzwony ze wszystkich kościołów poważnie i smutno.

Justynek zdjął czapkę i chciał zmówić Anioł Pański. Wzniósł oczy ku niebu...

Nie było na niebie potwora! Oderwał się łeb bestji, rozplynał się poczwarny kadłub. Zostały z niego jeno strzępy. Justynek gorąco dziękował Bogu. Zaco? W zmęczonej, dziecinnej duszy wyrosła jakaś nadzieja. Przeczuwał niedaleką godzinę, kiedy zrozumie całą wolę Boga i uczyni, jako mu będzie rozkazane.

* * *

U państwa Undrewiczów w dworku na Małej Pohulance, na werandzie od ogrodu siedziało o szarej godzinie kilka osób z sąsiedztwa. Już od pół godziny panowało tu milczenie. I domowi i goście zdawali się być zasłuchani w trele słowika, który gdzieś w gałęziach zawodził rozgłośnie a rozkosznie. W ciepłym, dusznym powietrzu mocny upajający zapach kwitnących akacji. Pod dachem werandy było już prawie zupełnie ciemno. Nad drze-

wami zapalały się pierwsze gwiazdy i wśród skupionej w ciszy ciemności pieśń słowicza rozprowadzała się, znikała, zamierała i wybuchała znowu, jak rzuty nieuchwytnych błyskotliwych barw, jak wróżba i oczekiwanie niewysłowionego jakiegoś cudu i szczęścia.

Przemówił pierwszy stary Wołoncewicz — to-
nem zdziwienia i przestachu.

— Niechże się kto odezwie!... Bo jakem stary...
Ja już nie mogę wytrzymać tej cichości! Czyście
już wszyscy pomarli?! Ja oszaleję! Ja wam po-
wiadam, że zaraz, za małą chwilę zacznę wyrabiać
chryje i zabiorą mnie do szpitala warjatów!...

Odpowiedziało mu tylko kilka westchnień. Sło-
wik szalał z rozkoszy. Z akcji potokiem spływało
odurzające upojenie.

Justynek siedział na schodkach, prowadzących
z werandy do ogrodu, i płakał pocichutku. Opłaki-
kiwał śmierć męczeńską swego wuja. Był to wuj
bardzo daleki, Justynek go nie znał i nigdy go na
oczy nie widział. Siedział ów wuj Leon na wsi aż
gdzieś w Grodzieńskim i nigdy nic o nim nie
było słyhać. Aż dopiero dzisiaj przybył z owych
stron niejaki pan Jaskold i opowiedział, co się
stało. Za pomoc, okazaną powstańcom, dowódca
szwadronu dragonów rozdał okolicznym chłopom
i kazał im sobie zabrać wszystkie ruchomości, cały
inwentarz i wszystko, co tylko dało się zabrać
z majątku wuja Leona. Jego samego zamęczyli na
śmierć dragoni, a potem podłożono ogień pod
dwór, zabudowania, szopy, sterty. Wyrąbano drzewa

w sadzie, a na koniec nakazane było chłopom
wszystko zrównać z ziemią i zaorać.

Pan Jaskold opowiadał to już kilka razy w ciągu
dnia, bo przychodzili coraz to inni, a każdy chciał
wiedzieć wszystko od początku.

— Cóż tu jeszcze mówić i jak tu mówić, pa-
nie doktorze. No i co tu jeszcze można powie-
dzieć? — śpiewał żalonym głosem pan Jaskold.

— Wracają czasy Attyli i Tamerlana — ozwał
się z głębi ciemności profesor Wojtalewicz. — Potym
nastąpi nowa wędrówka narodów. Tylko gdzie
pójdą, gdzie się podzieją nieszczęśni Polacy?

— Na Sybirze miejsca dosyć.

Znowu zapanowało milczenie, tylko chwilami
z poza trelów słowicznych wydobywało się stłu-
mione łkanie pani Undrewiczowej.

— To nie wyjątek i nie żadna osobliwość, proszę
państwa — ciągnął rozgadany pan Jaskold. — Jakem
wyjeżdżał (bo pocom miał tam siedzieć), to spalono
już takim sposobem oprócz majątności ś. p. Leona
jeszcze Szczuki, Dziką, Jaworówkę (bardzo piękny
majątek) i Sztukiny. A co się tam teraz odbywa?

— Znów się ruszą starowiercy i znowu zapłoną
dwory, a tu w Warszawie wieszają niewinnie księ-
dza Agrypina Kowalskiego, a w Dynaburgu tracą
hrabiego Platara — wzór i chwałę obywatelstwa
litewskiego...

— Kontrybucja ma być ściągnięta w dziesięć
dni! Zostaje jeszcze cztery. Na rany boskie, prze-
cie prócz może paru magnatów nikt nie zdąży
zapłacić!

— Wyrok śmierci na całą szlachtę.

— Co tu gadać, to już nie wojna, to wyćpienie imienia polskiego, jego śladu i popiołu — jęknął radca Miodragowicz. — Nikt mnie nie posądzi o małoduszność. I ja walczyłem i ja wierzyłem. Jeszcze wczoraj jabym się pierwszy sprzeciwił, gdyby ktoś zechciał coś takiego... Ale dzisiaj, moi państwo! Trzeba powiedzieć sobie prawdę. I ja to powiem. Zawsze działałem według przekonania. Trzeba otwarcie, publicznie, szczerze wszystko, co było, potępić, odwołać. Trzeba wystosować do rządu akt pokory, trzeba błagać i raz na zawsze, na wieki wieków obiecać i przysiąc za naszych synów i wnuków. Tu idzie o Polskę, panowie! Dosyć Rządów Niewidomych i tajnych komitetów! Oni tego przez głupi wstyd i politykę nigdy nie uczynią. Niechże się nareszcie wypowie cały ogół bez żadnych pośredników. Taki adres do tronu podpisze każdy Polak, co dba o przyszłość i o byt kraju. Ja pierwszy podpisuję, bo nam nic innego nie pozostaje! Dixi.

— Hańba! — krzyknął młody Prądzyna.

— Przed Bogiem ukorzenie. Przed jednym Bogiem na kolana! — zagrzmiał ksiądz Brazulis. — Nie przed synem djabelskim i nie przed jego namiestnikiem!

— Ale co robić? Co my mamy robić? — wołał ktoś rozpaczliwie.

Na to pytanie Justynek drgnął i zerwał się na równe nogi. Nie śmiał się mieszać do rozmowy starszych i nie wiedział, coby miał do powiedze-

nia. Olśniło go jednak w tej chwili przejasne jak błyskawica rozumienie.

Ktoś niewidzialny, ale już obecny, ów, na którego tak dawno czekał, szepnął nad nim jedno słowo.

* * *

Krażyły po Wilnie najrozmaitsze opowieści i legiendy o nowym wielkorządcy Litwy.

Opowiadano sobie przyciszonym głosem o jego wszechmocnych wpływach, o niebywałych pełnomocnictwach, jakie otrzymał w Petersburgu. Sama carowa miała paść przed nim na kolana i błagać o ratowanie Rosji. Na tajnej radzie, do której należą tylko członkowie carskiej rodziny i ministrowie, stanęło, że Polaków na Litwie należy wyćpić co do jednego w przeciągu pół roku, wyjąwszy tych, co przejdą na prawosławie. Wszystkie kościoły katolickie mają być zamknięte, zakony rozwiązane i wypędzone. Ci z Polaków, którzy nie zechcą się sami wynieść do Kongresówki albo za granicę, będą pognani na Sybir.

W owym czasie nic nie wydawało się niepodobieństwem. Zatracili już ludzie wszelką miarę rzeczy możliwych. Niepodobna było odróżnić plotki od prawdy. Zaczęto żyć w gorączce, w nieustannym oczekiwaniu na niewiadome a najgorsze. Piórunkiem spadające klęski odebrały męstwo najmężniejszym. Wszystko kuliło się w sobie, każdy modlił się jeno o to, żeby zapomniano o jego istnieniu. Co wieczora w każdym domu na Litwie dzie-

kowano Bogu za darowany dzień, a sen był niepokojny, dręczący. Zrywał się udręczony człowiek po nocy i szeptał:

— Bogu dziękować, nic się nie stało — i nad słuchiwał wśród nocy, czy nie nadchodzi nieszczęście. Uspokajał się, zasypiał, z lękiem myśląc o przyjść mającym dniu.

Już wyginęli, już polegli wodzowie. Topniały, znikwały oddziały zbrojne, ginęły w boju, rozprasały się jak pył z niezmiernym trudem zorganizowane partje, albo, uchodząc przed wrogiem, zaszywały się w dzikie bory i niedostępne trzęsawiska, by tam pędzić długie miesiące wśród głodu i ludzkich trudów i trwać — dopóki nieprzyjacieli, wyrębując lasy i sypiąc groble, nie docierał nareszcie i do nich.

Tużali się w pojedynkę rozbitki, przekradając się nocami, unikając siedzib ludzkich, aż głód, rany, choroba pędziły ich ku wsiom i, jeśli nie padli po drodze, stukali drżącą ręką do ciemnego okna chałupy lub dworu.

Długo patrzyło się weń przez szybę wlepione w osłupieniu struchlałe oblicze rodaka.

— Na miłosierdzie boskie, idź sobie dalej, człowieku! Miej litość nade mną i nad mojami niewinnymi dziećmi...

— Na miłosierdzie boskie... konam z głodu i trudu...

Ciskano mu chyłkiem kobiałkę z jedzeniem, stare buty, parę groszy. Płacząc ze strachu i z po-

gardy ku sobie, zasypiał obywatel litewski, czekając Sybiru za tę zbrodnię miłosierdzia.

Obdarowany szedł dalej w ciemną noc, zbaczając z gościńców, kołował, trudził się i biedził, byle odwlec ostatnią swoją godzinę. Nie mając po co wracać do spalonego domu, do zagrabionej dziedziny, gdzie czekała nań jeno na zgliszczach straż, żeby go zawlec do kaźni — szedł przed siebie z duszą umarłą i przekleństwem na ustach.

Jak wichher hasał po Litwie strach i przyginał wszystko do ziemi. Ociekała krwią, ale jeszcze walczyła Korona. Na miejsce poległych jeszcze wychodziły w pole nowe kupy zbrojne. Nacierały, broniły się, goniły się z wrogiem, ginęły. W Koronie wrzała wojna. Na Litwie dobijano ранnego, poniewierano jeszcze jego trupa. Na cmentarzyskach, po zgliszczach gospodarzyły szakale i hijeny. Nad zniszczoną, wyjałowioną i zatrutą ziemią unosiła się w ponurości i ohydzie postać „jego“. Zgroza, strach i nienawiść otaczały to imię.

Justynek słyszał, że ma on na całym ciele krwawe piętna, które są znakiem Antychrysta. Olbrzymiej postawy, jest ohydnie obrzękły i otyły, o twarzy zwierzęcej i szpetnej, o wejrzeniu okrutnym. Wstydzając się własnej postaci, unika ludzi i nie pokazuje się nikomu. Nigdy nie wyjeżdża na miasto. Rządzi z ukrycia, z pałacu Massalskich i stamtąd morduje i niszczy. Tam w samotności po nocach, radząc się jeno z diabłami, którzy stróżują u jego łoża, obmyśla sposoby, żeby co najrychlej wyrów-

nać i udeptać mogiłę, w której leży umęczona Polska.

Nie może spać, jeżeli tego dnia nie podpisał na nikogo wyroku śmierci. Jedyłą jego radością jest cierpienie ludzkie, jęk katowanego, krew, łzy i krzywdy.

I w mistycznej wyobraźni chłopca rysowało się przerażające widmo tego wroga rodzaju ludzkiego. Wydawało mu się niepojętym, że żyje on życiem ludzkim, że można go zobaczyć, dotknąć. Głęboko wierzył, że takiemu, jak on, nic zrobić nie można, bo szatana pogrążyć może tylko jedna jedyna siła.

Zaczynało się już w Justynkowej głowinie trudne myślenie nad tym, dla czego Bóg znosi to wszystko i ścierpi obok siebie szatana? Żył w nim mocna wiara, że zło musi być ukarane, ale podnosił się i żal i nieśmiałość w modłach pytanie:

— Czemu Bóg nie daje widomego znaku swojej sprawiedliwości?

I naówczas przysła chwila, w której Justynek usłyszał głos objawienia i słowo prawdy. Od razu odmieniło się w nim wszystko. Nie rozumiał tego umysłem i nie wiedział, co mu czynić należy. To jedno było mu powiedziane, że Bóg zamierza zdjąć z Polski sprawiedliwą karzącą prawicę i powstrzymać łzy ludzkie — albowiem spełniły się czasy.

Oznajmiono to jemu, Justynkowi Undrewiczowi, który nic nie mógł i nic nie umiał, jeno płakać, modlić się i bać się ojca. W całym Wilnie, w całej Litwie, w całej Polsce i na całym świecie wiedział to tylko on jeden. Nie ojciec, nie mądry stary

ksiądz Brazulis, nie Rząd Narodowy — jeno on — niedorosły chłopiec. Było w tym radosne zdumienie. Była i дума.

Chłopiec chodził, jak oczarowany. W oczach paliły mu się ognie, w spojrzeniu było jakby zachwycenie nieziemskie. Doktor Wołoncewicz uznał, że mały ma febrę. Dano mu proszki, położono go do łóżka, a kiedy się obudził, dowiedział się, że chorował przez trzy tygodnie.

Oznajmił mu o tym Stasiak Grębecki, który siedział przy nim wraz z drugim kolegą Antkiem Szahinem i grał z nim w warcaby.

— Toś już wrócił, Stasiak?

— Wróciłem. Ale tylko po to, żeby się wybrać porządnie i już naprawdę!

— I ja idę! — oznajmił Antek.

— A reszta? A pan Paszkiewicz?

— Paszkiewicz nas zdradził. Jego odrazu przyjęli do partji i dali mu nawet dubeltówkę. A nas on się wyparł. Dali nam jeść i kazali się wynosić. Ale byliśmy naprawdę w obozie i pozwolili nam nawet przenocować.

— Jakże teraz pójdziesz? Z kim? Któż cię przyjmie?

— Już ja wszystko wiem! Ale to wielka tajemnica!

— Babka cię już za nic nie puści.

— Wiem, że nie puści. Ale ona teraz chora i musi siedzieć w fotelu z obandażowanymi nogami, a na łóżko ją przenoszą na rękach. Pójdę sobie poprostu i już.

— A kiedy?

— Chyba że za tydzień. Broń jeszcze nie wszyscy nasi mają.

— A dużo was jest?

— To tajemnica!

— Ja wszystko wiem! — odezwał się Antek.

— Jak wiesz, to milcz, bo na zdrajców mamy sztylety! Przysięgałeś?

— Justynkowi można powiedzieć.

— Ani Justkowi, ani rodzonej matce, ani księdzu na spowiedzi — bo śmierć!

Opowiadania o nadzwyczajnych przygodach oddziału pana Paszkiewicza zajęły Justynka niezmiernie. Szczerze zazdrościł Staškowi. Szczerze zapragnął wybrać się z nim w lasy na tę wojnę.

Obudziła się w nim jakaś dzielność i pragnienie rzeczy nadzwyczajnych, niebezpiecznych i strasznych.

Ale weszła matka i kolega Grębecki umilkł i zrobił surową minę. Po chwili obadwaj koledzy pożegnali chorego i poszli, obiecując przychodzić codzień.

Pani Undrewiczowa cieszyła się, że Justynek oprzytomniał, a jeszcze bardziej z tego, że z zajęciem iżywieniem rozmawiał z chłopcami. Spodziewała się, że wraz z chorobą minie i ta jego melancholja i zamyślenie do samotności.

A Justynek rozważał właśnie, jak to on wykradnie się z domu i po nocy ruszy na umówione miejsce zbrojne. Tam złoży przysięgę, otrzyma broń i stanie w szeregu. A potem — pochody, bitwy,

sława i albo zwycięstwo, albo śmierć zaszczytna za ojczyznę...

Tu ocknął się nagle. Coś sobie przypomniał. Długo spoczywał nieruchomo z przymkniętymi oczami. Długo myślał, a kiedy otworzył oczy, już zamiar wojaczki został porzucony.

Stało się to, jak gdyby obudził się w nim człowiek dojrzały, znający siebie i swoją drogę. W jednej chwili opuściły go wszelkie rzeczy małe i dzieciństwa.

* * *

W pokoiku Justynka wisiał na białej ścianie wielki szerniały obraz w starożytnej czarnej ramie. Była to Matka Boska Bolesna, stary zabytek rodzinny, niezmiernie czczony w rodzie Undrewiczów. Do niej uciekano się o pomoc we wszystkich ważnych wypadkach. Ona to pomogła mecenasowi Undrewiczowi wygrać niezmiernie zawikłany i słynny proces testamentowy Barkwiców przeciwko Mongajłom, od którego zależał cały byt rodziny, ona uratowała życie pani Undrewiczowej po nieszczęśliwym urodzeniu siostrzyczki Justynka, która przyszła na świat nieżywa.

Ona to wreszcie po trzykroć wróciła zdrowie Justynkowi, który całe pierwsze dzieciństwo swoje ciężko przechorował.

Kiedy się już wyjaśniło, że Justynek zostanie księdzem, obraz został uroczystie przeniesiony z sypialni rodziców do jego pokoju. Przed tą Matką Boską odmawiał Justynek poranne i wieczorne pa-

cierze, ona opiekowała się chłopcem, pomagała mu w naukach i strzegła jego snu po nocach, czerpiąc się na białej ścianie. Była to ukochana jego powiernica, niemniej czczona, niż cudowne lub łaskami słynące obrazy po kościołach. Co sobota paliła się przed nią czerwona lampka, a od wczesnej wiosny aż do jesieni na małym stoliczku-ołtarzyku pod obrazem stały w wodzie świeże kwiaty lub pęki zieloności.

Patrząc zblizka, można było jeszcze rozpoznać zarysy oblicza, szaty i ręki, ale na pierwszy rzut oka na obrazie widać było na czarnym tle tylko siedem srebrnych mieczów, utkwionych w piersiach bolejącej matki.

I teraz, leżąc na swoim wązkim łóżeczku, obrócił chłopiec bladą i wychudłą twarzyczkę ku wizerunkowi pocieszycielki. Spojrzały ku niej wielkie i smutne niebieskie oczy dziecka z nieśmiałą prośbą.

O rzecz wielką i niesłychaną prosił za tym razem Justynek. Zapragnął utwierdzenia wiary swojej, żeby była twarda i mocna, jak u pierwszych chrześcijan. Ze szczerą pokorą, niepomny, że wyżej nie może posunąć się hardość człowieka, zażądał rozmowy z bóstwem. Potrzeba mu było rady i wskazania, głosu z nieba i widomego znaku łaski. Do kogóż udać się ma człowiek w takiej potrzebie, jeżeli nie śmie przemówić bezpośrednio do samego Boga? Do kogóż, jak nie do Orędownicy pańskiej, matki Syna bożego?

Przez całe popołudnie aż do wieczora modlił się Justynek o tę wielką łaskę. Bogu, który znał

każdą jego myśl, przedstawiał w słowach wymownych, że w łasce swojej nieogarnionej za wielki ciężar włożył na jego pacholące barki.

— Nie poradzę, Boże mój, bom niedorosły i jeszcze niemądry. Jakże mnie dokonać rzeczy ogromnych, które za trudne są dla najmędrszych w narodzie i dla najmężniejszych? Wszyscy chcą, wszyscy myślą, wszyscy radzą. Gina za to ludzie tysiącami. Oddają swoje majątki. Nie szczczędzą zdrowia i wolności. A ja cóż? Co mi każesz, Boże?

Uginam się pod Twoją wolą. Pragnę tego w posłuszeństwie bez granic. Jestem szczęśliwy i zrozpaczony. Pojąłem wolę Twoją, ale nic nie wiem, co mam czynić. Nie rozumiem, czego ode mnie chcesz. Mogę się omylić. Musiałbym odgadywać. Mozolę się ciężko, a nic jeszcze nie wiem. Cóż ja mogę sam, bez Ciebie?

Święta jest wola Twoja. Nie moim rozumem dochodzić, czemu mnie wybrałeś. Mnie to przeraża i gnębi — ale Ty wiesz, co czynisz. Jestem niegodny rzeczy wielkich i niedołężny, gubię się w myślach i nic nie mogę wymyślić własnym rozumem.

Dałeś mi poznać straszną prawdę, wskazał na mnie palec Twój. Ale jakże ja poznam, że to prawda, a nie moje przywidzenie? To jest najgorsza moja męka. Zlituj się, Panie, bo przychodzą na mnie straszne godziny, kiedy mi się wydaje, że nic prawdy niema w tym wszystkim.

Ktoś ze mnie szydzi złym szyderstwem, jak szatan. Ktoś się ze mnie śmieje, jak człowiek dorosły śmieje się z tego, co o poważnych sprawach mówi

małe dziecko. Zlituj się i oszczędź mojej męki. Daj znak, powiedz, ażebym wiedział i mógł czynić, jak mi każesz!

Wiem, że Ty wszystko możesz — możesz i przeze mnie dokonać rzeczy największych. Możesz przeze mnie Polskę wybawić. Ale daj mi coś przecie wiedzieć! Wybawiłeś Francję przez Joannę d'Arc. Ale ona, choć dziewczyna, była dorosła. To była prosta dziewczyna ze wsi, nie umiała czytać ani pisać. A ja jestem już w czwartej klasie i umiem chyba daleko więcej, niż ona. Ale cóż zdołałaby ona uczynić, gdyby nie miała na zawołanie głosów z nieba i wyraźnej Twojej rady? Cóż i ja mogę, jeżeli jeszcze nic nie wiem?

Tak modlił się w myśli Justynek, szeptał urywane słowa, marzył. — Łzy stawały mu w oczach. Słał ku opiekunce swojej ciężkie westchnienia, spojrzenia błagalne. Chwilami wypoczywał, zmożony modlitwą, zapadał w krótkie uśpienie, budził się i rozpoczynał znowu swoją rozmowę z Bogiem.

Do izdebki wpadał zielonkawy cień od drzew, stojących tuż za oknem. Dobiegały radosne głosy ptaków. Czasem zabłądziła tu pszczoła i z brzękiem i zgiewaniem okrążała pokój, nie mogąc trafić do okna. Czasem ciekawy wróbel spadał na okno, ćwierkał głośno i wesoło, spoglądał raz i drugi, przekraczając łąpek, i znikał. Wówczas Justynek uśmiechał się swoim dobrym i smutnym uśmiechem chorego dziecka.

Zbliżał się już wieczór. Justynek, wyczerpany zupełnie trudnemi myślami, spoczywał bez ruchu i tak był słaby, że tylko szeptem mógł odpowiadać na pytania. Wezwano doktora Wołoncewicza, który zmierzył gorączkę, zapisał nowe lekarstwo i, nie domyślając się, jak to może podziałać na chłopca, zaczął opowiadać, co za straszne rzeczy dzieją się po więzieniach, jak urzęduje komisja śledcza, co wyprawiają z więźniami Łosiew, Jugan, Gogiel, którym na łaskę i niełaskę zdane jest życie każdego więźnia, jego rodziny i blizkich.

— Pani Ilgocka z panią Hubarewiczową już wróciły z Petersburga. No i nic. Oczywiście!

— Jak to, nie widziały się z senatorem Bebutowem? Nie przyjął?

— Przyjął jak najlepiej. Powiedział, że zrobi, co tylko może, dla każdego skazanego z Korony. Ale co do Litwy — ani gadania. Tam nikt nie śmie się wstawić, jeżeli podpisał Murawjew. Jego się i tam boją, jak ognia. Sama carowa nie śmiała nic uczynić dla pani Berisławskiej, która miała protekcję do cesarzowej Eugenji.

— A ochmistrzyni? Przecie ona wyrabia z samym carem, co zechce.

— To wiadomo. Ale wiecie, co odpowiedziała — była bardzo grzeczna, nawet sobie oczy ocierała, niby ze wzruszenia: — Na Litwie car — to on. Najjaśniejszy pan oddał mu całą swoją władzę.

— Tego jeszcze w Rosji nie bywało.

— Co za czasy i co za okropny człowiek!

— Człowiek! Mów pani — czart, antychryst, bestja apokaliptyczna!...

Na te słowa chory chłopiec szeroko otworzył oczy, zerwał się i usiadł na łóżku. W twarzy miał zdumienie i przestach. Bełkotał jakieś niezrozumiałe słowa, wyciągnął do czegoś ręce i opadł na posłanie.

— Co ci jest, synku? Co tobie, dziecko najdroższe?!

Ale Justynek nic nie mówił, tylko patrzył w matkę szeroko rozwartymi nieruchomymi oczami. Biło z nich jakieś szalone, niewytłumaczone uniesienie. Wystraszona matka przygarnęła do siebie jedynaka, obsypywała go pocałunkami i z płaczem w głosie pytała nieskończoną ilość razy:

— Co ci jest, dziecko? Co ci się wydaje? Dla czego nic nie mówisz? Nie możesz? Justysiu, Justysiu, nie patrz tak, zlituj się, powiedz choć jedno słowo...

Ale Justynek, pomimo wszelkich wysiłków, nie mógł przemówić do matki, a nieruchome jego straszne spojrzenie zdejmowało ją przerażeniem. Doktor kazał przykładac lód do głowy.

* * *

Było już po północy, kiedy Justynek ocknął się z kamiennego snu. W ciągu długich godzin dręczyły go niewyraźne majaki. Powtarzał się zwłaszcza jeden straszny sen: wdrapywał się wraz ze Staśkiem Grębeckim i Szahinem na stary mur,

zbudowany z wielkich poczerniałych cegieł. Tamci dwaj wylazili szybko, ale Justynek osuwał się ustawicznie, słabł z wysiłku i w żaden sposób nie mógł wyleźć na ten mur. Z za muru zwieszały się gałęzie drzew. Koledzy siedzą już na wierzchu okrakiem i patrzą w ogród. Napróżno prosi o podanie ręki. Zapatrzeni obadwaj, zdają się nic nie słyszeć. Justynek wszczepia palce w szpary między cegłami, zdziera sobie paznokcie i dźwiga się do góry. Już głową dotknął zwieszanej nogi Staśka, uchwycił się za nią. Stasiak spojrzał ku niemu w dół. Był blady, jak ściana, usta mu się trzęsły. — Co ci, Stasiak? — Czy wiesz, co stąd widać? Wiesz, czyj to ogród? — Przecie wiem — Dominikański. — Nieprawda! To jego ogród! A on sam siedzi pod lipą tutaj blisko i podpisuje wyroki. — Kto?! — On sam. Stoi przy nim dwóch czarnych, całkiem gołych, jak djabli. Jeden trzyma kałamarz, a drugi zasypuje piaskiem. A on jest cały goły, tylko w butach z ostrogami. — Dla czego i on goły? Nieprawda! — Goły, bo gorąco. Wszędzie na ciele ma czerwone plamy. Podpisuje papiery, a co podpisze, to się roześmieje. Słyszysz?

I z poza muru doleciał wyraźnie głuchy odgłos, jakby końskiego rżenia. Justynka ogarnia straszne przerażenie. Siły go opuszczają. Lada chwila palce puszcza i obsunie się na dół, koledzy podają mu ręce. Szahin też jest blady i ma szeroko wytrzeszczone oczy. — Trzymaj się, Justek, — szepce — to cię wyciągniemy. — Nie chcę, boję się!

— Kiedy to okropnie ciekawe! — Nie chcę. Nie chcę!

Znowu rozlega się tensam gruby, rżący śmiech, ale za tym razem gdzieś strasznie blisko. I Justynek obsuwa się z muru, pociągając za sobą kolegów. Z przeraźliwym krzykiem walą się gdzieś w bezdenną przepaść.

Następowało martwe, ciężkie uśpienie. A potem zaczynało się wszystko od początku. Wreszcie Justynek zaczął przypuszczać, że to tylko sen. Usiłował obudzić się, jęczał przez sen.

Nareszcie zbudziło go lekkie czyjeś dotknięcie. Usiadł na łóżku i niebiańska radość zajaśniała w jego oczach.

Wśród ciemności jarzył się czerwonym ogniem obraz Matki Boskiej. Dobrym, niewypowiedzianie słodkim spojrzeniem patrzyła na niego Opiekunka. Wszystko wyczytał, wszystkiego się nareszcie dowiedział z tego spojrzenia. Patrzeli na siebie długo. — Czy rozumiesz? — pytały oczy. — Rozumiem! — Czy wiesz? — Wiem! — Uczynisz, jak Bóg każe? — Uczynię! — Będą cię szarpali rozpalonemi cęgami, będą z ciebie pasami darli skórę. Wyklują ci oczy. — Dobrze, Matko Najświętsza! — Dasz się umęczyć za swój naród umęczony? — Święta niech będzie wola boża! — Uratujesz Polskę i pójdziesz do nieba!

Justynek był przytomny, rozumiał wszystko i odpowiadał tak, jak przystało męczennikowi, który

dostał łaski oglądania cudu. Niezmierna była jego radość. Dotknął się już źródła wiecznej szczęśliwości i już się dlań zaczynało życie nieziemskie.

Wyciągnął ramiona ku świętemu obrazowi, gdzie żyła i mówiła doń ludzkim głosem i ludzkim spojrzeniem Matka Pośrednica. Dziękował jej, roztopiał się i umierał z tej wdzięczności. Mówił jakieś słowa mądre i piękne, takie, jakie stoją w żywotach świętych i w innych księgach nabożnych.

Matka Boska spoglądała nań wciąż dobrze i przesłodko. Nagle poruszyła się. Justynek struchlał. Serce zamarło w nim z uniesienia. Widział, jak z obrazu wysunęło się ramię w szerokim rękawie z zielonego aksamitu, naszywanego perłami, i biała dłoń ujęła za rękojeść jednego z siedmiu srebrnych mieczów. Zwolna wyciągała Matka Boska miecz z pod swego serca. Podniosła go ku górze, uczyniła znak krzyża i, ujawnszy miecz za ostrze, podała mu go, rękojeścią naprzód. Justynek wyciągnął drżące rączyny po ten dar.

* * *

Robił wszystko, żeby jak najprędzej wyzdrowieć. Słuchał doktora, słuchał we wszystkim matki. Różne gorzkie lekarstwa brał z uśmiechem, jak gdyby to były słodycze, a kiedy matka wychodziła z pokoju, popijał jeszcze potrosze z różnych buteleczek, stojących przy jego łóżku, pragnąc przyspieszyć chwilę wyzdrowienia. Dużo sypiał, wzmagał się na siłach i był ustawicznie szczęśliwy.

Pozwolono mu nareszcie wychodzić do ogrodu.

Po chorobie był dlań rozkosznym widok zieloności i ciepłe, pachnące powietrze. Jednak wszystko, co przychodziło ze świata, było dlań już dziwnie obce. Miły i wzruszający był widok rzeczy i ludzi, ale nie było mu niczego żal. Nie było mu żal nawet matki i ojca. Ogromna sprawa, którą miał do dokonania, zabrała mu wszystkie siły i wszystkie chęci.

W starym ogrodzie, w głębokim cieniu drzew godzinami wysiadywał na ławeczce, pogrążony w myślach. Nie rozbiegały mu się one w marzeniu, w bezwładnej i rozkosznej kontemplacji rzeczy pozaświatowych. Nie było w nich łez ani rozpaczki nad klęskami i cierpieniem swojego narodu. Bo do dawniejszych nieszczęść codzien przybływały nowe. Przez cały czas jego choroby co kilka dni odbywały się w Wilnie egzekucje, nie licząc tych, co byli rozstrzelani lub powieszani w Dynaburgu, w Kownie, w Sokółkach, w Lidzie, w Mohylewie, w Borysowie, w Poniewieżu, w Wiłkomierzu, w Nowogródku...

Nie poruszyło go nawet powieszenie gienierała Sierakowskiego, który był na Litwie najgłośniejszy, najbardziej kochany i najgoręcej oplakiwany. Bóg, gotując go do rzeczy wielkiej, dał mu siły do spokojnego znoszenia ciosów, pod którymi uginali się wszyscy. Dał mu Bóg i rozum, którym miał ogarnąć powierzona sobie sprawę i wykonać ją według woli boskiej.

Zaczął Justynek rozumieć i widzieć mnóstwo rzeczy, których przedtem nie dostrzegał. Śmieszne dlań były wszelkie przygotowania wojenne Staśka

i Antka, którzy wciąż jeszcze wybierali się do lasu. Bawiły go srogie miny i krzyki zapalczywego ojca, których tak lękał się jeszcze niedawno. Przestał wierzyć w nadzwyczajną mądrość księdza Brazulisa. Spostrzegł, że kucharka, stara Rozalja, woziwoda Matyjaszek i stróż oraz ogrodnik ich domu, kulawy Ciuchna, nie są bynajmniej tacy ciemni i niemądrzy, jak to utrzymywali wszyscy. Mamusia była po dawnemu dobrą, ale Justynka bolało, że każe ona tak ciężko pracować służbie i nie widzi tego, że i Rozalja i Ciuchna, a zresztą i Matyjaszek są to ludzie starzy, których należałoby oszczędzać. A mamusia, tak niezmiernie dobra dla niego i dla wszystkich, gniewa się o byle co i krzyczy na biednego, pocziwego Ciuchnę. Justynek spostrzegał to wszystko niechęć, ale nie zastanawiał się nad tym. Uwagę jego całkowicie pochłoneła jedna jedyna sprawa. Wszystko, co było poza tym, wydawało mu się takie małe i niepotrzebne, że chwilami dziwił się, że to wszystko żyje, istnieje.

Z niecierpliwością wyczekiwał wyzdrowienia, bo potrzeba mu było dużo sił. Trzeba dużo siły, żeby zabić człowieka. On jest przytym ogromny i gruby. Nie lękał się Justynek jego potworności i straszliwego wyglądu, który przerażał ludzi, bo Bóg obdarzył go niezmierną odwagą, ale czuł, że na to, żeby uderzyć sztyletem, brakuje mu jeszcze siły w rękę. Łatwiej byłoby wystrzelić z pistoletu, nabitego podwójnym ładunkiem — ale Justynek był

posłuszny Matce Boskiej, która sama wybrała mu broń.

Jego zamierzony czyn w pewnych chwilach wydawał mu się niezmiernie trudnym. Były to chwile gorsze, momenty upadku ducha. Trwało to jednak krótko i przemijało bez śladu. Wiedział już bowiem Justynek, że było to tylko zwyczajne kuszenie diabelskie. Wówczas krążył koło niego djabeł, trzepotał za nim czarnymi błoniastymi skrzydłami, podglądał go ukradkiem z za drzewa, a nocą wystawał u szczeliny w okiennicy, nie śmiąc wejść pod dach, gdzie wisiał cudowny obraz. On to spuszczał na niego okropne chwile strachu i zamętu, kiedy mieszało się wszystko w głowie i kiedy niewiadomo było, co w tych wszystkich sprawach cudownych było prawdą, a co było jakimś przywidzeniem. Na szczęście jedno westchnienie o pomoc do Świętej Orędowniczki wystarczało, żeby pokusa minęła. Stawało się wszystko jasne, pewne, jak dzień.

I rzecz cała stawiała się łatwą. Przecież Bóg, każąc mu spełnić czyn wskazany, da mu zarazem siły do wykonania wszystkiego, jak należy. On go nie opuści w żadnej chwili. Ani wówczas, kiedy rzuci się ze sztyletem, żeby ukarać tyrana, ani wówczas, kiedy wrogowie będą mu zadawać najsroższe męczarnie. Owe męczarnie, którym poddawać go będą słudzy szatańscy: Jugan, Łosiew i Gogiel, o których tyle się nasłuchiwał — były rzeczą najważniejszą. Te męki będą odpłatą i pokutą, za nie odpuszczone będą wszystkie winy wszystkich ludzi i Polska „zdobędzie swą niepodległość i będzie

znowu wielkim i wolnym narodem“. Nic nie stanie się bez strasznych męczarni, i Justynek był gotów, jak byli gotowemi starodawni męczennicy, którym dana była tak niepojęta siła, że poganie mogli z nimi robić, co tylko chcieli i zdołali wymyśleć — a nie mogli ich złamać.

A potym palma męczeńska!

Niebo...

Justynek odczuwał chwilami straszny ból tego nieprzebranego szczęścia, które go oczekiwało. Wiedział jednak, że na niebo trzeba zarobić, że martwa jest wszelka wiara bez uczynków — i czynił potrzebne przygotowania.

Zabrał cichaczem z kuchni największy nóż i schował go w ogrodzie w dziupli starej jabłonki. Nóż był mocny, ostro zakończony, należało go tylko wyostrzyć. Ale Rozalja tak wytrwale szukała noża, a matka tak się gniewała, że aż zagroziła za ten nóż wytrącić Rozalji z pensji. Więc Rozalja rzuciła podejrzenie na woźiwodę Matyjaszka. Stary rozplakał się i, stojąc na ulicy z odkrytą łysą głową, patrzył w niebo i na cały głos przy ludziach wzywał świadectwa boskiego na dowód swojej niewinności. Justynek tegosamego dnia ukradkiem podrzucił nóż w kuchni. Nóż się znalazł, Matyjaszek pogodził się z Rozalją, Rozalja przeprosiła panią Undrewiczową, dziwili się wszyscy, co się stało z nożem, o nożu mówiono aż do wieczora na całej Małej Pohulance, a Justynek został bez broni.

Mógł być kupić nowy nóż w sklepie Zbożniakiewicza, ale wszystkie swoje zaoszczędzone pie-

niądze rozdał jeszcze przed chorobą ubogim pod Ostrą Bramą. Matka-by mu dała, wiele potrzeba, ale musiałby jej powiedzieć, na co mu potrzebne pieniądze. Tajemnicy zdradzić nie mógł, kłamać nie chciał i był w wielkim kłopotcie.

Kłopotał się, dopóki sobie nie wytłumaczył, że Bóg go nie opuści i w tej potrzebie. Uspokoił się, a nazajutrz wchodzi do niego Stasiek Grębecki z niezmiennie strapioną miną i z zawiniątkiem pod pachą.

— Cóż tam, Stasiek, kiedyż?

— A bo ja wiem? Żle z nami, Justek!

— No co? Gdzie Antek? Czemu teraz nie przychodzi?

— Antek zachorował nam na odrę, ale to jeszcze nic.

— No a co? Powiadaj.

— Powiem ci prawdę. Wszystko przepadło.

— Jak to?

— Przez zdradę.

— To nieszcześnie! Któryż zdradził?

— Poczekaj. Przylata do mnie wczoraj Antków brat i powiada: oba pistolety nam przepadły (a jeden był nawet dwunastostrzałowy). Otóż ojciec jednego z naszych znalazł u niego te rzeczy, zabrał i wrzucił nocą do rzeki. A tamtego zbił okropnie i zdrajca do wszystkiego się przyznał. Ojciec, jak to ojciec — poszedł z gębą do wszystkich ojców i do mojej babki. Babka jeszcze się gorzej rozchorowała, ja uciekłem z domu i nie wiem, co ze sobą zrobić. Będą mnie teraz wszyscy znajomi prześla-

dowali, jak się dowiedzą, że to ja zbierałem partję. Chłopcy mnie wydadzą, jak ich zaczną prac. Na nic przysięga! Nie wiedziałem, że ludzie tacy podli. Teraz będą ich wszystkich trzymać w domu. Nic się nie uda z takimi. Wdam się z innymi. Znam dwóch chłopców od ślusarza z mojej ulicy. Porządni. Zacznę z nimi, a przez nich trafię i do wszystkich rzemiosł. Ale co czasu zmarnuję! A tu wszędzie między staremi gadają, że powstanie się już kończy. Moja babka jeszcze się z tego cieszy. Patrzaj, co to za potwór z tej starej!

— Możebyś już dał spokój, jeżeli się tak wszystko nie klei?

— Oho! Teraz już idę na całego! Nic mnie nie wstrzyma. Byłem, jak wieszali naszego generała, i muszę się zemścić! Czy ty wiesz, że jego nie rozstrzelali, jak nakazywał honor wojskowy, a haniebnie powiesili?

— Przecież to chyba wszystko jedno!

— Gadasz głupstwa, boś nie wojskowy. Niech sobie wieszają księży, cywilnych, urzędników, ale nie oficerów. Od tego im wara. Popamiętają oni dobrze! Po tej egzekucji wszyscy nasi poprzysięgli...

Stasiek urwał i zaczął pilnie patrzeć ku furtce ogrodu. Ukazała się tam gruba i potężna jejmość w fartuchu i białej chusteczce na głowie, a za nią kroczył stary, zgarbiony dziad z długą, siwą brodą i z sękatą lagą w rękę.

— Patrzaj, już za mną goni Kubidurska. Boi się mnie babsztyl, wzięła sobie do pomocy starego Macieszę, ale tego to ja biorę na jedną rękę. Za-

wzięła się stara suka, bom ją wczoraj ukąsił w łapę, jak mnie chciała zamknąć siłą... Do widzenia, Justek. Jak mi będzie czego potrzeba, to zastukam w nocy do twojego okna. Masz tę paczkę, schowaj dobrze i nie zaglądaj...

Stasiek wyskoczył na środek ścieżki i wziął się pod boki. Jejmość kroczyła żwawo, była złana potem i czerwona, jak piwonja. Maciesza, drepzcząc, podążał za nią, jak mógł.

Kubidurska, gadasz bzdurstwa,
Kubidura, ślepa kura!

Stasiek gwizdnął jeszcze przeraźliwie na palcach i zwinnie, jak małpa, wdrapał się na parkan i znikł w sąsiednim ogrodzie państwa Belutowiczów.

* * *

Wyszedszy na miasto po raz pierwszy po chorobie, Justynek dziwił się na każdym kroku, tak dalece wszystko się zmieniło. Domy i kościoły zdawały się postarzeć, drzewa były jakby przywiedłe, smutne były nawet wystawy sklepowe, a ludzie miejscowi, których wszystkich znał z widzenia, wyglądali jakby również wstali po jakiej ciężkiej chorobie.

Nikt z tych znajomych i nieznajomych ludzi, którzy jak zawsze kręcili się po ulicy, nie wiedział o jego tajemnicy. Chodzili sobie zwyczajnie, niczego nie przeczuwając. Justynek był z tego dumny, ale chwilami robiło mu się smutno, że nikt nie wie. Ciężyla mu samotność, kuśilo strasznie, żeby komuś powiedzieć o wszystkim...

Wszedł do ulubionego swego kościoła św. Anny i ukląkł na swoim miejscu. Chrystus ukrzyżowany już wiedział o wszystkim. Justynek poznał to natychmiast i rozpląnął się cały w niebiańskiej radości. Długo modlił się z rozkoszą i ze łzami szczęścia.

Kiedy wstawał, spostrzegł w półmroku postać niewieścią, leżącą krzyżem i, jak mu się zdawało, zupełnie nieruchomo. Po chwili dopiero zauważył, że kobieta trzęsie się i szarpie w nieutulonym, milczącym płaczu.

Justynek poczuł w sobie natchnienie i dziwną, przenikliwą siłę. Pochylił się nad niewiastą i dotknął jej ramienia. Podniosła się nerwowo i, nie powstając z klęczek, utkwiała w chłopcu zalane łzami oczy.

— Co pani jest? — spytał i poznał panią Kolyzkową, której syna powiesili niedawno na Łukiskach, podczas gdy Justynek chorował.

— Niech pani nie rozpacza — mówił poważnie i z dobrym uśmiechem. — Pani syn jest w niebie. Niech pani wie, że nie zginął nadaremnie. Niech pani wierzy i tak mówi wszystkim, że mija czas niedoli. Polska będzie wolna i niepodległa dzięki krwi męczeńskiej. Syn pani jest bardzo szczęśliwy. Niema już większego szczęścia. Pani tego nie rozumie, ale ja wiem wszystko. On się tylko trapi, że pani jest źle i tego mu tylko brakuje. Bóg go powołał i nagroził...

Niewiasta słuchała, klęcząc, i nic nie odpowiadała. W oczach miała przestach i jakieś zapamię-

tałe uniesienie. Wreszcie przysunęła się do chłopca na kolanach, objęła go wpół i zbliżka patrzyła mu w oczy.

— Kto ty jesteś, dziwne dziecko, kochane?... Kto cię tu przysłał do mnie — matki nieszczęsnej?... O dziecko, dziecko dziwne, serdeczne... Gdybym ja ciebie miała za syna... Ale mój był już dorosły, więc zginął... a ty będziesz żył... Żyj długo, bądź szczęśliwy, bądź pociechą dla matki i ojca. Ale pamiętaj, dziecko, że tamci bracia twoi starsi za ciebie poginęli. Jeżeli Bóg ześle odmianę i będzie wolność, to ty przez nich będziesz wolny... Pamiętaj o tym, synku miły, dziecko moje serdeczne... Pamiętaj zawsze o poległych za Polskę, w kwiecie wieku zamordowanych, wtrąconych w grób splugawiony... Będziesz pamiętał?

— Wszyscy będą pamiętali.

— Nieprawda, chłopcze, nieprawda. Świat nie jest dobry. Krótka w ludziach pamięć. Matki tylko nie zapomną... Czy ja mogę... Ja nie mogę... Nigdy, do godziny śmierci nie zapomnę, jak męczył się Bolek, co on myślał tam, w samotnej celi w tę ostatnią noc... Niema zbrodni gorszej, jak matki nie dopuścić do jedyne go dziecka w takiej godzinie... Tego nie daruję, nie daruję, nie daruję! Ja wołam do Boga i błagam o karę, o pomstę... Na tyrana, na potwora, co nie tylko morduje, ale szydzi, ale zohydza niewinną ofiarę, ale plugawi ją nawet po śmierci...

I pani Kołyszkowa rzuciła się na kamienie posadzki. Przenikliwy jej płacz rozgłośnieci echami

rozchodził się po kościele. Justynek płakał również i martwił się, że nie zdołał pocieszyć strapionej matki. Byłoby inaczej, gdyby jej wyjawiał wszystko. Ale nie mógł zdradzić tajemnicy, powierzonej mu przez Boga. To nie mogło się stać żadną miarą, dopóki się nie spełni jego przeznaczenie.

Wychodząc z kościoła, postanowił zacząć działać, ponieważ czuł, że siły mu wróciły.

Na ulicach, które odwiedził ku domowi, spostrzegł żołnierzy, stojących po czterech na każdym rogu. Policjanci zatrzymywali wozy i dorożki. Przechodnie rozglądali się, jakby na coś czekając. I rozległ się tętent koni po bruku. Szwadron dragonów na wielkich kasztanowatych koniach kłusował ulicą. W środku szeregów w zgiewku i wrzawie przesunęła się zamknięta karetka, a za nią jeszcze dragoni.

— Kogo to powieźli? — spytał kogoś Justynek, w którym na chwilę zbudziła się zwyczajna dziecinna ciekawość. Myślał, że to przewożą z takimi ostrożnościami jakiegoś nadzwyczaj ważnego skazańca.

— To on.

— Kto taki?

— Djabelski syn.

Twarz człowieka, który to mówił, była blada, jak płótno, a oczy patrzyły ponuro. Justynek długo stał w osłupieniu, patrząc bezmyślnie w tę stronę, gdzie popędzili dragoni z karetką.

Odurzyło go to niespodziewane spotkanie. Przysgniół go niepohamowany, okropny strach przed

tym, co go czekało. Chciał uciekać, wołać o ratunek, biec do matki, ukryć się u niej i płakać ze strachu w jej objęciach. Zdawało mu się, że stoi na niezmiernej wysokości na wąskiej krawędzi i nie ma sił postąpić ani kroku. Napróżno rozkłada ramiona i chwieje się, szukając równowagi. Cały świat faluje i kołuje przed nim — za chwilę runie na dół...

Obląła go mrozem trwoga przed strasznym człowiekiem. Przemknął się pamiętny sen. Zarzął mu do samego ucha piekielny śmiech potwora i Justynek zatoczył się w bok i chwycił się za ścianę.

— Co ci to, chłopcze?

— Nic. Już nic.

Justynek się uśmiechał. Już mu minęło. Zdaleka, z domku na Małej Pohulance, przybiegło doń, jak żywe, dobre, spokojne spojrzenie Opiekunki. W jednej chwili ustała moc pokusy. Pierzchli djabli, a Justynek poczuł w sobie dawne siły i swoje dawne męstwo.

To pierwsze spotkanie z wrogiem wzniciło w nim zapal do czynu i jakąś zajadłą niecierpliwość. Zgnieść potwora!

* * *

Najgorętsze modlitwy i błagania o radę i pomoc nie zdołały zwyciężyć niezmiernych trudności. Nie przychodziły już więcej momenty łaski, przestały rozlegać się ciche szepty, spływające z za świata. Znieruchomiało spojrzenie cudownego obra-

zu, a rysy świętego oblicza wsiąkły w czarne tło. Znowu tylko siedm srebrnych sztyletów połyskiwało w czarnej ramie — i nic więcej.

Poczuł Justynek, że utracił łaskę. Stał samotny i bezsilny wobec niezmiernego zadania. Powtarzały się godziny strachu i zamętu w myśleniu. Nie było już pewności zwycięstwa...

Wśród broni, zostawionej przez Staśka na przechowanie, były dwa ciężkie młotki na długich rękojeściach, zaostrzone z jednej strony w długi dziób. Był ułamek ciężkiej szabli kawalerskiej bez rękojeści, woreczek śrutu i pudełko blaszane, pełne grubego armatniego prochu. Był stary zwyczajny nóż kuchenny i wreszcie piękny i kunsztownie rzeźbiony kordelas myśliwski, skradziony zapewne jakimś ojcu przez jakiegoś syna. Z tym kordelasem w zanadrzu Justynek wychodził codziennie przed pałac Massalskich. Kręcił się po placu, podchodził do samego wejścia, aż do tego miejsca, gdzie stali na warcie żołnierze, i zaglądał z dreszczem w groźne okna pałacu. Liczył na to, że utrafi na chwilę wyjazdu wroga. Rzuci się na niego, kiedy będzie schodził z kamiennych stopni do karety. Jak go poznać? Gruby, ogromny, szpetny, w mundurze generała. Czy go zdoła przebić od razu? Gdzie mierzyć? Czy starczy siły? A jeżeli nie do czeka się zupełnie żadnego wyjazdu, to jak się do niego dostać? Możliwy od tyłu przez ogrody, otaczające pałac, ale i tam dzień i noc patrolują żołnierze.

Rozpaczliwe to były pytania. Zjawiły się do-

piero w ostatnich dniach, kiedy Justynek poznał, że utracił stan łaski. Przedtym nie mogło być żadnych trudności. Wiedział, że sam Bóg natchnie go, kiedy ma pójść, żeby spotkać się oko w oko z przeklętym. Bóg podniesie jego uzbrojone ramię i zada nieomylnie cios śmiertelny. Było to zrozumiałe i niezmiernie proste. Teraz wszystko stawało się niepodobieństwem.

Zrywał się jednak co rano z rozpaczliwą nadzieją na cud, modlił się błagalnie przed nieczułym obrazem Matki Bolesnej i wychodził codziennie na spotkanie. Klękał jeszcze po drodze przed Ostrą Bramą i wśród ulicy podnosił smutne i wielkie niebieskie oczy ku obrazowi, patrzącemu ze swojej wysokości na miasto Wilno, na świat i ludzi. Potym szedł przed pałac. Plac bywał zawsze pusty i wyludniony. Zrzadka przed pałac zajechał powóz i wysiadał z niego jakiś wojskowy. Przyjeżdżali i odjeżdżali kozacy z jakimiś wielkimi zapieczętowanymi kopertami, które chowali do wielkich torb skórzanych, wiszących im na piersiach na rzemieniu. W tych strasznych kopertach była śmierć, klęski, nieszczęścia i niedole Polski. Na tych papierach stały podpisy przekłętego, który, obrzydliwy i ogromny, nagi i tylko w butach z ostrogami, pisze je tam gdzieś w ogrodach pałacowych, pod lipą...

Jeden czarny trzyma kałamarz, drugi czarny zasypuje piaskiem, a on się śmieje, rżąc, jak jakiś potworny koń. I strach chwycił chłopca i znowu

maciło mu się w głowie. Wówczas z całej siły ścisnął swój kordelas i polecał się Bogu.

W domu, w szufladzie jego stolika leżał już gotowy i zapieczętowany list pośmiertny do rodziców, który zaczynał się w te słowa:

„Ukochana i droga Mamusiu! Ukochany i drogi Tatusiu! Nie gniewajcie się na mnie, bo nie mogłem się opierać wyraźnej woli bożej. Nie żałujcie mnie i zupełnie nie płaczcie, bo ja jestem już w niebie, a przecież tam nikomu nie może być źle. Jeszcze Was przepraszam, że to wszystko ukrywałem i przez to kłamałem, ale tak mi było nakazane, więc to nie było żadne kłamstwo. Mamusia i Tatusiu pewnie bardzo płaczą, bo może sobie myśleć, że mnie za bardzo bolało, kiedy mnie męczyli. Zupełnie nie! Przecież tak zawsze bywało z męczennikami. Niedługo już będzie pełna wolność i niepodległość. Niech wiedzą o tym wszyscy i niech się przygotowują godnie! Albowiem już skończone panowanie bestji, o której stoi w Apokalipsie. Bóg przeze mnie starł głowę bestji, smokowi służącej. Przyznaję się teraz, że to ja wziąłem, a potem podrzuciłem nóż kuchenny, więc przepraszam pięknie Rozalję i starego Matyjaszka“.

.
.

Słońce niemiłosiernie piekło na odsłoniętym placu. Głowa rozbolała Justynka, serce mu biło, jak młotem. Ogarnęło go osłabienie i już miał z rozpaczą zejść ze stanowiska, kiedy na kamiennych stopniach, prowadzących do pałacu, stanęli jacyś

dwaj oficerowie bez czapek w rozpiętych białych mundurach i spoglądali na plac, przysłaniając oczy od słońca. Justynek zatrzymał się i patrzył na nich ze wzruszeniem, bo zdawało mu się, że może zdarza się właśnie szczęśliwa sposobność. Widać go teraz w domu nie było, dopiero ma skądś powracać i adjutanci go wypatrują.

Po chwili dwóch żołnierzy zbiegło po schodach i szli wprost ku niemu. Justynek patrzył na nich zdziwiony, bo prócz niego jednego nie było nikogo na całym placu.

— Czego ty, chłopak, włączysz się tu pod pałacem dzień po dzień. Coś za jeden?

— Ty, łobuzie, na przespiegi cię przysyłają? Czyj ty jesteś?

Oficer ze schodów krzyknął coś na żołnierzy. Ci odwrócili się i stanęli, jak słupy, salutując.

— Dawaj jawo siuda!

— Słuszaju! Wasze Wysokorodje!

* * *

Tęgą zimą sybirską dwaj ludzie, odziani po jakucku, sunęli na nartach po białym jeziorze, które leżało w niskich brzegach i zdawało się ciągnąć w nieskończoność. Ponuro, przepięknie przyświecał im purpurowy odblask dalekiego, niewidzialnego słońca, wylewający się, jak daleka łuna z pod horyzontu. Cicho, a przejmująco, jak po drobno utłuczonym szkłe, sunęły narty po przemarzłym śniegu. Ciągnęły się za niemi i znikwały białe obłoczki, rodzące się w powietrzu za każdym oddechem.

Długo sunęli cicho, jak dwa widma, po nieogarnionej przestrzeni, wciąż nie dostrzegając jeszcze swego celu i nie mając po czym mierzyć odbytej drogi. Wokoło, jak zagarnął okiem, nie widać było nic prócz białej przestrzeni, równej i martwej, jak matematyczna płaszczyzna.

Wreszcie zatrzymał się jeden i, odsłaniając usta, zawołał:

— Michał! Halt! Czas chyba wytchnąć? Przebieram temi nogami już ze dwie godziny. Ja nie pędziwiater, ani Jakut. Że też ty najmniejszego szacunku dla starszych...

— Odpoczywaliśmy, panie Romanie, przed półgodziną. Mamy jeszcze dobrą godzinę przed sobą. A przecie trzeba tam posiedzieć — no i wracać.

— Dobrze, dobrze. Ja aby na momencik. A co do wracania, to u diabła przecie może nas ten twój warjat przenocować.

— Pojutrze mają wyruszyć wszyscy nasi i nie będą czekali, bo i nie mogą. Chce się panu doczekać tutaj wiosny? Winszuję.

— To po kiego licha ci było...

— Ja? Ja tak sobie, dla fantazji. Zachciało mi się pożegnać z biedakiem, co tu zostaje na zawsze. A i jezioro chciałem pożegnać i na nartach się jeszcze raz przejechać.

— Masz się z czym żegnać! Pustynia djabelska, ziemia przekłeta, zatracona! Niech się tu wszystko zapadnie. Ja jej na pożegnanie tylko plunę i na wszystko, co tu zostaje. Sybir obmierzły!

— A jednak nigdzie u nas nie zobaczysz pan

nic podobnego. Patrz-no pan! Co za obszar! A niebo!

— A komary, a bagna, a śmierdzące Jakuty, a głód, a mróz... Niech cię wszyscy diabli z twemi pochwałami. Egzaltowana panna!

— Ja jakuckich smrodów nie wychwalam i nie z niemi się żegnam. Jakoś pan słabo kombinujesz na mrozie.

— Prawda! Słabo kombinowałem, kiedy mnie diabli skusili wybierać się z tobą. Pocoś mnie namawiał?

— Dajże pan spokój. Sam wybierałeś się od trzech lat go odwiedzić i zebrało ci się dopiero na ostatni dzień. Po szlachecku. Jak pan chcesz, to się wracaj.

— Po szlachecku! Dowcipnyś. W moich latach nie tak łatwo się jeździ po jeziorach, czy to w zimie, czy w lecie... Kości bolą, wszystko boli. Ani ja do wiosłowania, ani ja do łyżwy. Niech cię wszyscy diabli wezmą za moje udręczenie.

— Pan to już chyba dziecinnieje. Przecież mnie pan sam prosiłeś, żebym z tobą poszedł, powiadałeś, że musisz koniecznie...

— A dla tego muszę koniecznie, że to jest sprawa honoru. Ty tego może nie zrozumiesz...

Michał zaczął z irytacji gwizdać.

— Pięknie gwizdzesz. Ale ja bywałem u jego świętej pamięci rodziców, tam jadłem, piłem i tam mnie darzyli przyjaźnią i szacunkiem. Opiekowałem się bębniem, jak ojciec, kiedyśmy razem siedzieli u karmelitów. A potym w drodze na rękach

go niosłem, w chorobie go doglądałem, bo to cherlało zawsze. Żeby nas losy nie rozłączyły, to nie takby on skończył... Więc nie godzi się chłopczyny tak opuszczać. Można go jeszcze namówić, żeby z nami jechał. Pieniądze, powiadają, ma, jest podobno jakaś posesyjka w Wilnie. A co on tu wysiedzi?

— Nic pan z nim nie zrobisz. Małom to z nim gadał? Nic nie odpowiada, tylko się uśmiecha. Może nawet nie słyszy? Dziwak. Nieszczęsny połamaniec. Zepsuł się całkiem i już go za późno naprawiać.

— Za późno. Taki smarkacz może jeszcze wyjść na człowieka, tylko trzeba się było do niego zabrać odrazu, jakeśmy przybyli w te strony. A bo to u nas pamięta się o towarzyszach? Mogą zdychać z głodu, mogą sobie we łby strzelać, mogą manjaczeć. Koleżeństwo. Ale o takim dzieciaku grzech było zapomnieć.

— Jeżeli grzech — to naprzód był pański. Tyż dzieciak! Wieleż on miał wtedy?

— Wiem, co mówię. Nie miał więcej wtedy, jak akich lat czternaście.

— No, to teraz ma czterdzieści cztery.

— A ja mam sześćdziesiąt trzy, rozumiesz?

— A ja mam pięćdziesiąt i jeden. Ruszajmy, bo jak z panem gadam, panie Romanie, to mi się wszystko we łbie przewraca. Tyż logika. Zupełnie stara baba! Na pana to miał cierpliwość jeden Ankiewicz, ale i ten umarł. Zamorzyłeś go pan na śmierć.

— Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie!
A ty jesteś niedowarzony młokos i arogant.

— Dobrze, dobrze, ojcie Romanie. Jazda napród.

Pan Roman gadał już od półtorej godziny. Rozprawiał po swojemu, mówił do rzeczy i od rzeczy. Dowodził dobitnie i jasno, jak adwokat, to znowu plótł trzy po trzy. Zbaczał od przedmiotu, opowiadał o powstaniu i o bitwie pod Giedrojciami, chwalił kolduny, które świętej pamięci pani Undrewiczowa robiła najlepiej w całym Wilnie, powtarzał po raz setny stare anegdoty więzienne, lgał o swoich polowaniach na łosie i w ten sposób prowadził ku temu, żeby namówić „chłopczynę“ do powrotu do kraju.

Michał podczas tego gadania dokładał do ognia, wychodził z jurty i powracał. Rąbał drzewo, palił zapamiętałe fajkę i zmuszał się ze wszystkich sił do cierpliwości. W każdym razie mruczał do siebie i zcicha kłął, czego pan Prądzyna udawał, że nie dosłyszy.

Undrewicz, jak siadł na samym początku, tak siedział bez ruchu na pieńku, ciągnąc chwilami zgaszoną fajkę i wpatrując się z cierpliwą uwagą w starego. Zgarbiony, kulił się w cieniu i nie odrywał oczu od mówcy, siedzącego przed samym ogniem. Undrewicz szukał czegoś uporczywie w tej starej twarzy. Nie słuchał zupełnie, co do niego mówiono. Uchwycił zaledwie to, że go jeszcze ktoś jeden namawia do powrotu. Najważniejszym

jednak było to, że tutaj naprzeciwnie niego siedzi i mówi do niego tensam pan Prądzyna, który wraz z bratem bywali omal że nie codzień u jego rodziców w dworku na Małej Pohulance. Tensam, który był dla niego taki dobry u karmelitów i przez całą drogę, aż do samego Irkucka, gdzie rozeszły się ich drogi! Pan Prądzyna poszedł na katorgę do Nerczyńska, a on na Jakuty na osiedlenie.

Ze starej twarzy znikł już ostatni ślad podobieństwa do dawnego ongiś dzielnego pana Romana. Undrewicz szukał wytrwale tego podobieństwa, ale przez dwie godziny aż dotychczas nie znalazł nic znajomego. Czytał tam tylko wypisane wyraźnie dzieje zwyczajne: zgryzoty, przepracowanie i nędza, tęsknota, kajdany i trzydzieści lat niewoli... Teraz był to jeno pocziwy, zdzienniały gaduła.

— Mówię do ciebie, mój Justynku, jak rodzony ojciec, którego ci w miarę sił zastępuję. Jużem ci bodaj wszystko powiedział. Teraz ty gadaj. Ale — o jednym zapomniałem. Przecież ty, chłopcze, kierowałaś się na księdza. Wszyscy wiedzieli, jakiś był nabożny i obserwant. U nas za jeziorem wszyscy dawniejsi powiadali, że ty i tu nic nie robisz, tylko się modlisz dniami i nocami. To dobrze! Ale czasby i o karierze twojej duchownej pomyśleć, bo czas mija, a musisz się przecie dopchać przynajmniej do kanonika, choć życzę ci, żebyś umarł biskupem. Podrosłeś, zmądrzałeś, dużoś przeszedł na swoje młode lata. Będzie z ciebie uczciwy ksiądz, a tego na Litwie w naszych czasach nie zanadto. Wy-

święcą cię za parę lat, dostaniesz za swoje zasługi porządną parafję i tak dalej...

A co tutaj? Przecie tu się nawet pomodlić porządnie nie można, ani duszy ulżyć. Ani kościoła, ani księdza, ani żadnej rzeczy, która jego jest. Jeszcze dawniej, póki żył, jeździł po naszych ksiądz Jadczyk, u nas był dwa razy.

Raz, pamiętam, mówi on do mnie...

— A czy to prawda, że tatuś już nie żyje? — spytał nagle Undrewicz dziwnym, jakby dziecięcym głosem. — I mamusia też?

Na twarzy pana Prądzyny błysło na moment zdumienie i przestrah. Spojrzał na Michała i stał się niezmiernie poważny.

— Widzisz, mój chłopcze, na to nie można odpowiedzieć odrazu i w krótkich słowach. A nawet o takie rzeczy nie należy ot tak sobie zapytywać. Co ci z tego przyjdzie, jak ci odpowiem? Dla kochającego dziecka rodzice zawsze żyją. Oni swojego rodzonego jedynaka nigdy nie opuszczają... Tak... To też twoi szanowni, panie świeć nad ich duszą, rodzice żyją i czuwają nad tobą. Ale przecie wiesz dobrze, Justynku, i wiedziałeś o tym jeszcze u karmelitów, że tatuś zmarł nagle, tknięty apopleksją w chwili, kiedy do domu weszli z rewizją. Widać zapomniałeś... A co do mamusi, to jak będziemy wracali (bo oczywiście wracasz z nami!), to wstąpimy po drodze pomodlić się nad jej grobem. Leży w Kireńsku, zaziębiła się i umarła tam, kiedy właśnie jechała do ciebie. O tym też dobrze wiesz, tylkoś zapomniał... Prawda? Siedzisz ot sam za

jeziorem, ludzi nie widzisz latami, to ci się niejedno przywidzi. No — zbieraj się, chłopie. Sprzedaj, co tu masz, Jakutowi, albo ciśnij do djabła i pluń na te graty — masz przecie w Wilnie dom z ogrodem... To prawda? Bo tak mówią... Przenocujemy u ciebie, dasz nam co jeść i jutro jazda z powrotem. W świat! Do ojczyzny kochanej! Na Litwę, do matki naszej serdecznej — ja, byle tam kości złożyć, a ty dopiero zaczniesz prawdziwe życie... Zechcesz, zostaniesz księdzem, zechcesz, ożenisz się...

— Ja wrócę, owszem, wrócę, nawet się wybieram, tylko jeszcze mój czas nie nadszedł.

— Dobrze, dobrze, chłopcze! — Pan Prądzyna ucieszył się, że Undrewicz przemówił. — Zupełnie się z tobą zgadzam! Wszystko ma swój czas. Tylko żeś ty się, chłopcze, spóźnił, bo przecie mogłeś wracać jeszcze w roku ośmdziesiątym czwartym, po amnestji.

Spóźniłeś się o dziesięć lat, co w twoim wieku jeszcze nic nie znaczy, ale zawsze coś zaważy. Na cóż czekasz?

— Muszę czekać! Będę sam wiedział, kiedy przyjdzie mój czas.

— Powiedźże i nam, Justynku, bo to ciekawe. A może ja ci co wyperswaduję? Powiedz, dziecko, jak ojcu.

— Nie wyperswadowały mi tego ani głód, ani mróz, ani tęsknota, ani zwątpienie, ani widma, ani krocie szatanów, wyjących mi za ścianą w pomroce zimowej... To i pan nie dasz rady.

— Szatani? To znaczy djabli, jeżeli ja ciebie dobrze rozumiem... Mów wyraźniej, Justynku.

— Przychodzą, rozmawiają ze mną.

— O czymże mówicie?

— Mówią mi to, co i pan. Wracaj! Namawiają. Powiadają: furda krew, cierpienia, okropności! Już wszystko przeminęło. Jeden gnije, drugi żyje. I ty, powiadają, żyj, póki czas. Dla samego siebie żyj! Powiadają: zapomnij o wszystkim, co było. Zupełnie to samo, co i pan...

— Mylisz się, Justynku! Ja...

— Pan sam się mylisz. Czy i pana djabli nęskali? Mnie nic nie odwiedzie...

— Cóż ty tu takiego masz, nieszczęsne dziecko? Czego tu pilnujesz?

Undrewicz podniósł do góry palec i zaczął prawie uroczyście:

— Mam słowo obietnicy bożej, zwiastowanej mi w latach pacholących. Mam niebo gwiaździste. Mam zorzę płomienistą. Mam księgę proroczą, gdzie stoi przyszłość naszego narodu. Ją czytam i czekam znaku.

— Justynku, chłopcze, pomiarkuj się ty. Co ci jest? Przecie gwiazdy i zorzę każdy tu ma, jak i ty, słowo boże, — no, to każdy katolik też może o sobie powiedzieć. A księga prorocza? Jakaż to, bo tu u ciebie nawet żadnej książeczyny nie widzę.

— Niema. Bo ja tę moją księgę umiem na pamięć, a inne mi niepotrzebne.

— Jak ją umiesz na pamięć, to pocóż ją czytasz? Czytaj lepiej inne, są pożyteczne, są zabawne.

— Moją księgę czytają ludzie od tysięcy lat. A nikt jej nie zrozumiał, tylko ja jeden, pierwszy i ostatni. Ale to jeszcze tajemnica... tego mi nie wolno nikomu, nikomu, nikomu na świecie! Dopóki nie spełnią się czasy! Na to czekam i będę tu czekał. A wy...

Undrewicz urwał i zadumał się głęboko. Oczy jego bezmyślnie i tępo wpatrzyły się w ogień, a w twarzy odbiła się zaciętość. Siedział zgarbiony i skulony na swoim pieńku, nieruchomy i zastygły. Zdawało się, że od długich lat siaduje on tak samo nieruchomie całymi dniami i całymi nocami — cierpliwie, wytrwale, jak martwa rzecz.

Gadał jeszcze dużo pan Prądzyna, gadał i Michał, wreszcie pan Roman zirytował się, bo był głodny, i zaczął Undrewiczowi wymyślać. Potym domagał się obiadu, bo ze sobą nic nie wzięli. Undrewicz wstał i, nie patrząc na gości, pokazał im w kącie naczynie i zapasy, poczym nałożył na głowę „bałauszkę“, wziął rękawice i wyszedł, nie odezawszy się ani słowa...

— No i co? Mówiłem, że to oblakany.

Pan Prądzyna oddychał ciężko i ocierał pot z czoła:

— Zgadałem się, Michałku. Przystawno czajnik i zobacz, co on tu ma do jedzenia, bo mnie mdli z głodu. Zrobiłem swoje. Tylko dziwię się tobie, chłopcze, żeś mnie tu ciągnął bez potrzeby tyli szmat drogi. Trudno, ja nie doktor od bonifratrów. Żeby tam nie wiem jakie racje — on swoje. Spokojny warjat. To znaczy, że mu już nic nie po-

może. Dorzućno drew, bo umrę z głodu. A możebyśmy tu przenocowali?

— To pan nocuj sam! Ja stąd uciekam, tylko się herbaty napiję. Straszne miejsce! Straszny człowiek! Ot, jego życie od małego dziecka. Ej, Sybir, Sybir... Uciekajmy, panie Romanie, do ludzi, bo i ja jeszcze zwariuję — w tej jurcie coś straszy, coś dusi...

* * *

Minęło dziesięć lat od dnia, kiedy pan Prądzyna ugadywał się, namawiając Undrewicza do wyjazdu. Gdyby stary, co niewiadomo, żył jeszcze o tej porze, mógłby zacząć od początku swoje perswazje, bo wszystko zostało, jak było. Undrewicz siedział w swojej jurcie na pieńku przed ogniem i bezmyślnie ssał wygasłą fajkę — kto wie, może nienakładaną od wielu lat — i patrzył uporczywie w ogień.

Nie wzdychał, jak to czynią samotni ludzie, nie mówił do siebie, jak jest zwyczajem samotników. Tylko ogień huczał na kominie, rwąc się ku górze, na wolne, mroźne powietrze, i strzelały w ścianie belki.

Spokojnie i martwo rzeźbiło się stare oblicze w blasku ognia. Długie siwe włosy, długa siwa broda. Wypełzły, zbielały niegdyś błękitne oczy. Nie liczyła pamięć obumarłego człowieka ubiegających lat, ustał czas dla zagasłej duszy ludzkiej. Biegły niezliczone, niezliczone dni i odmieniały go, zeszpecały, ujmowały mu i pchały go ku mogile.

Stał wreszcie nad grobem i ani o tym wiedział. Nie wiedział, czy jest starym, czy młodym, nie wiedział, czy żyje — jedno pamiętał, za jedno jedyne się uchwycił kiedyś, kiedyś i tego się trzymał wiernie, zajądło, bezmyślnie — zaiste jak w oblężeniu.

Kazano mu czekać i czekał. Obiecano mu znak, więc wierzył. Dawno, dawno minęły lata, kiedy wiara jego była jeszcze zwyczajna, ludzka, niecierpliwa. Już się nie spowiadał Bogu ze swoich cierpień, nie naprzykrzał się jego wszechogarniającej pamięci. Zmądrzał. Wiedział, że to tylko ludziom się śpieszy, a Bóg zna swój czas, swój dzień i swoją godzinę. Nic się nie staje ani prędzej, ani później.

Nie wiedział i nie był tego ciekawy, jak tam we świetle idą ludzkie sprawy. Może być w Polsce jeszcze źle, może być już dobrze. Może z miasta Wilna niema już i śladu, może zaś być ono grodem wielkim i szczęśliwym.

Nadewszystko nie znośił, kiedy zrzadka, co parę miesięcy, co parę lat nawiedzali go towarzyszeszłańcy i narzucali mu się ze swoją litością i pomocą, a przy okazji biadali i opowiadali różne nowiny. O wojnie francuskiej, o wojnie tureckiej, o śmierci jednego cara, o śmierci drugiego cara, o tym, co się dzieje w trzech zaborach, o tym, jacy są w Polsce nowi wielcy pisarze...

Wytrącało go to z jego kolei, przeszkadzało mu myśleć o swoim. Budowało poza jego sprawą jakiś nieprawdziwy świat, narzucający się i uporczywy,

który usiłował wmówić w niego, że jedyną prawdą jest prawda życia i świata.

To też pozbywał się gości szorstko i bezwzględnie. Z uśmiechem pogardy zauważał, że go mają za niespełna rozumu i umyślnie z wyrachowania zachowywał się przy ludziach, jak obłąkany. Zdobylł zato szacunek okolicznych Jakutów. Ci mieli go za świętego, który obcuje z duchami, więc nie dziwnego, że nie chce gadać z ludźmi.

Zrobiło mu się źlej, kiedy nareszcie rozjechali się po świecie i po ludniejszym Sybirze ostatni zesłańcy-Polacy, a w pustyni jakuckiej zostały tylko groby po tych, co tutaj w ciągu lat pomarli.

Pod koniec przestali go nawiedzać nawet najuporczywsi z gości — djabli. Dawno już nie zgrzytały mu w duszy ich szydercze głosy, drwiące z jego Boga i z jego wiary. Dawno już przestały mu mącić w myślach ich haniebane, mądre, szczwane i przenikliwe argumenty, których mieli zawsze na pogotowiu nieprzebraną moc.

— Poco wierzysz, głupi. Już cię raz oszukał twój Bóg, zakpił sobie z dzieciaka, a ty, stary, wciąż po dawnemu, jak ten Justynek. Ha-ha-ha...

— Justynku, Justynku, już ci broda wyrosła — szydzili kiedyś — a ty wciąż po dawnemu. Justynku! Już z ciebie chłop — czas ci do kobiety. Jest tu o dziesięć wiorst tęga dziewczyna moskiewska, dwóch ludzi zabiła. Takie mocno całują. Rusz się, głupi, już my to zrobimy, że cię zechce. Tylko na nią okiem rzucić...

— Justynku, Justynku — krakali w dziesięć lat

później — już ci włosy posiwiały, czas zmądrzeć. Niczego się nie doczekasz — niema twojego Boga, tylko my. Trzymaj z nami, przecie widzisz, że to my rządzymy światem.

Pokazywali mu djabli we śnie i na jawie sady wiosenne, gdzie kwitły jabłonie i śpiewały ptaki. Wodzili go po tajdze, łudząc i udając głosy ludzi znajomych, dzwony kościelne, piosenki litewskie. Porywali go w nocy, przenosili piorunem i stawiali w mieście Wilnie, na ulicy Małej Pohulance.

Stój i patrz!

Wychodzi z dworku, idzie ulicą mały chłopczyna, Justyś. Idzie do szkoły, niesie książki pod pachą. Wygląda z okna matka i patrzy za nim z dobrym, czułym uśmiechem. Ranek jest wiosenny, wszystko się uśmiecha i pachnie.

Wyciskali mu djabli potoki łez, rozrywały mu pierś łkania bezradne. Truli go tęsknotą, straszili go w samotności, obrzydzali mu wszystko.

A Bóg milczał. Opuścił go Bóg, zostawił go samego i próbował jego wiary przez całych lat czterdzieści.

* * *

Najgorzej mu bywało, kiedy przychodziło lato bez nocy, kiedy wszystko, co żyje na Sybirze, radowało się jasnością i ciepłem.

Było dlań targającą męczarnią dziwne lato polarne. Bolały oczy od blasku wiecznego dnia i bolała dusza. Zamykał się wówczas w jurcie i kulił się w półmroku. Zapalał ogień i usiłował oszukać

samego siebie. Brak mu było ciemności, brak mu było nieba gwiaździstego i zorzy płomienistej na niebie.

Tęsknił do zimy, bo tak stało w jego dziwnych przeznaczeniach, że zimą miał przyjść jego czas. Wówczas to na wspaniałych niebiosach, usadzonych gwiazdami, miał się ręką Boga wypisać jego mistyczny Znak.

Nikt o tym nie wiedział.

Nie wiedział nikt, jak rok w rok przez całą długą zimę sybirską wychodził co wieczora, jak wstępował na płaski dach swojej jurty i podnosił oczy ku niebu.

Wisiał nad nim nieogarniony ocean światów. Wysoko na ciemnym niebie w głębokiej przepaści wszechświata roily się, żyjąc niepojętym i olbrzymim własnym istnieniem, twory potężne, bogom równe, i panowały nad wszystkim, co żyje. One to zakreślały drogi losom ludzkim, ciągnąc za sobą według własnych swoich dróg pochody narodów na dalekiej, nędznej ziemi. One — narzędzia niedocieczonej woli bożej, królowały na odwiecznych swoich niebieskich dziedzinach i od tysięcy lat pozwalały na siebie patrzeć ślepyim ludziom. Mierzili je nauką astronomowie starożytni i dzisiejsi i starali się określić niezbadane prawa ich tajemniczego istnienia. W nie patrząc, zgadywali nadwornicy gwiazdciarze losy królów i książąt, łudząc ich i łudząc siebie, przepowiadali wojny, które były lub nie były, wróżąc klęski, których nigdy nie brakowało na ziemi. Opiewali poeci wszystkich narodów ich

ogrom i ogromną ich mnogość i srebrzyste ich migotanie i smutek spadających gwiazd i groźny urok komet, z najdalszego zaświata przybywających, jak gdyby z przestrożą dla ludzkości, i odchodzących, nie dbając, czyli je ludzie zrozumieli.

Któż nie patrzył w gwiazdy? I kto ich nie pytał?

Jeno jeden był taki w ciągu dziejów świata, któremu Bóg odkrył tajemnicę gwiaździstego nieba. Który nie liczył ani nie mierzył gwiazd, nie wróżył — jeno za rozkazaniem Boga i za jego natchnieniem w niebie czytał i straszliwe tajemnice owe spisał w strasznej księdze.

Zagłębiają się w niej ludzie od dwóch tysięcy lat, ale na siedem pieczęci zamknięta księga. Ani jeden nie rozumiał męża owego, który pojął był ongiś prawdę gwiazd — prawdę mowy bożej. Nieudolny jest rozum człowieka ku odgadnieniu tajemnicy Boga, nieudolny jest język jego — kiedy ową tajemnicę odważa się ludziom przekazać.

Martwa leżała księga przez tysiące lat.

Aż na rozpaczliwe wołanie całego narodu, na głos krwi, krzywdy i cierpień milionów, zerwał Bóg z księgi pieczęcie. Wybrał męża jednego, który ją odczytać. Ten nareszcie obwieści słowo prawdziwe narodowi swemu i wraz całemu światu.

Niegodny jest łaski, jako każdy człowiek niegodnym jest. Ale cierpiał i wierzył. Cierpiał od pacholęcia i wierzył niezachwianie, czekając na pustyni rok po roku, dzień po dniu przez czterdzieści lat. Kuszony od świata, kuszony od czarta, opusz-

czony przez wszystkich, zapomniany przez swój naród. Wiarą jeno żył i wiary dochował.

— Podniesiesz wzrok od ziemi ku niebu, a patrzeć będziesz oczami w księgę gwiazdzistą. A gdy wyczytasz tam po raz wtóry od początku świata słowa proroctwa, spisane przez Jana, pójdziesz ku swoim i czynić będziesz sprawę moją. Zwycięzysz zło. Pokonasz Smoka i Bestję.

Jakże nędzni i maleńcy byli dobrzy ludzie, bracia wygnańcy, litujący się nad losem opuszczonego dziwaka...

Nikt nie wiedział...

* * *

Oparszy łokieć na kolanach, siedział skulony przed ogniem i patrzył w ogień. Drzemała jego utrudzona myśl i nic mu nie mówiła, nie pytała o nic, niczego nie pragnęła. Drzemała, wypoczywając, trwała w oczekiwaniu, gotowa czuwać tak jeszcze przez długie lata, gotowa na rozkaz zerwać się każdej chwili i z utajoną mocą, uzbieraną w ciągu lat, wyteżyć się ku celom olbrzymim.

Tak w cierpliwym pogotowiu, między biernym czekaniem, a niesłychanym czynem, czuwał, jak czuwa żołnierz z tlejącym lontem w ręku nad założoną miną.

Nic mu nie przeszkadzało. Wygasły marzenia, opuściły go pokusy. Poznał już najgłębsze tajniki ludzkiej swojej natury i wciągnął je do niepodzielnej służby ku temu, co sądzonym mu było spełnić

na ziemi. Wytrwałym na wszelkie trudy i nędze stało się jego ciało, nieomyłne i bystre było oko, kiedy patrzyło w bezdenne morze gwiazd i szukało tam przyjść mającego znaku.

Nie obawiał się i nie myślał o tym wcale, że w chwili owej ostatecznej zbraknie mu może sił. Bóg chroni jego siły ludzkie, Bóg nad nim czuwa. Czyż bez wyraźnej jego pomocy zdołałby wytrwać tak wiernie i tak długo?

Był spokojny. Martwą była jego postać ludzka. Wierzył i czuwał. Pod kupą popiołu żyła tylko jedna iskra.

Zatliło się życie w martwych oczach. Pierś zaczęła oddychać śpiesznie, mocno. Zmienne, sprzeczne uczucia rysowały się i znikwały w jego wynędzniałej twarzy. Bolesny niepokój i błogość upragnionego szczęścia, cierpienie chorego człowieka i nadludzka rozkosz...

Tak bywało z nim zwykle, kiedy w noc polarną miała narodzić się na niebie w swym najwyższym majestacie tajemnicza Zorza Płomienista. Jego wychulona w oczekiwaniu dusza przeczuwała nieomyłnie to zjawisko.

— Boże, któryś mnie stworzył, któryś mnie pacholęciem oświecił i wybrał! Boże, któryś mojej wiary ciężko doświadczał... Jestem gotów! Czynić będę wolę Twoją, jeśli nastał czas. Czuwać będę wiernie w pustyni mojej — jeśli ręka Twoja nie napisze znaku...

Modlił się żarliwie, jak zwykle. Ubierał się szyb-

ko, bez niepokoju. Nie zapomniał o niczym, co było mu niezbędnym z odzieży na tym strasliwym mrozie jakuckim.

Z czarnego nieba spływał na śniegi niebieskawy blask od nieprzeliczonych gwiazd. Paliły się spokojnie w odwiecznym swoim majestacie. Otwarcie i wyraźnie, jak zawsze od początku świata, oznajmiały ziemi i ludziom swoją niesłychaną prawdę. Ciągnęły ku sobie i przykuwały oczy człowieka. Kusiły, odrywały go od ziemi i ciskały jego duszę w niezgłębioną przepaść nieba. Spokojne i niewzruszone, jak Bóg, dręczyły niepokojem patrzące oczy i wydzierały z bolącej duszy nadludzkie, niemożliwe pragnienia.

— I czegoś chcesz?

— Chcę się zatracić, zatopić, chcę nie być! Chcę się rozpuścić w przezroczystej toni waszego morza. Chcę się rozprysnąć na miliard istnień i zlać z każdym ze światów, które widzą moje oczy. Chcę być potężny. Chcę odpowiedzi. Chcę — wiedzieć.

Spokój panował jeszcze na niebie. Nic nie zwiastowało zjawiska. Ale on wierzył swemu nieomylnemu czuciu, jak gdyby usłyszał głos, wołający go na stanowisko, na straż. Oddychał pełną piersią mroźnym powietrzem, podniósł oczy w stronę, kędy za światami przeczuwał słońce, i czekał.

Tam nad horyzontem zbierała się czarna chmura. Nieprzebity mrok rozszerzał się, pochłaniając gwiazdy.

Gasły posłusznie jedna za drugą. Aż zatoczyła się chmura w półkole, jak ogromne ciemne słońce.

— Teraz...

Strzeliło nagle z za czarnego półkłęga białe światło i przecięło napół sklepienie. Strzelił ostry promień i ugodził w gwiazdę u zenitu. Trysnął i znikł, jak błyskawica.

Ciemno stało się na świecie. Pobladły wyiskrzzone przed chwilą niebiosy. Na chwilę, na krótką chwilę, zanim nie rozgorzeje wszystko.

Wychyli się z poza płaskiej ziemi płomienny rzut. Wyjrzy — zgaśnie. Śmiało tną w noc trzy, cztery świetlane sztylety — pięć, siedem. I jeszcze jeden... Wszystkie godzą w sam szczyt nieba. Nie dobiegły, zgasły.

Przerwa. Cicho na niebie.

Chwila czekania... Cud!

Jasno na świecie!

Zalały niebo przez pół aż do samego szczytu strzeliste, jasne pręgi. Tryskają ze swojego źródła na wsze strony potoki światła. Blade — białe — przenikliwe — krwawe — płomieniste — zielonkawe — błękitnawe — nienazwane. Biegną, dążą, cofają się, dochodzą, nie dochodzą, trwają, gasną. Rwą się, mnożą się, zmieniają się, mijają się w biegu. Pędzą w szeregu, ścigają się, krają niebo na dzwona, gasną gwiazdy, szaleją.

Niebo płonie, niebo gaśnie. Chwila zmienia chwilę. Rozłazą się po niebie wyprężone węże, po-

żerają gwiazdy, mkną z powrotem, walczą ze sobą, pochłaniają się, mieszają się ze sobą, giną.

Ginie wszystko na niebie i rodzi się błyskawicznie. Chodzą między gwiazdami żywe słupy ogniste. Pochylają się, godząc w niebo, strzeliste włócznie. Boda, wspierają gwiazdziste sklepienie, trzymają na sobie cały świat, runą.

Staną rozpostarte, zaleją świat jasnością i trwają. Dzień biały na ziemi. Odurzają przepychem, oślepią, zachwycają, zgasną.

A na niebie już porywa zdumione, obolałe oczy wizja bladych kręgów wielobarwnych, tęczowych, łagodnie pięknych.

Zarysuje się, zagra wszystkimi barwami połyskliwy krąg — półkrąg — ułamek. Rozjaśni się, rozplynie się, przygasa, łudzi...

Jak oko Boga otwiera się w niebie żywa, niepojęta żrenica. Patrzy, widzi.

Tonie w jej spojrzeniu cały świat. Truchleje oko człowieka i przymyka się w zgrozie przed niepojętym obliczem.

Powiewają na niebie wstęgi ogniste. Porywa je, rozrywa na strzępy, gasi zaświatowy wicher. Ciska niemi po niebie od końca do końca. Skręca je w węzły, rozżarza, spala, gasi.

Bajeczne kwiaty z płomienia! Deszczem spadają na głowę. Przywalą ziemię gorącym stosem. Nie dobiegły, pochłonęły je bezdenne niebiosy.

Pękają między gwiazdami ogniste pociski. Snopy iskier, deszcz barw, zamęt czarodziejskiego ognia.

Płonie wszystko. Już znużone oko nie chwytą

barw ani zmian. Rozpasały się wszelkie żywioły, rozwarły się wszystkie czeluście otchłani niebieskiej. Doszła do swojego szczytu orgia tajemnego misterjum. I przeczuwa dusza chwilę cudu.

W tej stronie nieba, gdzie Orjon tonął i wynurzał się z ognistego morza, rozpowiła się w niepojętym ogromie swoim tęczowo-barwna zasłona. Faluje, zwija się i rozkręca zasłona. Zawiesił ją nad światem Ktoś, jak gdyby chciał osłonić tajemnicę swoją.

Tylekroć, po sto razy widział ją patrzący w niebo człowiek...

Ileż razy wyciągał ku niej ramiona, gorejąc żądzą cudu! Ileż to razy łudził się, oczekując, że rozdzieli się na obie strony zasłona i nareszcie ukaże czuwającemu ów niepojęty znak!

Ileż razy tą najwyższą próbą próbował Bóg jego wiary...

I teraz, jak zawsze, zapomniał o wszystkich zawodach. I o złudzeniach oka i o złudzeniach duszy, szarpiących, okrutnych.

Wyciągnął ku tajemnicy stęsknione ramiona, z wiarą, z gotowością, z płomiennym okrzykiem: — Boże Wiekuisty! Święty, Mocny!

Jak na skrzydłach uniósł się z ziemi, zawisł między gwiazdami i stanął w obliczu zasłony. Olśniła go błyskawica...

„A gdy siedem gromów wymówiły głosy swoje...

...
„Oto drzwi otworzone w niebie, a głos pierw-

szy jakoby trąby gadającej, mówiący: Wstąp sam, a pokażę, co ma dzieć się potym.

„...A oto stolica postawioną była na niebie, a na stolicy siedzący.

„A który siedział, podobny był pojrzeniu kamienia Jaspisa i Sardyna: a tęcze były około stolice, podobne pojrzeniu szmaragdowemu.

„A około stolice stolic dwadzieścia i cztery: a na stolicach dwadzieścia i czterech starszych siedzących, obleczonych w szaty białe, a na głowach ich korony złote.

„A z stolice wychodziły błyskawice i głosy i gromy: a siedm lamp gorejących przed stolicą, które są siedm duchów Bożych“.

Porwało go w siebie rozgorzałe niebo. I ujrzał wszystko. Ukoila się tęsknota czterdziestu lat. Nagrodzona próba czterdziestu lat. I skreślił mu Bóg z rachunku żywota one lat czterdzieści. Poznał, że dopiero się narodził do życia.

W niebo patrzył i czytał wolę bożą. Rozchyliła się zasłona. Wypowiadały się znaki prorocze. Jaśniały ogniem malowane straszliwe obrazy. W zgrozie, w ogniu i w purpurze odbywało się przepowiedziane misterjum. I po raz drugi od początku świata działo się, jako widział Jan i jako był przekazał.

„I ukazał się znak wielki na niebie. Niewiasta, obleczona w słońcu, a księżyc pod jej nogami, a na głowie jej korona z gwiazd dwunaści...

„I widziałem Anioła mocnego, zstępującego

z nieba, w obłok obleczonego, a na głowie jego tęcza, a w obliczu jego było jako słońce, a nogi jego jako słupy ogniowe...

.
 „I widziałem Anioła, zstępującego z nieba, mającego klucz przepaści i łańcuch wielki w ręce swojej.

„I uchwycił smoka, węza starego, który jest djabeł i szatan, i związał go na tysiąc lat.

„I wrzucił go w przepaść i zamknął i zapieczętował nad nim, aby nie zwodził dalej narodów.

„A potymem widział drugiego Anioła, zstępującego z nieba, mającego moc wielką: i oświeciła się ziemia od chwały jego.

„I zakrzyknął w mocy, widząc: Upadła! Upadła Babilonja owa wielka...

„Bo z winy gniewu porubstwa jej piły wszystkie narody.

„I przyszły grzechy jej aż do nieba...

.
 Trwał w zachwyceniu z duszą, objętą pożarem. Uniósł go Bóg ku sobie w ognistym obłoku i w niebo wziął. Zostały gdzieś, jak w prześnionym śnie, ziemia i jego życie na ziemi i ludzie wszyscy i Polska.

Aż śnać uznał Bóg, że czas mu się stać na nowo człowiekiem. I puścił go od siebie z rozkazaniem i posłał na ziemię na dokonanie prac, na zwyciężenie w Polsce zła i Bestji i Smoka.

.
 „A drugi Anioł wyszedł z kościoła, wołając głosem wielkim ku siedzącemu na obłoku: — Zapuść

sierp swój a żnij, gdyż przyszła godzina żęcia, ponieważ uschło żniwo ziemi“.

Dzień i noc, dzień i noc przez wiele tygodni jechał przez zlodowaciałą pustynię i wciąż przez pustynię, której nie było, zda się, końca. Starczyło mu na czterdzieści lat martwej cierpliwości podczas czekania, aż mu jej naostatek zbrakło, kiedy przyszedł czas ożyć.

Cierpiał męki, wlokąc się od stacji do stacji. Zdziczały i odwykły od ludzi dziwił wszystkich po drodze. Zaczęli go ciekawie jamszczycy, dozorca pocztowi, napotykanii podróżni. Gniew świecił w jego oczach, kiedy łamanym językiem i dzikim głosem odpędzał natrętów. Żałowano go, wyśmiewano się ze staruszka „Polaczka“. Jedni go mieli za chorego w gorączce, inni za warjata. Jak zawsze, nie rozumiano go. Nikt nie wiedział...

Dowlóknął się do linii kolejowej i uradował się, że o pół drogi zbliżył się do swojego celu. Otoczyło go życie ludzkie, obce i nowe, ciekawe, nieznośne. Cudze sprawy, nowiny, rzeczy błahie i ważne, sybirskie i niesybirskie bezustannym potokiem wlewały mu się do uszu, bo ustawicznie, bez przerwy gadali w wagonie podróżni, skracając sobie czas. Zaciekawiał go każdy szczegół. Nad wszystkim, co usłyszał, musiał ciężko rozmyślać i męczyło go wszystko.

Dzień i noc, dzień i noc i znowu nieznośnie długo włóknął się koleją. Wciśnięty w kąt wagonu

trzeciej klasy, pomieszany z gromadą wciąż gadających ludzi, męczył się i modlił się jeno o szybki i szczęśliwy powrót. Zdawało mu się, że przestał być sobą, że w gwarze ludzkim zatracił panowanie nad swymi myślami.

Ustawicznie mieszały się do jego własnych myśli rzeczy obce. Chwilami nie odróżniał siebie, nie widział siebie. Porwał go w swój wir potężny świat i obracał nim, nurzał go w fali spraw ludzkich, rozdawał, odmieniał, odzierał go ze starej skorupy osamotnienia. Nie dał mu ani chwili wytchnienia i męczył potopem wrażeń, raził go nieznośnym blaskiem życia, od którego odwykł w ciągu czterdziestu lat samotnego trwania na pustyni.

Jechał odurzony i chory. Myśli jego były męczarnią, a godziny snu męczarnią. I w dzień i w nocy huczał mu w głowie młyn spraw ludzkich. Przejechał, zapomniawszy, przez miasto, gdzie przed laty zmarła była matka. Otarł się prawie o grób matczyzny i nic o tym nie wiedział.

Okradał go świat z jego samotnego szczęścia. Swoją nieubłaganą powszedniością kaził, brudził mu wyhodowane w ciągu całego życia świętości. To, co ludzie mówili i czynili wokoło, szydziło z jego tajemnicy. Szydziło z niego wszystko jako z proroka wybranego i zesłanego.

Szydził z niego każdy potężny, żelazny oddech maszyny i każde miasto, przez które przejeżdżał, i każda wieś, którą widział z okna wagonu. Nie wiedząc o tym, ani chcąc, ranił go ludzie niewinnym słowem w samo serce.

Coś się w nim odmieniało, przetwarzało. Coś się rodziło w bólu i zamęcie. Otwierało się naocześnie nowe rozumienie siebie, świata i wszelkiej rzeczy. Ogarniało go zdumienie. I rozpacz.

Było to po drodze w jakimś wielkim mieście, gdzie kazano mu wyjść z bezpiecznego kąta w wagonie i czekać przez kilka godzin. Złożył swój węzełek w kącie olbrzymiej hali i czekał, siedząc na ławie. Gryzł kawałek czarnego chleba z solą i patrzył na przewijające się tłumy.

Jakże śpieszyli się ludzie. Jakież ważne i pilne były ich sprawy. Przybiegali zdyszani, objuczeni pakunkami, wybiegali nazewnątrz przez olbrzymie szklane wrota, za którymi wciąż przebiegały z hukiem i zgrzytaniem pociągi. W hali huczało od głosów ludzkich. Rozmowy o interesach, rozmowy puste, rozmowy bezwstydne, śmiech, płacz, przekleństwa, westchnienia. Zajadłe kłótnie, drwiny, pijackie śpiewanie, klątwy spracowanych tragarzy, targowanie się o jakieś grosze gromady obdartych ludzi, groźne krzyki urzędników kolejowych, płacz wystraszonych dzieci, rozpaczliwe pytania, na które nikt nie miał czasu odpowiedzieć, wyrzekania, których w tłumie nikt nie słuchał. Ubywało tłumy i przybywało. Zatrzymujące się pociągi wyrzucały gromady ludzkie i przepychały się z nimi w wielkich drzwiach odjeżdżające tłumy. Pociąg ruszał i zabierał nowych ludzi w daleki świat. Dokąd? Poco?...

— To jest życie — szepnął ktoś obok.

Obejrzał się, szukając wkoło siebie. Ale nie znalazł mówiącego. Tylko naprzeciw siebie ujrzał człowieka, który w niego uporczywie patrzył. Człowiek ten siedział na ławie, obok niego leżał w rogożę zawinięty węzełek, a w ręku miał kawał czarnego chleba. Długa siwa broda, długie siwe włosy. Twarz poorana w bruzdy, w oczach ponurość, zdumienie, strach i śmiertelne znużenie...

Olbrzymia tafla stacyjnego zwierciadła wiernie odbijała wszystko. Powtarzali się tam ludzie i przedmioty, otwierała się tam druga poczekalnia, pełna krętaniny i zamętu. Ale on widział tylko jedno. Spostrzegł, poznał siebie. Znalazł się zawieszony w przestrzeni i czyjaś niemiłosierna siła bujała go nad przepaścią. Rozległ się czyjś straszny, bezecny śmiech. Głuchy, potężny, jak końskie rzenie, wydobywał się jakby z pod ziemi. I stary człowiek zapłakał.

* * *

Nie umarł jednak w szpitalu. Nie porwali go nieczyści djabli, którzy znęcali się nad nim po nocach. Nie zabrał go do siebie Bóg, którego litość czuł nad sobą w dobrych godzinach ulgi i wytchnienia. Przebrzmiały szyderstwa djabelskie, przebrzmiały głosy anielskie. Zaczęła się w nim układać błoga, martwa cisza. Po tygodniach gorączki i cierpień przyszły czasy wypoczynku. Leżał na swoim łóżku w szeregu innych chorych i powoli przychodził do zdrowia.

Dziwiło go wszystko. Jak małe dziecko szeroko

otwierał oczy, kiedy przez okno szpitalne zobaczył drzewa, przelatującego ptaka, obłoki na niebie. Mówić zapomniał i zaczynał dopiero gwarzyć dziwną mowę, która bawiła i śmieszyła chorych. Obchodzili się z nim, jak z dzieckiem: dobrodusznie, żartobliwie, lekceważąco.

Rosło, dojrzewało szybko stare dziecko. Rychło nastąpił dzień, kiedy po raz pierwszy zadumał się głęboko. Odwrócił się do ściany i wpatrzył się ponurym wzrokiem w biały mur szpitalny. Tak spędził cały dzień i całą noc. Przypomniawszy sobie, kto on taki i dzieje swoje nieszczęśliwe.

Ocknął się w nim rozum przenikliwy, jasny, zły. Snać pozostawiła mu go po sobie ciężka choroba, która i przeorała mu w mózgu wszystkie myśli. Rozumne stało się jego spojrzenie. Przez wypłowiałe oczy starego patrzyła już tylko niedola i gorzka tej nędzy swojej świadomość.

Tegoż dnia uznano, że jest zdrow, i wypisano go ze szpitala. Już ozdrowiał! Nie powiedział jeno staremu doktor, co mu było i czy chorował sześć tygodni, czy czterdzieści lat. Dostał ze składu swoje stare ubranie i węzełek, zawinięty w rogożę. Dostał bilet kolejowy do miejsca urodzenia i dobre świadectwo, że jako stary i sterany i do niczego niezdatny zasługuje na miejsce w przytułku. Poszedł na dworzec, wsiadł i pojechał do miejsca urodzenia, sam nie wiedząc poco. Już nie wiedział.

* * *

— Wilna!

Wziął pod pachę węzełek i wysiadł z wagonu. Nie był wzruszony, bo zabrakło mu sił na wzruszenie — może zapomniał już o wszystkim, zapamiętawszy się w swoim strapieniu. Może nie rozumiał na razie, co znaczyła ta chwila w jego dziwnym życiu.

Stał na placu przed dworcem i rozglądał się. Gdzie pójść? Którędy? Niczego nie poznawał. Ani ulic, ani domów, ani ludzi. Wilno, nie Wilno? Szedł przed siebie bez myśli, niczego nie chcąc. W ziemię patrzył, czekał, że może mu przecie przyjdzie coś samo do głowy. Może przecie coś się z nim stanie?

Nic się nie stawało. Niosły go gdzieś samowolnie stare nogi. Patrząc, dziwiąc się, jakby przez sen pośpieszał kędyś. Spojrzał to tu, to tam. Napisy rosyjskie, dorożkarze rosyjscy, wkoło siebie mowy polskiej nie usłyszał ni razu. Coś jakby we śnie chwytalo go za ramię. Ktoś go ostrzega, że stanie się zaraz dziwna, ważna jakaś rzecz. Perswadował mu ktoś życzliwy, żeby przecie się obudził. Gdzie tam! Nic się nie stanie. Bo wszystko sen. Miło spać — jeszcze daleko do rana. I niemiło i ciężko — i lekko, wesoło, bo wszystko nieprawda. Za pierwszym odemknięciem oczu minie złe złudzenie. Zrobi się dzień...

Szedł wciąż przez obce miasto. Skręcał z ulicy w ulicę i coraz bardziej się śpieszył. Mijał jakieś place i skwery. Minał kościółek jakiś mały i przepiękny, a łzy mu poleciały z oczu. Sięgnęła ręka

do kieszeni po szmatkę. Otarła ręką piekące oczy, a on po dawnemu drzemał i szedł dalej. Odzwyczaił się od chodzenia między ludźmi, zawadzał i potraçał i nie umiał się na ulicy zminąć. Nawymyślał mu jakiś taki, ale stary i tego nie słyszał. Wreszcie stanęły nogi, czy ustały. Ruszyły nieco, parę kroków. Obrócił się stary — patrzy naprawo, patrzy nalewo... No i co? — pyta.

Ulica, jak każda ulica. Bruk, kamienice wysokie, gdzieś sklepy, ludzie chodzą. Tłucze się po bruku jakiś ciężki wóz, aż grzmi w uszach i w głowie się miesza. No i nic.

Ale wrosły mu nogi w ziemię. Ani ruszyć. Całkiem zabrakło sił. Trza tu czegoś poszukać! Czego? Gdzie? Słyszane rzeczy! Chyba tu? A co takiego? W głowie nic prócz zamętu, a w zamęcie wciąż coś pyta i pyta.

Oparł się stary o mur, bo się zachwiał na nogach. Ugięły się pod nim kolana, więc ukląkł. Pocięły mu z oczu łzy, więc je ocierał. I szeptał do siebie, wciąż coś szeptał, jakby przez sen.

Przechodziła pani z panienką. Minęły go, przystały. Niesie panienka cztery grosze, daje mu w rękę, wziął. Idzie służąca z targu z ciężkim koszem. Stęka, staje. Stawia kosz na ziemi, wyjmując zatłuszczoną sakwę, grzebie, wybiera. Daje mu grosz. — Za dusze w czyśćcu pokutujące. — Wziął. Biegnie chłopczyna jasnowłosa, z oczami, jak bławatki, książki niesie pod pachą, śpieszy się do szkoły. Już go mija...

Zerwał się stary na równe nogi, jak gdyby zo-

baczył upiora. Uskoczył nabok przestraszony chłopczyk i spojrzał na dziada. Przestraszył się stary i wszystko naraz zrozumiał.

Jeno nie było na tym miejscu ani śladu z ojcowskiego dworku i z ogrodu. Ani z innych tutejszych dworków, ani z innych tutejszych znajomych ogrodów. Tylko ulica była tasama. I nazwa tasama. Stało na tabliczce na rogu: „Małaja Pogulanka“.

Teraz co krok postawił, to mu przybywało rozumu. Już strasznie dużo wiedział! Zaraz będzie wiedział wszystko.

Był kiedyś dzieckiem, chłopcem, Justynkiem. Miał matkę, ojca, dom. Miał szkołę, kolegów. Był stary ksiądz Brazulis i książki nabożne. Był doktor Wołoncewicz i radca Miodragowicz, młody pan Prądzyna. Były kościoły, gdzie się lubił modlić, i Ostra Brama. Przyszły na to nieszczęścia wielkie, krew, zniszczenie, które czyniła bestja władzą, od szatana nadaną. Była Matka Boska cudowna z siedmiu mieczami. Był głos i wielki rozkaz z nieba.

A potym już nic — tylko wciąż tensam sen głęboki. Potym już wszystko się stało, jak długa noc zimowa, kiedy się dobrze, mocno śpi. Teraz czas się obudzić. I obudził się.

Przypomniawszy sobie, że chorował ciężko i że to było w Moskwie. Przypomniawszy sobie, że na tę chorobę długo zdaleka jechał. Skąd? Z Sybiru, z Jakutów, z nad Kaczego jeziora. Jakieś wielkie nie-

szczęście spotkało go po drodze. Dźwiga na sobie tę krzywdę i dla tego mu tak ciężko iść.

Roześmiał się na głos, aż się ludzie obejrzeni. Domyślił się już wszystkiego. Że on, to jest ten sam, który tu już raz kiedyś był. To on jest owym chłopczykiem, który się śpieszył do szkoły. Spotkał się sam ze sobą i tego się tak przestraszył. A tamten mały, ów drugi „on“, też się przestraszył. Ten drugi go nie poznał, ale zato on jego poznał od razu, choć się dawno nie widzieli. Kiedyż to? Oj, dawno!

Szedł i rozmyślał pilnie. Coś mu się rozwijało w głowie, wywlekało się z mózgu, jak cienka nić z kłębka. Po kolei wszystko szło. Szło, szło, szło, aż otrząsnął się stary. Zdumiał się, zachwiał się na nogach. Zobaczył swoją prawdę, przypomniał sobie, co mu kiedyś mówiły złe głosy. Powtarzały mu djabły wkółko, przez tyle lat słowa prawdziwe, a on nie wierzył. — I czemuż nie wierzył djabłom — głupi?

— Poco się trapisz, nieszczęsny? Już cię raz oszukał twój Bóg, zakpił sobie z dzieciaka, a ty, stary, wciąż po dawnemu, jak ten Justynek! Ha-ha-ha!

Oprzytomniał, chwyciła go zgroza. Przeniósł się w jednej chwili z rodzinnego miasta Wilna na Jakuty z powrotem, do samotnej jurty nad brzegiem jeziora. Pograżył się w świętym swoim marzeniu. Zagrały nad nim na niebie ognie prorocze. Znowu, jeszcze raz wszystko w sobie inaczej rozumiał. I zgiął się we dwoje, bo przybyło ciężaru.

Już nie poradzi. Jeszcze szedł. Jeszcze się w nim kołatało serce i ta siła odrobina.

Aż ustał zupełnie.

Szeroki plac, otoczony żelazną kratą. Wielkie gmachy dookoła. Białe wszystko od śniegu: dachy, krawędzie murów, ziemia. Pośrodku białej przestrzeni stoi na kamiennym słupie olbrzymi, czarny, gruby i poczwarny na rozkraczonych grubych nogach, na palce się wspiera. Ponuro z podłba patrzy mu czarny prosto w oczy.

Stał i stał wpatrzony, nie mogąc się oderwać. Przykuły go do miejsca jakoweś czary. Nękał go ciężki przymus zgadywania. Obejrzał się wokoło i pomyślał, obejrzał się jeszcze i przypomniał sobie, poznał stary plac Bonifraterski. Chciał się zapytać, poradzić, chciał zacząć pierwszego lepszego, wyznaczyć mu wszystkie swoje nieszczęścia, zapłakać przed nim, nieznanym, i, błagając, w strachu i zgrozie zapytać: Powiedz, dobry człowieku, pociesz starego, odpowiedz prędzej — przecie to nieprawda, czy mam stare, niedowidzę. Przecie to nie...

Ale plac był pusty, jak wymarły. Więc stali tak naprzeciwko siebie i długo mierzyli się oczami. Aż tamten żelazny na kamiennym słupie odezwał się pierwszy. Zaśmiał się głucho, jak z pod ziemi. Zarżał śmiechem piekielnym i poznał go stary człowiek, Justynek.

PAN I PAROBEK.

Pan Złotowski chodził wzburzony i czerwony jak rak od drzwi do ściany po wąskiej przestrzeni między tapczanami. Nikomu nic nie odpowiadał, na nikogo nie patrzył, tylko zapamiętałe dzwonił kajdanami. Chwilami łzy stawały mu w oczach. Chwilami zdawało się, że porwie się z pięściami na którego z gadających. Jakaś wielka awantura wisiała w powietrzu.

Z dwunastu stałych mieszkańców celi Nr. 7 spokój zachowywał jeden ksiądz Bojdoł, który, chory oddawna i prawie umierający na suchoty, leżał w swoim kącie i od czasu do czasu z trudem podnosił głowę i cierpiące oczy, nie mogąc zrozumieć, co się koło niego dzieje. Pozostali rozpowiadali głośno, kłócili się lub zaczepiali Złotowskiego, rozpytując go o szczegóły, dając mu różne dobre rady lub czyniąc mu uzasadnione zresztą wyrzuty, że samowolnym postępkami swoim wciąga ich wszystkich w ambaras, naraża na kary i prześladowanie.

Szczególniej rozżarty był stary Miształ, majster piekarski, który niedawno odsiedział za coś dwa tygodnie ciemnego karczeru.

— Psiakrew! Było z miesiąc spokoju, człowiek tyle, że przyszedł do siebie, a tu masz znowu chryję.

Jaśnie dziedzicowi się spodobało. Znaj naszych! Zastaw się, a postaw się! Ot szlacheckie koleżeństwo!

— Panie Walery, kładź się pan zaraz i stękaj. Udawaj ciężką chorobę, doktor nie będzie przeszkadzał. Nic ci nie zrobią, a potem się sprawę załatwi. Da się znać Muchinowi, przyjdzie, da w łapę żonie pomocnika i koniec.

— Oho... Za taką obrazę samego naczelnika?... Co pan sobie myślisz? Przecie to więzienie, katorga! Słuchaj pan: paragraf piąty o pozbawionych wszystkich praw stanu i zesłanych na ciężkie roboty bez terminu... Ja, jako prawnik...

— Ja nie prawnik, ale na łapówce cała Rosja stoi. Da się za tym razem więcej, niechby nawet sto rubli. Waleremu, chwała Bogu, pieniędzy nie brak.

— Pieniądzy mu nie brak, tylko tej piątej kleпки w głowie. Czyś ty, człowieku, oszalał? Takie sobaczenie i jeszcze komu? Samemu naczelnikowi!

— Nie, tu żadne pieniądze nie pomogą! Bieda się stała i już. Dostaniesz różgi, panie Walery — rzekł stanowczo starosta celi, pan nadleśny Włoczewski, znawca stosunków więziennych i wyrocznia w zawiłych sprawach z administracją.

— Oj, Matko Boska cudowna! Trzaź się było miarkować, panie dziedzicu! Już trza było na ten raz ścierpieć...

Tego pan Złotowski nie mógł już znieść żadną miarą. Stał jak wryty i ryknął swoim tubalnym basem:

— A ty, chamie, milcz, kiedy się ciebie nie

pytają! Ani pary z gęby, bo ci tu wszystkie zęby wybije!

Franek Wasiak, dawny parobek ze Złotowoli, przeraził się, osłupiał i otworzył gębę. I zaraz potem zrobiło mu się strasznie smutno. Skulił się ogarnął na sobie aresztancką siermięgę.

— Ja nic, panie dziedzicu. Przecie ja nic. Ja ino tak sobie, z dobrawoli...

— Ależ, panie Walery, pocóż się tak rozdrażniać. Tu trzeba radzić...

— Kolega Złotowski manifestuje swoje ideje demokratyczne. To wymowniejsze, niż wszelkie jego dowodzenia polemiczne — wycedził z sarkazmem pan aplikant Ścisło, który był mizernym urzędniczną w kasie powiatowej, ale zato zajmował bardzo poważne stanowisko w administracji Rządu Narodowego, zaco dostał dwadzieścia lat. Tutaj w celi Nr. 7 w zakładach Nerczyńskich był on najzagorzalszą głową we wszelkich dysputach politycznych, a z przekonania był zwolennikiem żandar mów wieszających, zamachu stanu i wielbicielem pana Ludwika.

Kiedy pan Złotowski ukazał się z powrotem na progu celi, wszystko zamilkło ze zgrozy. Zrazu nikt się nawet nie ruszył, żeby go podeprzeć i doprowadzić do posłania, choć chwiał się na nogach. Pan Złotowski ciężko oparł się plecami o zamknięte drzwi, aż głucho jęły rygle i zasuw. Tak stał i patrzył na towarzyszy okropnemi oczami. Było w tym jego spojrzeniu rozpaczliwe jakieś py-

tanie i obłąkany uśmiech. W twarzy nie miał ani kropli krwi, tylko przebiegały po niej nerwowe częste drgania, drgały usta jak na chwilę przed płaczem, a zęby szczękały mu, jak w paroksyźmie febry. Z pod narzuconej na plecy siermięgi miarowo i szybko kapąły na brudną podłogę krople krwi.

Ochłonawszy, porwali się ku niemu towarzysze. Doprowadzili do tapczanu, ułożyli go twarzą do pościeli i mały Kociatkiewicz, pomocnik felczerski, zakasał rękawy i zabrał się do opatrunku. Ostrożnie, ciepłą wodą i czystą miękką szmatką obmywał poszarpane plecy. Złotowski leżał bez ruchu, z twarzą, ukrytą w słomianej poduszce, i tylko dychał ciężko. W celi rozmawiano szeptem. Jedni pomagali felczerowi, inni, ponuro zadumani, siedzieli na tapczanach.

Franek przyniósł w wielkim czajniku ciepłej wody i, nalawszy ją do miski, klęczał przy panu i pomagał, jak mógł. Okropna zgroza ścisnęła chłopca za serce. Stała się według niego jakaś rzecz niepojęta i niepodobna do prawdy. Że pana zabrali, okuli w kajdany i zagnali aż na Sybir, z tym się już Franek jakoś pogodził. Ale to, co się teraz stało, przechodziło wszelką ludzką miarę. Pan Złotowski, dziedzic Złotowoli, Złotej i Złotówki, pan całą gębą i pan z dziada pradziada — sprany różgami do krwi, pohańbiony i sponiewierany...

Pan Złotowski zaczął grzebać palcami po sieniku, chwytać garścią za pościel, wreszcie jęknął.

Po chwili ciężkie jego stękanie, miarowe i głębokie, rozlegało się po celi.

— To nic, zaraz przestanę — uspokajał go felczer. — Zaraz będzie koniec. Polecę do apteki po maść. Rozsmaruje się, obwiąże i koniec. Nie będzie nic boleć. Potym aby leżeć i spać. W tydzień przejdzie. Aby jeszcze chwilę...

Ale pan Złotowski stękał coraz okropniej. Wówczas starosta pan Włoczewski, mądry i stary, wiedząc o co idzie skatowanemu towarzyszowi, rzekł z powagą:

— Dajno spokój, Walery, i nie dręcz się na próżno. W tym niema żadnej hańby ani ujmy dla honoru. Wiesz przecie, gdzie jesteś i gdzie my wszyscy. Katorga! Dziś tobie, jutro mnie. Tu niema się czego wstydzić. I kogo się wstydzisz? Nas? Głupstwo! Czas już zapomnieć, jak tam kiedyś bywało...

Pan Złotowski odwrócił twarz od ściany i jego oczy, zalane łzami, spotkały się z przerażonym spojrzeniem Franka, który klęczał tuż przy tapczanie i trzymał oburącz wielką miskę z wodą. Dziedzic patrzył na niego długo. Wreszcie wymówił łkającym głosem przenikliwie i prosząco:

— Daruj mi, Franek, daruj mi zniewagę i moją niesprawiedliwość...

Chłop cofnął się w przestachu i ułnął na ziemię z pół miski wody.

* * *

tanie i obłąkany uśmiech. W twarzy nie miał ani kropli krwi, tylko przebiegały po niej nerwowe częste drgania, drgały usta jak na chwilę przed płaczem, a zęby szczękały mu, jak w paroksyzmie febry. Z pod narzuconej na plecy siermięgi miarowo i szybko kapały na brudną podłogę krople krwi.

Ochłonawszy, porwali się ku niemu towarzysze. Doprowadzili do tapczanu, ułożyli go twarzą do pościeli i mały Kociatkiewicz, pomocnik felczerski, zakasał rękawy i zabrał się do opatrunku. Ostrożnie, ciepłą wodą i czystą miękką szmatką obmywał poszarpane plecy. Złotowski leżał bez ruchu, z twarzą, ukrytą w słomianej poduszce, i tylko dychał ciężko. W celi rozmawiano szeptem. Jedni pomagali felczerowi, inni, ponuro zadumani, siedzieli na tapczanach.

Franek przyniósł w wielkim czajniku ciepłej wody i, nalawszy ją do miski, klęczał przy panu i pomagał, jak mógł. Okropna zgroza ścisnęła chłopca za serce. Stała się według niego jakaś rzecz niepojęta i niepodobna do prawdy. Że pana zabrali, okuli w kajdany i zagnali aż na Sybir, z tym się już Franek jakoś pogodził. Ale to, co się teraz stało, przechodziło wszelką ludzką miarę. Pan Złotowski, dziedzic Złotowoli, Złotej i Złotówki, pan całą gębą i pan z dziada pradziada — sprany różgami do krwi, pohańbiony i sponiewierany...

Pan Złotowski zaczął grzebać palcami po sieniaku, chwycić garścią za pościel, wreszcie jęknął.

Po chwili ciężkie jego stękanie, miarowe i głębokie, rozlegało się po celi.

— To nic, zaraz przestanę — uspokajał go felczer. — Zaraz będzie koniec. Polecę do apteki po maść. Rozsmaruje się, obwiąże i koniec. Nie będzie nic boleć. Potym aby leżeć i spać. W tydzień przejdzie. Aby jeszcze chwilę...

Ale pan Złotowski stękał coraz okropniej. Wówczas starosta pan Włoczewski, mądry i stary, wiedząc o co idzie skatowanemu towarzyszowi, rzekł z powagą:

— Dajno spokój, Walery, i nie dręcz się na próżno. W tym niema żadnej hańby ani ujmy dla honoru. Wiesz przecie, gdzie jesteś i gdzie my wszyscy. Katorga! Dziś tobie, jutro mnie. Tu niema się czego wstydzić. I kogo się wstydzisz? Nas? Głupstwo! Czas już zapomnieć, jak tam kiedyś bywało...

Pan Złotowski odwrócił twarz od ściany i jego oczy, zalane łzami, spotkały się z przerażonym spojrzeniem Franka, który klęczał tuż przy tapczanie i trzymał oburącz wielką miskę z wodą. Dziedzic patrzył na niego długo. Wreszcie wymówił łkającym głosem przenikliwie i prosząco:

— Daruj mi, Franek, daruj mi zniewagę i moją niesprawiedliwość...

Chłop cofnął się w przestrachu i ułnął na ziemię z pół miski wody.

* * *

Kompanja w celi Nr. 7 żyła naogół zgodnie, bo po wielu zmianach i kolejach ludzie się nareszcie dobrali. Byli u siebie i między sobą. W innych większych celach, mieszczących po czterdziestu ludzi, siedzieli pomieszani z najrozmaitszą kryminalną zbieraniną, która zawsze przeważała liczbą i przeprowadzała swoje zbrojeckie obyczaje i obmierzłe katorżne prawo. Tutaj na dwunastu więźniów było tylko dwóch obcych, którzy zresztą w niczym nie przeszkadzali, bo jeden, „Michaił, bożyj człowiek“, był to wiecznie milczący mistyk sekciarz, żyjący, zda się, poza realnym światem, a drugi, chory umysłowo i na zawsze już uspokojony góral kaukaski, nie znał żadnego języka prócz ojczystego i odzywał się do niego tylko jeden jedyny pan Ścisło, który jeszcze miał głowę do żartów. Po parę razy na dzień podchodził do Tatarzyna i pytał surowo:

— Kto ty?

— Guchremas Ogły Kuwardys Hatan Cawel Tejmur — odpowiadał posłusznie idjota i na tym kończyła się rozmowa.

Nie bez tego, żeby się towarzysze nie posprzecali między sobą lub nawet pokłócili — czy to o ideje lub politykę, czy to o zwyczajne sprawy gospodarskie, o czajnik, o „paraszę“, o jaką miskę.

Ale starosta pan Włoczewski zawsze umiał pogodzić zwaśnionych i utrzymać w kompanji ład i harmonję. Naogół wszyscy co do jednego byli to ludzie poczciwi i szanujący się nawzajem. Siedzieli razem już od roku i jeżeli się nie pokochali, to przynajmniej przywykli do siebie. Poznali się

już wszyscy nawzajem nawskroś, każdy już opowiedział o sobie po kilka razy wszystko, co tam miał ciekawszego, każdy wyrobił sobie już pogląd na całą resztę towarzyszków, określił i ułożył swój stosunek do każdego z osobna.

W celi było jako tako, spokojnie, ponuro, nudno. W pierwszym roku na roboty nie pędzali nikogo. W tym pierwszym roku przywykali ludzie ciężko do swego losu i do kajdan i dzień po dniu odrywali się mozolnie i boleśnie od dawnego życia i od wszystkiego, co tam za niemi w ojczyźnie pozostało. Każdy nosił w sobie własną troskę i niedolę i nad nią wzdychał. Ale powszedni dzień miał też swoje prawo i swój obyczaj. Żył się jakoś, jakoś ten dzień schodził. Towarzysze jedli, spali, gadali, kłócili się, śpiewali, nudzili się, wzdychali, bawili się, jak mogli, nawet się śmiali.

Ustały się formy współżycia, różne poszczególne przywileje, osobliwe niektórych obowiązków i rodzinne przyzwyczajenia.

Wszyscy wiedzieli, że pan Klamborowski, restaurator z Opatowa, to człek porządny, ale łgarz zawodowy i wyspecjalizowany. Obiadami jednak i jedzeniem zarządzał sam pan Złotowski, którego kuchnia słynęła niegdyś w całym powiecie, a roboty kucharskie spełniał Franek. Każdy miał swój własny i osobisty pogląd na przyczyny upadku powstania, ale przegadał wszystkich i przekonał zawsze, a codzień inaczej, pomocnik adwokata pan Puciało.

Najbogatszym w całej kompanji był dziedzic

Złotowski, najuczeńszym pan Puciało, najmądrzejszym starosta Włoczewski, najdowcipniejszym pan Ścisło, a najgłupszym Franek.

Wszyscy brali lekko felczera, małego pana Kociatkiewicza i kpili z niego dobrotliwie. Pan Ścisło brał lekko wszystkich i kpil ze wszystkich wymyślnie i nieraz zjadliwie. Wszyscy opiekowali się chorym księdzem Bojdołem, który stale i napróżno napędzał wszystkich do wzmożonej nabożności. Wszyscy wysługiwali się Frankiem, jak parobkiem, a on pracował za wszystkich, jak gdyby był w służbie i brał za to zapłatę. Specjalnie zaś i przedewszystkim służył swojemu panu.

* * *

Z początku świeże były wszystkie wspomnienia. Przeżywali jeszcze ludzie po raz drugi i po raz dziesiąty to, co było kiedyś, a tak niedawno. Jeszcze nie ułożyło się to w duszach, jako rzeczy minione i jako przegrana sprawa. Jeszcze odgrażał się jaki taki, jeszcze poniektóry czegoś się tajemnie spodziewał. Rozprawiano z ożywieniem, brano się za łby o różne kwestje sporne, opowiadano z zapalem o swoich czynach i o rzeczach widzianych, i nikomu się nie nudziły długie opowiadania o bitwach, o przygodach bojowych i o tajemnicach roboty spiskowej.

Kiedyś niejeden, przyszedłszy na swoich okutych nogach przez sto etapów aż do zakładów Nerczyńskich, uważał, że spełnił nowy czyn, że się jakoś tym swoim cierpieniem przysłużył ojczyźnie.

Niejeden na początku cierpiał męźnie, a kajdany nosił z dumą.

Czas powoli a nieznacznie zdzierał tę szatę godową męczeństwa. Przeżyte zdarzenia przenosiły się niejako z duszy do pamięci. Wyłaziła na wierzch ponura prawda sybirska: czy dziś, czy jutro, czy za rok, czy za piętnaście lat — wszystko jedno. Zawsze będzie krata w oknie, a kajdany na nogach. Będzie dozorca z batem, konwój z bronią nabitą i towarzysze nieodłączni każdej myśli i każdego westchnienia — zbóje, zbrodniarze, brodiagi. Na zawsze dalecy i jakby już obcy pozostaną drodzy sercu, ci, którzy gdzieś tam żyją swoim własnym, obcym życiem w tej gdzieś tam, niewiadomo gdzie, utraconej ojczyźnie. I przychodziła do głowy rozpaczliwa, rozumna myśl — poco mam żyć? Tak pomyślawszy, wieszał się niejeden na rzemieniu od kajdan, inny przyrządzał sobie w tajemnicy wymyślnie trucizny, inny szukał zwady z konwojem na robotach i padał od kuli. A reszta? Reszta żyła.

Katorżny, powszedni dzień ścierał z dusz szlachetne piękno. Dolewał po kropki goryczy, aż uczyniło się każdemu ponuro, obmierzłe. I mówił sobie człowiek sterany — wszystko mi jedno.

Podupadł i pan Złotowski. Prali go różgami raz, drugi, trzeci. Bili go kułakiem, nie zważając na honor, po pańskiej gębie, jako bijali chłopą po mordzie karbowi w Złotowoli i w Złotej i w Złotówce. Stał się cichy, nauczył się już pokory. Wstawał na równe nogi, wyciągał się sztywno, stał

„ruki po szwam“, kiedy do celi wchodził naczelnik, lub naczelnika pomocnik, lub pierwszy lepszy chłystek z kancelarii więzienia. Na robotach zrywał czapkę z głowy i patrzył spokojnie, martwo w twarz przechodzącego urzędnika. Pracował narówni z innemi, na mrozie czy na upale, po kolana w wodzie czy wśród duszącego pyłu kamieniołomów alabastru. Pocił się dawniej dziedzie, stojąc konno nad żniwakami, męczyło go pokrzykiwanie i widok cudzego znoju. Teraz harował narówni z resztą, a ręce miał tak samo urobione i czarne, jak i Franek.

Znał się dziedzie na każdej robocie, wiedział, który na folwarku źle robi, i cholerował i podganiał, a harapem rozumu uczył. Tu go zaś dopiero Franek nauczył, jak się do roboty samemu zabierać. W pierwszym czasie nieraz sam za niego cały wymiar odrobił, a potem mu wykładał chytrą, chłopską naukę, jak oszukać tego dozorcę, który nad niemi z batem stał.

I chwalił sobie Franek te ciężkie roboty:

— Nie tak nas, panie dziedzicu, pilnują, jakby trza. Tutaj lżej, niż we dworze.

Rozpodzieli się po innych katorgach, po szerokim Sybirze i jeszcze gdzieś dalej starzy towarzysze z pierwszych czasów. Umarł nareszcie ksiądz Bojdoł, powiesił się w nocy na okratowaniu wesoły pan Ścisło, zostawiwszy do kompanii krótki list, w którym stały jeno słowa: — Róbcie tosam! — I Klamborowski restaurator łąał już na tam-

tym świecie, bo któregoś roku na robocie soldaci odbili mu coś we wnętrzu kolbami. Chorował i cherlał i łąał coraz niedołężniej, wreszcie umarł. Pana Włoczewskiego przeniesiono na Karę, dwóch, odbywszy swoje lekkie cztery lata, poszło na osiedlenie.

Sprytny Misztal założył własną piekarnię i sprowadził żonę z dziećmi, pan Puciało dostał manji wielkości i pisał gdzieś w jakimś szpitalu po całych dniach i po całych nocach jakiś ogromny traktat o ogromnych jakichś sprawach.

W starym więzieniu został pan Złotowski sam na sam jeno z Frankiem wśród obcego tłumu popolitych zbrodniarzy. Szydzili kajdaniarze z polskiego pana za to, że był panem, szydzili z pańskiego sługi Franka za to, że był panu wierny. Dokuczali im obu jako obcym i do tego buntownikom, i niewiadomo, któremu gorzej. Po jakimś czasie przywykli i do tego obaj, ale gorzej było zawsze panu. Miał czego żałować pan i miał co wspominać. A Franek miał zawsze wolną głowę.

— Panie dziedzicu — szeptał Franek — nie trza się zamyślać a zapamiętywać. Niedobrze tak długo patrzeć w jedno i tosam miejsce. Poco się pan dziedzie wpatruje w tę martwą ścianę?

— Nie rozumiesz ty tego, Franek. Jeden znosi, a inny nie może. Tobie lżej.

— Wiadomo, że lżej. Ja siebie nie przyrównuję. Co ja? Chłop zawsze do wszystkiego przywykły. Ja rozumiem, że panu dziedzicowi jest ciężko. Jakby ja gdzieś miał takie trzy folwarki i tyle lasu, i ko-

nie, i bydło, i piękną taką panią, i takie piękne dzieci, toby się we mnie wszystko przewracało. Ja wiem.

— Nie o to idzie, Franek. Nie rozumiesz.

— Rozumię ja, panie dziedzicu, oj rozumiem! I o to idzie i jeszcze o insze. Jak nam pierwszego razu wydali kazionne koszule, to mnie było w sam raz, jak i zawsze, a panowie to się jeszcze jak długo męczyli, zanim ta skóra do zgrzebnego płótna przywykła? Ze wszystkim na katordze jest to samo. Państwu zawsze ciężiej w niewoli.

— Niewola niewola. Ale, powiadam ci, Franek, wolałbym sam ze sobą w ciemnym lochu siedzieć, do muru przykuty, niż wciąż i bez ustanku z tą straszliwą hałasą, niż z gołą głową stać i wyciągać się przed byle hylem, niż to boże słońce oglądać na katorżnej robocie.

— Oj nie, panie dziedzicu! Lżej między ludźmi, choć to wszystko łobuzy, zbóje i bluźnierce! Lżej z robotą, choćby tam najcięższą. Bez roboty, bez tego ich złodziejskiego jarmarku i nieustannego gwałtu zmartwiałyby człek ze szczętem. Zastałaby mu się w sercu krew i już na nic człowiek, zjadłaby go melankolja, albo, czego Boże broń, zrobiłby sobie jeszcze co złego, jako zrobił choćby świętej pamięci pan Ścisło.

— Mądry był Ścisło. Wszyscy myśleli, że lekko-
duch, bo ino żarty ze wszystkiego stroił. A on zrobił najmądrzejszą rzecz. Powiedźże ty, Franek, poco ja mam żyć? A poco ty żyjesz? Przecie i mnie i ciebie skazali na całą wieczność, bez terminu.

— Takich, jak my z panem dziedzicem, jest też bardzo dużo na Sybirze. Jakże tyle ludzi ma nie żyć? A taka śmierć — to grzech ciężki, bardzo brzydki. To człowiekowi całkiem nie przystoi. Nie.

— Głupi jesteś, Franek. To nie żadna racja. Odpowiadaj na to, o co pytają. Ja powiadam, że lepsze nic, niż takie życie. No i co?

— Nieprawda, panie dziedzicu. Jakże nic może być lepsze od czegoś, chociażby najgorszego? I ja wierzę i pan dziedzic też wierzy, choć inaczej, po pańsku, i w niebo i w piekło i w to życie przyszłe. Wierzym z panem oba, bo to jest najszczer-
sza prawda. No i co przyjdzie z tego samobójstwa? Zdawało się i panu Ścisłu, że tam będzie aby ciemna noc, zresztą i nic. Lubił nieboszczyk, daruj mu, Panie, kpić z rzeczy świętych. A tymczasem sam teraz widzi, co sobie narobił. Za taki grzech, za samowolną śmierć w piekle jest, albo, jeśli już wielka łaska boska — w czyśćcu. Niechże on powie, gdzie mu lepiej, czyli gorzej. Oj, wróciłby się on ku nam, wróciłby się, jeno nieszczęsny nie może...

— Gadasz, niczym nieboszczyk ksiądz Bojdoł, ale i ja przecie katolik. Jabym się nawet chwili nie namyślał, gdybym się jeszcze nie spodziewał, że mi moich lat umniejszą.

— A bō i prawda, że umniejszą. Panie dziedzicu, najgorszy zbój Charyton Plescow, co siedmioro ludzi zarzął, wyszedł od nas przedwczoraj na wolność, bo mu dwadzieścia lat minęło, ile że na katordze przez cały czas się wstrzymywał, nikogo nowego nie zamordował. A cóż my? Nas

puszczą i po piętnastu latach, czyli że już za die-
sięć lat. Będziem jeszcze żyli, panie dziedzicu.

— Inne prawo na zbója, inne na nas. Naszym
manifestu ani amnestji nie ogłoszą!

— Bedzie, bedzie — ino czekać cierpliwie. Póki
wszystko jeszcze świeże, to rząd jest zawścieknięty.
Ale za jakie jeszcze pięć lat...

— Głupi z ciebie człowiek. Za pięć lat! Czy ty,
Franek, nie czujesz, że ja do tego czasu oszaleję,
albo umrę ze zgryzoty? Ja już nie mogę! Już cał-
kiem nie mogę! Ani roku, ani nawet pół roku...
O Boże miłosierny...

Dziedzic urwał nagle i ukrył twarz w dłonie.
Skurcz rozpaczy ścisnął go za gardło. Oddech sta-
wał się coraz gwałtowniejszy, coraz bardziej szar-
piący...

— Dobrze, dobrze, niech se pan dziedzic nad
sobą popłacze, niech. Niechże se pan powzdychają-
dowoli. Ino do ściany się obrócić, a cicho, a z głową
się nakryć. Bo się będą ścierwy jedne znów wy-
śmiewały. Zbóje sobacze, przeniwierce, pogaństwo
moskiewskie, zatracone cudzoziemce, po ludzku nie
czujące...

* * *

Przysyłała pani Złotowska mężowi, co tylko
mogła, żeby mu katorgę umilić. Byłoby mu nie-
gorzej, a przy nim i Frankowi, gdyby te wszystkie
rzeczy wolno było mieć. Ale mało co przepusz-
czali w kancelarji. Nic dla wygody, nic dla przy-
jemności. Ani odzieży, ani bielizny, ani poduszczy-
ny.

Ledwo jaką książkę przepuszczono z łaski, co dzie-
sięcią. Ledwo po parę marnych rubli wydawano
mu raz na miesiąc z tych wielkich pieniędzy, które
dla niego złożyła żona w kancelarji. Czasy były
surowe. Łapówki brali, dziękowali, obiecywali. Brali
sute łapówki i w Irkucku i w Petersburgu, ale na
tym był koniec. Próbowwała stęskniona żona wy-
kupić męża za ogromne pieniądze u wyższych urzęd-
ników, próbowała za mniejsze u miejscowych. Przy-
syłała na Sybir swojego człowieka, sprytnego i nie
byle kogo. Kręcił się, jak mógł, i kręcił swoim spry-
tem, sypał pieniędzmi pani Złotowskiej, pił z czy-
nownikami, grał z niemi w karty i przegrywał, ro-
bił, co mógł, i nic nie zrobił.

Żony zaś i dzieci nie chciał pan Złotowski na-
oczy oglądać. Uparł się. Surowo zabronił przy-
jazdu. Zagroził, że jak bez jego pozwolenia przy-
jadą, to do nich na widzenie nie wyjdzie. Znała
żona upór mężowski, więc słuchała i płakała gorzko.
Nie rozumiała męża i myślała, że wpadł w jakie
dziwactwo. Nie mógł tego wyrozumieć żadną miarą
i Franek.

— Bo i czemu pan dziedzic wielmożnej pani
i paniczów i panienki do siebie nie dopuszcza.
I pani byłoby lżej i panu. Dzieci też podrosły,
pewnie są strasznie piękne. Taż to już osiem lat...

— Milcz, Franek, jeżeli się na tych sprawach
całkiem nie rozumiesz.

— Uparł się jeno pan dziedzic, za przeprosze-
niem pańskim, i tyle. Cóż tu jest do rozumienia?

— Głupiś jest. Nawet mi o tym nie gadaj. To ty sobie myślisz, że jabym tu wytrzymał bodaj jeden dzień, jakbym ich raz na oczy zobaczył? Sto razyby mi było ciężej. Serceby mi pękło. Mało razy ci to gadałem?

— Insi panowie tyż po pańsku czują, a nie tak robią. Który aby tylko ma tam gdzieś te pare tysięcy złotych, a jak nie ma, to się żona zapożycza i jedzie ku niemu. A panu dziedzicowi lub pani dziedzicze co znaczą pieniądze...

— Insi to są insi. A ja też jestem inszy. Rozumiesz?

Szczeremi łzami pisane były te listy żonine. Płakał, czytając je, pan Złotowski, ale w uporze się nie zmienił.

Pisywały dzieci. Napisał, jak umiał, swój list do nieznanomego ojca najmłodszy pana Złotowskiego synek, który przyszedł na świat już po skazaniu ojca.

Najukochańszy Tatusiu!

Ja już jestem taki duży i pisam. Kiedy my wszyscy pojedziemy do Ciebie? Bo mamusia płacze i chce jechać, i Jurek chce jechać, i Janka chce jechać, i Witek chce jechać, i ja chcę jechać najbardziej. U nas teraz bardzo gorąco i dzisiaj była burza i burza złamała największą gruszkę w ogrodzie, ale szkoda, bo gruszki jeszcze są zielone. Już są małe pieski od Nory. Urodziło się aż siedem piesków, a mój najładniejszy i ma na imię Pipcio, bo jest całkiem podobny do takiego. Więc

proszę Tatusia zaraz do nas wszystkich napisać, kiedy my wszyscy mamy jechać, bo wszyscy chcą ciągle jechać i ja bardzo chcę znać swojego Tatusia. Całuję Tatusia w buzię i w rączki i w nóżki.

Tadzio Złotowski.

Nie pisał dziedzic w listach do żony prawdziwej przyczyny swojego uporu. Nie mówił prawdy i Frankowi. Zamykał jeszcze w sobie twardo niektóre swoje tajemnice. Jeszcze mu na to starczyło siły. Twarde miał życie honor szlachecki i ten wewnętrzny, najgłębszy w człowieku wstyd.

Tęsknił okropnie, a nie chciał się żonie, dzieciom pokazać w całej swojej nędzy, w kajdanach, z głową przez pół ogoloną, w zgrzebnej siermiędze i w całym swoim pohańbieniu. Za nic nie chciał swojego cierpienia poniżyć przed wrogiem, nie chciał żony płaczącej ścisnąć w oczach dozorców i za ich pozwoleniem. Nie chciał swych krwawych łez i swojego okropnego kochania okazać siepaczom, którzy go jak psa traktowali i tyle razy jak psa sponiewierali...

A na samym dniu tkwiła w dziedzicowej duszy bardzo ukryta w ciemnym wstydlwym zakątku jeszcze jedna dziwna i głęboka racja. Pozbawiła go przemoc wszelkich ludzkich praw. Odebrała mu wszystko. Nieważne się stało przed prawem jego ślubne małżeństwo z ukochaną kobietą. Wolna ona była, jeżeliby tego zechciała. Więc już nic nie chciał. Nie miał żadnego prawa czegoś od żony zażądać i nie chciał niczego od niej przyjmować.

Nie było w tym żadnego sensu. I to wiedział pan Złotowski. A jednak dręczył siebie i dręczył nie-szczęśliwą żonę dla fikcji. Ale fikcjami zaczyna żyć człowiek, kiedy mu zabierają jego prawdziwe ludzkie życie.

Jakże to miał wyrozumieć człek prosty i nie-uczony, pańszczyźniany chłop, Franek. Męczył pana co jakiś czas i namawiał i kusił panią dziedziczką, co jest „jak ta róża“, i temi pańskimi dziećmi, co pięknie wyrosły. Nieraz bardzo się gniewał pan dziedzic i krzyczał na Franka po swojemu, po pańsku.

— Milcz, głupi, kiedy nic nie rozumiesz!

* * *

Lata płynęły, a Franek wciąż był głupi. Znu-dziło się to dziedzicowi, zaczął Franka uczyć. Ciężko szła nauka z głupim. Z ledwością nauczył się czytać, pisać, trochę rachować. Ale uparł się dziedzic, pędzał go do nauki i męczył go, aż się chłop po-tem oblewał.

Uczył go dziedzic, że ziemia jest okrągła i że się obraca po niebie wokoło słońca. Uczył go o tych rozmaitych ciepłych krajach i o obcych narodach. O trudnych początkach rodu ludzkiego na ziemi, o czasach dawnych, o wielkich królach ziemskich i o narodach, co w wiecznej wojnie ze sobą żyły, z których wiele naszczęć wyginęło, reszta zaś ocalała.

O Polsce i o polskiej sprawie, za którą Franek wojował, za którą te kajdany nosił.

O szlachcie, która była uczona i mądra, i o chłó-

pach, którzy byli ciemni i głupi. O tym, jak to szlachta chciała Polskę z niewoli wybawić, i o tym, jak przez tę ciemnotę chłopską wszystko naszczęć przepadło.

Uczył się Franek z trudem, ale pilnie. Wielka w nim była do wszystkiego ciekawość. Pan opo-wiadał, a on ino słuchał.

Kiedy zaś się już trochę poduczył, ośmielił się Franek, zaczął pana dziedzica sam pytać:

— Czy tyż tak już zawsze, proszę łaski pana, bywało na świecie, że był ten bogaty i ten ubogi? Czyli już od samego początku świata, czyli dopiero potym...

— Mnie się widzi, na mój głupi rozum, że trza było, żeby panowie ślachta chłopów najpierw choć trochę rozumu nauczyli na jakie dobre parę lat, zanim ogłoszone było powstanie. Wszystkieby po-szły. To, proszę pana, czemu tak nie było zrobione?

— Mnie się widzi, panie dziedzicu, że z tych wszystkich zbójów, obwiesiów i łajdaków, co z nami siedzą, to nawet może połowa jest takich, co nie ze złości źle robili, ino że prawie jakby były przymu-szone. — Z głodu, z biedy okropnej, z tego opusz-czenia przez ludzi, proszę pana. Pan tego nie wie, bo się pan wielmożny z niemi nie zadaje, i racja, ale ja ich wszystkich znam. Co niektórzy opowiada! Zgroza bierze. A sędzia jego sądzi, który nie po-trzebuje ani ukraść, ani zabić, bo od małości uczony i po rodzicach pieniądze ma i pensję bierze okrutną za sądenie. Chyba tak być nie powinno? Chyba są takie książki, w których stoi, że tak jest bardzo źle?

— Panie dziedzicu, chyba przez te pieniądze najwięcej krzywdy na świecie. Okropna niesprawiedliwość, jeżeli, na ten przykład, jeden swoje krwawo zarobione pieniądze zgubi, a drugi, ten próżniak ladaco, znajdzie i używa. Wedle tego, to za nic idzie cała zasługa. Każdy się ino stara te pieniądze od bliźniego wycyganić. Chyba tak być nie powinno, żeby w takim marnym malowanym papierku, jak te sto rubli, było aż tyle siły...

Przeróżne były Frankowe pytania i dziedzic odpowiadał rozmaicie. Czasami rozwodził się z ochotą i obszernie, czasami kręcił mądrymi słowami, a zawsze nie o tym, o co chodziło. Robił się jeno zły i nic nie odpowiadał. Nieraz Frankowi jeno namyślał i kazał mu milczeć, a w takich razach zwykle nazadawał mu tyle do nauczania, że chłop, zmiarkowawszy, długo się namyślał, zanim się o coś takiego zapytał.

— Mnie się widzi...

Namnożyło się we Frankowej głowie dużo ciekawości. Dumny był, że już dużo umie, a chciałby umieć coraz więcej. Zaczynał już czytywać samodzielnie, a pan mu jeno objaśniał trudniejsze kawałki. Pisał niezgorzej i z rozkoszą przepisywał z książki do kajetów długie ustępy, które mu się szczególniej podobały. Lubił w rozmowie z dziedzicem popisać się trudnym zagranicznym słowem i sam się sobie dziwował, że jest taki mądry.

* * *

A czas nie płynął, jeno unosił się w ich życiu więziennym, jak gęsty duszący pył. Dłużyły się godziny i dni, a nie liczyli miesięcy i lat, bo nie mieli na co czekać, ani nie było w ich życiu żadnych wydarzeń.

Wdychali tę więzienną kurzawę czasu pan i sługa — jeden z tępą, desperacką obojętnością na wszystko, drugi z wytrzymałością chłopską, która jest chłopą od wieków poratowaniem.

Plunął pan na wszystko, co jeno jest na świecie, dawno już machnął ręką na siebie samego niech mnie djabli biorą! I wzięli djabli pana. Trzymał się Franek wytrwale, jako ten perz się trzyma chłopskiej roli. Mówił sobie: trza ścierpieć — i żył wciąż jednakowo, po latach tak samo, jak od pierwszego dnia. Pan rzadko a cichaczem płakał, chłop codziennie głośno wzdychał.

Opadała na nich kurzawa cichuteńko, nieznacznie a bez przerwy. Uścielała się wokół potroszczku, urastała w grubą warstwę, tężała, udeptywał ją powszedni dzień. Zbierał się rok za rokiem, ale czasu nie ubywało, bo obaj byli skazani na całą wieczność — bez terminu.

Pewnego dnia po robocie zamyslił się Franek nad książką i rachował coś na palcach, a pan, który leżał obok na tapczanie, rzekł, jako mówi do ucznia nauczyciel. Po prawdzie dawno już zarzucił dziedzic nauczanie, bo go ogarnęła od paru lat melancholja, ale Franek douczał się sam, czytając różne książki, które pani dziedziczka wciąż dosyłała mężowi, choć on ich prawie do ręki nie

brał. Kpił z Franka pan Złotowski i przezywał go uczonym, ale przyzwyczaił się napędzać chłopą do książki, więc rzekł i teraz:

— Czego nie czytasz, tylko o głupstwach myślisz? Szkoda jeno tej świecy...

— Panie dziedzicu, toż ja właśnie miarkuję, że dziś wypada akurat dwanaście lat od naszej bitwy pod Młodojewem. O tej porze szliśmy w tę straszną zlewę po nocy gościńcem do Dobrzyjałowu. Pioruny, jak wszycka djabli, a łyska się raz po raz. Ludzie przemokli, klną, wołają jeść, spać (trzy noce my w te dni nie spali!)... Zaś ja w przedniej straży, a pan dziedzic z nami na Łysym. Mignęło mi się coś przy łyskawicy i myślę sobie:

— Ktoś ku nam wali na białym koniu, trza krzyknąć, bo roztrątuje... — I w tę samą chwilę wpada w kupę ułan, aż paru obalił. Ściągli go z konia, pan jego pyta, co i jak? Torbę mu zdjęli i przy latarni do papierów. Nadjechał pan generał i radzą, a my stoim. Radzą i radzą, żołdata na durch przepytują, boi się Moskał, gada wszystko. Jak nie huknie pan generał.

— Chłopcy, psiakrew, uszy do góry i jazda naprzód! Za dwie godzin dojdziem, a za trzy będziemy żryć i pić i spać! Trzy szwadrony ułanów w Młodojewie nocuje! Kasę korpuśną prowadzą, amunicję, żywność. Wszystko będzie nasze! Piechoty aby dwie rotę — armaty się po nocy nie liczą. Wypada ich wszystkich po trzech na jednego. Śpią psiekrwie, niczego się psiekrwie nie spodziewają. W papierach wyraźnie stoi i żołdat to samo

gada. Wyrznięm ich do nogi psubratów! Za nasze niespane noce, za nasze głodne brzuchy, za dobijanie rannych, za to ostatnie pranie pod Jurzcem, pod Czampkowem!... Nie może się nie udać, ino rypać, ino rypać, aby, aby dopaść przed ranem.

Krzyczy pan generał, a tu raz w raz pioruny głuszają i za każdym razem łysk, łysk... Jak nie wrzaśnięm, jak się nie kopniem! Po godzinie zeszli my z gościńca w pole, pobudziły po drodze chłopów, nabrały ze dwudziestu — dobrze podprowadziły chłopcy. I wszystko było, jak właśnie obiecał pan generał. Naprzód podkradł się z nami do wsi pan dziedzic i aby nakazuje wkółko;

— Cicho, a cicho...

Zerwał się na to pan Złotowski, aż dźwiękły kajdany, a chrapiący sąsiad Trygubow, srogi zbój, zbudził się i zaczął kłąć szpetnie, po kajdaniarsku.

— Milcz, zbój, a ty, Franek, śpij i nie zwracaj głowy po nocy. Też mu się w porę przypomniało! Ja nic nie pamiętam i nie chcę! Rozumiesz?

— Ja nic, panie dziedzicu. Ino sobie myślę, jakże to może być, żeby aż dwanaście lat od tego Młodojewa? Toć to wszystko mi się widzi, jakby było wczoraj! Kiedyż to się aż tyle uzbierało?...

— Głupi. Kiedy się uzbierało! Niech będzie dwanaście, niech będzie i sto dwanaście. Zawsze tu będziesz jednakowo gnić między zbójami. On mi tu będzie opowiadał! Wszystko djabli wzięli i nas też. Tylko głupi wspomina. Śpij!

Zgasił Franek świecę posłusznie i zasnął zaraz.

A dziedzic do rana przewracał się po pościeli i dzwonił kajdanami.

Jeszcze kilka lat. I znowu parę lat.

Codzień o piątej rano wyrывał się pan Złotowski z dalekich snów na przeraźliwy dźwięk bębna, budzącego katorgę. Codzień, budząc się, witał przekleństwem nowy przeklęty dzień. Codzień w chwili wstawania do obmierzłego życia wymyślał Frankowi bez powodu, za byle co, za nic i tak się już utarło od wielu lat.

Codzień rano klepał Franek swoje pacierze, codzień śpieszył się, lecąc po wrzątek, żeby prędzej podać panu herbatę. Wzdychając dobrotliwie, słuchał panowego zrzędzenia i nic nie odpowiadał na niesprawiedliwe przyczepki, jeno sobie wzdychał, jakby rozumiejąc, że to nie na niego pan pomstuje co rana, ale na to ciężkie życie...

Codzień, codzień...

Aż pewnego dnia przerwało się jedno ogniwo w pana Złotowskiego kajdanach. Zadumał się więzień. Zabrali go zaraz do kuźni i zajęli się naprawą. W kilka minut spoili na gorąco ogniwo i zakleпали je wnet. Rzecz zwyczajna, ale pan Złotowski był poruszony niezmiernie.

— Patrzaj, Franek, żelazo ustąpiło, a człowiek wytrzymuje.

— Przetarło się od chodzenia. Moje ta jeszcze mało wycheltane, bo ja chodzę po tutejszemu, jak trza: małuśki krok. A pan dziedzic zawsze po dawniejszemu krok ma szeroki, niecierpliwy. Siepie się ten łańcuch na nodze, targa się, aż się panu przerwał.

— Nie o to idzie. Ja mówię, że hańba łańcuch na sobie od noszenia aż zedrzeć! Podlec jest ten człowiek, podły niewolnik! Albo się nie dać zakuć... Albo jak już zakują — zdechnąć w czas. A człowiek wszystko przetrzyma. Takiego niema co żałować. Psiakrew. Czemu my się dali żywcem wziąć w tej karczmie? Coś, głupi, wygrał?

— Wygrać, my nie wygrali, ale jak z nami karczmę podpaliły, jak my znowu tych ładunków wziąć całkiem nie mieli. Co było robić?...

Zabrakło już panu Złotowskiemu do wszystkiego sił w tym roku siedemnastym. Nawet się już niczym nie trapił, tylko żył z dnia na dzień w zupełnej martwocie. Nie czekał tej amnestji, do której wzdychali więźniowie, nie zważał, co mu tam żona od tylu lat wciąż wkółko a coraz inaczej pisała o jakichś tam staraniach, o jakichś tam swoich głupich nadziejach. Nawet oddawna już nie przychodziła znajoma pokusa: wziąć i skończyć ze sobą. Wszystko jedno! Szedł swoją koleją dzień za dniem i wciąż był jednaki, tensam, szary, powszedni, plugawy katorżny dzień. Włókł się obmierzły czas, włókł się i pan Złotowski bez myśli i bez woli za tą swoją straconą dolą.

Odeszła go ciekawość do listów, przychodzących z domu. Zmartwiało w nim serce dla wiernej żony, która się zestarzała w tęsknocie, dla nieznanomych dzieci, które się już wychowały i dorosły bez ojca. Ani razu nie napisał do domu przez ten ostatni rok. Nieraz dopiero Franek otwierał listy

i czytał je panu, bo leżałyby w zapomnieniu nieczytane.

— Oj, panie dziedzicu, jakże tak? To na to tak pięknie pisze pani dziedziczka i panicze i panienka, żeby to aby ino w naszej kancelarji czytały te podlece pisarki? Toć gdyby o tym wiedzieli nasi państwo ze Złotej Woli, jakżeby się strasznie martwili. Nie pisze pan sam, niechta jeszcze, jak nie można, to nie można. Ale list napisany przeczytać, toć to mała fatyga.

Nie mógł znieść Franek tej dziedzicowej martwości. Żał mu było pani i szczególnie panienki Janki, która najśliczniej do tego ojca pisywała, aż łzy w oczach stawały przy czytaniu. Strasznie się skarżyła panienka, że ojciec nie pisze. Strasznie prosiła o to jedno słowo odpowiedzi, o to pozwolenie na przyjazd.

Gadał panu o tym bez ustanku, a pan po swojemu:

— Odczep się, głupi, nie twoja rzecz! — A potem zaciął się pan i milczał, jakby był głuchy, jakby tego serca zupełnie nie miał.

Więc nareszcie odważył się Franek i samowolnie, kryjąc się przed panem, odpisał pani i panience długi i szczery list o tym wszystkim. Odważył się paniom radzić, żeby na nic nie pytały, tylko przyjechały pana podtrzymać i zratować.

— ...Bo bardzo już z panem kiepsko, jak jeszcze nie bywało. Nie mówi, jeść nie chce, na nikogo nie patrzy, ino wciąż prosto przed siebie. Patrzy, a jakby nic nie widział. I tak już ze dwa miesiące.

Mnie się już nic ze szczętem nie słucha, listów nie czyta, a ja jemu każdy list odczytuję, tylko nie wiem, czyli pan tego czytania słucha. Niech wielmożna pani dziedziczka się namysli, czy na tę biedę panową nie trzaby do pana przyjechać? Pan po dawnemu nie chce, ale jakby już panie wielmożne zrobiły taki straszny stuk drogi, to przecieby swojego uporu poniechał, boby w nim serce zmiękło...

Pisał, jak tylko umiał, i wypadł list całkiem niezgorszy. Wszystko o panu opisał, co tylko było trza, o jednym tylko przepomniał, o sobie. Podpisał się poprostu jeno Franek, słusznie myśląc, że panie o nim z dawniejszych listów panowych wszystko już wiedzą. A kiedy list zaszedł do Złotej Woli, nikt w domu nie wiedział, co za jeden jest ów Franek, jakiś człek prosty, który się wtrąca do ich spraw rodzinnych i daje swoje rady.

Minęły ze dwa miesiące, przychodzi odpowiedź. Czyta Franek ten list głośno przed panem.

— ...Pisał tu do nas o tobie, mężu, jakiś człek poczciwy, jakiś Franek, który z tobą tam jest i dużo smutnego nam opowiedział. Co on za jeden? Jak się nazywa? Zaco skazany? Pozdrów go od nas i podziękuj za dobre słowo. Widać jesteście razem niedawno, bo nigdy nic o nim nie pisałeś...

Przykro się chłopu zrobiło, czegoś się bardzo zawstydził, spojrzął na pana ukradkiem, ale pan patrzył przed siebie martwemi oczami i niewiadomo

było, czy słuchał, i, jak zwykle, niewiadomo było, o czym myślał.

* * *

Widzi Franek, że z panem coraz gorzej. Tęgi szlachcic był pan, o głowę wyższy był od Franka i szerszy w plecach i o wiele mocniejszy. Ale za- nadto pańska była jego moc.

Smutki go jadły i jadły, aż go już, widać, biedaka, dogryzają. — I bardzo się zmartwił wierny sługa.

Przestali brać starego na robotę. Nic nie chciał gadać pan przez parę tygodni. Zabrali go do lazaretu, a kiedy go wyprowadzali, zegnał go Franek u progu i w rękę go pocałował i płakał. Nie zważał na to pan, bo był jakby nie całkiem przytomny na umyśle. Wiedział Franek, że pan już zamrze i że go już nigdy nie zobaczy.

Został sam, bez pana i bez swojego człowieka, bez towarzysza tylu lat. Miejsca sobie nie mógł znaleźć, wszystko mu naraz zbrzydło. Przycichł, z ludźmi nie gadał, martwił się bardzo.

Powiada sąsiad Trygubow, srogi zbój, który koło nich od pięciu lat spał i od pięciu lat drwił z chłopą:

— Żle ci bez służby, muzyku, nie masz komu służyć, nie masz kogo po rękach całować. Chodź, głupi, do mnie na służbę. Ja będę dla ciebie lepszy pan...

Tęsknił Franek za panem, dopytywał się o zdrowie, kartki do niego pisywał. Ale pan nie odpo-

wiadał, a felczer mówił, że umiera. Chłop wzdychał i smęcił się bardzo, a o panu myślał, jak o tym nieboszczyku. Rozmyślał o takim końcu wielkiego pana, pana całą gębą, pana z dziada pradziada, dziedzica Złotej Woli, Złotej i Złotówki.

Wspominał go godnie a wdzięcznie. Za pańską opiekę, za tę braterską pomoc, za ten czaj i cukier, za sprawiedliwy, równy podział we wszystkim, co przysyłała pani, za tę wielką naukę, którą go pan z łaski swojej obdarzył.

Wspominał sobie stare czasy, kiedy nastał do dworu w Złotej Woli za parobka. Jako to słońce na niebie był dla niego ten pan, że nie śmiał mu nawet w oczy spojrzeć. Bogaty, pyszny, taki zdrowy i piękny. Lubili go ludzie, choć był popędliwy i zawsze przy sobie miał szpicrutę z bykowca, co bolała, kiejby stalowy pręt. Sprawiedliwy był, roboty pilnował, ale i o człowieka dbał. To jeno było złe, że pana rządcę i psiawiarów karbowych porzpuszczał i zostawił im wolne ręce do bicia. Przez tych sługusów zacieczonych, szczególnie zaś przez jednego okrutnika, Paducha włodarza, było w Złotej Woli piekło, jako na te czasy bywało wszędzie po okolicy — i dalej.

Służył już pięć lat, a nie gadał jeszcze ani razu z panem. Dopiero szóstego lata we zwózkę wywalił na miedzy, bo mu się luśnia z osi obsnęła. Jedzie sam pan rzykiem, na Łysym — dojeżdża i dalej krzyczeć — na deszcz się zbierało, najpilniejsza robota była.

— Ja nie winien, proszę jaśnie pana — luśnia

się obsnęła! Samo się, jasnie panie, przeważało na stronę...

— To ja ci będę luśni pilnował? Czemu wóz nie zrychtowany? Coś robił, kundlu, jakieś rano w pole wyjeżdżał?

I ciach, ciach z konia — jakby kto żywym ogniem po plecach przejechał. Długo pamiętał Franek ostry smak dziedzicowego bykowca. Ale żalu żadnego nie miał i lubił patrzeć, kiedy dziedzic na Łysym w pole przyjechał, bo bardzo pięknie było popatrzeć i na pięknego pana i na pięknego ogiera.

Potym nadeszły te czasy i zaczęli ludzie po wsiach gadać, że musi będzie z rządem szlachecka wojna o tę pańszczyznę. Różnie gadano między chłopami, różnie sobie poczynali dziedzice. Złotowski pan odrazu się ze swojemi ugodził i przystali. Jeszcze na rok przed samą wojną na św. Michał przestały chłopcy przychodzić na pańskie, a który przychodził, brał dniówkę. Tak było w całych dobach Złotowskich.

Zbierało się na tę wojnę, gadali rozmaicie, prawdę i łgarstwo, chodziły skrós tego ludu gadki dziwne i do niczego niepodobne. Bałamucił się jeno naród i nic nie wiedział, czego ma chcieć. Nareszcie się zaczęło na dobre — a tu jeszcze wciąż nic nie było wiadomo temu chłopu. Mało który wierzył, a wszyscy czekali.

W miesiącu maju przechodziła mimo Złotej jedna wielka jakaś partja i rozstawiła się w lesie. Posłali ze dwora na piętnastu furach wszystkiego, co było trza: owsa, siana, kartofli, sadła, słoniny,

okowity parę beczek z gorzelnii, pognali trzy woły na rzeź, baranów ze dwadzieścia. Sam dziedzic z dziedziczką za furami na wolancie jechał. Przyjechali do lasu — okropnie ciekawy był Franek tego polskiego wojska. Dziedzic ze starszyzną się zabawia, Paduch każe z fur wszystko zwałać i pogania, potrąca, jak przy każdej robocie.

Spuszczał Franek z drugim fornałem beczkę z okowitą z wozu po desce. Coś się nie tak stało, spadła beczka, obluzowały się krzynę klepki, zaczęła beczka ciec. Jak nie zacznij Paduch chole-rować, jak nie weźmie prac. Objuszył Frankowi głowę, Franek stoi, ino ślepiami świeci.

Chodził niedaleko taki siwy nieduży pan wojskowy z partji, cygar kurzył i na wszystko z za okulara patrzył. Podeszedł bliżej, uśmiechnął się dobrotliwie i pyta:

— O cóż to, kochaneczku, tak się gniewasz? Co te łajdaki zrobiły?

— Szkody, wielmożny panie, bestje narobiły. Beczkę zluzowały. Bedzie straty na jakie trzydzieści złotych...

— To nicponie jedne! Ino uważasz, kochaneczku, że ja tu obożny — czyli bez mojej woli nikt się nie ma prawa rządzić. A u nas w partji ostre prawo — bić kogokolwiek zabronione nawet oficerom, zato nakazane bić Moskale. To one Moskale te chłopcy, żołdacy poprzebierane?

Paduch wybałuszył oczy i nie rozumiał. Spytał pan jeszcze raz i wciąż dobrotliwie.

— Nie, wielmożny panie, to są ze Złotej nasze parobki.

— I powiadasz, kochaneczku, że aż na trzydzieści złotych jest tej szkody?

— Wielmożny panie, będzie co najmniej na czterdzieści, precz ciecze!

— Czterdzieści to czterdzieści, ja ci wierzę. Chłopcy — krzyknął pan i zaraz przyleciało paru. — Brać go do dyżurnego! Niech mu w tej chwili dysponuje czterdzieści batów, ani mniej ani więcej — za samowolę w obozie.

Przyleciał Paduch do pana na skargę, stęka z bólu i płacze. Sczerwieniał pan Złotowski z gniewu, że jego człowieka to spotkało. Gniewa się bardzo, a stary pan oboźny ino ręce rozkłada i uśmiecha się dobrotliwie.

— Prawo wojenne, panie dziedzicu, prawo, kochaneczku. U dziedzica kochanego jeszcze, widać, biją, a u nas już przestali. Cóż ja na to poradzę?

Zrozumiał wówczas Franek, że słuszna jest ta polska sprawa.

A w miesiąc później wybierał się sam dziedzic w daleką drogę. Jechał we cztery konie, wypakowaną bryką, z całą bronią, jak na wielkie polowanie. Z tyłu szedł Łysy na powodzie, jak na jarmark. Jechać miał z panem tylko stary furman Wajdecki. Ale w ostatniej chwili spostrzegł pan, że trza jeszcze kogoś do pomocy — zawszeć było koni pięć. Pomyślał i kazał wołać Franka, wziął go nabok i pyta:

— Franek, uważasz ty, gdzie ja jadę?

— Skąd mam wiedzieć, jaśnie panie. Nie wiem.

— Nie wiesz dużo, ale zawsze trochę wiesz?

Co?

— Juści prawda.

Bo właściwie wszyscy dworscy wiedzieli, że dziedzic jedzie na wojnę.

— Chcesz ze mną jechać? Widzisz, za mało jednego Wajdeckiego do pięciu koni. Będiesz przy mnie do usługi i przy koniach, strawnego będziesz brał dwa złote. Jak nas nie powystrzelają, to dostaniesz wielką nagrodę, a jak cię zabiją, to cię ino zakopią. Jedziesz?

— Ano. Jak pan dziedzic nakazuje...

— To siadaj na kozieł. Wajdecki, ruszaj! Stój!

Zeskoczył jeszcze pan, objął wpół zapłakaną panią, dzieci jedno po drugim podniósł do góry i ucałował, wsiadł i pojechali.

* * *

Cieężko chorował pan Złotowski. Długie tygodnie przeleżał, czekając na śmierć, bo nie spodziewał się wyzdrowieć i nie chciał. Nie wiedział do kórego do samego końca, co to była za choroba. Próbował i tego i owego, wreszcie znudził się, wszystkiemu dał spokój i przestał zaglądać do chorego katorznika. Leczył go felczer, jak umiał i jak mu przyszła fantazja. Kazał mu dużo jeść, to go znów głodził, puszczał mu krew, kładł na brzuchu lód, albo gorące okłady. Chory nic nie mówił i nie ruszał się zupełnie — niewiedomo, czy nie mógł, czy nie chciał. Mogli z nim wyrabiać szpitalniki,

co żywnie chcieli, on na nic nie zważał. Nie miał na to głowy, ani czasu.

Myślał pan Złotowski przez cały czas choroby o wielkiej, trudnej sprawie. Dnie i noce ją rozważał, ciężko pracując.

Poco człowiek żyje?

Pograżał się w to rozmyślanie stopniowo i dzień po dniu coraz to głębiej. Zapomniał o swoim losie, jako o rzeczy drobnej i nieważnej. Zapomniał o żonie i o dzieciach, zapomniał o dobrach dziedzicznych, o Złotej Woli, o Złotej i o Złotówce, zapomniał o Polsce.

Dopiero, kiedy przychodziła gorączka, wyrwały się z zapomnienia rzeczy przeżyte i przewijały się zagmatwane i bezładne. Łudziły, cieszyły, zabierały mu bezwonną duszę i porywały ją za sobą z powrotem w te umarłe lata.

...Blask śniegów, do nieba ręką sięgnąć, w duży odwaga, siła i zwycięstwo, pełna pierś chłodnego, dziwnego powietrza, oczy, rozpuszczone po niezmiernych dalekościach, ból z rozkoszy.

Góry, góry, lody, skały, jeziora, lasy, równiny, wsie, miasta — cały świat. Szczyt Jungfrau! I ona...

Pierwszy w życiu, burzliwy a piękny romans ze znacznie starszą od siebie, mądrą, okrutną i przepiękną panią „Aspazją“ Leganowską, wdową po dwóch bogatych mężach i dziedziczką ich fortuny, osławioną na całą okolicę i na cały kraj, drwiącą z opinii w swoim zaczarowanym pałacu w starożytnym Grodzanowie i przyjmującą samych mężczyzn. Ta, która, zamężny w krótkim cza-

sie swoją piekielną miłością dwóch mężów, upozowała się na Aspazję z „Poganki“ i chodziła nago przed całą opinią w atmosferze legiendy, zgrozy i powszechnej zazdrości. Ta, z którą pan Złotowski zwiedził pół Europy, z którą w ciągu pół roku przepuścił Łazory i Tłusćciec, odziedziczone świeżo po matce.

Wówczas, na szczycie, oderwał wzrok od świata i spojrzał w jej straszne, wdał spoglądające oczy.

— Kiedy będę kiedyś umierał i przyjdzie moja ostatnia godzina, wiesz, co sobie powiem? Pocom żył? Żeby być przez ten jeden moment tutaj — z tobą...

Uśmiechnęła się łaskawie, patrząc sobie wdał.

...Wiosna, wieczór w parku, gdzieś tam słowik, jaśminy aż duszą. Pełno wokoło precudnego szczęścia. O czym śpiewa słowik? O tym, co się ma stać. Pierwszy przesłodka pocałunek — narzeczoną... I długo, wciąż całując, tłumaczy spłonionej dziewczynie, że to jest w człowieku najświętsze, że dla tego tylko warto żyć...

...Radość, duma, jakieś rozrzewnienie, pełne dobrych łez. Pierwsze dziecko, syn, jego dziedzic — Jureczek...

— To najwyższa moja radość. Nic mnie nie może spotkać w życiu nad to większego — mówi do żony.

A kiedy ruszali z pod Młodojewa, po zwycięstwie, ze zdobyczą, prowadząc jeńców, wśród radosnego śpiewania żołnierzy, rzekł był do kolegi:

— To najpiękniejszy dzień mojego życia. Niema większej radości, jak walczyć i zwyciężać!

Ale budził się z gorączki i znowu pytał: poco człowiek żyje? Czynił ten rachunek swojego życia, bo wiedział, że umiera. Nie mógł się jednak niczego dorachować. Było w jego losach dobre, było nijakie, było złe — tego jednak do końca nie mógł zważyć ani rozstrzygnąć, czy warto było żyć.

Było mu ciężko umierać, nie dowiedziawszy się, czy tam po nim został, czy nie został jaki ślad. Czy przydały się na co świata jego siedmnaście lat codziennego cierpienia. Bo inaczej — gdzież jest ludzkiego życia sens?

Męczyło go i wyczerpywało w nim resztę sił to trudne myślenie. Wreszcie sił zabrakło i zabrakło myśli. Jenemu się cieszył, że wreszcie już spocznie. A im bliżej był śmierci — tym bardziej obce stawało się dla niego wszystko, co go przywiązywało do świata i co go kiedyś zabijało tęsknotą.

Nie bolała go myśl, że nie zobaczy żony, dzieci, kraju. Wydawało mu się, że żona i dzieci dawno zmarli i że już ich odżałował. Jediną istotą żywą, którą jeszcze pamiętał i z którą się z duszy żegnał, był to jeno Franek, może dla tego, że do niego jednego było mu najbliżej, może dla tego, że on jeden był mu ze wszystkich najbliższy. Dom własny rodzinna okolica i kraj ojczysty — były to jakieś

niepewne obrazy senne, niewiadomo, czy istniejące gdziekolwiek naprawdę. Własne jego losy mieszały mu się w skołatanej głowie z obrazami życia innych znajomych ludzi, ze wspomnieniem ich cierpień, radości i wszelakich przygód. Patrzył na siebie obojętnie, coraz obojętniej — wreszcie odwrócił oczy ku nieogarnionej jakiejś przestrzeni, gdzie w pustce pływała leniwie, kłębiąc się i zwijając się w sobie, szara mgła.

Szara mgła wisiała naprzód pod powalą izby szpitalnej, ku której chory miał wzniesione oczy. Potym zasłoniła brudną bieloną ścianę, a w parę dni zabrała wszystko: chorych katorżników, ich stękania i rozmowy, szpital, katorgę, Sybir, cały świat.

Rozpowijała się, skręcała się ta mgła w dziwne znaki, w dziwne jakieś sny. Ciągnęła ku sobie i dźwigała do niej chory ciężką głowę, to znów spuszczała się i zwała się na niego całym swoim gąszczem. Dusila go i mordowała bez miłosierdzia.

W jej szarych skrętach, pełnych przerażającej jakiejś nudy, układały się mętnie i niewyraźnie potworne, dręczące majaki, obrazy obłąkane i poczarne, niepodobne do niczego. Było w nich jeno dreszczem przejmujące przeczucie nieodgadnionych i niepojętych rzeczy ostatecznych.

Szczerze pragnął śmierci pan Złotowski, a jednak straszna trwoga ogarniała go, kiedy mu zaglądały do oczu śmiertelne widma. Krzyczałby wniebogłosy o ratunek, gdyby miał jeszcze choć trochę sił do wydobycia ze siebie głosu. W rozpa-

czy, zlany strugami zimnego potu, otwierał jeno niedołężnie usta i poruszał wargami, usiłując coś zawołać, coś jeszcze w ostatniej chwili wypowiedzieć. Mocował się, dobywał ze siebie wszystkiej reszty sił. I ginęło w izbie szpitalnej jego niedołężne, ciche jak oddech szeptanie:

— Franek!... Franek!...

Ale usłyszał to wołanie wierny sługa.

* * *

Chłop chłopem. Rozpuścił się Franek naszczęć bez pańskiego dozoru. Przez siedmnaście lat pilnował go pan nieodstępnie, a teraz jeno trzeci miesiąc, jak go przy nim nie było, i zepsuł się chłop na nic. Żałował pana Franek, żałował i od-żałować go nie mógł. Zaczął z tej żalości zapijać szwarcowaną gorzałką, zaprawianą dla większej mocy po kajdaniarsku — wywarem z machorki. Wdał się ze „szpanką“ i z „Iwanami“, za panbrat zaczął żyć ze wszelką hołotą. Po całych nocach w karty grywał i zgrywał się zawsze, bo nie takim, jak on, było ograć katorżnych szczywanich szulerów. Przegrał swoje wszystkie rzeczy, że ino mu została jedna koszula i gacie, ten chałat i te „koty“ na nogach. Podkładki pod kajdany też przegrał, ale pańskich rzeczy nie tknął, które zostały w skrzynce pod jego opieką. Nie ruszył nic, choć za swoje to bogactwo uważał, bo wiedział, że pan już po to nie wróci.

— Czego się trapisz, muzyku, czego wzdychasz? — pytał go sąsiad Trygubow. — Jeszcze

żałujesz swego parszywego pana? Jeszcze się go boisz? Masz pełną skrzynię pańskich rzeczy — będziesz miał zaco pić przez pół roku... Głupi, za darmoś tyle lat służył — zadłużył się u ciebie twój parszywy pan. Weź byle co i postaw — wygrasz i odegrasz się całkiem... — Tak go kusił sąsiad Trygubow, srogi zbój.

A z drugiej strony drugi sąsiad, który zajął opuszczone dziedzicowe miejsce, rozbestwiał go opowiadaniem o swoich przygodach. Był to słynny na Sybirze Mielniczenko, zbrodniarz bez czci i wiary, gwałciciel i morderca kobiet.

Kręciły się poza częstokółem katorgi i zagładały przez szpary między palami dziewczki wszeteczne, kajdaniarskie kochanki. Który dużo pieniędzy ukradł, wygrał lub wyszachrował i miał na przekupienie dozorców, do tego je wpuszczano, żeby mu zabrały resztę i za to... Rzeczą była na katordze zwyczajna, ale Franek, choć na to patrzył od siedemnastu lat, dopiero teraz, jak gdyby po raz pierwszy, zobaczył na swoje oczy tę straszną pokusę.

I pewnej nocy, kiedy wszystko wokoło spało, wstał i, skradając się jak złodziej, wlaź pod tapczan i zajrzał po raz pierwszy do dziedzicowej skrzynki.

Przez cały tydzień chlał Franek wódkę i fundował wszystkim, hojnie obdarzał dziewczki, grał w karty, muzykanta sobie wynajął cygana koniokrada, który za nim chodził z celi do celi i rznął na skrzypcach dla większej ochoty. Robił wszystko

tak, jak było we zwyczaju na katordze, hulał godnie, zapamiętałe, bez Boga Ojca, szeroko, po kajdaniarsku. Drwili z niego wszyscy, pijąc jego wódkę, grabiąc jego pieniądze i dzieląc jego całą ochotę.

Powiadali: — godną stypę wyprawiasz po panu, znać, żeś go miłował. — I śpiewali ochryplemi od pijaństwa głosami pijacką „panichidę“ po zmarłym. Franek trzy razy na dzień płakał rzewnie po panu i trzy razy na dzień wykrzykiwał, biorąc się pod boki.

— Teraz nikt nie ma nade mną prawa! Teraz ja sam sobie pan! Ja wolny człowiek, katorżanin, dla mnie prawo nie pisane, co zechcę, to zrobię...

— Racja, racja, muzyku — drwił sąsiad Trygubow, który patrzył na te awantury Frankowe, jak na teatr.

Ostatniego dnia przegrał Franek w karty ostatni sprzęt po panu, przegrał i skrzynkę panową, przegrał całe swoje dziedzictwo. I powalił się pijany spać.

Boki zrywali sobie kajdaniarze, patrząc naza jutrz na jego minę, na jego niezmiernie strapienie. Ryczał chłop wniebogłosy i oskarżał się, że jest podły złodziej. Płakał rzewnie, bo został sam na świecie, jako ta sierota, zarzucony na kraj świata, między podłych ludzi.

— Powieś się teraz, muzyku, — radził Trygubow — to ci jedno pozostało. Żaden wierny pies nigdy nie przeżyje pana, zdycha i on. Takie jest psie prawo. Rzemień przepiłeś, ale ja ci po sąsiedzku pożyczę postronka. Masz!

Bał się Franek zapytać felczera, co się przez ten tydzień stało z panem. Przeważał okropny wstyd przed panem i wołałby już, żeby było po wszystkim. To znowu chwyciła go nieposkromiona żalność i tęsknota, więc modlił się gorąco, żeby pan wyżył jeszcze z parę dni, żeby go jeszcze mógł na oczy zobaczyć i godnie go pożegnać.

Powiedział mu wreszcie na podwórzu szpitalny posługacz, że pan już ledwie dyszy, że od dwóch tygodni nie je, nie otwiera oczu. Okropnie uradował się Franek i koniecznie już musiał pana zobaczyć. Nie prosił już za tym razem o żadne pozwolenie, bo wiedział, że go tam nie puszczą za ogrodzenie, chyba w bardzo ciężkiej chorobie. Ciężkiej choroby udać nie umiał, więc wziął i dzwignął z ziemi niezmiernie ciężki głaz, leżący pod częstokołem, i spuścił go sobie na obie nogi. Zabrali go i ponieśli do szpitala.

Pan tymczasem szeptał w agonji: — Franek... Franek...

* * *

Krzyczał wniebogłosy Franek, kiedy mu doktor opatrywał zmiążdżone palce u nóg. Żałował po niewczasie, że w głupocie swojej podstawił pod kamień obie stopy, kiedy wystarczyłoby i jednej, żeby się dostać do pana. Kiedy go zaniesiono do izby i zwalono na tapczan szpitalny, stękał z bólu, ale rozglądał się ciekawie wokoło po chorych. Było ich sześciu, ale pana Złotowskiego nie było między niemi. — Musi dopiero co pomarł i już go wy-

nieśli nieboraka do trupiarni... Na nic się zdało moje bolenie i kalectwo. — Zmarkotniał chłop całkiem.

Dopiero po chwili, wpatrzywszy się pilnie w jedną siwą głowę, leżącą nieruchomie na poduszce, zawołał: — O laboga! — poznał dziedzica. Zgramolił się, jak mógł, z pościeli i poczołgał się na rękach i na kolanach do swego pana.

Długo nie mógł się nadziwować, jak strasznie pan się zmienił przez niecałe trzy miesiące. To nic, że osiwał na bieluśko. Wydawało się, że wszystko się w nim zupełnie odmieniło. Nic się nie zostało z dawnego pana dziedzica Złotowskiego, tak że dziwił się sobie Franek, po czym on go poznał. Wreszcie domyślił się — widział parę razy ojca dziedzicowego, który był już bardzo stary i mieszkiał w Warszawie.

— Oj, bidaku ty, bidaku nieszczęsny! O, jakże cię zmarnowało...

A dziedzic otworzył oczy i spojrzał na Franka. Długo był wpatrzony, aż mu zaszyły oczy łzami. Budził się w starej, pooranej twarzy jakiś wyraz, przebiegały po niej drgania, wreszcie wśród sieci zmarszczek ukazał się dobry uśmiech, jakiego nigdy Franek u dziedzica nie widywał. Twarz była strasznie stara, ale uśmiechało się w niej jakby małe dzieciątko, jeszcze nieświadome i głupiutkie. Poruszały się blade usta, szepcząc. Przyłożył Franek ucho do dziedzicowych ust i słuchał.

— To ty... Franek... To ty.

— Ja jezdem, panie dziedzicu. Bedziem znów razem, bo ja tyż chory. Bedziem razem.

— Ja... umieram... ja umieram... Lubisz mnie?

— Oj, panie dziedzicu, nieboraku nieszczęsny, toć cie lubię, a jakże... Jakże nie mam lubić? Toć kulasy sobie poutrącałem, a przyszedłem, bom już bardzo chciał.

Spojrzał pan na jego obandażowane nogi, więc poznał Franek, że pan wszystko rozumie. Westchnął ciężko i uderzył się pięścią w piersi, aż się rozległo.

— Łajdak ja jestem grzeszny, panie dziedzicu, i złodziej niegodny. Toć ja wszystkie panowe rzeczy przepiłem i przehulałem i nawet skrzynkę też. Djabli mnie pokusili, bom ze żalu już nie wiedział, co robić. Okropna żałość mnie trapiła, a te ścierwy podjudzały na największą rozpustę, Trygubow i ten nowy Mielniczenko, jeszcze gorszy niż tamten. Sam nie wiem, jak się to stało, więc daruj mi, panie dziedzicu, w tę ostatnią godzinę, daruj mi moje łajdactwo, bo już chyba nigdy nie zaznam spokoju...

Zaczął pan poruszać ustami, więc Franek znów przyłożył ucho i słuchał z otwartą gębą, pilnie, żeby nie uronić ani słowa.

— Głupi jesteś... Ukrzywdziłem cię... Ja cię w biedę... Na całe życie... To ja ci nakazałem... Na całe życie... Przeze mnie... Daruj, Franek... ja już nie pan... umieram... Nie tak, jak trza, wszystko idzie... Podły świat... Twoja chłopska krzywda... Daruj...

Przelał się bardzo Franek i nie wiedział, co dziedzicowi odrzec. Poglądził go po siwej spotniałej głowie i mówił, jak do dziecka.

— Będziem, panie dziedzicu, oba zdrowe, i oba

jeszcze wrócim do Złotej Woli. Pan se będę wypoczywać po tej niewoli, a mnie staremu da pan rządcą jaką lekką robotę przy ogrodzie, te ścieżki gracować, czy powróśla robić, czyli te orzechy, grzyby w lesie zbierać — ino za te miskę strawy...

— Głupiś. Jak wrócim... Będiesz ze mną we dworze, jak brat... Wielka moja wina... Jak wyżyję... wynagrodzę... A ty mi daruj...

— Nie trza, panie dziedzicu, żadnego darowania, dobry pan dla mnie był zawsze, że lepiej nie trza było. Gdzie to kiedy jaki pan ze chłopem...

— ...Ja już nie pan... mów mnie na ty... Może wyżyję... wynagrodzę. Nie taki z tobą byłem, jak trza... przez siedmnaście lat! Mów do mnie na ty. Ja każę!

— Oj, poco tak... Jakże tak...

— Głupiś... Jak zamrę, a ciebie puszcza, pisz list do pani... lepiej do panienki, do Janki... Szczera dusza... Panicz, młody dziedzic, dziwny... Za mądry... Nie tacy my bywali... Pisz, niech ci na drogę pieńędzy... Pojedziesz... gruntu morgów dwadzieścia, drzewo na chałupę... Dwa konie, dwie krowy... Pieniędźmi też niech dolożą...

— Oj, za dużo, panie dziedzicu...

— Cicho bądź... Słuchaj! Młodemu panu wszystko opowiedz... Jak się męczył ojciec... W kajdach... Hańba... Łeb ogolony... Różgi... Po pysku prali... Wszystko opowiadaj... Naucz go... Niech ludzi uszanuje... Za późno wszystko... Siedmnaście lat myślałem... Dopiero w ostatniej godzinie... Niech wszystko inaczej... Ty przypilnuj!...

Szeptał jeszcze długo dziedzic, ale mimo wysiłku nic już nie mógł Franek wyrozumieć. Drgały jeno te sine usta, a oczy dziedzicowe już się raz wraz przymykały na ten wiekuisty sen.

Siedział chłop przez całą noc nad panem, patrzył na niego żałośliwie i wzdychał. Zapomniał o swoim bólu, co go rwał po okaleczonych nogach, i tylko wyczekiwał, czy nie otworzy pan oczów, czy jeszcze nie przemówi słowa.

Zdrzemnął się na chwilę nad ranem i przyśniło mu się, że jedzie ze snopkami z pola w duszny, gorący dzień przed burzą — już gdzieś daleko hurkoce po niebie. Ale obluzowało się coś we wozie, waży się wóz na stronę, a tu właśnie wypadła miedza. Śturk przednimi kołami o miedzę i już wszystko na ziemi. Gramoli się z pod snopków. Aż tu wypadnie jak z pod ziemi sam dziedzic na Łysym.

— Ty, taki owaki... — Jak go utnie raz po raz po plecach, po tej przepoconej koszuli — jakby go kto ogniem sparzył.

Ocknął się Franek z tego bólu i widzi, wpatrzył się w niego dziedzic proszącymi oczami. Porwał się, nastawił ucho i słucha. Ucieszył się bardzo, bo zupełnie wyraźnie szepce dziedzic — znać się, wyżyje.

— Pamiętasz — sprąłem cię bykowcem, we zwózkę... Pilny był czas... Nie gniewaj się już, Franek... Ja już nie pan... Daruj w ostatnią godzinę... Bardzo pilny był czas... Burza szła... Już nikogo

nigdy... W całej Polsce... Inaczej trza, inaczej... Już wszystko wiem... Siedemnaście lat...

Struchlał Franek i osłupiał na takie gadanie. Długo się nie mógł pomiarkować, że pan taką drobną rzecz w sobie wciąż pamiętał, choć przez siedemnaście lat ani słowem o tym nie wspomniał. Przestraszył się, że wiedział pan, co się jemu przyśniło. I poznał, że to już chyba ostatnia chwila, bo tylko w godzinę śmierci stają się między ludźmi takie dziwy. Zaczął tedy na głos mówić pacierz od Ojciec nasz aż do samego końca. A potem z płaczem w głosie powtarzał wkołko — Wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie...

Dziedzic słuchał tego z uwagą wielką, aż oczy przymknął. Twarz mu się zmieniła, jeszcze bardziej przybladła, jeszcze bardziej się wyciągła. Mijał czas, a Franek wciąż się modlił, wciąż powtarzał, jak w zapamiętaniu, te swoje — Wieczne odpoczywanie.

I niewiadomo, jakby to długo trwało, gdyby nie przyszły aresztanty szpitalniki. Ściągli pana z tapczana, rozkuli i tegosamego dnia wywieźli go z katorgi na wieczną wolność.

Został Franek sam ze sobą i żył jeszcze długo, aż za długo. Ale nie doczekał ani wolności, ani obiecanych morgów, ani krów, ani koni z dóbr złotowskich. Nie był temu winien nieboszczyk pan, bo był na tamtym świecie, ani dziedzicowi spadkobiercy, którzy w świętości zachowali pamięć po zmarłym, jeno nic nie wiedzieli o Franku, ani o ojcowym testamencie. Nie śmiał się chłop upominać, wstydził się głupi poprosić państwa o pomoc i tak

mu zeszło to życie z dnia na dzień, na niczym. Już bardzo był stary, kiedy leżał chory na ostatnią chorobę w szpitalu więziennym, ale do uwolnienia było wciąż jednakowo daleko, był bowiem skazany na całą wieczność — bez terminu. Niczego się tedy nie spodziewał i umarł sobie po chłopsku nieznacznie a cicho, nie pytając, czy było co warte, albo też komu na co potrzebne jego długie życie.

POSIEW ŚMIERCI.

Zima owego roku była tęga i długo się trzymała. Uprzykrzyła się wszystkim, i tym, co mieli futra i ogień na kominie, i tym, co marzli w wiatrem podszytej odzieży, a nie zawsze mieli czym palić. Dojadła zima i tym, co siedzieli po domach, i tym, co siedzieli po lasach. Przeklinali ją ludzie po partjach i obozach, przeklinali ją żołdaci, tropiący powstańców po mrozie i po zaspach śnieżnych.

Wytrzymywała długo na podziw ta niebywała zima, jak gdyby sama natura chciała raz nareszcie uczynić porządek w tych niepokojach ludzkich. Wypierała z lasów ostatnie oddziały zbrojne i pchała je ku wsiom, ku miastom, ku granicy. Rozłazili się ludzie, uciekali i mieli z wiosną powrócić. Wymroziła zima w zbuntowanych resztę gorąca i zapału. Podpalił jeszcze wróg od czasu do czasu jaką wieś, jakieś miasteczko, ale nie robiło się od tego w duszach jaśniej, cieplej.

Marzli na śmierć ranni, zanim zdolali się doczołgać do litościwych ludzi. Łamały sobie zęby głodne wilki na zmarzniętych na kamień trupach poległych, którzy padali jeszcze to tu, to owdzie,

a których grzebały rychło pod zaspami zadymki śnieżne.

Jeszcze w ciągu marca ścisnęły tęgie mrozy. Śniegi na polach leżały i leżały do uprzykrzenia. Ginęły setkami z głodu i zimna przylatujące w swojej porze bociany. I nie mogli się doczekać niecierpliwi ludzie tej wiosny, do której każdy, zapalony czy trzeźwy, przywiązał swoją ostatnią nadzieję. Pomimo wszystkich zawodów, na wiosnę miała się nareszcie wypowiedzieć ostatecznie dyplomacja europejska, na wiosnę miał przybyć ratować sprawę sam pan Ludwik, którego nie było w kraju już od roku — na wiosnę miało się coś stać, niewiadomo co, cud, dobra odmiana — zwycięstwo...

Długo nie zbierało się na tę wiosnę. Szarzały śniegi, spływały leniwo wody, odmiękała ziemia. Puszczano nieśmiało kielik trawy, pączek na wierzbie, przygrzało słońce dzień, drugi, łudząc. A na jutro spadała zadymka śnieżna i znowu biało robiło się w polu i tężała ziemia. Wracała się zima po wielokroć, nie słuchając ludzkich nadziei i kalendarza.

Nareszcie przypiekło słońce i ustaliła się pogoda. W szalonym pośpiechu i gwałcie spływały wody. Wezbrały gwałtownie rzeki, rozlewały się po równinie, sięgały do niebywałych granic powodzie.

Spadły gorąca, burze i ulew.

Na gwałt odrabiała wiosna zaległe prace, spieszyło się wszystko na podziw, rosło w oczach, odziewało się trawą, liściem, kwiatem, i w jakie

dwa tygodnie po ostatniej zadymce świat już kwitł i pachniał.

Puściły się niepowstrzymane nieopatrzne nadzieje człowieka. Wytrysły ku życiu bujne i zwodnicze pędy w starym drzewie, które już dawno ścięto — jeszcze zimą...

Smutno spoglądała panna Helena na świeżą młodzieńczą zieloność wierzb, którymi wysadzony był gościniec.

Smutno jej dźwięczał zapamiętały szczebiot jakiegoś drobnego ptactwa, wróbli czy szpaków, które całymi gromadami, radując się i wrzeszcząc, przerzucały się z drzewa na drzewo w ciepłym pachnącym powietrzu.

Rwały do siebie oko niepokalanie białe obłoki i modre głębokie niebo, po którym płynęły.

Bolała ją ta radość przyrody i oburzała nie-ludzką swoją obojętnością na wszystko, co wycierpiała ta ziemia, co cierpi i co będzie jeszcze długo, długo cierpieć.

Dreczyła ją dziwna myśl, że człowiek ze wszystkimi swojemi krzywdami i z całym swoim życiem będzie zawsze tylko intruzem na godach przecudnej natury. Nigdy nie zespoli się z nią, nie porozumie. Będzie się łudził w chwili radości, że to dla niego i dla jego uciechy istnieje piękno krajobrazu, piękno kwiatu, piękno obłoku na niebie i czarowne światło miesiąca.

Śmieszny człowiek! Każdą jego dobrą godzinę będzie dzieliła łaskawa natura i uczi go cymkol-

wiekbądź: zadumą jesieni, radosnym niepokojem pierwszej wiosny — wszystko jedno! Łaskawe wszystko — póki dobrze.

Dopiero w czarnej godzinie pozna, jak drwiło i drwi z niego to urocze, obce piękno. Na nic mu się nie przyda uśmiech słońca, szczebiot ptaka ani pluskanie strumyka. Pozna martwą obcość tych cudów i swoją na łonie matki natury wieczną samotność. Kłamstwo! Wszystko kłamstwo, co ludzie powtarzają wkółko za poetami! Niby wierzą, udają, łudzą się współświadomie. Wpatrują się głupim spojrzeniem w te piękne drzewa, w pola, drgające w ciepłym powietrzu, i znajdują pociechę i niby współczucie...

A wszystko jest i żyje dla siebie, a wszystko tylko z człowieka sztydzi. Kłamstwo!

I z nienawiścią raz po razu cięła szpicrutą po bujnych soczystych pędach wierzby.

Przestraszyła się Perlica, biała klacz, świszczącego bata. Porwała się z miejsca, przysiadła na zadzie i wspinała się, z lekka chrapiąc.

Panna Helena uspokoiła ją, klepiąc po białej szyi.

Łza za łzą spadały i tonęły w końskiej grzywie. Już wiedziała, że nadchodzi moment zatracenia i rozpacz. Wiedziała naprzód, że za tym razem nie powstrzyma go żadnym wysiłkiem.

Jeszcze jedna krótka chwila cichego zwyczajnego płaczu i uderzy w nią całą siłą jak taranem niemiłosierny żal. Głuchy jęk zabolął ją aż w głębi piersi. Chwycił ją u gardła i zdusił żal. Poddała

mu się odrazu, posłusznie, całkowicie. Deptała ją, jak nieludzki pan niewolnicę, chłostał, szarpał, poniewierał. Przypadła niewolnica do stóp pańskich, przywarowała jak pies i wiła się z bólu, nie broniąc się i nie chcąc się bronić. Bij, panie! Może zabijesz...

W zapamiętaniu rozjątrzała w sobie to, co w niej było najbardziej bolące. Wspominała chwile najgorsze i tajemnie pragnęła, żeby jej teraz było jeszcze i jeszcze gorzej.

Powtarzała sobie słowo, w które wcieliła się dla niej najgłębsza i nieograniczona rozpacz: Nigdy! Nigdy!...

Nigdy go nie zobaczy. Nigdy nie usłyszysz jego głosu. Nawet nie dowie się nigdy, gdzie jego grób. Będzie leżał samotny gdzieś w pustce, w szczerym polu. Może poniewiera się niepogrzebany, splugawiony, poszarpany przez wrony, toczony przez straszne robactwo. Jego kochające oczy, jego usta gorące... Stanęło przed nią jeszcze raz okropne, potworne widmo ukochanego człowieka. Wydłubały mu ptaki cudne czarne oczy; śmieją się wyszczerzone zęby w sinej, rozdziobanej twarzy; psy, wilki wywłóczą z niego wnętrze...

Może długie godziny męczył się ranny, przypadkiem niedobity, obdarty do naga przez zwycięzców. Czołgał się na rękach napróżno, jęcząc po nocy, błagając o wodę, o śmierć.

Gdzie, w czyje ręce poszły jej listy i pamiętki, pierścionek zaręczynowy, promień włosów? Czy

w ostatniej godzinie myślał o niej? Co myślał? Czego od niej żądał?

Las. Bije w nozdrza świeży, cierpki zapach młodych liści. Wszystko tu świeżo urodzone, delikatne, dziecięce. Jeszcze nie daje las cienia. Jasno-zielone, delikatne, jak obłoki, rysują się na głębokim niebie korony brzoź i olch. Jeszcze widać przez mgłę drobnych listeczków czarne konary i gałęzie. Dyszy las wilgocią i miłym chłodem. Plenią się nad drogą kosmate prymulki, różne pierwsze kwiateczki białe, żółte, liljowe. Jak na fujarkach wygrywają kosi i wilgi.

Muchy i baki obsiadły w lesie Perlicę. Podrażniona oganiała się na wszystkie strony, szarpiąc się i wierzgając. Panna Helena pozwoliła jej ruszyć w kłus. Klacz odsadzała się mocno, daleko w las odrzucając grudy gliny z wilgotnej drogi.

Polana. Pośrodku trzy stare dęby, jeszcze czarne i nagie. Jeszcze na nich dużo burych, zeszlórocznych liści. Jeszcze ziemia na polanie zdeptana, uklepana przez tysiąc ludzi i koni... Jeszcze nie wyrosła nowa trawa.

Na skraju pod samym lasem jeszcze stoi kilka długich niskich baraków z tarcic, dylów i chróstu. Pozapadały się łubiane dachy. Trzyma się jeszcze czarna okopcona buda, gdzie kuto konie i broń naprawiano. Została w kącie kupa węgla.

Na czarnych, szerokich popieliskach leżą opalone główne. Jeszcze sterczą ku górze okopcone widły, na których zawieszano drągi z kotłami.

Leży ułamek noża, zbutwiały rzemień, postronek, wdeptany w ziemię, zgnieciona manjerka blaszana, przepiłowana butelka, papierowe patrony po nabojach i wszelkie obozowe śmiecie, już na nic nie przydadzące się ludziom, którzy od jesieni zbierali resztki po opuszczonym obozowisku.

Szereg kołków, wbitych w ziemię. Gdzieniegdzie jeszcze łączą je ocalałe osikowe łąty. Tu — nieskończonymi rzędami stały uwiązane konie. Pstra zbieranina końska, wszelkiej maści, wszelkiej miary, wszelkiej wartości, spędzona — jak na jarmark. Wzdłuż płotów, wśród ubitej na klepisko ziemi, zieleniły się jaskrawo wąskie grzędy tego puszczającego się jasnego szczypioru, jak gdyby ktoś niezmieśnie gęsto nasiał tu owsa czy jęczmienia.

Te bujne wiosenne wschody przeszły bólem Helenę, lży ponownie rzuciły jej się z oczu. Jedyne żywe ślad... Czyni swoje natura, drwi z człowieka.

Gdzie są te konie, które tu pogubiły ziarna z obroku, gdzie są ludzie, co je na tym miejscu dosiedli o świcie pogodnego jesiennego dnia?

Dzielnie i ochoczo, szczękając bronią, z hucznymi pieśniami, z dźwiękiem trąb ruszyli w świat, rozciągnęli się długim sznurem na tej leśnej drodze i znikli za drzewami. Mieli wodza i broń i tabory furgonów i siłę i młodość i nadzieję zwycięstwa...

Tu na polanie zbierali się i przysięgali sobie zwyciężyć. Tu się uczyli wojny, obracali końmi pod dębami, strzelali do celu, wciągali się do kar-

ności i do trudów wojennych, a kiedy już umieli wszystko, poszli. I z nimi on.

Czy wrócił choć jeden do swojego domu? A — wszystko jedno! On nie wrócił...

Kiedys poniosła ją fala, jak i wszystkich. Była zapaloną, ofiarną, nieopatrzną. Ze łzami ale z dziwnie lekkim sercem żegnała narzeczonego. Wiedziała napewno, że nic mu się nie stanie, jak gdyby była dzieckiem, które nie rozumie, co to wojna. Podobało jej się, że jej wybrany jest tak dzielny, że mu pięknie w kurtce, na koniu i z ostrogami. I on był wesół. Obejrzał się jeszcze na zakręcie drogi, przesłał jej od ust całusa i znikł na zawsze.

Potym, w czasach żałoby, rozmyślając o wszystkim, dowiedziała się, że mogła była go nie puścić. Przypomniały jej się niektóre ich rozmowy, niektóre jego nieśmiałe, smutne spojrzenia. W tych chwilach on coś przeczuwał. Gdyby była mądrą, gdyby się domyśliła — onby ją wtedy posłuchał. Byliby już dawno po ślubie. A za niego zginąłby kto inny, pierwszy lepszy. Wszystko jedno!

Było to złe, przekorne myślenie, nieszczerze. W głębi duszy miała co innego.

Krwawił się tam okropny ból za każdego, za wszystkich. Dopiero własna strata otworzyła w niej głębie serca i pokazała jej cierpienia narodu. Dojrzała, zaczęła myśleć. Czyniło się dookoła niej coraz ciemniej — wreszcie utonęła w czarnej topieli.

Tego ogromu klęski nie mogła ogarnąć myślą. Mieszało jej się w głowie. Wieleż jest takich, jak ona!

Z jednej tej polany poszło tysiąc ludzi — każdy miał rodziców, żonę, siostry, braci, narzeczoną, dzieci. A ileż takich obozów było przez ten rok, ile partii powstańczych, ileż było bitew, w których wszyscy co do jednego zostali na pobojuwisku...

Więzienia pełne. Dzień w dzień tracą kierowników ruchu, na Sybir pędzą tysiącami, a na Litwie Murawjew i wytępienie ogniem i mieczem wszystkiego, co polskie...

Panna Helena nie była statystką ani filozofką, ani dojrzałym, nauczonym przez życie człowiekiem. Nie układało się jej w głowie własne cierpienie, nie malało przy powszechnej klęsce. Ono miało swój potężny, nieśmiertelny byt, niezależny od wszystkiego na świecie. Ale to, co od roku wisiało w powietrzu, jak lotna trucizna przeżarło ją nawskroś i zmierziło jej życie. Bezsilne pragnienie zemsty, odpłaty, sprawiedliwości, targało nią brutalnie i bez litości. Odmieniało ono ją do gruntu i wyžerało z dziewiczej duszy wszystkie tradycyjne, kobiece, polskie cnoty: rezygnację, poddanie się bierne nieszczęściu, ukochanie pociechy religijnej i łzy. Zrobiła się złą, upartą, mówiła rzeczy zabronione i za śmiałe, nawet bluźniła ku zgrozie rodziców i wszystkich, którzy w tych czasach w jednym Bogu i modlitwie znajdowali pociechę i poratowanie.

Helena w głębi duszy nienawidziła te wszystkie zapłakane, cierpiące, zacne panie-patryjotki i śla-

mazarnych jegomościów, wzdychających do Boga po każdej kłęsce. Znienawidziła piękne pieśni narodowe: „Boże, coś Polskę“ i „Z dymem pożarów“, które śpiewali wszyscy po domach, po kościołach, na manifestacjach i w obozach. Nigdy w życiu ani jedna zła książka nie trafiła jej do rąk, a jednak utraciła wiarę w Boga i wszelki szacunek dla religii.

Uśmiechała się zjadliwie, gdy ją pocieszano, że spotka „kiedyś“ ukochanego i tam połączą się na całą wieczność.

— Przecież mama tego zupełnie nie myśli... Mama myśli właśnie, że ja, popłakawszy, wyjdę zamąż za Lutyńskiego, który ma akurat dziesięć razy tyle ziemi, co miał Jurek. Czyż mama nie woli jego, niż tamtego? A tu wielkie słowo: „na całą wieczność“... Otóż z tego nic nie będzie. Owszem, zrobię właśnie, jak mi matka radzi. Będę czekała na śmierć — no a potem w tym niebie. Dobrze, dobrze, czy mama już teraz zadowolona?

Ciężko z nią było w domu. Z łagodnej i taktownej zrobiła się twardą, szyderczą i dokuczliwą. Nikomu nie dała dobrego słowa. O wszystkim, nawet o sprawach najświętszych, przesądzonych i nieulegających żadnemu dociekaniu, miała swoje własne przerażające zdanie. Czasami bywał to sąd, który w podziw wprowadzał swoją nową i niesłychaną słusnością; przeważnie zaś było to jeno niepojęte jakieś urągowisko z najdroższych uczuć narodowych, wygłaszane na złość wszystkim i na złość sobie.

Helena wstydziła się, że tak strasznie cierpi. Przed całym światem okrywała swój okropny żal drwinami, pustym słowem, cynizmem. Wśród powszechnej żałoby żałowała, że „karnawał znowu przepadł“, godzinami wygrywała na fortepianie mazury i modne walce, ubierała się wyszukanie i jaskrawo, choć wszystkie kobiety w Polsce od dwóch lat chodziły czarno. W okolicy ustaliła się opinia, że panna Helena po stracie narzeczonego dostała lekkiego pomieszanego. Tak wówczas nazywano niedomagania nerwowe. Opinia sąsiedzka wybaczała jej z politowaniem wszelkie dziwactwa, przycinki i herezje, głównie dla tego, że była piękną.

Uroda jej była oryginalną, zawsze „nie polską“. Nic z panienki szlacheckiej, nic z polskiego dziewczęcia. Ani chabrów w oczach, ani włosów „jasnych jak len“, ani dołków w rumianych policzkach. Czarna, zawsze blada, poważna. W ostatnich czasach jej powaga stała się czymś złowrogim, a w twardym spojrzeniu miała jakby zatajone okrucieństwo. Ale taką stać się miała dopiero pod wpływem swojego nieszczęścia.

Jeszcze była podlotkiem, kiedy już się w niej kochano nazabój. Zwyciężył wreszcie i to zupełnie niespodzianie Jurek Łuczyński. Zdumiewano się nad jej wyborem, bo wśród współzawodników byli ludzie bardzo bogaci, piękni, a jednego z nich rodziła Sanguszkówna; Jurek zaś był to tylko dobry chłopiec o smutnych, czarnych oczach, siedzący na dwunastu włókach. Kiedy Jurka nie stało,

ożywiły się podupadłe nadzieje. Zaczęli znowu ostrożnie i delikatnie dojeżdżać epuzerzy, nawet zdaleka, z Warszawy.

Byli dawni, pokazali się i nowi, boć nie wszyscy młodzi ludzie w Polsce awanturowali się po lasach, albo siedzieli po uszy w robotach spiskowych lub też po więzieniach.

Niemіłosierne były rozmowy panny Heleny z tą dorodną młodzieżą, która miała tyle wolnego czasu na konkury. Jej pochwały dla rozumu i trzeźwości politycznej konkurenta były tak po mistrzowsku wyrafinowane, że nie każdy i nie od razu się na nich poznawał. A kiedy się już poznał, wynosił się wściekły ze wstydu i szkalował potym „zwarjowaną pannicę“, obnosząc po całej okolicy jej niesłychaną arogancję i monstrualne poglądy na sprawę narodową. Jeden z zakochanych, pod wpływem takiej subtelnej zniewagi, przez zemstę, a w istocie chcąc podbić pannę, poszedł do partji i nawet zginał, z czego się Helena lubiła wyśmiewać.

— Dziewczyno wyrodna, czy ty już zupełnie nie masz serca i sumienia? — wołała zrozpaczona matka.

— O, mamusiu... Przecie to tylko prosty wypadek przy konkurach. Taki sam dobry sposób przypodobania się pannie, jak skoczenie do stawu dla zdobycia róży, rzuconej do wody. No i cóż, szkoda, jeżeli taki rycerz przytym utonie; ale żeby zaraz nadzwyczajne tragicdzie... W istocie to jest tylko śmieszne...

I we dworze rozlegał się jej przenikliwy, meta-

liczny śmiech — djabelski, jak go nazywano. Łez jej nikt nie widział.

Dopiero w samotności, nocą, w swoim panieńskim pokoju, z twarzą, ukrytą w poduszkach... Dopiero na samotnych wycieczkach konnych...

I stało się tak, że nikt jej nie znał. Było to jej gorzką dumą.

Dla jednej, jedynej istoty na świecie miała serce otwarte i szczere, najlepsze słowo i pieszczotę i dobre, łzami nabrzmiałe pocałunki.

Była to matka Jurka, mieszkająca od nich o półtorej mili w skromnym dworze w Topolczy. Odwiedzała ją często, co parę dni, ku nieopisanej goryczy i zazdrości rodziców, którzy zresztą z panią Łuczyńską nie byli zanadto blisko, bo to całe narzeczeństwo niebardzo było po ich myśli.

Tam w pokoju Jurka, między jego sprzętami, które pozostały nietknięte, tak jak je był zostawił w jesieni, Helena dawała upust ukrywanym uczuciom. Osieroczone kobiety spędzały tu razem długie godziny, płacząc, zwierając się sobie lub milcząc. Dzielił ich niedolę i godziny rozpamiętywania ulubiony pies poległego, Negus, którego Helena od dawna pragnęła mieć u siebie na wyłączną własność i tylko przez wzgląd na niezmierne przywiązanie do niego pani Łuczyńskiej nie dopominała się o niego.

Kiedy przychodziła na nią najgorsza godzina po jakiej bezsennej, rozpaczliwej nocy, dosiadała Perlicy, albo wsiadała w jednokonne saneczki

i mknęła do Topolczy bez względu na pogodę. Rzuciła się w objęcia matki Jurka i skarżyła się przed nią wiecznie na to samo, wiecznie temi samymi słowami. Najczęściej nic nie mówiły, tylko siedziały, trzymając się za ręce, na twardej skórzanym kanapie Jurka, błędząc oczami po pokoju. Półka z książkami, broń myśliwska na ścianie i łosiowe rogi, starożytne biurko, a na nim w weneckim flakonie zasuszone kwiaty, otrzymane od Heleny, i jej dagierotyp, robiony umyślnie dla narzeczonego przez specjalistę z Lublina. W egzaltacji cierpienia zamykała się Helena czasami w tym pokoju i kamieniała w swoim bólu. Rozmawiała z Jurkiem, mówiła ze sobą, rozjątrzała się umyślnie, dochodziła do zupełnego zapamiętania.

Kładła rękę na głowie Negusa i, wpatrując się w jego mądre i smutnie patrzące oczy, pytała go nieskończoną ilość razy:

— Negus, gdzie pan? Powiedz, dobry psie, wierny, pocciwy — gdzie pan? Gdzie jest pan?

I nerwowemu psu udzielała się jej męka. Negus rozglądał się po pokoju, nastawiał uszy, nadśledziwał pode drzwiami, niepokoił się, ruszał ją łapą, kładł łeb na jej kolanach, wspinał się i lizał ją po twarzy i patrzył coraz to smutniej, coraz to rozumniej. Zaczynał skomleć cichuteńko, aż się serce krajało.

Do Topolczy było jeszcze z pół mili. Za lasem utworzyły się pola orne, gdzie tu i owdzie w różnych kierunkach chodziły pługi. Na polu, za ro-

wem przydrożnym, siedział na kamieniu sąsiad Lutyński, a w rowie obok niego skubał trawę osiodłany koń. Perlica zarżała do niego i dostała za to szpicrutą.

Helena chciała sąsiada minąć kłusem, ale poczuwszy w sobie dziwny i przykry strach, namyślnie ściągnęła cugle i zatrzymała się. Sąsiad kłaniał się, przeskoczył przez rów i wyszedł na drogę.

Był to wysoki szczupły człowiek w ułance puławskiej z karmazynowymi wyłogami i w długich butach. Jeden rękaw miał przypięty na piersi. Wzruszyło to Helenę. Wiedziała, że mu odjęto zranioną rękę — ale nie oglądała go jeszcze kaleką.

— Witam sąsiada. Dawno pan nie był łaskaw na Łękawickie nudy... Nic dziwnego i nie zapraszam, bo niema na co...

— Dziękuję za dobre słowo, panno Heleno. Byłem chory i niewesoły. Jaki ze mnie gość?

— Ale przecie przyjedzie pan kiedyś do nas. Musi mi pan opowiedzieć o wszystkich swoich bohaterstwach. Nie rozmawiałam z panem już z rok. Prawda?

— Tak, ostatni raz było to w końcu maja, kiedy wyruszał. A po powrocie nie chciałem się narzucać, a zresztą miałem kłopot z ręką.

— Teraz pan zato nie ma ani kłopotu, ani ręki. Prawa ręka złożona ojczyźnie! Jakie to piękne i poetyczne... Prawda?

Lutyński wpatrywał się w nią poważnie i surowo. Czapkę jak zdjął, tak ją trzymał w rękę.

Wiatr rozwiewał mu długie czarne włosy. Nie widział jej od roku i nie mógł pohamować wzruszenia.

— Ładnie! Już pan siwieje... A czemu pan nie na Turku? Co to za nowy kasztan?

— Turka mi postrzelili.

— Co za szkoda! Gdzie?

— A tak, pod lasem. Kartacz go trafił.

— Czy tensam, co i w pana?

— Nie.

— A co panu zrobili w rękę?

— Sółdat mi ją zgruchotał kolbą w samym łokciu.

— Gdzie?

— Też pod jakimś lasem.

— Cóż pan zrobił z tym sółdatem?

— Miałem jeszcze nabój w rewolwerze...

— Pan miał rewolwer? Ciekawa broń, nigdy nie strzelałam z rewolweru. A czemu pan się nie leczył od razu?

— Nie było kiedy, ani gdzie... A potym było za późno.

— Bolało?

— Bolało.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy w milczeniu. On ponuro i surowo. Ona drwiąco.

— A wie pan, że jestem wolna? Już niema Jurka. Nie zwrócił mi tylko pierścionka, bo mu go Moskale urznęli razem z palcem. Ja już wolna! Czemu pan nie zaczyna na nowo? Mama się tak niecierpliwi....

— Wszystko, co pani mówi, jest złe i udane. Co pani ze sobą wyrabia, panno Heleno? Poco pani sama siebie dręczy?

— O nie! Zaczęłam tylko mówić prawdziwie i poprostu... Nienawidzę ceregieli między ludźmi. Wie pan, że ja teraz dopiero widzę, że wszyscy naokoło nie żyli i nie żyją, tylko grają jakiś teatr. To pan, na przykład, zupełnie się nie ucieszył ze śmierci Jurka? Naprawdę, ani troszeczkę? Przecież pan mi wyraźnie mówił, że — raz w życiu, aż do śmierci. Pamiętam te wielkie słowa. Więc pan mnie już nie kocha?

— Nie chcę o tym mówić i żegnam panią. Proszę załączyć uszanowanie rodzicom.

— Więc o czym mamy mówić? Mam się popisować moimi cierpieniami i zachwycać się pańskim bohaterstwem i tym pańskim pustym rękawem... Nuda!

— Opowiadają o pani niestworzone rzeczy. Nie bez podstawy...

— A, konkurenci... Nie ma pan pojęcia, jakie to brutalne i bezwstydne. Pan Parczewski pierwszy przywiózł nam wiadomość, że Jurek „raniony, ale lekko” — i zaraz zaczął zawracać oczami, jakby nigdy nie śmiał dawniej, póki Jurek żył.

— Trudno, pani, ludzie chcą żyć...

— O, i ja chcę żyć i będę żyła. Ale po swojemu, tak, jak mi się będzie podobało. O — ja będę żyła!

— Daj pani Boże. Ale źle pani zaczyna — od

kłamstwa. Kłamię pani najgorzej, bo przed samą sobą. POCO te komedje? Smutne, niepiękne.

— Nie uważa mnie pan za warjatkę, jak wszyscy? Tylko niech pan mówi prawdę!

— Jak tak dalej pójdzie, to bardzo możliwe, że się na tym skończy. Od pani samej to zależy.

— Więc pan wierzy, że ja w gruncie jestem tasama dawna panna Helena — rozumna, dobra i jak się należy?

— Niech się pani nie wstydzi swego wielkiego cierpienia. Niech je pani czi inaczej, niż dokuczaniem ludziom i poniewieraniem siebie. Nie kłam!

Panna Helena rzuciła się na siodle. Wobec tego człowieka porwało ją niepohamowane pragnienie szczerości i prawdziwej, jakiejś jedynej chwili. Mówiła szybko ze strasznym cierpieniem w głosie. Lutyński nie odrywał od niej uwielbiających oczu.

— Kazanie! Daj mi pan, jeżeli mi dobrze życzysz, prawdziwą radę, wyście z mojego udręczenia, powiedz mi, jeżeliś mądry, jak można znieść i przeżyć te straszne klęski: śmierć najdroższych, zniszczenie i tę okropną, bezsilną, podłą, najpodlejszą niemoc, niemoc — od której można zwarjować! Cemu wy wszyscy tacy rozumni, trzeźwi, podli? Ja takiego świata nie chcę i pluję na niego. Ot, pan powiesz, że ja jestem warjatka — a ja ci powiem, że jak jestem przytomna i jak ci mówię szczerą prawdę — tak wydaje mi się nieraz, że wy wszyscy jesteście w obłądzie, a ja jedna widzę prawdę. Tak! Nikt nie ma prawa siać, orać, spać

spokojnie i rozumować, kiedy się takie rzeczy dzieją. Walczyć! Kasać naprawo i nalewo! Niech wszyscy pójda! Nic się nie oprze żądy zemsty całego narodu. A u nas co? Bohaterowie? Już wyginęli lub wyginą lada dzień do reszty. Wywieszają ich, wybijają, powysyłają. A szlachcic ze stękanem płaci podatek, boi się Moskali, boi się powstańców, boi się chłopów, boi się żandarmów narodowych i wciąż kocha ojczyznę. Podłość! Tej podłości ja znieść nie mogę! Rozumiesz pan? Wszystko mi jedno! Drwię sobie z całego świata! POCO tysiące ludzi krew wylewało? Za Polskę! A ta Polska co? Chłop śpi, jak w ciemną noc, szlachcic wzdycha do spokoju, a i pan sobie znowu orzesz i siejesz i Pana Boga chwalisz. To mniejsza, żeś bez ręki! Ja o tym pamiętam. Jedyni ludzie, których szanuję, to polegli! I gdybym była mężczyzną...

— Tobo pani rozumowała inaczej. Trzeba przeboleć, przetrwać, przeżyć! Naród chce żyć, doczekać nowej próby, nowej walki — naród żyje tyśiące lat i nigdy nie umiera! Łamie się, zapada w letarg, budzi się, zwycięża. A co przeżyli nasi ojcowie? A dziady? Krew? Nie pierwsza, nie ostatnia. Podłość? Bywa podłość, bywa najwspornialsze męstwo. Pani wie, co to jest człowiek?

— Człowiek? Człowiek, to był mój Jurek i tacy jak on. Ci zrobili swoje i nikt nie ma nad nimi prawa. Moskal ich pozabijał, ale nad nimi nie panuje. To są dziś w Polsce jedyni ludzie!

— Poetyczne, kobiece, ale życie...

— Niema dla mnie życia, kiedy on nie żyje!

Niema ludzi, bo jego niema! Panie! jakże głupią loterią jest ludzkie istnienie. Jurek nie miał szczęścia i przegrał... A inni przeżyli...

— O pani! Pomieniałbym się z nim na losy. Jakże on szczęśliwy w swoim grobie... Miał twoje kochanie, ma twoją wieczną pamięć... A ja — żyję...

Panna Helena szarpnęła za cugle i popędziła ku topolowej alei, która od gościńca prowadziła do dworu, a Lutyński nałożył czapkę i długo a niezgrabnie gramolił się na konia, nie mogąc się jeszcze przyzwyczaić bez ręki. Wreszcie wsiadł i pojechał w pole do pługów.

* * *

— Matuchno, co się stało? — pytała Helena zdumiona, witając na ganku panią Łuczyńską. Stara kobieta, której łzy wyrwały w wynędzniałej twarzy dwie głębokie bruzdy — jaśniała teraz radością. Świeciła się w oczach radość dziwna, jakby pijana. Wydawało się, że utraciła przytomność umysłu.

Na sekundę Helenę porwało okropne, nieprawdopodobne jak sen złudzenie. Ziemia zakotłosała się pod jej nogami. Pobladła strasznie... Oślepiła ją jak błyskawica i natychmiast zgasła znajoma wizja starego, rozpaczliwego marzenia.

...Został na polu ranny, tułał się po lasach... Potym gdzieś w chłopskiej chacie, w zapadłym kącie... Długo, długo przychodzi do siebie... Długo, długo musi się ukrywać. Długo, długo nie może

być wiadomości... Wciąż giną listy, przesyłane przez dziesiąte ręce okazjami. Aż nareszcie pewnego dnia...

Już minęła sekunda...

— Co się stało, matko? — pytała zacięta, nie mogąc sobie wyobrazić nic takiego, coby mogło wywołać tę radość na twarzy, która nie uśmiechnęła się od pół roku.

Ale pani Łuczyńska nie odpowiadała odrazu. Zwodziła ją, podniecała jej ciekawość, uśmiechała się radośnie, tajemniczo. Helena zajrzała jej w oczy badawczo i zblizka. — Czy jej się rozum pomieszał? I jeszcze raz...

Całą jej istotę ogarnął płomień rozpętanej, wariackiej radości. Targnął nią strach i zgroza przed jakimś nieprawdopodobnym, radosnym wydarzeniem. W uszach jęk, jak od dzwonu. Słabo... Matka ją przygotowuje, ale nie może, pocziwa, ukryć. Jurek stoi za drzwiami — tam zaraz za temi drzwiami. Nieprawda!

— Co ci, Helenko? Co ci, córeczko jedyna? — zaniepokoiła się pani Łuczyńska. Objęła ją i przycisnęła do siebie. Helena drżała na całym ciele — łzy strumieniem z oczu jej płynęły...

— Nic, matko — głupstwo, przywidzenie...

— Usiądź, uspokój się, jedyna. Pociesz się, dziecko, taką wielką radość zesłał nam Bóg. A ja już straciłam wszelką nadzieję.

Rzeczywiście była to radość nieoczekiwana. Pani Łuczyńska już oddawna rozpisywała listy i rozpytywała wszystkich na wszystkie strony

o miejsce i o szczegóły śmierci syna. Wszystko na próżno! W zamęcie, jaki panował w kraju, niczego nie można się było dowiedzieć. Partję, w której był Jurek, wojna przerzucała po kraju. Był to doborowy lotny oddział kawalerji, umundurowany, uzbrojony i wyćwiczony. Zasłynął on tu i owdzie. Wiadomo było z gazet, że utracił wodza, Widłaka, w wielkiej i pomyślnej bitwie pod Brzozowym Kątem, że był zdziesiątkowany pod Odolanowem, że wreszcie jako luźna kupa, w liczbie kilkudziesięciu koni, uwijał się jeszcze w początkach grudnia między Wartą a Pilicą i w tych okolicach, kiedy zmierzał właśnie ku granicy, wyginał co do nogi w starciu pod Mstowem, czy gdzieś koło Poraja, czy też koło Kramołowa. Ostatnia pewna wiadomość od Jurka była z połowy listopada na dwa dni przed zwycięską bitwą pod Brzozowym Kątem. Kilka słów, napisanych własnoręcznie ołówkiem. A po tym już wszelki ślad jego zaginął.

Oddział formował się przeważnie z ludzi nieznanomych, przybywających zdaleka i przeważnie za przybranymi nazwiskami. Z obywatelstwa tutejszego zaciągnął się tylko Jurek i obaj bracia Strawińscy ze Słabojewa, z których jeden umarł z ran jeszcze przed wielką bitwą, a drugi, zaziębiwszy się, leczył się na zapalenie płuc w jakimś dworze koło Brzeźnicy, skąd go zabrano do więzienia w Piotrkowie, gdzie umarł, nie doczekawszy się sądu. Było w partji Widłaka kilkudziesięciu ludzi dworskich z okolicy i garść chłopów-komorników, ale pomimo rozpytywań i rozjazdów tyle się tylko do-

wiedziała matka, że z tych, co poszli, żaden jeszcze nie powrócił.

Wiadomość o śmierci Jurka przywiózł pan Parczewski, komisarz rządu narodowego, który czytał jego nazwisko w rejestrze „poległych i zaginionych bez wieści“, który się przez pewien czas zbierało w jednym z wydziałów wojny.

— A dzisiaj, wyobraź sobie, zjawia się człowiek aż z Edwardowa, dawny stajenny państwa Zagrodzkich, który wszystko wie, zna tamtejsze okolice, pamięta miejsce... Opowiada o Jurku, o ostatnim dniu, o bitwie... — i pani Łuczyńska rozpłakała się, opowiadając szybko, śpiesząc się i płacząc.

— Poczciwy, sam się zgłosił, trzeba go bardzo wynagrodzić. Zasługuje, był w tylu bitwach, ma rany. Młody chłopak, na imię mu Franek, nie ma jeszcze dwudziestu lat... Trzeba się od niego wszystkiego dowiedzieć i wszystko to zapisać. Zaraz pojedziemy, Helenko? On nas nie może doprowadzić, bo mówi, że go tam poznają... Ja go nie namawiam. Trafimy same... Zresztą on mówi, że za tydzień znów wraca do partji. Dzielny chłopak...

Franek stał przed progiem i gadał. Na początku to jedna, to druga pytały go, naprowadzały, jeżeli zbyt oddalał się od opowiadania o Jurku. Ale po jakimś czasie umilkły i siedziały nieruchomo, nie przerywając ani jednym słowem. Negus leżał u ich stóp na wilczej skórze i od czasu do czasu podnosił na opowiadającego pytające głębokie spojrze-

nie, jak gdyby i jego zastanawiał lub wzruszał ten lub ów szczegół.

— ...tę całą noc przestaliśmy pod Brzozowym przy posiadanych koniach, na zimnie, bez ogniów. A Moskale się grzeją, ognie u nich wielgie, żołdacy se śpiewają, kaszę warzą, aż do nas doleci na chwilkę za wiatrem to przyskwarzone sadło. Ludzie głodne, aż niejednego zamgli od tego sadła. Nie miał żaden nawet tego suchego kawałka chleba. Zimna była noc, konie nam pokostniały. Trzęsie mnie, jak we frybrze, dech mi zapiera, już myślałem, że do tego rana nie doczekam. — Choryś, Franek? Co ci jest? — pyta pan Łuceński. Stał podług mnie przy koniu i drzymał, wsparty głową na siodle, po naszymu. — Zimno okrutnie, panie rotmistrzu — odpowiadam, aż mi zęby szczękają. — Chyba już zamrę, panie rotmistrzu. — Głupiś — powiada pan — masz, napij się. Wziąłem ja tę flachę do gęby — jakby mi się niebo otworzyło. Oj, nie zapomnę ja nieboszczykowi tych parę łyków okowity.

Jeszcze nie poszarzało, wsiadamy. Cichuteńko, powolutku — pan jeno ręką pokazuje, jak i gdzie. Podsunęliśmy się jedną — dwie staje do obozu, a te dwie staje to my chyba szli z godzinę. Przystawali my, ruszali krok, znowu jeszcze kapkę i znowu halt.

Tak my wyszli na sam skraj lasu. Widać obóz, jak na stole, na wielkim gromadzkim pastwisku — równo, gładko, ino te krzaki jałowcowe czernią

się we zmroku. A wraz za obozem wieś. Stanęli my. Czekają znaku pan rotmistrz.

Aż naraz huknie coś opodał, jak z armaty. To od generała Widłaka wiadomość — puszka z prochem. Nam było nie trza komendy. Nastawili my lancyje, szable na rzemień i rypnęli my po pastwisku. Zawadziliśmy naprzód skrajem o ich konie. Stały u linki z armat wyprężone. Jak się porwą, natratowały one Moskale niemało — poszły wszystkie w obóz. Rejwach! A tego krzyku! Stoi na majdanie z pięciu oficerów, szablami wywijają. Koło nich garść żołdatów — rzną w bębny, trąbią, gwałt. Jak my po nich nie przejdziem, po wszystkich! Stoi w kozłach broń, ale tam już nasi. Już poniektóry żga Moskała moskiewskim bagnietem. To były pana Turowicza strzelce.

Krzyczy na nas pan rotmistrz we gwałcie, gardło se zrywa, zawraca. Wraca nas do armat i w sam czas, bo już psie wiary zawracają armaty w las, skąd się wysypują nasze. Ani razu nie zdążyli wygarnąć — kanonjerów my poprzewracali końmi, pokłuli. Oficjer jeden łapie się mnie za strzemię, krzyczy, szablę mi oddaje. Inom go przez ten łeb ćwiknął z rozmachu. Nasze armaty! Sześć sztuk! Mnie z innemi przystawili armat popilnować, póki nie nadejdą nasi — a pan rotmistrz z resztą poleciał. Ochłonęli my troszkę, pilnujem się, a jemy. Stały trzy furgony z bochenkami chleba, leżały poprzewracane wiaderka z sadłem. Radujem się! A tam dopiero we wsi strzelanina, dym! Rotami piechota

wali. Leży na majdanie trup na trupie, czyli ten raniony — wszystko same Moskale.

Nadbiegła od tej strony, od lasu, nasza piechota. Czerwone wszystkie na gębie, spocone, ludzie dychają, jak te zgonione konie. — Coście się, psiekrwie, spóźniły? To nasza rzecz, konnicy, armat za was pilnować? — Jak zobaczyły te armaty, jak wezmą krzyczeć: — zwycięstwo! zwycięstwo! I do chleba, do sadła, ścisk! Dopiero pan dziedzic Pękoślawski, taki wielgi i brzuchaty pan, jak zacznie prać nahajem naprawo, nalewo, pysk nie pysk, ciska ludźmi, krzyczy. A głos miał, z przeproszeniem panów, jakby buhaj zaryczał, — Marsz! Marsz, psiawiary! Przed siebie! Pod kościół! — Przegnały ich za małą chwilę, ino potym przyszła reszta piechoty, obstawiła armaty, a nam kazali szukać swoich.

Obeszliśmy wkoło pastwiskiem, widzę — wieś się już pali we trzech miejscach. Zaś pod kościołem największy gwałt.

Obchodzim my tę wieś tyłami poza naszymi, co leżą, albo w kuczki strzelają, pytamy się jednego, drugiego, gdzie nasz szwadron? — Nie wiedzą. Aż patrzę, wypada z za opłotków okrutna gromada — dragony! Wałą się i wałą i końca nie widać, chyba był cały pułk. Nas było ino ze czterdzieści koni — rozniosą — myślę sobie. Uskoczyli my za te wierzby, za taki spory rów — co będzie? Tamci wypadli wszyscy w szczerze pole, trąbią, ustawiają się i hajda wygonem, poszli w galop szerokim frontem poza wsią. Nas widzieli, a jakby nic.

Dopiero krzyknie pan młodszy oficer, nazywali

jego Sowa: — Chłopczy, powiada, toż oni powalili nasze armaty odbierać! Jazda!

Rypiemy my, proszę panów, za niemi. Podzieli się nam, nie widać w dymie nic, bo nisko niosło i od pożaru i od strzelania. Wpadliśmy między jakiesi oszalałe krowy, roztratowałam parę bab i jakiesi dzieci, widać bydło gnały od pożaru. Widzę przez dym czerwone rabaty — nasi. Oj, proszę panów, tam był gwałt! Jezu miłosierny! Nic gorszego moje oczy nie widziały ani wprzód, ani potym. Nie wiadomo, których więcej, ani którzy górą, bo wszystko pomieszane.

Lancyja mi się na koniu dragońskim utraciła, więc ino ze szablą! Potym, proszę panów, nic nie pamiętam, ani jak to długo było. Zaciął mnie któryś po udzie, boli, krew ciurkiem, więcem się rozjadł, prałam.

Dopiero w jakiś czas, patrzę, niema kogo bić, niema dragonów. Odstąpili kawał popod las, formują się. Nas tyż zbierają do kupy. Kręcą się nasi gęsto przy armatach, z koni poziadali, obracają, krzyczą, rychnują na dragonów. Ale aby ze trzech wypaliło — niewyuczajni nasi do armaty. Poszły kartacze górą w las, ino zawyło, jak wszyscy djabli.

Mignął mi się na tę chwilę w dymie nasz pan rotmistrz Łuceński. Krzyczy na ludzi przy armatach. Patrzę — zaklepują nasi zdobyte armaty, bo my mieli w torbach gwoździe i młotki, wszystko, co trza do psucia armat. — Poco?! — krzyczy pan Sowa i okropnie się gniewa, skoczył do nich. Aż tu na nas prosto z dymu o jakie kroków dwa-

dzieńcia — piechota. Stanęli, zmierzyli, jak nie huknie! Wtedy, proszę pani, dużo naszych z koni zleciało. Mnie koń na przednie nogi kląkł, a potem się całkiem powalił, nogi z pod niego nie mogłem wydrzeć w żaden sposób, aż dopiero już po wszystkim insi mnie wyciągali. Tymczasem Moskale armaty nam odebrali i wtedy zginął sam nasz generał pan Widłak. Potym znów nasi odebrali, a Moskale odstąpili aż pod sam las — długo stali, strębywali się, wreszcie odeszli popod lasem. Wszystkich, co było naszych, zebrali do kupy, zatrąbili i jazda za niemi.

Ja zaś ino patrzę, a ruszyć się z pod konia nie mogę. Dopiero mnie wyciągli, kiedy zaczęli rannych podbierać. Wstałem, kuleję. Trupa moc, jak nigdy, i nasi i tamci. Koni poprzetrącanych dużo. Wszędzie ta krew! Który skaleczony, każdy stęka po swojemu. Który cały — kontentny — radują się wszyscy — zwycięstwo! Zbierają te karabiny, te szable, składają w jedno miejsce, broni moc! Wlokę się na tej mojej nodze, jak na drewnianej, wspieram się na szabli.

Aż tu, patrzę, leży nasz pan rotmistrz. O tak całkiem nawznak, ręce, nogi rozkrzyżowane, z gębą mu się krwawi. Boże miłosierny! Leży wpoprzek przewieszony przez rannego jakiegoś Moskala, który grzebie nogami i stęka. Myślał ja zrazu, że to nasz pan się gramoli, a powstać nie może. Bierę go nieboraka pod pachy, dzwigam, oj, myślę sobie, źle, głowa całkiem opadła. Wołam na innych — przychodzą, patrzą, macają...

— Słuchaj, Franku, tylko całą prawdę powiadaj. Jak na świętej spowiedzi! Uważasz? Tyś to wszystko na swoje własne oczy widział? Jego, to jest pana, tyś ze ziemi dzwignął? Temi rękami? Opowiadaj!

Helena była biała na twarzy, a czarne oczy stały się ogromne i straszne. Franek się przestraszył, na gębie mu się coś przekrzywiło. Spojrzał bezradnie na panią Łuczyńską.

— Helenko, Helenko...

— Widzisz, Franku, to ja byłem jego narzeczona. Pan rotmistrz miał mnie brać za żonę, więc muszę wszystko wiedzieć. A najpierw to, czy to prawda, że... Poczekaj-że! Czy to jest prawda, że to on był zabity tam pod tą wsią, pod tym Brzozowym Kątem? Mogło ci się pomylić, bo to on jeden tam padł?

Franek westchnął.

— Proszę jaśnie panienki. Jakże jaby się mógł pomylić, kiedy ja w jego szwadronie był, kiedy ja przez trzy miesiące dzień w dzień na niego patrzył, kiedy ja jemu grób kopał i zasypywał i na całym pogrzebie tyż byłem tegosamego jeszcze dnia!

— To opowiadaj o pogrzebie! Masz tam krzesło, usiądź sobie. Poco stoisz?

— Pięknie dziękuję jaśnie panience, postoję.

— Widzisz, chłopcze, grobu pokazać, jechać z nami nie chcesz, więc opowiadaj teraz po porządku, dokumentnie, żebyśmy same trafiły — rzekła pani Łuczyńska.

— E, proszę jaśnie pani dziedziczki, tam nic

nie mylno. Jeden jest grób pana generała i naszej wszystkiej starszyny — to pod lasem.

— A czemu nie na cmentarzu? — spytała matka.

— Proszę pani dziedziczki! Toć cała wieś i z kościołem gorzała, jak słup! Gorąco takie, dym, smród, krowy się palą, trupy się skwarzą, rannych też sporo się spaliło w ciasnocie między chałupami. To my się posunęli pod las, na wypoczynek, a ludzi grzebali na pastwisku i jeszcze we trzech miejscach poza wsią. Moskali zaś nakazane było chłopom kątownskim ściągać i grześć, jako im się wydało. Tego ja nie wiem, bo swoich pochowawszy i wypocząwszy, my poszli. To tych mogiłek tam naokoło wsi będzie sporo, na to trza nic nie uważać, bo ino w jednej pod lasem leży pan rotmistrz i z nim dziewięciu naczelników i sam generał. Figurę nad grobem wyrzeczowali piękną, dębową. Potym zbudzili ludzi, pana Pękoławskiego bataljon (bo wszystko zmordowane pokotem spało w polu, w lesie, wszędzie) i była parada nad grobem ze strzelaniem na wiwat, jak się patrzy, że daj Boże każdemu takiego pochówku.

— Mów teraz, chłopcze, o panu. Nie ożył, oczów nie otworzył, nic nie mówił? — pytała Helena.

— Oj nie, oj nie! Na miejscu skołał pan rotmistrz, panie świeć nad jego duszą. Jedną kulę miał w dołku, a drugą pod sercem. Dwa postrzały dostał.

— A kto zabrał jego rzeczy: zegarek, pieniądze, papiery... pierścioneł?

— Wszystko szło po porządku, bośmy zwycię-

żyli i był czas. Wszystko ze zmarłych spisywali, zawijali w paczki i stawiali numery. I z pana rotmistrza Łuceńskiego też wszyściutko było wzięte: zegarek, pulares, pieniądze, tylko pierścienia z palca nie można było zdjąć. Zapuchł palec, czy zgrubiał, więc pan rotmistrz Sowa (bo jego po naszym panu zaraz zrobili rotmistrem) powiada: — Dać spokój, zostawić, niech go ma na palcu. Bo, powiada — przepraszam panienkę — to od jego panny...

— Helenko, uspokój się, dziecko, płacz lepiej, nie uśmiechajże się, daj spokój!...

— Pierścioneł, dobrze, ale gdzie się podziała reszta rzeczy w tych paczkach?

— A te wszystkie paczki i węzelki poszły do skrzyni na furgon, gdzie była kasa. A przy tym wozie zawsze stała straż w dzień i w nocy. U nas był w partji porządek, nie tak, jak gdzieindziej.

— Ja nic nie dostałam. Nic — aż do dzisiejszego dnia! Gdzież się to wszystko podziało?

— Et, proszę ja panienki... Toć przecież całą kasę i cały tabór i wszystko, co ino było przy wojsku na furach, zabrały nam we trzy dni potym.

— Gdzie?

— W Odolanowie. Wielga wieś, o cztery mile od Kąta. Straśnie nas sprząły. Tam przyszedł koniec na nasz pułk, że mało który cało uciekł. Tam dopiero była bida...

* * *

Pani Łuczyńska z Heleną trzęsły się żydowską bryką od stacji kolejowej po wyboistej, tak zwa-

nej polskiej drodze. Była szósta rano, dzień zapowiadał się upalny. Wiekowa pani czuła się strasznie znużona po nocy, spędzonej w wagonie. Wzruszenie odbierało jej resztę sił.

Helena, w niezmiernym podnieceniu, rozglądała się po pagórkowatej, lesistej okolicy. Zdawało się jej, że ją przeniesiono w jakiś inny świat, do niczego znajomego niepodobny. Wiedziała, że to nie żaden kraj egzotyczny, że to też jeno polska wieś i że wogóle niema tu nic nadzwyczajnego. Ale nawet te rzeczy pospolite były tu jakieś nadzwyczajne. Rzekłbyś, że pociąg zajechał w niepojęte strony i wyrzucił je tu między czary.

Ludziła się dobrowolnie, że niebawem, za parę godzin, stanie się w jej życiu coś niesłychanego. Zbliża się do niej ten najważniejszy moment, jaki każdy raz tylko miewa w swoim życiu. Cała zależy od niewiadomego zdarzenia, od jakiegoś tajemniczego spotkania. Co jej się przytrafi? Któż to będzie? W to jeno gorąco chciała uwierzyć, że w tym dziwnym, nowym kraju, pod tym niebem, między lesistemi pagórkami, takimi, jak te oto, na które teraz patrzy, rozstrzygnie się jej dola i niedola. Tu ktoś jej rozwiąże spętane ręce i zdejmie ten trapiący ciężar z piersi. Odetchnie głęboko, radośnie, rozprostuje się od stóp do głów i wyciągnie ramiona ku niebu. Będzie żyła górną, pięknie! Będzie czyniła dobrze, będzie nad czymś wzniosłym pracowała — głową, sercem, obu rękoma. Zostanie po niej ślad między ludźmi, zostanie przykład. Niewiadomo, jeszcze niewiadomo, co to ma

być. Dopiero czyjeś dobre tchnienie musi rozwiać tę mgłę, która od tak dawna zaćmiewa jej każdą myśl. Musi się nad nią dokonać ten niepojęty cud. Dzisiaj się to stanie!

Wszystko tu było przepiękne. Po obu stronach drogi falowało na wielkiej niwie już wykłoszone żyto. Co niemiara bławatków, maków. Błogosławiona, żyzna dolina! Ciemne stoją naokół wyniosłości; od stóp do szczytu okrywają je lasy, jasne, bukowe i prawie że czarne — to świerki. Jeden płaski grzbiet, pokrajany na wązkie półka, na chłopskie sznury. Idzie po nim pochyło pod górę, dźwiga się jakaś wieś. Wyraźnie widać na niebie chałupę przy chałupie, ogródki, drzewa, a na końcu wsi w najwyższym miejscu obraca skrzydłami wiatrak. Jak na obrazku.

Jakoś wyraźniej widziały wszystko oczy. Była w nich pamięć na drobne, zwyczajne rzeczy. Długo, po kilka razy, oglądała się Helena za starym, siwym chłopem, który, cały biały, w białej koszuli i portkach, orał siwym koniem wąziutkie pasemko pola, między drogą a bujnym, aż ciemnym dworskim żytem. Chłop patrzył w ziemię, orał jakby zadumany, nawet nie rzucił okiem na przejeżdżającą tuż mimo niego brykę. Zastanowiło to Helenę, potym zabolalo. Niewiadomo dla czego żal jej było starego chłopca i żal jej się zrobiło samej siebie. Pełne oczy łez.

Przejeżdżają koło pięknej, dworskiej alei. Idzie wdał ocienione, aż mroczne sklepienie starych lip.

Niedaleko aleją jedzie ktoś na koniu ku nim, ku gościńcowi. Na samym końcu bieleje na słońcu mурowany dwór, jakby pałacyk. Bokiem alei, z pomiędzy lip, wysypuje się w pole wielkie stado dorodnego bydła. Wszystkie krowy czerwone, piękne, pańskie. Pokrzykuje za niemi pastuch, strzela z bata. Wypadł z alei pies, rzuca się do koni, ujada, wścieka się, podskakuje do bryczki. Jota w jotę jak Negus: gończy, uszy długie i czarny z podżarami.

— Czemu on na nas taki zły? Czy i Negus taki sam dla obcych? — Myśli pilnie nad tym zagadnieniem i dziwi się sobie.

— Co mi też do głowy przychodzi...

Ale już człowiek na koniu, który jechał aleją, wyminął ich, świsnął na psa, paniom się uklonił od niechcenia i znikł.

Helena przymknęła oczy i zanurzyła się w sobie. W głowie układały jej się w bezładnym pośpiechu jakieś postanowienia. Dla czego ja nie mam być człowiekiem szczęśliwym? Dla czego nie mam być człowiekiem mądrym i potrzebnym? Obrzydl mi płacz. Niech wszyscy toną w żałobie. Ja chcę walczyć! Być jakąś niemożliwą, nieistniejącą, mocną kobietą! Mężczyźni poszli do walki i wyginęli. Płakały kobiety, modliły się po wszystkich kościołach, do wszystkich Świętych, poświęcały się. Co druga to wdowa, sierota, płacząca matka, opuszczona kochanka. A mnie nie wystarcza cierpienie! Rozpiera mnie żądza zemsty za wszystkich i za siebie. Jakże ja nienawidzę!

Łatwo, lekko, lotnie, jak puszczone z łuku strzały, oiegly jej myśli do niewiadomego celu. Daleki on, trudny... Może długo pozostanie w tajemnicy, nieodgadniony... Kto wie, mogą lata upłynąć, zanim zbudzi się w niej pewnego dnia ta jasna, wielka myśl odrodzenia...

— A może spadnie zaraz nagle, olśni, jak błyskawica?

— Może stanie się to teraz, tutaj, w dziwnej, nieznajomej krainie, w którą los zarzucił mogiłę Jurka.

Rozglądała się, jakby się spodziewała, że jej tajemnica czai się gdzieś niedaleko po drodze, że ją zwodzi, że się przed nią ukrywa. Gdzie? Gdzie?

Widziała wysoki krzyż przydrożny, pochylony nad gościńcem, a na nim na gwoździu zeschły czarny wianuszek. Pod krzyżem siedział zgarbiony we dwie obdarty człowiek, bosi i szerniały. Wsparł się oburącz na kiju i powiódł za nią strasznymi oczami. Helena drgnęła z bólu. Nie może być na świecie nieszczęśliwszego człowieka! Ten człowiek wszystko przecierpiał, wszystko przeżył, wszystko utracił... Wyziera z niego przez te oczy straszną niedola i bije prosto w serce, jak celny strzał. Zaco, za kogo dźwiga krzyż ten nieznajomy wędrowiec? Dokąd go dalej na sobie poniesie?

Zdawało się Helenie, że czyta jak w otwartej książce dzieje tego nieszczęścia.

Potoczyło się szybko, cicho szeptane to dziwne opowiadanie o nieznajomym człowieku. Od samego dzieciństwa, od dnia urodzenia, poprzez

wszystkie koleje, przygody, zdobycze, klęski, uniesienia, upadki. Przez zło i dobro, przez uśmiechy i łzy, przez wszystkie bogactwa i wszystkie nędze życia — aż do tego dnia i do tego ponurego spoczynku pod przydrożnym krzyżem. Daleko został za nimi nieznajomy wędrowiec, kiedy Helena spostrzegła, że zna już nieomylnie cały jego żywot, bujny i nieszczęsny.

Wydawało jej się zarazem, że już poznała z życia ludzkiego najważniejszą tajemnicę, która się kryje i uchyla przed trzeźwym rozsądkiem, a tak jest wrośniętą w głębiny dusz, że nie da się nawet wyrazić w ludzkim języku.

Radość... Dla czego? Skąd? — pytała Helena. — Przecież ja jadę na grób Jurka, na pogrzeb mojej jedynej miłości?

I migotały w niej te zmienne, dziwne myśli, niespokojne, bolesne, radosne. Budowały się z niczego i bez żadnego powodu przepiękne obrazy, żałosne i potężne, nieprawdziwe a żyjące.

Okolica stawała się coraz bardziej górzystą i leśną. Gdzieniedzie wyłaziła już z pod ziemi naga, sina opoka. Wjechali wreszcie w ciasny wąwóz i cały kraj znikł im z oczu. Z obu stron na zboczach stały między kamieniami buki. Powykręcane korzenie czepiały się głazów i dźwigały ku górze siwe, tęgie pnie. Z obu stron szły ku górze dwie ściany jasnozielonych jeszcze młodych liści. A w górze między niemi modre niebo bez jednego obłoczka. Szkapę wlokły się i ustawały, dźwigając

brykę pod górę. Kary rzeził, jakby już zdychał, a kasztan kulał coraz zawzięciej, kiwając łbem za każdym krokiem. Żyd też kiwał się na koźle, drzemał i budził się co chwila i dzikim głosem krzyczał na konie.

— Mój kochany, ty chyba jesteś krawiec, nie furman. Jak ty jedziesz? Jak można furmanić takimi końmi, kalekami? Coś okropnego, co on wyprowadza z tym łbem! Helenko — przecie to męka patrzeć. Nie masz pojęcia, jak mnie to drażni... Ach, byle prędzej...

— Pani dobrodzika! Pani dobrodzika nie wie, że ja nie żaden krawiec. To mój brat w Krzanie jest krawiec. A ja od bachura przy koniach. To bardzo dobre konie są, mocne i porządne. Co pani dobrodzika szkodzi, że on łbem trzęsie? On ciągnie. Ja państwu powiem, bo państwo tego nie wiedzą, te oba konie są szlacheckie! Dobra krew, może arabska albo turecka. To uczone konie, wojskowe są... Jak to u nas w te niepokoje, pani dobrodzika dobrze wie, były się po tych jarugach, to się dużo koni namarnowało. Jeden się ochwaci, drugiego przebiją, trzeciego kula trafi w nogę, w szyję... Tutaj po jednej takiej bijatyce, gdzie naginęło ludzi, ajajaj, może ze trzy tysiące, to takie okaleczone konie dużo chodziły luzem precz po lesie, po łące, po polu tratowały, ze siodłem, z chomątem, z uprzężą... Nu — czyj on jest? Niczyj. To ja raz takie trzy konie sobie złapał — poco łapać, one same przyszły... Karmiłem, kurowałem, jeden żyć nie chciał, bardzo smutny był, tom do-

rznął na skórę, a te oba robią. Kaleki, a robią — bo ze szlacheckiej stajni — od małego pasione, dogłądane — siłę mają. Wjo-wjo! A wjo-a wjo!...

— To powstańcze konie, z partji?

— Pani dobrodzika i wielmożna panienka przecie wiedzą, że ja tego nie mogę wiedzieć. Niczyj koń, jak chodzi samopasem po cudzym polu... Wjo!

— Warte lepszego losu, biedne konie...

— Proszę paniów, to ino konie, a te ludzie?

Oj, proszę paniów, a jak przyjdzie w nocy taki z naszych, taki skaleczony, wymizerowany, taki głodny, że mówić nie może, tylko patrzy. Ajaj! Grzech takiemu nie dać — ale cóż, kiedy za to straszna kara! To on choć i mówić nie może, to nastawia ten pistolet, czy tę dubeltówkę i jak tu nie dać? Potym się rozchoruje i leży. No i co? Przylecą te kozaki, te dragony, zabiorą na postronek, po drodze go zamęczą, a od naszego żydka duże pieniądze biorą za ukrywanie i jeszcze tą nahajką, wiele jemu się spodoba. Teraz u nas, proszę paniów, w te strony ciężkie życie! A panie wielmożne zdaleka?

— Gdzie tu bywały bitwy, wiesz? — spytała Helena.

— Ajaj, prosze panienki. Tutaj się ciągle wszędzie były zeszłego roku. Tu przy drodze, na górze, tyż dużo zakopane, może ze sto i nasze i one wraz, koło tego miejsca my będziemy jechać. A po lesie, a po tych dziurach, ohoho! Że te nasze miasto Krzanów stoi i nie jest jeszcze całkiem spalone, to już jest takie wielkie szczęście, że aż się wszyscy

dziwują. Przecie u nas w mieście siedzieli raz przez całe pięć dni. Dużo zjedli i zabrali. Pan burmistrz poszedł do naczelnika, bardzo prosił, żeby oni dalej robili marsz, bo wojsko przyjdzie i albo całe miasto spalą, albo żołdatów rozpuszczą rabować. To pana burmistrza wsadzili do kozy. Wołał naczelnik samego rabina, przyszło po niego z pięciu — jak oni weszli, rabin się bardzo przestraszył, a jak mu powiedzieli, że naczelnik mu każe iść do siebie, to on bardzo zachorował i jest od tego czasu ciągle chory. To nasze żydki, najbogatsze kupcy, poszły z tacą, a na tacy chleb ze solą. A za nimi inne proste żydki i fura. Na te fure wszystkiego po sto sztuk: sto chłopskie czapki i sto ciepłe rękawice i sto kawałki porządne płótno na onuczki i dwadzieścia par butów i pięć kozuchów i sto kwart okowite i sto bułek chleba i sto takie suche, dobre gomółke — wszystkiego po sto. Sam naczelnik i wszyscy starsi zobaczyli tyle towaru i bardzo wychwalali żydki krzanowskie, ale jak siedzieli, tak siedzieli, póki nie nadeszło wojsko. Postrzylali ze dwie godziny, most na rzece podpalili i poszli. Tego mostu, proszę paniów, bardzo szkoda! Nowy był, jeszcze nawet drzewo nie szerniało, bardzo piękny był most. Tam jeden nasz żydek myto dzierżawił, to on się całkiem na śmierć spalił w tej budce. Un się zamknął i bał się wyjść, bo strasznie strzelali. Teraz będą budować znów nowy most, a my pojedziem prosto przez wodę, całkiem niegłęboko, tylko panie z nogami na siedzenie wleżą. Wjo-a wjo!

Helena wysiadła z bryki i poszła naprzód pod górę wzdłuż strumyka. Przeszkadzali jej ludzie. Zamarzyła jej się jakaś zupełna, niemożliwa na świecie samotność. Pojechać gdzieś w daleki świat, daleko od domu, rodziców, znajomych i od nie-szczęsnej Polski. Oderwać się od starych smutnych myśli i tam, między obcemi, albo na pełnym odludziu, w górach, na pustym morskim wybrzeżu pobyć samotnie. Gdzieś niezmiernie daleko, gdzie nikt nie patrzy i nikt o nic nie pyta, trwać i czekać...

Jakże rozkosznie, jak strasznie smutno i dobrze byłoby przyjść samej jednej nad ten grób Jurka! Siąść nad mogiłą pod szumiącym lasem i dumać... Matka będzie się modliła, będzie wyrzekała, będzie powtarzała wkółko te swoje kochane i pocziwe matczyne żale. A przecież takiemu miejscu i takiej chwili przystoi tylko — milczenie.

Najdroższa matka!

W tych czasach była ona dla Heleny jedynym na świecie człowiekiem, który dla niej coś znaczył. Reszta — byli to obcy albo wrogowie, których nie cierpiała. Nie cierpiała rodziców, krewnych, sąsiadów. Dokuczała wszystkim albo zapadała na całe tygodnie w dumne, pogardliwe milczenie. Czy kochała matkę Jurka? Pani Łuczyńska wiedziała, że jej niedoszła synowa kocha ją zapamiętale i wier nie aż do śmierci. Było to dla niej wielkie szczęście w strapieniu.

Ale Helena wiedziała, że niema dla niej na świecie nikogo, kogoby kochała naprawdę. Matka Jur-

ka? Mogła być, mogła nie być. Lubi ją strasznie, ale obeszłaby się i bez niej i nicby się w jej życiu nie zmieniło na gorsze. — Boże, jaka ja sama! — I w tej świadomości było trochę zgrozy, trochę dumy, trochę dziwnego jakiegoś szczęścia.

Człowiek, który nikogo nie kocha! Kobieta, dla której wszyscy obcy! Czyż można tak wyżyć? Czyż warta życia taka istota? O ty, tajemnic pełne, trudne życie!

Nie do wiary wydało jej się, że nie dalej jak przed pół rokiem była jeszcze panienką ze dworu, jakich wszędzie pełno. Głupiutka, ładna, zakochana. I byłaby żoną taką samą, jak wszystkie żony. Dzieci, gospodarstwo, mąż... Jurku! Jurku! Coby to było...

Jurku, najukochańszy i na zawsze jedyny! Opłakuję cię i do śmierci będę za tobą tęskniła. Ja ci wierna! Ja ciebie dopiero po twojej śmierci naprawdę i na zawsze pokochałam. Wierzysz? Czy ty mi wierzysz? Odpowiedz. Jeżeli prawdą jest, że gdzieś tam po śmierci istnieją i trwają w nieśmiertelności ludzkie dusze, to odpowiedz na okropne moje pytanie... Dla czego gnębi mnie oddawna myśl obłąkana, że gdybyś cudem ożył, to żałowałabym tych wszystkich moich udręczeń? Czy ty wiesz? Gdyby mi zapowiedziano — albo Jurek i ty, tamta, dawniejsza — albo to co jest i ty, taka, jak teraz, wiesz, cobym wybrała? Nie rozumem, nie sercem, nie słowem, ale tym najgłębszym, najcichszym szep-tem duszy — gdzie niema nic, prócz nagiej prawdy... Jurku, czemu wszystko we mnie takie niesłychane, takie trudne? Wszystko się we mnie mieści:

najgorsze, najlepsze, mądre, obłąkane. Rozumiem wszystko na świecie — tylko siebie nie rozumiem. Boję się siebie.

Boję się tych chwil szczęścia, które na mnie spadają, jak cudny jakiś obłęd. Boję się rozkoszy samotnego myślenia. Boję się dzikiej woli, rodzącej się we mnie do niewiadomego celu...

Stanę nad twoim grobem. Wszystko, wszystko ci powiem.

* * *

Na noclegu w Krzanowie, w żydowskim zajęździe, pani Łuczyńska długo nie mogła zasnąć, narzekała na brud, na pchły, na niedobre powietrze, wstawiała i kładła się z powrotem, stękała i wzdychała, zapalała świecę, gasiła i tak doczekała się rana. Helena położyła się w ubraniu na podejrzanej żydowskiej pościeli i zasnęła natychmiast. Nie obudziła się aż rano, kiedy promienie słońca były w czerwone perkalowe zasłonki, zalewając płomieniem całą izbę.

— Cieszę się, że tak wybornie spałaś, Helenko. Ja bo oka nie zmrużyłam. Za stara jestem na niewygody...

— Trzeba mnie było obudzić, porozmawiałybyśmy, toby się mamie tak nie dłużyło, a i mnieby się przerwały te straszne sny, które mnie męczyły przez całą noc. Kilka razy ze wszystkich sił chciałam się obudzić, a nie mogłam...

— Cóż ci się śniło?

Helena odpowiedziała matce w krótkości kilka

szczegółów, a pani Łuczyńska zastanawiała się głęboko nad znaczeniem tych snów i tłumaczyła je w miarę sił. Po śniadaniu panie poszły do kościoła na solenną mszę żałobną za duszę Jurka, zakupioną i umówioną wczoraj wieczorem.

W starożytniej kolegiacie Krzanowskiej, której wieki zaniedbania i upadku miasta Krzanowa nie mogły odebrać jej potężnego oblicza, panującego ze wzgórza nad miasteczkiem i okolicą — w głównej mrocznej nawie stał katafalk, oświetlony rzęsiście i obstawiony dookoła świeżo przed godziną ścietymi młodemi brzoškami i smreczkami. Przy głównym olbrzymim ołtarzu dwa szeregi świec oświetlały jaskrawie zrujnowane i poutręcane figury świętych i stare, spróchniałe drzewo ornamentów, z których dawno już znikła ostatnia resztką złozenia. Ocalały tylko po obu stronach piękne kolumny z czarnego marmuru checińskiego, a na nich dwa pożółkłe marmurowe anioły, którym czas i los pozostawił nietknięte szeroko rozpostarte skrzydła i powiewną, lekko rzeźbioną draperję. Na wyniosłym chórze stały, sięgając aż pod sklepienie, kolosalne organy, fundacji omal że nie Kazimierza Wielkiego, jak przypuszczał wczoraj proboszcz, oprowadzając panie po starożytnym przybytku. Ale ruina ich sięga niepamiętnych czasów i dziś organista mozolił się gdzieś w kącie kościoła nad melodykonem, którego ochrypli głos, pełen melanholji, niczym nie różnił się od wolno obracanej katarynki. Pani Łuczyńska, która zabrała w podróż swojego Dunina, przez cały czas nabożeństwa mo-

dliła się chciwie i gorąco, a Helena siedziała nieruchomo w kolatorskich stallach, przemykała i otwierała oczy i opowiadała samej sobie swój dziwny sen, nie dający jej spokoju, domagający się natarczywie odgadnięcia.

...Był to obraz zupełnie obcy, gdyż Helena nigdy nie widziała morza. Wicher, brzeg morski, poszarpane skały. Miotła się fala, ogłusza. Zalewa i odsłania brzeg. Olbrzymie, w gromadzie leżące opodal głazy ukazują się i znikają. Wkoło nich woda kipi i szaleje. Tam kończy się i hamuje potworny impet lecących od morza fal. Jak sięgnąć okiem odmęt ruchomych sinych połysków. Wymawia morze spienione w gniewie straszne słowa.

Helena usiłuje zrozumieć wolę morza. Ogłusza ją nawała gromów, łoskotów, plusków, poszeptów i łkań. Odzywa się do niej z topieli tysiąc zmieszanych głosów, które zlewają się w okropny jakiś jęk. Morze cierpi! Przewala się w bólu, rozbija się w zapamiętaniu o skały...

Przeraża ją to niesłychane cierpienie przepotężnego żywiołu. Szydzi z niej wicher, szarpie na niej ubranie, odurza swoim nieustającym zapędem. Mąca się w niej wszystkie myśli. Dręczy ją wicher. Przesypuje jej myśli jak syпки piasek i roznosi po świecie. Mocuje się z nią, odziera ją bezwstydnie z szat, powala na ziemię.

Helena czepia się rękami ze wszystkich sił ostrych kamieni, chwytą się ostro krajającej trawy, która świszczy na wietrze. Napróżno. Niepojęta siła wia-

tru pcha ją i przetacza po ziemi. Wlecze ją wróg, posuwa ją ku morzu, aż na sam skraj urwiska, na wysoki brzeg. Jeszcze walczy, resztką sił wszczepia okrwawione palce między kamienie. Aż zwisła jej głowa nad przepaścią. Ujrzała pod sobą w dole skłębioną, ryczącą głębię. Szarpie się, odwraca głowę od śmierci, toczy wokoło błędnymi oczami.

I ujrzały oczy obraz niespodziewany. Na chwilę przed śmiercią oczarował je widok walczącego z burzą okrętu.

Miotwały się na wicherze strzepy żagli, rwał je wicher z masztów i niośł w tryumfie wysoko, daleko. Nurzał się głęboko czarny kadłub okrętu, waliły się nań jedna za drugą góry wodne. Znikał i ukazywał się. Pochylał się, dotykał wody masztami, podnosił się i opadał znowu. Zbliżał się do straszego brzegu i do śmiertelnych, zębatach skał. Stawał w miejscu nieruchomy wśród szalejących wirów i w niezmiernym wysiłku cofał się, odwracając od śmierci. Doganiały go rozżarte fale i wlokły z powrotem ku skałom, potężny wicher pchał go jednak uparcie i zawzięcie prosto na stromy brzeg.

Już drapieżne morskie ptactwo całym rojem lata nad masztami, kwiląc z radości w nadziei su tego zera. Zanurza się okręt całym przodem pod wodę. Długo nie podnosi się, nie porusza — już go przebodła podwodna skała. Już tonie.

— Niechże i ja zginę...

Helena wypuszcza ze zmartwiałej ręki zadzierzystą skalną krawędź.

Jeszcze jedno ponure spojrzenie...

Wynurzył się i walczy z burzą okręt. Bierze pod resztkę żagli wrogi wicher, odwraca się na miejscu i sunie pochyło wdał.

Szybko maleje wśród ogromu morza. Jeszcze ze szczytu głównego masztu błysnął barwami nie-
tknięty sztandar. Jeszcze przyniósł wiatr od morza
czyjś okrzyk zwycięski! Radość!

Pręży się całe jej ciało. Ramiona nabierają nie-
pojętej siły. Chwyta się skały, dźwiga potężnie,
wydobywa się z nad przepaści i staje zwycięsko
w burzy, w wicherze. Staje na pewnych nogach
nad odmętą i pełną radości przesyła wdał po-
zdrowienie szalejącemu morzu i walczącej załodze.

* * *

Pani Łuczyńska nawpół klęczała, nawpół sie-
działa na brzegu lasu z załamanymi rękami, szep-
cąc coś do siebie. Pływały jej z oczu łzy, ustały,
obeschły i znowu popłynęły. Siedziała tak nieru-
chomo już od godziny. Kręcił się pod lasem chłop-
przewodnik, który je tu przyprowadził za obiecaną
czterdzieści groszy i teraz czekał cierpliwie na za-
płatę, przyglądając się ciekawie przybyłym paniom.

Na szerokiej, równej dolinie, otoczonej lasami
wzgórzami, budowała się po zeszłorocznej pogo-
rzeli rozległa wieś Brzozowy Kąt. Długim na pół
mili sznurem ciągnęły się porozpoczynane i ukoń-
czone chałupy i wesoło świeciły na słońcu białym
drzewem. Ze wszystkich stron dolatywały odgłosy
siekier, pił i dłut, pracujących przy budowie. Po-

pod lasem, po pastwisku chodziło kilkadziesiąt krów,
i gromadka dzieci, pasących bydło, stała opodal,
o pół stajania od mogiły i patrzyła na modlące się
nieznajome panie.

Helena stała długo nad miejscem, gdzie miała
być mogiła. Było to urównane nagie miejsce, na
którym już się puszczało zielsko. Naokoło leżały
rozrzucone bryły gliny, jak gdyby ktoś nie tak dawno
rozkopywał to miejsce. Helena uspokajała, pocie-
szała matkę, wreszcie zamilkła i wbiła oczy w zie-
mię, jak gdyby ją chciała przejrzyć nawskroś i zo-
baczyć oczami zagrzebaną w niej tajemnicę. Jej
duszę, wzburzoną długim oczekiwaniem, już opa-
nowywała martwa tępość. W głowie czuła pustkę.
Rozpędzone myśli urwały się nagle. Powtarzała
machinalnie wkółko:

— To mogiła Jurka... Tak, to tutaj... A więc
on tu leży... To już wszystko... Cóż więcej? Cóż
dalej?... Nic. Nic?

Ta pustka i nieruchomość myśli sprawiały jej
ból fizyczny. Bolały oczy, wpatrzone tępo w zie-
mię, bolała głowa. To, co mówiła matka, słyszała
jak przez sen. Odpowiadała jej również jak przez
sen. Wreszcie ruszyła z miejsca i, nie myśląc, do-
kład idzie, poszła szybkim krokiem wzdłuż lasu.

Przewodnik, myśląc, że panna idzie do niego,
żeby mu zapłacić, zbliżył się i zdjął czapkę.

— Aha, powiedz no, mój drogi, czy ty aby
dobrze znasz miejsce? Bo nam opowiadał jeden
człowiek, co w tej bitwie sam był, a po bitwie
kopał grób dla starszyny, że nad tą mogiłą usy-

pali kopiec wysoki na chłopa, a na tym kopcu postawili figurę. Więc to chyba nie tutaj...

W duszy jej układała się już ulga. — Instynkt mnie ostrzegł — nic nie czułam, bo to cudzy jakiś grób...

— A jakże, był kopiec, proszę panienki, uklepiany był i darnią jak się patrzy obłożony. Była figura wielga, dębowa. Było wszystko, ino w jakie sześć tygodni po tej bitwie i po pożarze przyleciały do wsi kozaki. Ich starszy ludzi rozpytywał, jak tu było z tym wszystkim. Starszy nauczał, że to niby Polaki, a bo ja wiem, przepraszam panienkę, naumyślnie wsie pała, obiecał, że od cysarza będzie nam za darmo wydane drzewo na całe pobudowanie, niby z tych lasów dworskich. Długo obiecował, gadał, a potem nagnał ludzi naszych do roboty. Poszli my z łopatami tutaj pod las i rozrzucili my na czysto ten kopczyk, wyrównali i tak już zostało. Kazali — tośmy robili. Figurę zaś same kozaki porębały, bo z naszych żaden nie zechciał się odważyć. A miejsce jest, proszę panienki, właśnie tosamo, tu są zakopane wszystkie naczelniki.

— Bieda u was we wsi?

— Oj, prosze panienki... Niech Bóg broni! Jak my tę zimę przetrzymali po takich psich budach, po obcych ludziach z łaski, bez tego swojego kawałka chleba... Zaraz po nowym roku zaczęli ludzie chorować a mrzeć. Dzieci mało że nie wszystkie we wsi powymierały... Bez naszej winy nas skrzywdzili... My nikogo nie zaczepiali, siedzielim

cicho. Jak się chciały bić — czemu się nie biły w polu, po lesie? Mało to miały wolnego miejsca?

— To cała wieś poszła z dymem?

— Jaka tam cała wieś! Nawet tego kołka, ani kawałka płota nie zostało. Popaliły się konie, bydło, świnie. Z duszą ino każdego wrywał w pole. Nie było czasu nic z ognia wynieść, bo który tego dobytku zanadto żałował, to się spalił, albo dostał kulą, albo się gdzie zaplątał i końmi go strątowali na miazgę. Mało to ludzi ze wsi wyginęło przy tej ich bitwie?

— Teraz się budujecie? A z czego? Pozwolili wam brać z dworskiego lasu?

— Et. Obiecywał dać pozwolenie kozacki starszy, a przedtym, zaraz po bitwie, jeszcze się wszystko het paliło, przyobiecował tosamo polski naczelnik. O tu pod lasem, za wiatrem od dymu i gorąca wszystko stało. — Przez Moskali, powiada, cały ten pożar i wasza chłopska krzywda. — Uczył, dużo gadał, a tu cały naród spłakany, ogłupiony, co ta kto z tej nauki wyrozumiał... Jeno zapowiedział, że z rządowego lasu drzewo nam brać wolno, a potem, jak się naszym powiedzie, wszyscy dostaną od polskiego rządu zapomogę i wolność od podatku.

— No i co?

— No i do dziśdnia, proszę panienki, tego pozwolenia na piśmie niema. Ani od Moskala, ani od nowego polskiego rządu. To my przez całą zimę brali same bez pozwolenia. To tera pana hrabiego rządcą, pan Kosacki, nas wszystkich do sądu

pozywa za samowolę. Przez całą zimę cierpiał, a czekał, bo, powiadają, bał się polskich komisarzów, a teraz już się nie boi... Bo u nas powiadają, że ta cała wojna na nic i że Polaki już naszczęć przegrali. Jak tam, panienko, jest, bo co my tu, ciemne ludzie, wiemy...

Helena weszła w las i błędziła między drzewami. Wabiła ją ciemna głęбина, zaczynająca się opodal. Nie dochodziły tam promienie słońca, nie rosły tam ani trawy, ani wesołe leśne podszycie. Po miękkim wilgotnym kobiercu igliwia szła cicho w głąb. Stała między kolumnami świerków, w zielonkawym zmroku, wśród ciepłej żywicznej woni. Nie sięgały tu odbłaski pełnego słońca, wkradającego się do lasu. Nie dolatywały głosy ptaków, tylko przybiegało głuche kołatanie od wsi, gdzie pracowali cieśle.

Usiadła na odziomku zrąbanego świerka, wsparta głową na rękach, i wpatrzyła się w mroczną, tajemniczą głębinę lasu. Szło od tej strony chłodne wilgotne tchnienie, szedł poważny, wieleznaczący poszum drzew. Helena pograżyła się w myślach; rozważała swoje losy i swój — jeszcze nieodgadniony sen — o szalejącym morzu i o walczącym z burzą okręcie.

„POLAKI“.

Już od tygodnia plątali się tak we dwóch po wielkich lasach Malwierzycznych, szukając swojej partji. Naczelnik, w parę dni po bitwie pod Wierzchowiskami, podzielił ją na małe oddziały i różnemi szlakami nakazał tym kupom przeć i przekradać się za Wieprz. Poszło ich w jednej kupie czterdziestu kilku pod wodzą oficerów, z bronią i w zupełnym porządku. Ale idąc przez okolicę, w której grasowały silne podjazdy dragońskie, podzielili się, dla łatwiejszego ominięcia nieprzyjaciela, jeszcze na trzy oddziały. Z jednej takiej garści ludzie rozleźli się na wszystkie strony i do puszczy Malwierzycznej dotarli tylko we dwóch: pan Roszkiewicz i pan Rusiecki.

Na umówionym punkcie zbornym w leśniczówce, zwanej Smolarka, zastali już ostygle zgłiszcza i kilka nieopogrzebanych, ale obrabowanych doszczętnie trupów. Nie było się kogo spytać, bo tylko samotny, opuszczony pies ujadał na nich ostrożnie, trzymając się zdaleka. Postali nad trupami i poszli dalej leśną drożyną, naradzając się, co się tu i jak właściwie stało. Kłócili się też potrosze, a głównie na rozstajnych drogach, bo właściwie żaden z nich

nie wiedział, dokąd te drogi prowadzą i dokąd oni mają iść, a głównie — poco?

Obiecywano im długi, bezpieczny wypoczynek w puszczy, leżącej zdala od miast i dróg bitych. Tam miały przyjść posiłki w ludziach i broni, a za parę tygodni po zreorganizowaniu partji mieli wyruszyć — nie tak, jak dotychczas, bezładną kupą, ale sfornym, potężnym oddziałem bojowym. Miały być nawet armaty. Gadano sobie pocichu, że zastaną tam już na miejscu pewnego znakomitego wodza, kto wie, czy nie samego pana Ludwika, o którym krążyły jeszcze wówczas między wojskiem nadzwyczajne legendy.

— Nie płacz-no pan jeszcze, kolego Roszkiewicz! Smolarka spalona, ale to jeszcze nie koniec świata. Zobaczysz, co będzie dalej. Przecie kogoś, u diabła, spotkamy.

— Jeżeli aż tu dotarli, to znaczy, że partja rozbita naszczęć.

— Partja jest w odwrocie. W lasach nie tak łatwo kogo rozbić. Poszli borem i zapadli gdzieś dalej. Ja, żebym się miał tak za każdym razem martwić, jak pan, tobym wolał lamentować w domu, a nie nosić się ze swoim wzdychaniem po lasach i wertepach.

— Jeżeli na zbornym punkcie nikogo nie zostawili, to znaczy, że partji już niema. Bo po nas mogą zdążyć jeszcze inni...

— Jak to nie zostawili? To nie widziałeś ich pan? Leżą przecie, jak barany. To była placówka.

— Tym gorzej, bo w takim razie...

— Nie gorzej, a lepiej — bo napewno jeszcze dziś natrafimy na nasz obóz, niechno ino kogo napotkamy po drodze. Przecie, u diabła, są tu jacyś ludzie.

— Et. Gdyby się panu nie zachciało bałamucić się z pannami w tych Rokicinach, to o tej porze...

— W Rokicinach, panie Roszkiewicz, byłem chory. W Rokicinach miałem gorączkę...

— Ale chyba do panien.

Pan Rusiecki stanął jak wryty i piorunujące spojrzenie wrył w kolegę. Ale pan Roszkiewicz poszedł sobie dalej, nie zwracając żadnej uwagi na te miny. Z godzinę szli osobno w zupełnym milczeniu.

Wyszli z lasu na wielką polanę, obeszl ją skrajem popod drzewami, ale drożyna szła widać bokiem, albo też całkiem ginęła, bo po przeciwległej stronie nie mogli już na nią natrafić! Pan Roszkiewicz, nie zatrzymując się, zawracał wciąż brzegiem lasu, a za nim szedł pan Rusiecki, wreszcie stanął i krzyknął:

— Cóż to, będziem tak do jutra chodzić wkółko, jak w cyrku?

— Szukam drogi. Niema się co irytować, panie kolego.

— Ja się nie irytuję, tylko chcę coś nareszcie wiedzieć. Gdzież my, do diabła, idziemy?

— Idziemy właśnie do tego naszego obozu, o którym pan powiadałeś.

— To trza było iść tą szerszą drogą naprawo, doszlibyśmy do jakichś ludzi.

— Drogi były zupełnie jednakowe...

— Kłamiesz pan!

Kłócąc się, obeszli dookoła polanę i usiedli wreszcie odpocząć. Pan Rusiecki wydobyl z torby to, co zostało z wędzonki, przekrajał na połowę i z całą niegrzecznością szmyrgnął koledze to, co mu się należało, a sam z zjadłością zaczął szarpać zębami jadło. Wędzonka była twarda, jak ramię, a do tego ani chleba, ani wódki. Niedługo też obiadowali. Napili się ciepłej wody z maleńkiej rzeczutki, przepływającej przez polanę, i urządzili wrócić do rozstajnych dróg i pójść naprawo. Prowadził teraz pan Rusiecki i wyciągał dobrze nogi, a mały pan Roszkiewicz nadążał za nim, jak mógł, i co kilkadziesiąt kroków podbiegał drobnym kłusikiem, żeby nie oddalać się zanadto od kolegi. Tak szli znowu z godzinę. Wreszcie pan Rusiecki stanął, zdjął dubeltówkę z ramienia i zawołał:

— Dobrze idziemy! Miałem węch.

Za chwilę doszedł do tego miejsca i pan Roszkiewicz. Zimny dreszcz przejechał mu przez same krzyże od stóp do głów. Spojrzał i odwrócił oczy.

Przy samej drodze wisiał na sośnie człowiek w sukmanie i zgrzebnych portkach. Czarne, bosc nogi zwisały na wysokości paru łokci od ziemi. Ręce miał związane, a od rąk szedł długi postronek, którego skrzyty koniec leżał na środku drogi. Na gębie roily mu się baki i jakieś złotawe wielkie muchy.

— Tędy przechodzili nasi. Idzie tylko o to,

kiedy? Jak pan uważa po wisielcu, kiedy mu się to przytrafiło? Wczoraj? Przedwczoraj? Czarny na gębie — ale jakoś nic nie słyhać!

I pan Rusiecki pociągnął nosem kilkakrotnie. Pan Roszkiewicz stał odwrócony tyłem do straszego obrazu i nie odpowiadał ani słowa.

— Ohoho... Zaczynają się rekolekcje. Pocóż kolega szedł na wojnę? Trza było zostać w domu i śpiewać po wszystkich kościołach „Boże, coś Polskę“, możeby i to wystarczyło. Wstyd i hańba! Księży widywałem po partjach, a żaden nie zatrzymał sobie wątroby takimi czułościami.

— Głupi pan jesteś! Zdrowy, jak koń, i głupi, jak koń! Nigdy pan nic nie zrozumiesz. Co z panem gadać... To jest potworność, która zgubi powstanie!

— O, zapewne, głupi jestem — ja w uniwersytecie nie byłem, ale jeżeli tam uczą tylko ślamazarstwa i każą lzy wylewać nad każdym zdrajcą, to wolę już zostać głupim. Tyż nauka...

— Pan sobie wyobraża, że ja żałuję tego chłopca (który z pewnością jest niewinny — bo kto sprawdził i jak można sprawdzić jego winę?). Ja żałuję nas, powstania, ja żałuję Polski...

— Żałuj pan tylko siebie i tego, żeś nie wstąpił do kapucynów...

— Kto tego chłopca uczył? Kto mu co włożył w ciemną głowę? Kto go przygotował?

— Kto go uczył? O — ten wisielc to najlepszy nauczyciel ludowy. To jest abecadło i nauka

dla chama. Widzisz go? Wisi? No, to słuchaj, jak ci każą, i staraj się jeden z drugim.

— Wieszaj pan chłopów, owszem, wieszajcie ich kopami, zrobicie z nich patryjotów. Pan wiesz, co się przytym dzieje z duszą chłopą?

— Dusza chłopą...

— Zatracone plemię szlacheckie! Znać, żeś pan z dziada pradziada tylko krew i pot z tego chłopą wyciskał, a teraz go gnasz do powstania, jak na pańszczyznę. Ino batem, nic, ino batem... Nie dla was był pisany nieśmiertelny manifest pierwszego Rządu Narodowego!

— Manifest manifestem, zgadzam się na manifest i nie łżyj pan, bo cała szlachta się nań zgodziła. Wymyślaj pan na szlachtę, owszem, taka teraz moda. Tylko że manifest pisany jest też dla chłopą, o tym się nie mówi. Czemu to chłop manifestu nie usłuchał? Spytaj go pan, czemu to on w domu siedzi? A czemu wrogowi pomaga? Czemu jest taki głupi? Czemu jest taki podły i niewdzięczny? Spytaj go się pan — tego na gałęzi — może odpowie.

— Zaiste, trzeba być zwierzęciem, żeby stroić kpiny przy trupie niewinnej ofiary. Jak pan mu śmiesz nawet spojrzeć w te martwe oczy?

— Nietylko patrzeć, ale mu jeszcze w te ślepia plunę!

— Spróbuj, zaraz ci tu w łeb strzelę!

— Ha-ha-ha! Pękne, jak Boga kocham!

I pan Rusiecki, wielki dryblas, wziął jedną ręką kolegę wpół, dźwignął go i zaczął z nim brnąć po

śluznistej drodze, nie bez wysiłku, ale dość żwawo. A kiedy miał już dosyć tej manifestacji, przystanął, odsapnął i dobroduszenie poklepał po łopatce oszłomionego kolegę.

— No, zgoda, zgoda — o co się tu będziem żryć? Anim ja go nie wieszał, ani kolega. To należy do dowódcy. Jeżeli to nasz Kurek zrobił, to on odpowie przed panem Bogiem, a jak który inny — no, to inny. A my co? My szeregowcy. Ja tam słucham i swoim rozumem nie nadrabiam — a pan już nie jeden raz nawarcholiłeś.

— Potwarz! Ja nie warcho! szlachecki, ale się wzdrygam przed każdą krzywdą ludową, przed każdym pogwałceniem świętej zasady demokratycznej! Może warcholiłem pod Olszanką, kiedym napróżno protestował przeciwko rabowaniu ubogiej wsi, kiedy rżnięto krowy chłopskie, kiedy gwałtem zabierano konie i wozy i batożono jeszcze tych, co się ośmielili bronić swojej krwawą pracą zdobytej własności?

— Głupstwo. W Olszance nie było żadnego rabunku, tylko prosta rekwizycja. Rzecz na każdej wojnie codzienna. Żołnierz ma brzuch i żołnierz musi jeść. Coś pan chciał, żeby wygłodzona partja pasła się gdzie na wygonie, skromnie, jak baranki ewangeliczne, a podły chłop żeby tymczasem nadziewał się kluskami ze szperką? Za swój protest, gdyby u nas była jaka dyscyplina, powinienś dostać raz kulą w łeb, albo dwadzieścia pięć razy nahajem... Ale pan sobie też nieźle na sztuce mięsa z tych chłopskich krów używał. To

swoją drogą. Sam sobie dowiodłeś, żeś nie miał racji — bo zresztą za każdą kurę, za każdą wiązkę siana płacono ceny półtora raza większe, niż się należało.

— Asygnatami — płatnemi na księżycu. Nie kpil pan jeszcze teraz z tych biednych ludzi...

— Nie kpil pan z powstania całego narodu! Ja wierzę w nasze zwycięstwo i w to, że każda złotówka w asygnacie warta jest tyleż, co w srebrze. Ja w to wierzę i inni w to wierzą i dla tego my nie rabusie i dla tego chłopci nie są bynajmniej pokrzywdzeni i dla tego pan, który w nic nie wierzysz, tylko w swoje głupie ideały, nie miałeś prawa jeść chłopskiej krowy i nie masz też teraz prawa nosić tej broni.

— Pan mi tu żadnych praw nie będziesz odbierał, boś na to za głupi! Co pan możesz się rozumieć na czym prawie?

— Moje prawo na ten cały czas wojny, to jest to. Widzisz pan? Tylko to!

I pan Rusiecki podsunął koledze pod sam nos wielką pięść, obrośniętą rudym włosem. Pan Roszkiewicz się zachnął.

— Tylko zdaleka. Tylko zdaleka, do wszystkich djabłów! Ręce przy sobie, bo za siebie nie ręcę!

— Srogi z pana rycerz — czy cię mam znów zabrać pod pachę?

Swoją drogą zbłądzili znowu. Drożyna się urwała, las wokoło stawał się coraz gęstszy i potężniejszy. Upaął się jednak pan Roszkiewicz i szedł wciąż prosto przed siebie w głąb puszczy. Upaął się ze

złości i na złość koledze. Szedł naprzód, bo już nie wiedział zupełnie, w którą stronę się skierować. Zarazem chciał być jak najdalej od tego zdrowego, rozrośniętego i głupiego wałkonia, jak w myśli nazywał zwykle Rusieckiego. Przypuszczał, że kolega odczepi się od niego, albo zginie gdzie w gąszczu leśnym i samopas zacznie szukać drogi. Ale pan Rusiecki trzymał się towarzysza i choć wyrzekał i wymyślał mu za niezdarność, jednak szedł za nim, jak cień, pogwizdując pewną piosenkę, którą pan Roszkiewicz zdążył znieawidzieć, gdyż kolega wiercił mu nią w uszach już od czterech dni, odkąd podróżowali we dwóch.

Była to pewna zawadjacka i hulaszczą piosenka żołnierska, głupia, pompatyczna i zwycięska. Niezmierna była jej popularność po obozach. Pan Roszkiewicz nie cierpiał jej serdecznie, jak również głupich przechwałek i zadzierzystej butności, które należały do dobrego tonu i niejako obowiązywały wszystkich wśród młodzieży powstańczej. Wśród takiego otoczenia nie miał się gdzie podziąć pan Roszkiewicz ze swoją powagą i subtelnością.

Chodził z partją już od czterech miesięcy, był w sześciu bitwach i w kilku potyczkach, a dotychczas nie mógł się pogodzić z powszechną brutalnością i zdziczeniem, bez których w czasie wojny żołnierz nie mógłby ani zwyciężać, ani walczyć, ani wyżyć. Widok ciężko rannego, którego trzeba zostawić i odbiec podczas gwałtownej rejterady, paląca się wieś, ukarany szpieg albo zdrajca, niszczenie dobytku ludzkiego, bezwzględność wobec

spokojnego mieszkańca — wszystkie te zjawiska i prawa wojny, z którymi zwykła się żołnierz natchmiał, jak tylko wystąpi w pole, były dla niego codzienną ciężką obrazą.

Z początku perorował i pouczał i wyrabiał awantury, za które nieraz o mało ciężko nie odpokutował wobec dyscypliny. Wnet jednak towarzysze i oficerowie poznali się na nim i zamiast spierać się — drwili, zamiast zarazić się jego wysubtelnionym humanitaryzmem, popisywali się jeszcze swoją ciężką i sadzili się na różne dzikie kawały. Rychło zaprzestał pan Roszkiewicz propagandy i wszelkich manifestacji, ale to już nie pomogło. Zamiast do niego mówić po imieniu, nazywali go wszyscy „wikarym“ i kpili zeń przy każdej okazji i bez żadnej okazji.

Nie pomogły dowody prawdziwego męstwa, ani żelazna wytrzymałość na trudy wojenne. Pan Roszkiewicz stał się raz na zawsze figurą komiczną i nawet w najgorszych opałach i klęskach, które trafiały się oddziałowi, trapił go przycinkami i wszelakim wykpiwaniem. Pan Roszkiewicz był mężnym i wytrzymałym żołnierzem, ale bodaj największą próbą jego męstwa było właśnie to, że zdołał znosić przez parę miesięcy taką koleżeńską atmosferę.

— A wszystko to dla tego jedynie, że nie jestem bardzo wysoki. — Tak myślał pan Roszkiewicz, który rzeczywiście był bardzo mały.

— Wśród takiego rozpasanego chamstwa człowiek inteligentny i subtelny jest skazany na usta-

wiczne prześladowanie. Co innego, gdybym był roslým drabem...

Z niezmierną goryczą myślał dalej, że gdyby był owym roslým drabem, okrutna panna Gabrjela nie pogardziłaby jego miłością. Do powstania poszedł pan Roszkiewicz z obywatelskiego obowiązku i z całym obywatelskim zapałem, ale nie małą rolę w tym wszystkim odegrała i czarna desperacja, w której zastały go wypadki styczniowe. Było to bowiem w parę dni po nader pogardliwej i obrażającej odmowie, która go spotkała ze strony dorodnej pannicy, przerastającej go co najmniej o pół głowy.

Niespodziewanie wyszli na dosyć szeroką i uprzędkowaną drogę leśną. Znać na niej było ślady koni i świeże koleiny wozu, wyraźnie odcisnięte na wilgotnej ziemi. Po krótkiej kłótni, w którą stronę się skierować, poszli naprawo za zdaniem pana Roszkiewicza, a poczuwszy ślady ludzkie, mieli się na baczności. W razie spotkania nieprzyjaciela liczyli tylko na swoje nogi i na gęszcz leśny, albowiem było ich tylko dwóch, a zresztą nie mieli ani szczypty prochu i ani jednego ładunku. Amunicję mieli zastać na Smolarce.

— Wiecie co, kolego — zaczął polubownie pan Rusiecki — po namyśle zdaje mi się, że nasza partja już poszła na cztery wiatry. Co tu robić, jak nikogo nie znajdziemy? Dziś tydzień, jak chodzimy, jak błędni. Na ostatnim noclegu chłopci przyglądali nam się bardzo brzydko. Proboszcz też coś za-

nadto się wymawiał i zanadto nas ukrywał. Tak jeszcze nigdzie nie było. Co? A z drugiej strony, dla czego my nic nie wiemy ani o partji ani o Moskalach? Dla czego wszyscy po drodze gadają, jakby się zmówili: nic nie wiemy, nikt tędy nie przechodził...

— Widać nikt nie przechodził.

— A ci, co leżą pod Smolarką? A chłop powieszony?

— Mogą to być jacy inni — z tamtej strony Wieprza, nie nasi...

— Nic nie rozumiem. Zależliśmy w jakąś pustynię. Pierwszemu spotkanemu chłopu przystawię fuzję do łba i będę indagował. Musi gadać.

— Oczywiście, musi. Będzie gadał, ale niedużo się pan z tego dowiesz. Trzeba wzbudzić zaufanie, inaczej się wymilczy, albo na złość wszystko zelże.

— Już ja lepiej po swojemu. Nie zaczynaj jeno pan tych tam demokratycznych pogadanek. — Kochany gospodarzu... Już lepiej „wieśniaku“, albo zgoła „kmiotku“, jak się mówi w uczuciowych powiastkach dla pańienek.

— Owszem, przystawiaj mu pan do łba fuzję i to jeszcze nienabita. Rycerz!...

Rozmawiali tak jeszcze przez chwilę, kiedy nagle doleciał ich, niewiadomo od której strony, czyjś głos. Stanęli i słuchali. Wśród ciszy chwilami dobiegało niewyraźne klekotanie, chwilami mocniejszy dźwięk, jakby ktoś potrzasał jakim żelastwem.

— To nic innego, tylko ktoś jedzie. Wóz stuka po korzeniach. Cicho!

Za tym razem usłyszeli zupełnie wyraźnie zwyczajne chłopskie pokrzykiwanie na konie:

— Wio — wiśta, małe!...

— Ktoś przed nami jedzie — to jego ten ślad...

— Trza go dogonić.

Puścili się i w parę minut zobaczyli za zakrętem, przez drzewa, wóz, naładowany szczapami. Wóz stał w miejscu. Doszli — ale przy wozie nie zastali nikogo, tylko dwie małe szkapy, widocznie przestraszone i chrapiące z nastawionemi uszami. Konie miały dziwnie i niezwykajnie wzniesione głowy.

— Psiakrew — zaklął pan Rusiecki. Pan Roszkiewicz struchlał. Droga naprowadziła ich z powrotem na znajome miejsce. Chłop, którego widzieli przed dwiema godzinami, wisiał po dawnemu na gałęzi. Spostrzegli go zupełnie niespodzianie, bo wóz stał na zakręcie. Pośrodku drogi, na kilkanaście kroków przed wozem, stał chłop, zupełnie taki sam, jak ten, który wisiał, w rudej sukmanie, w parcianych portkach i bosi i ostrożnie dotykał się biczyskiem wisielea.

Na głośnie klątwy pana Rusieckiego, chłop odwrócił głowę i spojrzał błędniemi oczami. Przez szeroko otwartą gębę patrzyło z niego bezmierne przerażenie. Jednak, widząc dwóch uzbrojonych ludzi, idących wprost na niego, wtulił głowę w plecy, obrócił się na miejscu i już miał wpaść w gąszcz, kiedy huknął pan Rusiecki:

— Stój, bo strzelę!...

Chłopina przygiął się do ziemi i zamarł na miejscu.

— Odpowiadaj, rozumiesz? Tylko szczerą prawdę! Słyszysz?

Widok nastawionej dubeltówki i zdziwała, rozrośnięta postać powstańca odebrały chłopu resztę rozumu. Pan Rusiecki pytał surowo, ale chłop ruszał tylko zbielełymi wargami i przewracał oczami, jak w obłądnie.

— Nie bój się nic, gospodarzu! Nic ci nie będzie — zaczął łagodnie pan Roszkiewicz. — Chcemy wiedzieć, gdzie tu najbliższa wieś. Skąd ty jesteś? — I rzuciwszy na kolegę błagalne spojrzenie, odsunął wycelowaną broń.

Chłop odetchnął głęboko.

— Skąd ty?

— Ja? Wielmożny panie, ja...

— Gdzie wieszysz drzewo?

— Dla siebie wiozłem, kupilem, wielmożny panie... konie mi się strachnęły przed nieboszczykiem... Nie chciały przejść...

— Nie bój się. My swoi. My z Moskałem się bijem, a swoim krzywdy nie robimy. Skąd ty?

— Ja z Łebków, tutejszy.

— Do Łebków daleko?

— Zaraz, wielmożny panie.

— Jest we wsi jakie wojsko, albo li też powstańcy?

— Nikogo niema teraz, proszę panów.

— A kiedy byli? Kto? Którędy poszli? Gadać wszystko, nagrodzimy cię.

— Przedewczoraj był we wsi rządowy komisarz z dragonami.

— Co robił? Dużo z nim było żołdatów?

— Było ze dwudziestu. Ludzi zgonił przed karczmą i nauczał.

— Co gadał?

— A bo ja wiem, proszę pana. Długo gadał.

— A nasi kiedy byli?

— Rano wczoraj kupa przeszła przez wieś.

— Dużo?

— Dużo. Ze trzydziestu. Kazały dać mleka, chleba, furę zabrały z parą koni pod swoich chorych i poszły.

— Gdzie?

— A we świat. Poszły w te lasy.

— To kto tego nieboraka powiesił?

— Oj nie wiem, nic nie wiem...

— A znasz ty jego?

— Znam, panie, to jest aż z Węglówki gospodarz, nazywa się Ślepak, po imieniu Jędrzej.

— Zaco jego?

— Oj, nie wiem, panie. Musi bardzo był winien. Jego wczoraj przez naszą wieś prowadziły, w kupie szedł na postronku.

— To w tę stronę poszli nasi? Tą drogą? Dla czego śladu niema? To było wczoraj?

— Wczora rano. Musiały chyba lasem iść dla niepoznaki. Gdzie zaś poszły, nie wiem. Pytały się o Smolarkę — jest taka gajownia o dwie mile — lasem.

— A wojsko? — zaczął pan Rusiecki. — Dla czego ty łiesz, że wojska nie było? Widzisz? — pokazał palcem na wisielca.

— Widzę, wielmożny panie. Ino święta prawda, że wojska żadnego nie było, prócz przedwczorajszych dragonów, które z komisarzem zaraz odjechały.

— Nic nie rozumiem — westchnął pan Roszkiewicz.

— Cicho! — burknął na niego kolega. — Widzisz, mój kochany, nas wysłali na wywiady. Tu w lesie, w jednym miejscu stoi naszych trzysta, a za nami dopiero idzie główna siła. Prowadź do wsi! Tyś za głupi. Trza nam kogoś mądrzejszego.

— Prawda, wielmożny panie. Mogą panowie na furę się przysiąść. Żeby ino te konie koło nieboszczyka przeszły.

— A bata nie masz?

Zabrał się chłop do bata. Wspinając się i chrapiąc, przeciągnęły szkapę furę przez straszne miejsce. Panowie wleźli i pojechali, a chłop szedł bokiem przy koniach.

Pan Rusiecki był rad, że się nareszcie czegoś dowiedział, że będzie jadł i że coś się nareszcie odmieni w ich tułaczym losie. Ale pan Roszkiewicz zgryziony był i bardzo niespokojny.

— Dajno pan pokój ze swojemi strachami! Pamiętaj, że za nami stoi cała partja...

— Na bładze można jechać długo, ale nam trzaby gdzieś i dojechać...

— Więc pamiętaj pan, że o ćwierć mili w le-

sie, na polanie stoi naszych trzystu, a reszta jest w drodze. Nas wysłali przodem przepytac. Do-wiemy się wszystkiego, dadzą nam jeść i konie...

— I gdzież dalej pojedziem?...

— Ciszej! Bo chłop uszu nadstawia. Gdzie nam się wyda, tam pojedziemy. Strasznie jestem głodny. Nic pan się nie bój. Nasz chłopina im powie, co widział w lesie. Będą jak trusie. Hej! A chodź ino tu — zawołał.

— Słucham, proszę łaski pana.

— A ta partja, tych trzydziestu, co wczoraj przechodzili, uważasz?

— Uważam, panie.

— Nie opowiadali się, co oni za jedni? Jak ich nazywają po naczelniku? Nie nakazywali nic do powiedzenia naszym, którzyby tędy przechodzili!

— Oj, nic ja nie wiem, panie. Sołtys wszystko wiedzą, bo z niemi wczoraj dużo gadali.

— A zaco skazali tego chłopinę?

— Nie wiem ja, proszę pana. Musi być winien bardzo!

— Winien to winien. To swoją drogą. Ale dziwi mnie, że jednak go aż tak skarali. Nasza partja chodzi już od marca, a jeszcześmy żadnego chłopca tak nie skrzywdzili. Wziął tam poniektóry tu i owdzie po dwadzieścia pięć, jeden nawet sto. Taki się jeszcze może poprawić. A jak dynda na stryku, to co komu z tego! Szkoda mi tego człeka. Nasz gienerał tego nie lubi. U nas surowo pilnują, żeby wszystko było po sprawiedliwości. My, jak przychodzimy do wsi, za wszystko kasa płaci goto-

wym pieniądzem. Mało to my moskiewskich pieniędzy nabrali? Jakiśmy gdzie stanęli, to się do nas fury zjeżdżały, jak na jarmark. Na wojnie trza swojego oszczędzać, bo to swój, Polak, katolik...

Rozgadał się pan Rusiecki, a chłop słuchał pilnie i przytakiwał. Pan Roszkiewicz tylko oczy wznosił do nieba na te przeróżne wyrachowane łgarstwa, ale milczał.

Obrzydl mu wojenny proceder. Przyszła na niego po raz pierwszy zła chwila, zachciało mu się skończyć raz z tym wszystkim. Gdybyż to na wojnie były same bitwy, gdzie trzeba głowy nadstawiać, strzelać, nacierać, zabijać i ginąć... Ale te niezliczone krzywdy spokojnego obywatela, ustawiczne traktowanie zasiewów, objadanie wsi i folwarków, przemoc i gwałt, palenie mostów, narażanie na okrutną zemstę wroga całych miast, wypełniały na wojnie codzienne życie. A do tego wszystkiego i ponad wszystko najgorsze — polski chłop, dola chłopstwa, sprawa chłopstwa.

Był czas, że wraz z innymi wierzył i pan Roszkiewicz, że słowa pierwszego manifestu poruszają do gruntu masy i że po raz pierwszy w dziejach ożyje polski lud. Pamięta pierwsze swoje wystąpienie w pole. Szli przez żyzny, bogaty kraj. Nie było wioski w okolicy, gdzieby nie zbierali wszystkich dla wysłuchania odezwy Rządu Narodowego. Czytał zawsze z konia sam naczelnik, świętej pamięci, poległy pod Żoraninem bohaterską śmiercią. Była przy tym pompa i powaga, grali trębacze, wojsko

prezentowało broń i wśród skupionej ciszy rozlegały się proste i wielkie słowa.

Pamięta pan Roszkiewicz surowe, ponure a ciekawe oczy zgromadzonego tłumu. Zasłuchane chłopcy z otwartymi gębami zdawały się połykać chciwie każde słowo. Tak było wszędzie. I wszędzie jednakowo, kiedy się naczelnik pytał, kto chce iść do partji, tłum się cofał, wahał. Rozglądali się wszyscy po sobie, wzdychali. Wywołani i rozpytywani starsi kręcili i wykręcali się uniżenie i chytrze. — My ta nie wiemy, ludzie ciemne... My do wojska niezwycajni... Nie nasza chłopska rzecz... My ta jeszcze...

Wszędzie po wsiach w ponurym milczeniu wysłuchiowano rozkazów, dawano, co było trzeba, z musu, ustępując przed uzbrojoną kupą. A jak się trafiła lepsza okolica, jak się gdzieś sypnęła garść chłopów do oddziału, to albo nie starczyło broni, albo nie starczyło czasu na naukę, i marnowała się w ludziach ochota.

Wszyscy się spodziewali, że po jakimś czasie... Ale mijały miesiące i minął już dawno ten czas, kiedy mogło się jeszcze odwrócić owo szczęście. Potym szło wszystko jakoś z dnia na dzień, a potym, pomimo wszystko wierzyli ludzie w zwycięstwo — tą rozpaczliwą wymuszoną wiarą, która chce być ślepą i głuchą, nie widząc wyraźnej, już dokonanej klęski, nie słuchając głosów trzeźwiejszych, które uważano za zdradę i karano, jak za zdradę.

A dziś pan Roszkiewicz, który od samego początku i przez cały przeciąg wojny był wierzącym ślepo zagorzalcem, poczuł w sobie pustkę. Coś mu

mówiło, że za tym razem partja się już do kupy nie zbierze. Tydzień minął od wyznaczonego terminu, obeszlą we dwóch wszystkie lasy okoliczne, pytali się każdego napotkanego człowieka i dopiero dziś znajdują jakieś ślady i to niewiadomo jeszcze czyje? Na Smolarce trupy i zgłiszczą, po drodze wisielec i ta jakaś luźna kupa trzydziestu niewiadomo czyich ludzi. Nic z tego nie będzie — pomyślał i spodobał mu się taki smutny koniec. Zachciało mu się nagwałt zwyczajnego, spokojnego życia. Zdjęła go straszna pokusa cisnąc strzelbę gdzie w zboże i gnać prosto stąd do rodzinnego Sandomierza — zobaczyć okrutną pannę Gabrję. I pomimo, że porzucił oddawna wszelką nadzieję i zagłuszył już swój żal, pomimo, że neliłościwie obrażona godność własna broniła go od dalszej zgryzoty, uczuł w sercu nieprzebrany odmet najokropniejszej miłości i, co gorsza, dziwnie pewną siebie nadzieję, że za tym razem panna nietylko go nie odrzuci, ale pierwsza wyciągnie do niego oba ramiona. Do tego, który walczył tak długo i mężnie i okrył się chlubą w trzech bitwach i kilku potyczkach, który nie żałował ani życia, ani krwi, ani okropnych trudów...

Oczarował go ten obraz ich pierwszego spotkania. Zamarzył się pan Roszkiewicz i ani mu przyszło do głowy schwycić się za tę głowę i zawołać w zgrozie:

— Co ja sobie myślę? Takie myśli? Kiedy odczynna...

Długo był dla siebie surowym dzielny żołnierz.

Długo trwał w niewzruszonym męstwie, o wiele dłużej, niż niezliczeni jego towarzysze, których tyle przewinęło się przez partję — i znikło gdzieś bez śladu, nieraz nie powąchawszy nawet prochu. Ale nie wytrwał ani o chwilę dłużej, niż mu to było sądzonym.

Teraz przyszła właśnie ta chwila. Nie pytała się człowieka, czy już na niego czas, nie ostrzegła go żadnym znakiem. Przesuwała się wskazówka na jakimś liczącym wszystko zegarze i doszła nieznacznie do pewnej godziny, do pewnej minuty. I uwierzył niezłomnie pan Roszkiewicz, że to już koniec. Wydało mu się to bardzo smutnym, bardzo naturalnym i zachciało mu się gwałtownie do domu.

Nie dbał, co na to powie kolega, ale wolałby, żeby chciał tegosamego. Rażniej byłoby im we dwóch. Teraz, kiedy z wojną już koniec, kiedy zaczyna się znowu zwyczajne życie prywatne, nieznośny towarzysz wydał mu się znacznie sympatyczniejszym. Nie zdziwiło go i to. Jak pociemku, jak we śnie przeszedł pan Roszkiewicz jakąś granicę swego życia i sam tego nie spostrzegł, że stał się już innym człowiekiem.

— Zdałoby się wypocząć nieco w tej dziurze — odezwał się pan Rusiecki, kiedy chłop odszedł do koni. — Ale czy nie lepiej gnać dalej, póki droga jeszcze wolna?

— A gdzie dalej?

— Myślę, że trzaby nam chyba aż do Parczewa.

— Oho...

— Cóż my się tu dowiemy?

— Trza się będzie we wsi rozpytać.

— To swoją drogą. A swoją drogą — do wszystkich djabłów — należy się człowiekowi jakieś wytchnienie. Pięć miesięcy takiego życia! Co? Jak kolega uważa? Zameldować się w Parczewie i przeczekać w jakim dworze, póki się tu za Wierpierzem znów kupa nie zbierze. Dowiemy się też, co się w kraju dzieje. Co my wiemy? Od miesiąca żadnej pewnej wiadomości. Może się coś nadzwyczajnego stało? A może już koniec?

Pan Roszkiewicz, który przed chwilą snuł podobne plany i witał się już z ukochaną w rodzinnym mieście Sandomierzu, odrzekł ze szczerym oburzeniem:

— Kazano nam zgromadzić się w lasach Malwierzycznych, więc obowiązkiem naszym...

— Więc obowiązkiem naszym było zgromadzić się w Malwierzycznych lasach. I zgromadziliśmy się, jak kazano, wszyscy, cała partja, czyli ja i pan — z nienabitemi fuzjami, z pustymi brzuchami, bez grosza w kieszeni. I będziem tu czekać we dwóch w posłuszeństwie do sądneho dnia. Na szczęście wybawi nas pierwsza lepsza obława kozacka. Zgoda!

Pan Roszkiewicz oburzał się dalej i jednocześnie cieszył się w duchu, że kolega mówi tak rozsądnie. Spierali się półgłosem, radzili i tak dojechali do wsi.

Wieś Łębki stała na olbrzymiej polanie, ze

wszystkich stron zamkniętej lasami. Wioska była niewielka, uboga. Nie było tu ani dworu, ani kościoła. Zleźli z fury przed mizerną karczemką.

Żyd karczmarz powitał ich uniżenie. Był wystraszony, ale oczami wiercił w nieznajomych, jakby ich chciał przejąć nawskroś.

— Co wielmożne państwo każą? Może być zaraz jajecznica, może być kura w tej chwili, za godzinę.

— Dasz zaraz jajecznicę, a kura żeby była w pół godziny na stole, bo nie mamy czasu czekać. Rozumiesz?

— Rozumiem, wielmożny panie. Panowie, za przeproszeniem, pewnie wracają z polowania, ale może (ja nic nie mówię!) panowie są też przypadkiem od pana pułkownika, co jemu nazywają pan pułkownik Orczyk? Skąd panowie? Prosto z lasu?

— Gadaj, żydzie, co wiesz i nie bądź zanadto ciekawy.

— Ja nie ciekawy. Czego tu być ciekawy? Nic dobrego się nie dzieje. Ajaj... Ajaj...

— Co to za ludzie byli dzisiaj we wsi? Z której partji?

— Aj, co ja wiem? Nic nie wiem, ja ich nawet na oczy nie widział. To tu dzisiaj byli jacy ludzie? Kto panom powiedział?

Pan Rusiecki wziął żyda za ramię i potrząsnął nim dobroduszenie, aż mu zleciała i czapka i jarmałka.

— Uważajno. Nas tu przysłali na zwiady. Ga-

daj z dobrej woli, bo cię weźmiem na postronek i do lasu. Tam cię przepytają po naszymu.

Karczmarz zaczął odrazu. Śpiesząc się, połykając słowa i zachłystując się z pośpiechu, opowiadał, że pułkownik Orczyk zabity, a oddział jest w rozproszeniu. Że tu z tej strony Wieprza „nie-dobre strony“, że chłopci są zawzięci, że Orczyk był „bardzo srogi pan“ i za długo w tych stronach chodził, bo ze dwa miesiące, że „wszystko już wyjadł, koni dużo nazabierał, chłopów przez różgi puszczał“, a potem Moskale na siebie sprowadził, którzy trzy wsie niewinne spalili. Że chłopcy w całej okolicy „gałgańscy“, nawet księża nie chcą słuchać, a po rozbiciu Orczyka wszędzie jeździli komisarze od rządu („od tego prawdziwego“) i zbierali gromadę i bardzo buntowali chłopów. A ta kupa, co rano przewaliła, to była cała reszta z partji Orczyka, może ze dwudziestu — poszli w lasy Malwierzyskie, szukać jakiejś partji.

— Jakież to? O kogo się pytali? — spytał pan Rusiecki.

— O jakiegoś pana „Starsze“, czy jak.

— O pułkownika Tarszę. To znaczy o nas. Dobrze. Daleko stąd stoi wojsko?

— Aj, wojsko... Ja nic nie wiem o żadne wojsko.

— Tak? — zamierzył się pan Rusiecki.

— Co to jest? Poco bić? Zaco bić?

— Widzisz. Czemu nie chcesz gadać? — rzekł łagodnie pan Roszkiewicz.

— Ja będę panom gadać, żeby mnie Moskale

powiesili? Ajej! Ajej! Wszyscy aby na tego żyda... Ja spokojny człowiek... Ja pilnuję wyszynku... Ja nic nie wiem... Dziś mi zabrały antałek najlepszej wódki, a piwa wypili na poczekaniu całą beczkę.

— Gdzie stoi wojsko? — pytał pan Rusiecki, trzęsąc żyda za kołnierz, aż na nim trzasł chałat.

— Nie powiem o wojsko! Puść mnie waćpan... Ja się nic nie boję! Ja też rozumiem...

— Jazda do lasu... Tam cię, parchu jeden, oporządzą... No!

— Dobrze, ja pójdę do lasu! Ja już idę! Ja się nic nie boję! Co my tam będziemy grzyby zbierać? Co będzie w lesie? Nic nie będzie! Już niema żadne Starsze, ani żadne partje. Panowie są ino dwa. Ja to wiem.

— Takiś pewien, kochanku? Jak ci wsolą dwadzieścia pięć bizunów, to uwierzysz.

Ale pomimo gwałtownych giestów i oficerskiego tonu pan Rusiecki stracił całą pewność siebie.

Spostrzegł, że popełnił kardynalny błąd, zdradziwszy się przed żydem, że oni są od Tarszy.

— A ty co wiesz o Tarszy? — spytał łagodnie i puścił żyda.

— To wiem, co wszyscy wiedzą, że partja dawno rozpuszczona. To wszyscy się rozlażą na cztery strony i panowie też. Tylko źleście, panowie, drogę wybrali, trza nazad w lasy. Po gościńcach pilnują, w każdej wsi rogatka. Tu chłopcy pomocy, koni nigdzie nie dadzą, a po dworach wojsko. Tu na nic.

— Skąd ci wiadomo, że partja rozpuszczona?

— Oj, skąd mi wiadomo! Już cały tydzień, jak spokoju niema od waszych. Wyłażą z tego lasu i wyłażą, po dwóch, po trzech, po pięciu. Po nocy budzą, kołaczą w okna. Do kogo taki pójdzie? On idzie prosto do karczmy...

— No, to dawaj co jeść, tylko się zwijaj!

— Jeść? Zaraz, co panowie wolą? Jaja, kura gotowana, grzyby są, wino jest, prawdziwe węgierskie. Ale z przeproszeniem za gotówkę. Ja te kwitki to mam z parę funtów — a brały i bez kwitki ino do łba z pistoletem. Ja już mam bardzo dosyć. Ja bidny żyd. Ja potrzebuję być zapłacony.

— Głupi jesteś. My nie ciury, a szlachta. Każdy z nas ciebie kupi i z twoją karczmą i z bachorami i ze wszystkim, coś od kozaków poskupował, zrabowane po dworach, pozdzierane z zabitych...

Żyd zaperzył się i splunął.

— Chil Untajglich z kozakami nie handluje. Jaby oka nie zmrużył, żeby u mnie w komorze taki towar był. Tfu! To moje wrogi, podłe żydy, co siedzą po karczmach za Wieprzem, takie gadanie puszczały, a one są same najpierwsze szpiegi.

— Już cię tu znają. Dasz kurę gotowaną. A teraz wódki i jajecznice, tylko się zwijaj, bo nam w drogę czas.

— Ale te dubeltówki nie trza panom w drogę ze sobą brać... Kozaki po drogach się włóczą we wszystkie strony... Jabym nawet kupił obie strzelby i dobrzebym zapłacił. Mnie broń potrzebna dla te

nasze chłopcy. Oni tu wszystkie naokoło myśliwe, wszędzie lasy i mało pilnowania, bo rządowe lasy.

— Akurat. My broni na handel nie nosimy, tylko do strzelania. A kozakami nas nie strasz, bo niejednego już zakopali z naszą kulą we łbie. Ruszaj!

— To niech panowie pozwolą do alkierza.

W karczmie przed szynkwasem stało dwóch chłopów i pijanemi głosami swarzyli się o coś ze szynkarką.

Stary ślepy dziad z chłopakiem siedzieli na ławie i gryźli obwarzanki. Żyd wprowadził ich do alkierza i zamknął drzwi.

— No i co? — spytał pan Roszkiewicz.

— Pomyślmy, jak podjemy — odrzekł spokojnie pan Rusiecki. — Tymczasem aby jeść. Pędzej tam! — krzyknął, bijąc pięścią w stół.

— Ale my nie mamy ani grosza! Już chyba sprzedamy, do djabła, te strzelby. Co będziemy z niemi robić?

Pan Rusiecki zaśmiał się tylko szyderczo i z miną pogardliwą i nieprzejednaną zaczął gwizdać swoją piosenkę żołnierską. W istocie sam miał zamiar pozbycia się broni i rozmyślał nad tym, jak to uczynić, żeby wyjść z honorem a zarazem sprzedać strzelby za możliwie dobrą cenę. Zamilkli obadwaj i czekali na jedzenie, rozmyślając ponuro i obserwując się nawzajem z pod oka. Ciężko im było przyznać się do prawdziwych swoich myśli. A chociaż zwykle żywili do siebie nawzajem szczerą

podgarde, to jednak w tym momencie każdy z nich myślał, że drugi jest od niego lepszy.

W istocie nie pozostawało im nic lepszego, jak myśleć o własnym ocaleniu, tak samo, jak o tej porze czynili wszyscy ich towarzysze z pod Tarszy. Naczelnik rozpuścił oddział, bo nie było innego wyjścia. Ludzie rozpełzali się na cztery strony świata po kilkunastu, po kilku lub w pojedynkę, ciskali broń, wypruwali lampasy i wypustki z kurttek, kupowali po drodze chłopską odzież i zrzucali niebezpieczne mundury.

Napastowali wszystkie okoliczne dwory szlacheckie z groźbami lub z żebraniem o ukrycie, o konie, o bylejaką pomoc. Złorzeczyli wodzowi, przeklinali swój los, kłócili się między sobą. Radowali się najrozmaitszymi sposobami, w rozmaity sposób ginęli. Tułali się po lasach, wpadali w ręce nieprzyjaciela.

Dzielniejsi zrywali się i niewielkimi gromadkami przekradali się próbować jeszcze szczęścia w dalsze okolice ku niewiadomym oddziałom, o których coś niecoś słyszano w partji.

Pan Roszkiewicz chwycił drwiące spojrzenia kolegi i dusił się w milczącej wściekłości. Zły był na siebie, że się wygadał z tą chęcią sprzedania broni.

— Dałbyś pan nareszcie spokój z temi głupiemi minami. Tu trza radzić.

— Powiedziałem, że naprzód się muszę najeść, a potem zobaczę, co zrobimy.

— Tylko pan sobie nie wyobrażaj, że ja jestem

pod twoją komendą. Pan sobie możesz robić jedno, a ja drugie.

— No, a cóż mądrego pan zrobisz? Cóżeś wymyślił nowego prócz tego handlu własnością narodową?

Rozpoczynającą się kłótnię przerwało ukazanie się karczmarza.

— Dasz ty nareszcie jeść? — krzyknął groźnie pan Rusiecki. — Co to, kpiny? Oberwiesz, żydzie...

Żyd był wystraszony i zaczął gadać szybko, trzymając się oburącz za głowę.

— Aj, nieszczęście! Ja nie winien, ja panom mówił i perswadował. Trza uciekać. Tu zaraz trza do lasu. Ja wezmę i schowam te dubeltówki, a panowie aby stąd wyrwać! Ino aby prędzej, ino aby zaraz...

Obaj zerwali się na równe nogi.

— Wojsko?

— Aj, gorzej jak wojsko. Tfy! Co tu pytać, tu czasu szkoda na gadanie. Jest paskudne sprawe. A ja niewinien, ja mówił — kiepska okolica, ludzie gałgańskie.

— Gadaj, co i jak — rozkazał pan Rusiecki niepewnym głosem, nie chcąc za nic domyślić się, o co chodzi.

Żyd szwargotał, nagłąc i wypychając ich prawie z alkierza. Wpadła karczmarka z wrzaskiem i lamentem, mrowie bachurów czepiało się jej z płaczem, a pan Rusiecki odgrażał się komuś, krzycząc tubalnym głosem i wymachując strzelbą.

Strasliwy, bezdeny ból zdusił pana Roszkiewicza za czujące serce. Nic nie mogło być gorszego od takiego bólu. Zdawało mu się, że go przysypano żywcem w grobie, w śmiertelnej ciasnocie, gdzie się dusi i dławi ziemią. Nie może odetchnąć, ruszyć ręką ani nogą. Skołowaciła myśl nie mogła ruszyć z jakiegoś okropnego miejsca. Czuł, że umiera, i niemrawie cieszył się z tego. W głębi duszy zbierało mu się na jakieś ciężkie, kamienne spanie.

Wpatrzył się osłupiałym wzrokiem w okno, gdzie po brudnych, przepalonych szybkach tłukły się muchy, i nie zdawał się nic widzieć ani nie słyszeć nic z tego, co się naokoło niego działo.

Żyd trząsł go za ramię i krzyczał mu coś w samo ucho, ale pan Roszkiewicz ani nie spojrzał na niego, nie mogąc oderwać oczu od okna. Utonął w jakiejś zupełnej, martwej i ciemnej nicości.

Pan Rusiecki, purpurowy na twarzy, wodził dookoła wściekłymi oczami i, dusząc się z okropnej złości, wrzeszczał coś bez sensu i bez ładu, zachłystując się co słowo. Strzelbę trzymał oburącz za lufę i zionął ze siebie strasliwe groźby i przekleństwa.

— Won stąd, parchu! Co? Ja mam uciekać przed chamami? Niedoczekanie twoje... Pięćset ludzi tu przyjdzie za godzinę i śladu z was tu nie zostanie! Mnie grozić? Zobaczysz jeden z drugim. Łeb każdemu rozwale, kto przystąpi! Zamknę się tu i nie wezmą mnie żywym! Niech mnie tu spalą

razem z twoją parszywą karczmą! Judaszowa ich mać! Kainy! Bratobójce! Chamy!

Wreszcie, spojrzawszy przypadkiem na kolegę, przypomniał sobie o jego istnieniu i rzucił się na niego z obelgami.

— Co? Zamroczyło pana? Co? Już idą twoje kmiotki, zaraz tu będą. Spróbuj z nimi po swojemu. Tyś demokrata i one demokraty. Spróbuj się z nimi, może ich nawrócisz...

Żyd zrozpaczony uciekł z alkierza. Pan Rusiecki pomstował i rozbijał się po izbie, aż się ściany trzęsły. Pan Roszkiewicz wciąż patrzył w swoje okno, a z oczu mu kapąły łzy.

* * *

Już się zmierzchało, kiedy gromada z Węglówki wyruszyła z karczmy w Łebkach, prowadząc jeńców. Po długich przemowach i wynurzeniach pana Roszkiewicza, który duszę własną wykladał i pokazywał, jak na dłoni, zgromadzonemu tłumowi, który wzruszył do łez niejednego z rozwścieczonych chłopów, tłumacząc im wymownie ich chłopską krzywdę i polską sprawę i komentując manifest Rządu Narodowego, który umiał na pamięć...

Po długich, niesfornych i krzykliwych naradach chłopskich, po sprowadzeniu ciała powieszzonego, po kilkogodzinnym bezskutecznym oblężeniu pana Rusieckiego, który zaparł się w alkierzu i przez małe okienko, które wybił kolbą, ogłuszał i odurzał chłopów swoją niepomądaną i wściekłą

wymową, najstraszliwszemi groźbami i niesłychanemi obelgami...

Jechali polną drogą pod lasem, otoczeni przez zwarty tłum. Pan Rusiecki, oddawszy się nareszcie w niewolę, zażądał wszelkich względów, należnych jeńcowi.

— Jeść mi tu zaraz dawać, bo się morzyć głodem nie dam. Albo mnie zaraz tutaj jeden z drugim wieszaj, a jak nie — to twoje psie prawo więźnia politycznego uszanować. Tak rób, jakby Moskał zrobił, który od was lepszy. — Piechotę nie pójdę, bo szlachcicowi podwoda się należy wedle prawa. — Z waszym psubratem zdrajcą, wisielcem nie będę jechał na jednej furze, bo ani ja karawaniarz, ani ja jego nie wiesział.

— Nie waż się mnie wiązać, bo naprzód łeb rozwałę pierwszemu, który do mnie przystąpi z postronkiem, a potem ja się oddałem na słowo honoru, czego wy, chamy, nie rozumiecie, ale ja wam nie ucieknę z drogi, choćbyście się wszystkie porozłążyły...

I tak zaczęła się dziwna historia, ponura, niezrozumiała i dla jeńców i dla chłopów — chryja, do niczego wogóle niepodobna. Pan Roszkiewicz swoją szczerością i wylaniem przekonał i podbił wielu, do tego stopnia, że postanowiono go puścić wolno. Ale prawy chłopak uparł się dzielić los kolegi, a w głębi skolatanej duszy pragnął odpokutować za winy nieswoje i pójść na szubienicę lub na katorgę. W ciągu tego dzisiejszego nieszczęsnego dnia obrzydło mu i życie własne i cały

świat. Gdyby go tak zostawiono na wolności w tych jakichś Łebkach i gdyby pomedytował jeszcze, napewno odebrałby sobie życie.

Serdeczna agitacja jego rozjaśniła w głowach wielu chłopom i coś jakby zaczątki myśli zaczynały świtać w odezwaniach się niektórych chłopów. Ale psuł wszystko nieposkromiony i nieprzytomny ze wściekłości „ten drugi”. Własnowolnie, z uporem warjata, z ambitem i fantazją szlachecką drażnił i rozjuszał chłopów.

Groził im straszną pomstą, wypominał im zagubę Polski i kościoła katolickiego, wróżył im, że na przyszły rok będą ich gnali do cerkwi. — Popamiętajcie, chamy! — powtarzał co chwila. Radził chłopom, żeby go tu zaraz powiesili i zakopali, bo on jak się z moskiewskich rąk wywinie albo wykupi, to zbierze partję i przyjdzie w te strony i dopiero się z niemi porachuje. Szydlił, bluźnił, do oczu im skakał i byłby już oddawna sprany i skatowany okrutnie, po chłopsku, gdyby nie to, że jego wściekła furja i warjacka odwaga odurzyła chłopów, którzy poprostu nie wiedzieli, co myśleć o takim człowieku, jak z nim gadać i co z nim robić.

A pan Rusiecki istotnie wyzywał śmierć i chciał zginać. Szalał z okropnego jakiegoś potwornego wstydu. Być wziętym do niewoli przez chłopów, sojuszników Moskala, słuchać ich obelg, być zmuszonym bać się ich — chamów i ścierpieć, żeby mu kładli przed oczy tego cuchnącego trupa, żeby mu wytykali w żywe oczy wszystkie swoje krzywdy,

jakby to on był temu winien — wydało mu się taką hańbą, że mroczyło mu się w głowie.

— No i czemu mnie nie wieszacie? Boisz się jeden z drugim. Jabym się nie bał was wszystkich powywieszać...

— Nie bój się pan. Powieszają cię z urzędu. Nie minie cię — my cię ino dostawimy.

— Moskiewskie parobki!

— Tak zrobim, jak nam pan komisarz nakazywał. Tak zrobim i nie inaczej, żebyś tu pan nawet na głowie chodził...

Wreszcie pan Rusiecki zmęczył się i zamilkł. Udawał, że nie widzi i nie zna kolegi, który siedział skulony na furze, blady jak cień, z przymkniętymi oczami. Całe zachowanie się jego pan Rusiecki uważał za haniebne, tchórzliwe i niegodne żołnierza. Jego publiczne kajanie się i łzy poczytywał za dobrowolne upodlenie — mające na celu jedynie ratowanie swojej skóry.

To też, kiedy kolega uparł się dzielić jego los i ku zdumieniu chłopów wlaźł na furę, oburzyło go to do najwyższego stopnia. Był przekonany, że „wikary“ robi to tylko jemu na złość, chcąc go poniżyć, a siebie wywyżżyć tym idjotycznym swoim dobrowolnym męczeństwem.

Jechali w grobowym milczeniu, bo i chłopci, idący koło nich, milczeli ponuro. Tuż za nimi szła fura z nieboszczykiem, przykrytym płachtą. Za tą furą, jak za karawanem, dreptała, pochlipując i zcichając jeszcze lamentując, wdowa po powieszonym wraz z dziećmi. Najstarszy syn z odsło-

niętą głową, wpatrzony ponuro w ziemię, szedł bokiem koło koni i wioził ojcowskiego trupa.

Opodal, o jakie sto kroków, w luźnej i rozciągniętej gromadzie szła reszta chłopów. Niektórzy nieśli na ramionach widły, okute drągi, kilkunastu miało starożytne flinty, przewieszzone przez plecy.

Z tą bronią wybrały się chłopcy z Węglówki w pogoń za oddziałkiem, który dzisiejszego rana uprowadził Ślepaka. Natrafiwszy na onych dwóch „Polaków“ w Łebkach, poniechali pościgu i słuchali mów pana Roszkiewicza, ugadywali się z rozjuszoną panem Rusieckim, naradzali się, sprowadzali z lasu ciało powieszzonego, pili w karczmie i tak im zeszło do wieczora.

Teraz wracali ze zdobyczą, podnieceni, rozgadani. Spora część była podpita. Głuchy gwar szedł od gromady.

Sprawa wziętych do niewoli panów była już sto razy w ciągu tego dnia omówiona i ostatecznie załatwiona za ogólną zgodą. Ale w gromadzie gadano wciąż wkoło o tym samym. Rzeczy niezwykłe, które tego dnia słyszeli i widzieli, nie mogły się ułożyć w głowach. Dużo w tym wszystkim było dziwnego. Za trudno było każdą rzecz w osobności rozważyć. Ino się wszystko pomąciło i jeno od myślenia bolała ta głowa.

Ten mały był pan porządny i uczony, nie taki jak reszta, co przeciw rządowi się o coś buntują, co się ze rządem o coś biją, a chłopów prześladują i poniewierają, gdzie ino mogą. Gdyby one wszystkie takie były, to nie byłoby obrazy boskiej

i kto wie, czy nie byłoby nawet lepiej, gdyby Polaki wygrały. To grunt, że za mało takich na świecie.

Ten wielgi to dopiero prawy zbój, jakich pełno po partyjach. Żeby nie to, że mały pan go obrocił tym swoim rzewnym płakaniem, byłby wisiał, jak należało, jak ino wylazł z alkierza. Nie bał się ścierwo nic i nietylko nie żałował, jak było trza, ale owszem bluźnił i przeklinał i sam się jeszcze postronkiem odgrzązał. Prawy zbójca!

— Żle się wszycko obróciło. Wielgiego trza było obwieścić na tejsamej gałęzi, jak ino Jędrzeja my zdjęli. Małego trza było puścić precz i po krzyku. Tera nam aby kłopot. — Wielgi się wyłże, bo szelma i pyskаты, a małego skarżą, bo pokorny. — Tak je zawsze dobremu. — Puścić go! — Jak jego puścić, kiedy nie chce iść? — Z fury go zsadzić, na rozum powiedzieć, abo i przepędzić precz, niech idzie, gdzie chce. — Tera po niewczasie, niech cierpi. — Zrazu — niechby szel, a tak ino kara na nas padnie za niedostawienie do urzędu. — Będzie śledztwo, wyda się. — Sprawiedliwie gadacie. — Bajecie ino. Nas karać nikt nie będzie, bo my wierne. — A który je wierhy? — Ten wierny, co robi tak, jak komisarz nakazowali. — Nasza rzecz słuchać. Nie nasz grzech. — Najgorzej, niewiadomość, jak się to robi. Ten wielgi wciąż gadał, że nie po formie. Żeby na nas kary nie nałożyły. — Szołdatów na kwaterunek naślą. — Głupie ludzie! Będzie nam jeno podziękowanie od cesarza, a który znaczniejszy, będzie za to mental cesarski nosił do samej śmierci. — Radyby se rząd

nijak nie dał bez nas, czyli bez włoścjan. — Mental to ino honor. A ze ziemią jakże? — Komisarz obiecuje, że na jesień omentry będą po wsiach jeździć. — A ten mały nauczał, że grunty już są nadane jeszcze od kiedy — czemuście swojego nie pilnowały, powiadał. — Cygaństwo! Orczyk tyż z papiera czytał, że my niby obdarowane. W każdej wsi czytał i wszędzie rabował, konie zabierał, a niech ino który pisał albo się nie powstrzymał, to wnetki oberwał z pięćdziesiąt albo i całe sto. — Wszędzie jedno cygaństwo. Starał się jeden dla naszych, starał się drugi dla Moskala, a obu z tego ino... — Wdowikowe chłopaki uciekły ojcu do Polaków, bo ich panicz z Czarnocina pobałamucił. I co? Pobili ich obu kajs i w jakiejś bitce, ostał stary jak palec. Kto mu nagrodi? — Jakby była prawda po polskiej stronie, to takiemu grunt od razu powinien być nadany, po trzydzieści morgów najmniej na każdego syna. — Akurat! — Dostanie grunt na Sybirze, jak go zasądzą, że synów nie upilnował. — Powiadał ten mały, że i chłopcy do powstania szły z jakichsi dalszych stron. — Wiem, jakie poszły: łobuzy, pijanice, dworaki, co im się robić nie chciało. Żaden porządny nie poszedł. — Czekać, bracia! Czekać a cicho siedzieć. Nie nasza rzecz. — Czekaj — jedne wsie popalą Moskale za zemstę, drugie się spalą, jak się będóm ze sobą biły, a resztę objedzą powstańce i te same szołdaty, że będziem słomę ze strzechy drzeć i tym będziem żyły. — A co zrobicie? — Co? Najpierwsza rzecz — na dwory, ziemię brać, ziarno ze śpichrzy szla-

checkich, statki, liwentarz między siebie dzielić. — Rząd nie dopuści. — Dopusci, jeszcze pomoże. — A polski rząd? — Bida najgorsza, kiedy niewiadomo, kto rządzi. — Kto ma siłę, ten trzyma. — Mają siłę Polaki, jak kupą do wsi wchodzi, mają siłę Moskale, jak po nich przyjdą. — Jeden cię siepie za to, drugi za tamto, a ty cierp. — Wszyćko się aby na chłopie opiera, aż go do tej ziemi nosem przygina. — Nie dać się! — Nie daj się, Polak cię obije albo powiesi, a Moskale na Sybir zagonią. — Nową partyję, jak się ino we wsi pokaże, prać i Moskalów tyż prać i chłopskie rządy wszędzie ustanowić. — Czym będziesz, głupi, prał, tym cepem? Grabiami ich będziesz ku sobie nagarniał?...

Pan Roszkiewicz drgnął; coś go wyrwało z martwoty, jakby go ktoś trącił i zbudził ze snu. Obejrzał się naprawo, nalewo, obejrzał się za siebie i zaśmiał się cienkim głupowatym chichotem.

— Ha, ha... Ha ha — ha...

Chłopi, idący bokiem, spojrzeli ku niemu ponuro.

— Powrót zwycięzców! Panie kolego Rusiecki! Łupy wieziemy na tamtej furze, lud prowadzi nas w tryumfie. Komedja! Ha-ha-ha. — Pękne. Oj, jakże mi się chce śmiać. Czemu się pan nie śmiesz? Oj wesoło!

Roześmiana twarz skurczyła mu się w jednej chwili i przybrała wyraz głębokiej powagi. Pochy-

lił się do ucha kolegi i szeptał w uniesieniu, jakby oznajmiając nadzwyczajne odkrycie:

— Nie trzeba brać nic na serjo. Niema na świecie nic takiego, czego by nie przezwyciężył mądry człowiek. Wszystko, co jest, może nie być. Prawda, jakie to proste i jasne? Rozkosz nadludzka, to móc w jakiejś chwili zakpić ze wszystkiego i ze wszystkich. Znaczy to — położyć świat u swoich stóp. Wiesz pan? — szeptał tajemniczo: — jak nas dziś na noclegu zamkną gdzie w komorze, odbieram sobie życie. Mam przy sobie paradnie wyostrzony scyzoryk.

Pan Rusiecki odepchnął go od siebie, aż go o mały włos nie wyrzucił z półgrabka.

— Idź do diabła! Ty fujaro, niemrawo! Ty pokrako rodu ludzkiego...

Straszliwy był jego gniew. Albowiem w tejsamej właśnie chwili czynił on w duszy swojej to samo postanowienie: skończyć ze sobą, jak tylko się nadarzy po temu sposobność. Wyznanie kolegi oburzyło go niezmiernie. Zdawało mu się, że ktoś niepowołany wdarł się w najgłębsze tajniki jego duszy. Zdawało mu się, że jego w męce poczęty zamiar został splugawiony przez to, że na tę samą myśl wpadł jakiś pierwszy lepszy niemrawiec, pogardzany przez wszystkich chłystek, „wikary“. I zdawało mu się, że teraz już nie będzie miał siły uczynić tak, jak zamierzył. Nie będzie poprostu chciał. Już nie może chcieć. Wydadzą go chłopcy Moskalom. Jego, Rusieckiego, zwyciężą ciemne chamy...

To też ciskał się z furją na nieszczęsnego ko-

legę. Ten siedział cichuteńko, wystraszony, onie-
miały, odurzony. Ujęli się za nim chłopci.

— A zgodą tam! Zgodą, panowie ślachta!

— Znow pan brewerje wyprawiasz? Długoś
cicho siedział?

Dopieroż zaczął pan Rusiecki jechać po chłó-
pach. Znowu zaczęło się od początku. W kłótni,
wśród obelg i odgrażań wzajemnych jechali tak
w piękny wieczór lipcowy przez pachnący, już po-
ciemniały las. Lada chwila zdawało się, że pan
Rusiecki nie wytrzyma i skoczy z wozu między
chłopów z pięściami. Lada chwila groziło, że nie
wytrzymają chłopci i zwałą się nań ciżbą i rozerwą
go na sztuki. Znowu błagał i wstawiał się za ko-
legą pan Roszkiewicz i znowu był przezeń sponie-
wierany, jak pies.

Tak dojechali do wsi. W Węglówce u koło-
wrotu już czekała na nich cała wieś. Jechali wśród
tłumu ciekawych oczu, bab, dzieci, wśród wyzwisk,
pogrózek, śmiechów, wśród wrzawy, ujadania psów.

Nareszcie sołtys z największą powagą urzędową
zapisał ich nazwiska do papieru, zdjął z nich na-
wet rysopis, odprowadził obu do ciemnej komory
i uroczyście zamknął ich na kłódkę.

Za tym razem nie upominał się o nic pan Ru-
siecki. Nie wołał o światło, ani o jedzenie. Siedział
cicho. Jak niemy, jak nieobecny siedział w swoim
kącie w ciemnościach pan Roszkiewicz. Ich dusze
tonęły w mroku, w śmiertelnej ponurości.

Oto ci, żołnierzu, koniec, ot ci kres. Omijały cię
kule moskiewskie i kartacze, oszczędził los twoje
zdrowie wśród nadludzkich trudów wojennych —
oszczędził cię los i zachował na ten koniec hanieb-
ny, najsmutniejszy. Jak w obcym kraju, wśród
rozszartych wrogów jesteś tu u siebie między pol-
skimi chłopami, w ich rękę, w mocnym zaparciu,
w chłopskiej komorze. Nie tak się stało, jakieś so-
bie marzył, opuszczając dach spokojny i dom włas-
ny, idąc na wojnę o wolność, o nowe życie. Da-
wałeś ojczyźnie zdrowie i życie, niczegoś ze siebie
nie szczędził. Czemużeś nie zginął, jak poginęli
tamci bracia z szeregu, szczęśliwsi?

W komorze, w ciszy nocnej ćwierkały w ścia-
nie świerszcze. Powoli we wsi zamierało życie
i wśród nocy, w ciasnym zamknięciu tłukły się
i dusiły ich myśli ponure. Nie wiedział jeden o
drugim, co czyni, gdzie siedzi, co myśli. Nie wie-
dzieli nic o sobie.

W każdym niebezpieczeństwie, w każdej wo-
jennej potrzebie stanąłby jeden przy drugim, jak
mur. Obroniłby jeden drugiego, wsparłby, odrato-
wał, do siebieby przygarnął. Nie takby siedzieli
we dwóch w moskiewskim więzieniu w przeddzień
egzekucji.

Ale tutaj — ale w więzach chłopskich...

Nie przyszło do głowy panu Rusieckiemu, że
może w tej właśnie chwili tuż obok w ciemnoś-
ciach kolega już wydobywa swój nóż. Za chwilę
spadnie z ławy trup kolegi. Nie miał już sił mocny,
zdrowy pan Rusiecki, żeby jeszcze myśleć bodaj

o sobie. Siedział i nie myślał o niczym. Wparł oczy w ciemności i tak trwał. Było mu już wszystko jedno, jak umarłemu.

* * *

Pan Rusiecki spał kamiennym snem żołnierskim, pan Roszkiewicz wpadał w chwilowe odrętwienia, graniczące ze snem, i zrywał się gwałtownie, nieprzytomnie wysilał wzrok, żeby zrozumieć, gdzie jest i co się z nim dzieje. W zdręzionej jego głowie z trudem rodziły się i ustalały strzępy jakichś obrazów, wspomnień. Z czarnej, ponurej głębin wywlekały się poczarne, bezlitośnie gnębiące przecucia, domysły, obawy. Przemykały się i roztwierały znużone oczy, pragnęła dusza twardego, nieczującego spania, odwracała się z lękiem, ze wstrętem od stającej tuż w ciemnościach jakiejś okropności. Za chwilę dotknie go widmo plugawe i nie-miłosierne, podważy mu powieki oczu, odkryje mu czaszkę, pełną obłąkanego strachu, i powie i okaże to, co jest niezłomne, prawdziwe.

Ukazywało się na tle ciemności mętne, niepewne światło okienka. Stawała do oczu rzeczywistość, gorsza od wszystkiego. I chwiał się na nogach, zataczał się pan Roszkiewicz, padał na słomę i wił się w bólu, którego już nie mógł znieść. Jego głu-che jęki mieszały się z chrapaniem kolegi, śpiącego nieprzerwanie. Nieznośną mu była ta jego samotność wobec nieszczęścia. Dusił go ciemności nieprzebite, wołał w duszy świtu, dnia, i na myśl o tym dniu wzdrygał się z okropnej odrazy.

Ilekoć razy zrywał się tak w ciągu nocy? Ilekoć razy tracił siły i przytomność z bólu i spadał gdzieś na dno, gdzie jak obrzydliwe gady obłaziły go natychmiast majaczenia poczarne i obłąkane.

Za którymś razem, nie mogąc wytrzymać, zaczął budzić kolegę, ale śpiący mamrotał coś przez sen i chrapał dalej, a na natarczywe szarpanie zaczął przez sen wymyślać i kopać naoslep nogami. Wówczas pan Roszkiewicz szybko sięgnął do kieszeni. Ale nie miał siły otworzyć swojego noża. Ręce mu opadały, nogi ugiwały się, nóż wypadł mu z drżących palców i napróżno szukał go po ziemi, macając wokoło. Długo, rozpaczliwie pełzał po izbie, ostatkiem sił szukając czegoś w nieprze-bitych ciemnościach. Było to bowiem jakieś cudowne zratowanie wśród jakichś okropnych zawi-kłań, jakieś niesłychane szczęście, jakaś rzecz najdroższa, która jedyna została jeszcze na świecie.

Ale już nie wiedział pan Roszkiewicz i nie mógł już odgadnąć, coby to mogło być. Już nie mógł.

* * *

Pan Rusiecki obudził się z głodu. Usiadł na słomie, ziewnął, zaklął. Przypomniął sobie odrazu wszystko, co było. Przypomniął sobie zarazem, że im jeść nie dali na wieczór. Odrazu porwał go gniew i niepowstrzymana żądza awantury.

— Co wy śpicie? Roszkiewicz! — zawołał. — Śpi bestja, pokorne ciełę... — Mamrotał do siebie, myśląc, jak tu zacząć to nowe piekło — o jedze-

nie. — Sołtys psia wiara, urzędnik moskiewski... Jeszcze ja z tobą pogadam... Jeszcze ty mnie będziesz długo wspominał...

Poderwał go na równe nogi nowy atak strasznej zjadłości. Ale zanim zdążył podejść do drzwi i załomotać, rozległo się czyjeś wyraźne stukanie do okna.

— Kto tam? — krzyknął groźnie, przylepiając twarz do szybki.

— Cicho!... aby cicho! To ja jezdem, tutejsza. Uciekajcie panowie. Tera nikogo niema. Który pilnował pod oknem, zabrał się i poszedł. Zaraz wyłażta, póki nie wróci, albo inszy stójka nie przyjdzie na zmianę.

— A ty, kobito, coś za jedna?

— Ja tutejsza, ze wsi. Dawno ja czekała, aż chłopu się znudzi i pójdzie. Ino się zwijać, póki czas. Okno się na czterech gwoździach trzyma. Naprawo od okna jest siekiera popod ścianą, zmacajcie. Gwoździe namacać, poodginać, ino wnetki. Już ja was poprowadzę, gdzie trza, bez łąki ku traktowi...

Zastanowił się pan Rusiecki. Ale myślał krótko, bo znów porwała go furja.

— Bóg ci zapłać, babo, za dobrą chęć. Widać nie same psy w tej waszej Węglówce. A ja przez okno wyłazić nie będę, bo dla mnie za ciasno, chyba ten mały polezie. On się zmieści.

— Oj, panie, tu się każdy zmieści. Okno spore...

— Panie Roszkiewicz, wstawaj pan, chcesz pan drałować?

A słysząc, że kolega rusza się po izbie, a nie odpowiada, przekonał się, że uciekać też nie chce, a nie gada, bo jest widać jeszcze obrażony.

— Bóg wam zapłać jeszcze raz. Ja nie złodziej, żeby po nocy przez okno wyłazić. Ja tu w swoim prawie, a złodzieje to właśnie wasze chłopcy, co mnie tu przeciw prawu trzymają. Niedoczekanie wasze, żebym się poniżył. Nie z takim sprawą. Idź, babo, spać!

I zaczął walić we drzwi i krzyczeć na cały głos.

— Sołtys tu! Bywaj tu sam, psi synu, urzędniku cesarski...

Sołtys ukazał się natychmiast. Otworzył kłódkę i stanął na progu z wielką latarnią, w której tkwiła łojówka. Pan Rusiecki wpadł na niego odrazu z góry. Żądał jeść i światła. Zwymyślał go za niespełnianie obowiązków służbowych.

— Moskalowi się wysługujesz, a nie potrafisz. Co to my, złodzieje? My powstańcy, szlachta, my jeńce wojenne, a nie aresztanty, rozumiesz? Jak ty śmiesz tak nas traktować?

Sołtys, napastowany w ten sposób, uczynił się bardzo grzeczny. Zostawił latarnię, poszedł przynieść co jeść. Śpieszył się, nawet zapomniał zamknąć swoich więźniów. Drzwi zostały otwarte naościę.

Pan Rusiecki chodził po komorze i poglądał nieznacznie ku koledze, który siedział na słomie z łokciami, opartymi na kolanach, z twarzą ukrytą w dłoniach.

— Co? Będziem jeść... — zaczął polubownie. Ale

Roszkiewicz nic nie odpowiadał. Pan Rusiecki rad był się już pogodzić, ale, widząc niechęć ze strony kolegi, zaciął się i zamilkł.

Stanął na progu, w otwartych drzwiach. Wychodziły one na sionkę. Ze sionki naprawo widać było w dali otwarte drzwi, a przez nie gwiazdy, które już pobladły od nadchodzącego świtania.

Stał tak i wzięła go pokusa — zabrać się i pójść. Ale w tejże chwili zapłonął przykrym wewnętrznym wstydem i rozzłościł się niesłychanie. — Co za komedje?

Zaczął wołać na sołtysa. Ale żywa dusza nie pokazała się na jego krzyki. Poszedł przez sionkę, otworzył drzwi naprzeciwko. Wrócił się po latarnię, zaśwycił. Sołtys siedział pociemku na ławie pod piecem i palił fajkę. Przy nim siedziała baba. Oboje patrzeli na niego błędnie i ze strachem.

— Co to znaczy? Kazałem dawać jeść! Co tu robicie pociemku? Dla czego nie słuchasz? Dla czego, psia krew, drzwi na dwór otwarte? To ty sołtys? Cemu nie pilnujesz? Jakes się podjął łajdactwa robić, to nie udawaj porządnego! Patrzaj go — litość go wzięła. Babę mi tu nasyla, drzwi przede mną otwiera. Pluję na twoją łaskę. Nie pójdziemy stąd. Rozumiesz? Nie ruszę stąd krokiem, póki cała wieś tu nie przyjdzie, o tu, do mnie, swojego łajdactwa nie pożałuje i nas nie przeprosi. Rozumiesz, co mówię? Ze mną żartów niema! Ja się ani ciebie nie boję, ani twoich złodziejów z całej Węglówki, ani twoich braci Moskali. Wiesz, co to honor?

A 22 34

Długo się jeszcze rozbijał pan Rusiecki, długo musieli się przed nim kajać sołtysostwo. Był nieprzejednany i wymyślał srodze i całą politykę jeszcze raz wykladał i zły był na siebie za tę mocną radość, która się w nim zrodziła, i zapomniał o swoim głodzie i o koledze Roszkiewiczzu.

Odwrócił się wreszcie ku komorze i zawołał:

— Cóż tam, u diabła, czego pan jeszcze ode mnie chcesz? Wściekłeś się, czy co? Cemu tu do nas nie idziesz? No, przepraszam cię i już. Nie bądźże głupi.

— Musi mały pan przez ten czas bez okno sobie poszedł, czy co...

— Przez sień mimo nas się prześmignął, trza wołać za nim, poco ma błądzić, abo go psy opadną...

W komorze przy niewyraźnym świetle łożówki zrazu nic nie było widać. Podniósł sołtys latarnię w górę i szukali.

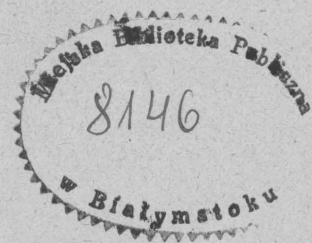
Dopiero gdzieś nisko, w jednym kącie zobaczyli, że ktoś przesuwają się szybko na kolanach i maca rękami po ziemi, czegoś zawzięcie szukając. Pan Roszkiewicz stękał z wysiłku, czołgał się i szukał, szukał.

Pan Rusiecki drgnął z przerażenia, schwytałszy jego okropne, martwe spojrzenie, w którym nie było już nic ludzkiego.



SPIS RZECZY.

	Str.
MOGIŁKA	1
ICH SYN	65
BESTJA	99
PAN I PAROBK	203
POSIEW ŚMIERCI	253
POLAKI	305



CHOYNOWSKI PIOTR.

ZDARZENIE.

Nowele.

Cena 3 Kor. 60 hal. (1 rb. 50 kop.).

„Piotr Choynowski należy do niezbyt licznej grupy młodych pisarzy, którzy przynoszą coś rzeczywiście nowego do polskiej literatury. Cechują go zwłaszcza: doskonały zmysł psychologiczny i obserwacyjny, świetność i barwność dialogów, bogactwo... języka, pewna niewybredność artystycznych środków, pewna brutalność, sekundowana natomiast śmiałością w kreśleniu sytuacji i charakterów... Po autorze „Zdarzenia” spodziewamy się jeszcze niejednej prawdy o życiu.“ („Życie“, Nr 47, 1911 r.).

„Ze szczera, głęboką radością powitać należy nowego, szczerego talentu w literaturze, tym więcej, że talentu nie tylko zdolnego do trafnych obserwacji życia, ale wspartego widoczną artystyczną kulturą i obdarzającego nas prawdziwą poezją.“ („Gazeta Poniedziałkowa“, Nr 52, 1911 r.).

„Debiut literacki w zakresie beletrystyki przyniosła książka Piotra Choynowskiego: Zdarzenie. Zbiór nowel... świadczących o talencie. Po przeczytaniu widzi się, że są one dziełem urodzonego pisarza... Piotr Choynowski jest talentem charakterystycznym. Ludzie i zdarzenia ze świata zewnętrznego przechodzą do jego literatury, nie roniąc nic ze swych cech odrębności. Jak dotąd, twórczość Choynowskiego wypływa z ostrej obserwacji, ludzie jego są prześwieceni jego pracowitą postrzegawczością. Jako temperament artystyczny, ma już dzisiaj autor *Zdarzenia* poczucie cugli. Realista, nawet naturalista z powołania, nie szafuje kolorem, nie przejasnia. Jeżeli szukać podobieństwa jakościowego, to Choynowski przypomina zacięcie Reymonta... Nie chciałbym milcząc przejść koło noweli, która nosi tytuł „Barowska“. Barowska, to postać naprawdę w większym, literackim stylu. Nie dziwiłbym się, gdyby przeszła w rangę typu. Autor umiał ją skondensować w mały pomnik. Stoi przed naszymi oczami wyrażenie, z mocnego materiału literackiego; jak w kamieniu pisany jest jej portret... Kilkanaście wierszy noweli, w których autor opisuje wejście Wandy, warte są niejednej całej noweli...“ („Museion“, Nr 1, 1912 r.).

„Nowele p. Piotra Choynowskiego świadczą o niewątpliwym talencie. Autor umie nadawać swym utworom rytm żywy, sangwiniczny. Każda nowela stanowi pewną całość, z której już nie odkroić się nie da. Niema tu tych dłużyzn i rozwlekłości, tego gawędziarstwa niepotrzebnego, na które nowelistyka polska choruje dotąd. Autor umie przemawiać

językiem odpowiednim do charakteru każdej osoby. Ma on zdolność dosadnej i bardzo związanej charakterystyki. Kiedy opisuje, czyni to z zapalem, i w słowie jego pulsuje rozkosz przeżywania tej lub owej sytuacji". („Prawda", Nr 5, 1912 r.).

„Rzadką ma sposobność krytyka literacka notować podobne debiuty, jak właśnie Choynowskiego. Mamy do czynienia z zupełnie skończonym wyrazem artyzmu, z indywidualnością nawskróś oryginalną, która rozwijać się może i rozkwitać, lecz która ton swój właściwy, swój własny, wyraźnie manifestuje... Wiele na przyszłość rokującą, i to najpiękniejsze nadzieje, cechą talentu Choynowskiego jest, żeby się tak wyrazić, jego męskość. Obcym mu jest wszelki opowieściowy liryzm, tak bujnie panoszący się na niwie wytwórczości literackiej ostatniej doby... Tę moc i zwartość, tę prężność i zdecydowanie, tę, w stopniu najwyższym konieczną konkretyzację swych widzeń posiada Choynowski w mierze bardzo znacznej... W osobie Choynowskiego przybysza literaturze naszej artysta na miarę nie przeciętną; część jego zbożna dla sztuki, bezwzględna surowość wobec własnych twórców i daleko idące wymagania dać mogą i napewno dadzą literaturze niejedną rzecz wartości wysokiej i trwałej". („Świat", Nr 2, 1912 r.).

„Owładnął tą sztuką (nowelizowania) Choynowski w wysokiej mierze. Zaklina w ciasną formę szmat życia słowem, silnym, związłym. Na 25 stronach noweli „Czyn" dał więcej życia, niż niejedyn autor w tomie obszernym, a przecież treść formy nie rozpiera, gdyż jest nowelistyczna... (Choynowski) dał już w pierwszym tomie więcej, niż zadatki; skupiony, masywny, prosty talent stworzył kilka nowel mocnych, obiecując znacznie więcej". („Krytyka", Nr 3, 1912 r.).

„Gdyby mi kto kazał dać w dwóch słowach charakterystykę p. Choynowskiego, odpowiedziałbym: „Artystycznie związany". I mniemam, że określenie takie starczy za rozbitą na szereg pochlebnych frazesów dytyramb. Bo artystyczna związłość znaczy to samo, co dar ujęcia tematu w formę najprostszą, a jednocześnie wszechstronnie go uwypuklającą; to Caran de Ache'owska maestra chwytności podobieństwa w kilku kreskach, to również dowód bogactwa twórczej fantazji, która nie lęka się kondensacji, tego najlepszego wykładnika myślowych zasobów". („Słowo", Nr 41, 1912 r.).

„P. Choynowski jest autorem jeszcze nieznanym. A jednak powinien się stać znanym, gdyż jego „Zdarzenie" jest naprawdę wydarzeniem literackim. Rzadko się spotyka młodego autora, by fizjognomję swoją tak dokładnie uwypatnił, by wypowiedział całą pierś swoję twórczą „chcąc". Już z czysto zewnętrznej strony rzecz biorąc, przy rozważaniu zasobów językowych i stylistycznych, musimy w nim podkreślić władz-

two nad formą i temperament pisarski o zdecydowanym zupełnie kształcie. Niema rodzaju nowelistycznego, którymy nie owładnął Choynowski dokładnie. I czy to będzie pokaźny psychologizujący dramat duszyczki biednego urzędnika telegraficznego Łaszczkiewicza, czy też gdy wyrysuje groteskową scenę rodzinną (Barowska) lub rozpoetyzowaną bajkę-symbol, da czytelnikowi taką narzucającą się ekspresją wizję, że na długo zapamięta jej kształty i barwę... („Literatura i sztuka", dodatek do „Nowej Gazety", Nr 7, 1912 r.).

„Umie (autor) patrzeć i podpatrywać, ale, umie też organizować swe spostrzeżenia, opracowywać materiał artystyczny czy dokumenty życia, umie zwłaszcza usuwać wszystko, co zbędne, unikając wstydliwie gadatliwości literackiej i szerokiego giestu... Niewątpliwą świeżością podpatrzeń i mocnym a przejrzystym ujęciem rzeczy podbija czytelnika... małe historie z dziecinnego pokoju. „Wyzwanie" i „Wacek" — to krótkie, migawkowe zdjęcie „z profilu". Lecz „Straszny dzień Janka" jest prawdziwie głębszym wejrzeniem w duszę chłopięcą. Autor umiał tu przedziwnie wcielić się w tryb życia wewnętrznego ośmiolatka, spojrzeć jego zalęknionymi oczami na dramat rodzinny i nieszczęście domowe". („Głos Warszawski", Nr 119, 1912 r.).

„Zdarzenie" Piotra Choynowskiego zajmie bez wątpienia jedno z przednich miejsc w naszej nowelistyce... Zalety pisarskie Choynowskiego — dar odczuwania subtelnego, przykucie uwagi czytelnika nie tylko fabułą, lecz i każdym zdaniem i wyrazem, język pełen żywotności i prostoty... („Izraelita", Nr 13, 1912 r.).

„Niezwyczajnie udany jest ten debiut młodego autora. Od pierwszych stron książki widać, że p. Choynowski jest urodzonym nowelistą... Nie zapuszcza się w długie... analizy dusz swych bohaterów, lecz... oni od początku opowiadania żyją, działają; śledzi się ich losy w żywej, zajmującej akcji... są to przeważnie obrazki... „szarej doli" ludzi dzisiejszych... Ale... bezpośrednio i prawda życiowa sprawiają, że ich dzieje... nigdy nie są nam obojętne". („Czas", Nr 303, 1912 r.).

(Vide także recenzje: „Gazeta Wieczorna", Nr 360, 1911 r.; „Przedświt", Nr 11, 1911 r.; „Kultura polska", Nr 2, 1912 r.)

DANIŁOWSKI GUSTAW.

JASKŁÓKA.

Powieść w 2 tomach, wydanie 2-gie. Cena 5 kor. 50 hal.
(2 ruble 20 kop.).

„Przecudną jest idylla miłości Orskiego z Halszką Orwidową... Nie potrzebuję przypominać cudownych opisów

przyrody w „Jaskółce”. (Na marginesach Daniłowskiego „Jaskółki”, Tadeusz Dąbrowski w „Krytyce”, NNr 1 i 2. 1908 r.).

„Jedna to z najszerzych koncepcji życia współczesnego, jakie literatura posiada; nie tylko tragedję polską przedstawia, ale załamanie się obrazu całej kultury obecnej w duszy istotnie wolnej”. („Krytyka”, Nr 3, 1909 r.).

„...Skarbnicą, próbą najwyższej koncentracji wzlotów bojującego ducha, jego wzruszeń i pragnień, pokus i zagadnień, największego napięcia utajonych mocy, z rzeczywistością niezłaczonych, nazwałbym Daniłowskiego „Jaskółkę”. („Przedświt”, Nr 5, 1908 r.).

DANIŁOWSKI GUSTAW.

W MIŁOŚCI I BOJU.

Nowele.

Cena 3 kor. 20 hal. (1 rb. 20 kop.).

„Ostatnia książka Daniłowskiego „W miłości i boju” w większym może jeszcze niż poprzednie stopniu posiada te wszystkie cechy, tak bardzo wyróżniające twórczość jego od dzieł mniej lub więcej zdolnych artystów współczesnych, zatrutych pesymizmem i porażonych bezwładem”... („Życie”, Nr 13, 1910 r.).

„Zalety talentu Daniłowskiego występują w tych nowelach na pierwszy plan, wad żadnych nie znać, filozoficzne rozumowania nie zaciemniają fabuły. Psychologia osób wyczerpana jest mistrzowsko i trafnie... Tom cały (zaopatrzonej w niezwykle piękną winietę rysunku Jana Rembowskięgo) stoi pod względem artystycznym może jeszcze wyżej, niż dotychczasowe utwory Daniłowskiego”. („Głos Narodu”, Nr 341, 1910 r.).

„Druga (nowela) z rzędu, „Paltocik”, najlepsza w całym zbiorze, to zamknięte arcydzieło bólu i nędzy emigracyjnej, cicha i prosta tragedia, tym rzewniej wstrząsająca, że zawiera w sobie osobny dramat”. („Słowo Polskie”, Nr 49, 1911 r.).

„W miłości i boju” to jedna z najcenniejszych książek, jakie się u nas pojawiły, i dla tego przeczytać ją należy”. („Gazeta wieczorna”, Nr 101, 1911 r.).

„Bohaterzy ostatniego zbioru nowel Daniłowskiego są przeważnie w wieku studenckim, stąd też młodocianość ich uczuć... Oświecenie tego życia drga... tonami czystego liryzmu samego autora i gdzie ten liryzm bezpośrednio przemawia, wywołuje trwalsze, szczere wzruszenie”. („Krytyka”, Nr 4, 1911 r.).

„Zbiorek nowel „W miłości i boju” jest dziełem pisarza pewnego siebie, pisarza o wyobraźni bujnej, posłusznej, nie

sprawiającej niespodzianek ani „in minus”, ani „in plus”... („Nowa Reforma”, Nr 183, 1911 r.).

„... (Daniłowski) przedstawia cały szereg typów ofiarnych bojowników za wolność i szczęście powszechne dla wszystkich. A że jest przytym artystą nielada, nie poprzestaje na sensacji konspiracyjno więziennej, ale kreśli nieraz karty, owiane przedziwnym urokiem prawdziwej poezji”. („Tygodnik Ilustrowany”, Nr 25, 1911 r.).

„Jest tu nowela: „Za ścianą”, w której ów pierwiastek rzewności, charakteryzujący talent Daniłowskiego, zakwitł tak cudną lilją liryzmu na podłożu głęboko przemyślanych i artystycznie ujętych duchowych powikłań, że nie mogę oprzeć się chęci opowiedzenia jej tu pokrótce... Nie pamiętam dawno beletrystycznego utworu, któryby na mnie uczynił tak silne wrażenie, jak ta nowela. Oryginalność pomysłu, poczerpnięta u czystego źródła psychologicznych zagadnień, przyobiekła się tu w kształt wysoce artystyczny, zwłaszcza w pierwszej części, którą czyta się wprost jak poemat prozą”... („Słowo”, Nr 199, 1911 r.).

„... Na właściwym sobie gruncie Daniłowski jest tam, gdzie nie tworzy akcji, ale opowiada z głębokim współczuciem o cudzym nieszczęściu, o cudzej niedoli, o cudzych uczuciach”. („Kurjer Warszawski”, Nr 191, 1911 r.).

„To jeden z najbardziej udatnych zbiorów nowel w ostatniej dobie”... („Museion”, Nr 7-8, 1911 r.).

(Vide także recenzje: „Israelita”, Nr 11, 1910 r.; „Prapór”, Nr 14, 1911 r.; „Myśl niepodległa”, Nr 159, 1911 r.; „Naprzód”, Nr 296, 1910 r.).

GALICA ANDRZEJ.

ROBERT SZPORN.

Dramat w 4-ach aktach. Cena 2 kor. 60 hal. (1 rb.).

„Andrzej Galica zmusza czytelnika do myślenia i niepokoi jego sumienie. A druga zaleta „Roberta Szporna”, to jego duże kwalifikacje sceniczne. Cztery akty tego dramatu zbudowane są każdy dla siebie zwarem, sytuacyjnie zajmująco i efektownie, postacie dramatu są wyraźne, charakterystyka jest plastyczna. Język niewyszukany, jędrny”. („Głos”, Nr 24, 1912 r.).

„Jest to dramat osnuty na tle antagonizmu między warstwą robotniczą a kapitalistami... mamy w tym utworze kilka momentów bardzo dobrze świadczących o talencie autora”. („Gazeta Wieczorna”, Nr 523, 1911 r.).

„Galica ma w pomysłach swoich rozpęd szeroki, w obserwacjach zasób postaci silnych, w literaturze bynajmniej

nie wyzyskanych. O uzdolnieniu jego scenicznym świadczy najwięcej umiejętność prowadzenia dialogu dramatycznego... Galica potrafi całe charaktery malować zapomocą słów zwiększonych, mocnych, symbolizujących ruchy duszy, w czym właśnie tajemnica dialogu dramatycznego... „Robert Szporn” ma dużo pierwiastków świeżych, przede wszystkim górników polskich, czujących i mówiących inaczej, niż górnicy sztuk obcych... Nie kopuje autor życia, ujmuje je w silnych zwrotach, nieraz aż szkicowych — to świadczy na jego korzyść... („Krytyka”, Nr 3, 1912 r.).

„Karta z dziejów ciężkiej doli górników w kopalni węgla przed wielkim ruchem strejkowym” („Kurjer Litewski”, Nr 69, 1912 r.).

„Tematem... jest strejk... Autor pragnął... dać typ kapitalisty, dyrektora kopalni węgla, zimnego ssawca pracującego proletariatu. Brutalny aferzysta dworujący z uczucia, w końcu bankrutuje ze swoją arcyburżuazyjną filozofią wyzysku... To utwór prawy i zapowiadający autora prawdziwego... Kilka scen prostych i mocnych...” („Kurjer Poranny”, Nr 194, 1912 r.).

GRUBIŃSKI WACŁAW.

MOC KAMIENNA.

(Dajmonjon-Bib. — Jerzy — Moc kamienna).

Cena 3 kor. 20 hal. (1 rb. 20 kop.).

„Świadomy środków i celu, fascynuje Grubiński swymi utworami... Grubiński z niebywałym mistrzostwem gra na nerwach i czyta się jego utwory z zapartym oddechem, jak tylko czytać można Allana Poe’go... Język bogaty i bujny. Język Grubińskiego posiada moc zaiste kamienną”. („Świat”, Nr 25, 1911 r.).

„Tom cały świadczy, że młody autor wyrąbuje sobie drogę do otwartych przestrzeni, omijając wzdurliwie zaułki ustalonych banalności”. („Prawda”, Nr 26, 1911 r.).

„Grubiński, jeżeli nie widział czegoś w rzeczywistości, widział to w halucynacji artystycznej, równie żywej, jak rzeczywistość. Taka siła widzenia pociąga za sobą ogromną siłę odczuwania. Jest też u Grubińskiego przerażająca siła emocji — dochodząca do napięcia, które może spiorunować i zabić”. („Sfinks”, Nr 7, 1911 r.).

„Grubiński ma szczerzy talent... Jeżeli można już porównywać autora „Zabawy” z którymś z malarzy pióra, to chyba z Maupassantem. Jest to nasz polski Maupassant — w miniaturze. Posiada on rzadką u nas galską wesołość zmysłów. I równocześnie wraz z swawolnym Francuzem odgaduje pod

orgią swawoli zmysłowej jakiś ciężar tragiczny”. („Wolne Słowo”, Nr 132—133, 1911 r.).

„Moc kamienna... jest przepełniona aż po same brzegi talentem dużej miary, i bije z niej, jak ze źródła, największa cnota dla artysty: nieomylność formy”. („Dziennik Petersburski”, Nr 432, 1911 r.).

„P. Grubiński udoskonalił swoją technikę. Styl jego, zawsze kolorystyczny, stał się wytworniejszym, zwroty zyskały na płynności, zachowując dawniejszą jędrność i dosadność”. („Słowo”, Nr 241, 1911 r.).

„Tematem zwykłym nowel Grubińskiego jest miłość. Miłość dla uświadomionych semi-panien, krwista, temperamentowa, wielce obiecująca. Do atletycznych czasem zapasów dochodzą jego bohaterowie obojga płci. — Dla tego też tematami jego nie można się oprzeć... (W „Mocy kamiennej”) oddanie newrozy oczekiwania zrobione jest z rozmachem pierwszorzędного pisarza...” („Museion”, Nr 9, 1911 r.).

„Tym nowym tomikiem nowel potwierdza Grubiński jeszcze bardziej swe stanowisko w literaturze: badacza dusz... widać pewne spojrzenie urodzonego analityka, drobiazgowego podpatrywacza tajemnych drgnień duszy ludzkiej, chwytającego migawkowym aparatem najdrobniejsze jej przejawy... Psychologia jest subtelna, a dosadna, uzmysławiająca, pewną kreśloną ręką... Sceneria jest zawsze dobrze i dowcipnie pomysłana... Zbiorek niniejszy należy powitać z uznaniem, są to bowiem rzeczy szczerego i niewątpliwego talentu”. („Przełom”, Nr 10—11, 1911 r.).

„Grubiński nie pisze, lecz cyzeluje, wykuwa rylcem z kamienia i trzyma czytelnika w napięciu od początku do końca... Nowele jego wyrastają wysoko ponad przeciętną nowelę, jaką spotykamy w czasopiśmie. Jakoż zdobyły sobie zasłużone uznanie w kołach literackich i powinny znaleźć się na stole każdego smakosza literackiego”. („Dziennik Poznański”, Nr 289, 1911 r.).

„W twórczości Grubińskiego zaszła zmiana... Nowy świat Grubińskiego jest szerszym od tego, jaki przedstawiał się dawniej autorowi-młodzieńcowi... (Grubiński) wynosi z mroków ducha naszego tajemnice, nasze „poczwarne głupstwa” i przepoiwszy je siłą swego talentu, stawia przed oczyma, jako czyn i prawdę: słabą możliwość czyni namacalną rzeczywistością. Utwory ostatniej doby to — zwarte konstrukcje logiczne, przepojone uczuciem... oprócz logiki są jeszcze inne ważne czynniki metody, którą zniewala Grubiński czytelnika... Jednym z najważniejszych... jest język... język ten świadczy wymownie, że Grubiński nie jest tylko wirtuozem, ale jest przede wszystkim artystą... Nowela „Moc kamienna”... może... jest pierwszym krokiem... do jakiejś nowej syntezy... któraby

łączyła rozpęd utworów młodzieńczych Grubińskiego z wyrefinowaniem ostatnich". („Nowa Gazeta", Nr 216, 1912 r.).

(Vide także recenzje: „Kurjer Lwowski", Nr 370, 1911 r.; „Dzień", Nr 194, 1911 r.; „Głos Narodu", Nr 253, 1911 r.; „Myśl niepodległa", Nr 173, 1911 r.).

WACŁAW GRUBIŃSKI.

POCAŁUNEK, UCZTA BALTAZARA I INNE NOWELE.

Wydanie drugie.

Cena 4 kor. 20 hal. (1 rb. 60 kop.).

„Grubiński wrzuca swe postacie w sytuacje, napięte silnie, niezwykle... Ten młody, przedwcześnie dojrzały sceptyk... malując piekło duszy ludzkiej, umie być obiektywnym, to jest spokojnym, wciąż panującym nad położeniem — widzimy.. Władza środkami umiejętnie, rozporządza językiem pięknym, jędrnym i tegim". („Nowa Gazeta", Nr 150, 1906 r.).

„Z tych kart nastrojowych, pisanych językiem pięknym, giętkim, miejscami bardzo prostym, a zarazem silnym i wdrażającym się w ucho słuchacza — wieje ku nam szczerza poezja". („Gazeta Polska", z dnia 21 kwietnia 1906 r.).

„W utworach Grubińskiego znać nietylko talent, ale też pracowite obrobienie szczegółów zarówno językowych, jak i rzeczowych. Talent jego najchętniej przebywa w krainie rzeczy widzialnych, i świat wyobraża mu się scenicznie... Żywość opowiadania, wyrazistość obrazów i figur nawet w wizjach, napięcie sytuacji — oto główne zalety Grubińskiego". („Świat", Nr 18, 1906 r.).

„Wacław Grubiński w ostatnim swym wydawnictwie daje czytelnikowi możność silnego emocjonowania się — jego nowele świadczą o ogromnym temperamencie twórczym autora i wielkiej umiejętności psychologicznego opracowywania wziętego za temat zjawiska, w ujmowaniu objawów psychicznych z życia prezentowanych postaci. Podchwytywanie na pół-jawnych i tajemnych właściwości ducha ludzkiego, wybitny zmysł obserwacyjny przy krwi gorącej autora sprawiają, że nowele twórcy „Pijanych" i „Buntu" czyta się z wielką przyjemnością i dużym — pożytkiem. W Grubińskim tworzy tak duch społeczny, marzący gorączkowo, rzetelnie twórczy, wzbogacający literaturę polską marzeniem artysty o szczęściu. Za ten tom Grubińskiego należy się „Książce" szczerze uznanie". („Głos", Nr 88, 1912 r.).

„W ozdobnej szacie wyszło drugie wydanie nowel jednego z bardziej utalentowanych młodych naszych pisarzy. Śród nowel tych wyróżnia się przedewszystkim „Uczta Bal-

tazara". Autor włada niepospolitą plastyką i kolorytem słowa, stylem jędrnym, dosadnym i płynnym, bujna wyobraźnia podsuwa mu fantastyczne pomysły, tragizm miłości gra dużą rolę w wielu utworach Grubińskiego. Chciano kiedyś porównać Grubińskiego do Maupassanta, zdaje mi się, że mylnie. Grubiński jest przedewszystkim sobą i w tym ujawnia się właśnie jego talent". („Kurjer litewski", Nr 69, 1912 r.).

ILLAKOWICZ I. K.

IKAROWE LOTY.

Cena 4 kor. (1 rb. 60 kop.).

„Wydany świeżo w Krakowie zbiór poezji, zatytułowanych „Ikarowe loty", stanął jednym rzutem na linii czołowej współczesnej naszej twórczości poetyckiej... Dużo siły i bogactwa kolorów w tym nowym, bujnym a ujarzmionym i już urobionym przez wysoki artyzm — talencie... Więc... jeszcze nie wyczerpane do dna tony i dźwięki liry polskiej, skoro dotknąwszy jej, ręka, przed chwilą jeszcze nieznana, dobyć może ze strun mowy poetyckiej polskiej tyle siły, wyrazu — i świeżości? Więc z mowy poetyckiej polskiej nie dobyli jeszcze wszystkiego złota ci, co, zda się, całą już chyba skalę mowy tej przebiegli, od Słowackiego do Konopnickiej? Z ogniw tego cyklu bryzgają krew i łzy". („Kurjer Warszawski", Nr 14, 1912 r.).

„Sentyment rewolucyjny w Polsce może być zadowolony. Karmiony jego ideologią zjawiał się poeta, który naprawdę jest poetą... Wśród rymów i rytmów, cennych lub obojętniejszych, zawartych w „Ikarowych lotach", przykuwa uwagę drobny poemat erotyczny: „Z księgi złudzeń". Opowieść o pięknie wspomnień zapewne, może o miłości, która zamknęła swą kartę, może o przedmiocie miłości, który zrazu był ideałem, a później rozgoryczeniem, opowieść o jakiejś śmierci, jakimś pogrzebaniu rzeczy bardzo kochanych. I gdy one są już trupem — wówczas pamięć stroi przeszłość we wszystko złoto i w całą tęczę kolorów, utrwala w marmur piękna każdą chwilę minionej radości... Teza o szczęściu marzenia przyoblekła się, jako w przykład, w przypowieść o dziejach miłości, zakończonej śmiercią kochanka. Dziesięć pieśni opowiada owe dzieje. Wynurza się z nich dusza namiętna, silna na radość i ból. Przewijają się przez nie obrazy o niecodziennej piękności, dźwięczności, zakończone w sobie, jak akord muzyczny". („Głos Warszawski", Nr 61, 1912 r.).

„Nie z wosku przeciętnej zdolności kojarzenia wyrazów w rymy mniej lub więcej udatne ulepione są skrzydła poetki... Nie roztopić się tym skrzydłom na wyżynach, nie

roztopić im się w upale wielkich zagadnień bytu i namietności wszechludzką piersią wstrząsających; jest w nich moc, która im pozwala bezpieczne kręgi w podniebiach zataczać, bo szczery, bujny, młody talent powpinał w nie pióra", („Słowo“, Nr 83, 1912 r.).

„...Zjawiskiem w zakresie naszej współczesnej poezji lirycznej jest tom p. I. K. Iłakowiczówny... W powodzi tomów i tomików... zwracają „Ikarowe loty“ uwagę nieklamą głębią uczucia i powagą tego smutku, który zwykł towarzyszyć każdej konieczności, a więc i konieczności tworzenia... Wymienione powyżej trzy cykle („Na stypie“, „Ach dokądże mam pójść z moją tęsknotą“ i „Tęsknota do życia“) odsłaniają wymownie stosunek autorki do niepokojących nas wszystkich zagadnień narodowego bytu; mimo aktualności tematu utwory te, wolne od wszelkiej tendencyjności lub moralizatorstwa, świadczą dodatnio o indywidualności artystycznej autorki, usiłującej zgodnie ze swym powołaniem przekuć każde wrażenie na motyw artystyczny“. („Goniec poniedziałkowy“, Nr 13, 1912 r.).

„Ku... dwóm odmiennym ośrodkom temperamentu oscylują zazwyczaj poszczególne uosobienia poetyckie: ku poufności lub ku giestowi. Najszcześliwszy los spotyka poezję, która łączy w sobie oba dążenia ekspresji. Pojawił się taki szczęśliwy talent. I. K. Iłakowicza: „Ikarowe loty“... Są to utwory gorące, poczęte w piersi, nawykłej do szerokiego oddechu... Jest bogata różnorodność w szarmonizowanej muzyce. Jest i harmonia muzyki z obrazowością. Co więcej, w obrazach, niekiedy prawdziwie pięknych, nie czuć nigdy sztucznej kombinacji, wizje tej poezji nawskróś są samorodne“. („Museion“, Nr 4, 1912 r.).

„Przepiękne pieśni... pełne tęsknoty do wolnego, wymarzonego życia, pełne zarazem niespokojnego smutku. W tomie tym najpiękniejszą jest „pieśń o lesie“, owym „świątynych skarbów strzegącym bohaterze“. Poezje p. Iłakowiczówny posiadają rzadki czar szczerości i siły“. („Izraelita“, Nr 20, 1912 r.).

„Zbiorek cały wydany pięknie“. („Nowa Reforma“, Nr 256, 1912 r.).

„Niewątpliwie p. I. K. Iłakowicz posiada w naturze swego talentu to „poetyczne na świat wejrzenie“, które znamionuje urodzonego poetę... Formą władą p. Iłakowicz bez zarzutu, szczęśliwie unikając tak dziś pospolitych już i łatwych łamańców rymowych. Przeciwnie, spotykamy częstokroć wiersz biały; budowa strof jest prosta, niewyszukana. Gdy mimo to poetka osiąga wrażenie niezwyklej giętkości i dźwięczności formy — jest to tym większą zasługą jej talentu“. („Krytyka“, Nr 4, 1912 r.).

(Vide recenzja: „Gazeta poniedziałkowa“, Nr 52, 1911 r.).

JAWORSKI ROMAN.

HISTORJE MANJAKÓW.

(Treść: Miał iść. — Zepsuty ornament. — Medi. — Trzecia godzina. — Bania doktora Lipka. — Amor milczący czyli o absolutnej niemożliwości, by pewien młodzian zakochał się w damie jakiegokolwiek).

Cena 4 kor. 20 hal. (1 rb. 60 kop.).

„Książka to ciekawa — albowiem miarą ciekawości książki literackiej jest przedewszystkim talent. Tutaj zaś przemawia do nas talent niewątpliwy i odrębny. Odrębność zaś znowu i miara talentu polegają na szczerości i na sile uczucia, w twórczości przejawionego“. („Naprzód“, Nr 89, 1910 r.).

„Potrzeba niemałego wysiłku, żeby tę książkę sumiennie do końca przeczytać. A szkoda, bo... w takich obrazkach, jak „Zepsuty ornament“ lub „Medi“, znajduje się koloryt, siła i dobry rysunek stanów duszy, który sercem wstrząsa“. („Przegląd Powszechny“, Nr 10, 1910 r.).

„Zbiór nowel, wybijający się ponad zwykłą produkcję literacką. Technie z nich pewna świeżość talentu, wyrażająca się zarówno oryginalnością pomysłów, jak i indywidualnym ujmowaniem przedmiotu... Niewątpliwy talent, którego już ta książka wyraznym jest świadectwem“. („Nowa Reforma“, Nr 295, 1910 r.).

„Styl p. Jaworskiego ma w sobie bardzo dużo świeżej plastyki i pięknego, przepuszczonego przez filtr ironji sentymentu... Książka jego jest jedną z tych..., które po przeczytaniu w pamięci czytelnika nie maleją, lecz rosną i przerastają same siebie, tak że gdy się do nich wróci, wywołują uczucie niedosycenia, niepokoju“. („Widnokreśli“, NNr 16 i 17, 1910 r.).

„Niezwykła książka! W powodzi nowel, szkiców, opowiadań, narzucających się współczesnemu czytelnikowi więcej sensacyjnym tytułem albo ilustracją fasadową z wyobrażeniem kobiety nagiej (koniecznie) — tak rzadko spotka się książkę, któraby zatrzymała nie tylko fabułą, ale każdym zdaniem i słowem. A taką właśnie jest książka Romana Jaworskiego“. („Słowo Polskie“, Nr 162, 1911 r.).

„Pisarzem nawskróś dzisiejszym jest autor „Historji Manjaków“... Autor należy do rzędu tych ludzi rzetelnych, którzy się nie cofają wobec zgrozy. Jego wzrok ma ostrość wizji malarzkich. Jego marzenia i obrazy mają rodzaj i charakter nastrojów beardsleyowskich, gdzie wytworne, ciche rodzaje piękna kojarzą się z potworną brzydotą ludzkich przerostów, zaników, zgarbień i wklęsnięć... („Prawda“, Nr. 14, 1911 r.).

„Styl wszystkich „Historji“ o nadzwyczaj wyteżonym tonie bolesnej humorystyki... świadczy o wielkim u autora bogactwie wyobraźni“. („Książka“, Nr 11, 1911 r.).

(Vide recenzja: „Krytyka“, Nr 3, 1911 r.).

KADEN JULJUSZ.

ZAWODY.

Nowele. — Cena 3 kor. 20 hal. (1 rb. 30 kop.).

„... Juljusz Kaden ma... cierpliwość i trwałość postanowienia. Świadome poczucie własnego talentu i wartości swej pracy pozwoliły mu dać społeczeństwu książkę o temacie na pozór zbyt już opisanym, więc mało popularnym, a talent pozwolił mu być w temacie tym na wskroś nowym, ciekawym, niespodzianym“... („Dziennik Petersburski“, Nr 555, 1912 r.).

„Kąt widzenia Kadena jest... odrębny, oryginalny, tylko temu autorowi właściwy. Znaczący to wiele — bo odrębność literackiej indywidualności. Dzięki temu wnoszą Kaden w literaturę rzeczy nowe i świeże, niektóre nawet doskonałe, jak np. „Druciarz“, „Hycel“ lub „Statysta“; ta ostatnia zwłaszcza nowela jest pierwszorzędnej wartości... Banalnego niema w tej książce nic, poczynając od założenia, a na stylu skończywszy. Wszystko jest odmienne, inne, oryginalne, świeże. Na konkluzję Kadena można się nie zgadzać, ale nie można zaprzeczyć, że one są, logicznie wyrastają ze swych przesłanek, układając się w całość, w konkretny pogląd na świat. Dziś jeszcze o tym poglądzie nie wiele da się powiedzieć, bo niewątpliwie niejedno jeszcze z niego odpadnie; kto wie jednak, czy w niedalekiej przyszłości nie będziemy mieli do czynienia z nową a poważną koncepcją życia, do której Kaden — zdaje się — jest zdolny“. („Słowo Polskie“, Nr 72, 1912 r.).

„Z wielką powagą życiową wstępuje do literatury p. Juljusz Kaden. Książka jego jest pomyślana oryginalnie. „Nowelom“ tym brak w zupełności fabuły. Żadnej intrygi, żadnej historii na temat: on i ona. Życie, uchwycone w najważniejszym swym przejawie współczesnym, w pracy ludzkiej, którą nasz świat dla olbrzymiej większości przemienił w... zawód. Podpatrzył Kaden pracę w najnormalniejszej postaci; pożera ona człowieka, zabiera mu duszę, serce, unicestwia indywidualność, zostawia typ zawodowy. Kartki psychologii zawodowej mamy, pisane przez niezwyklego obserwatora nizin“. („Krytyka“, Nr 3, 1912 r.).

„W usposobieniu artystycznym p. Kadena przebijają... wirtuozeria opisów. Opisów malarskich... Wszystkie obrazki p. Kadena powstały ze smakosztwa talentu opisowego. Po-

krywa go autor dodanym sentymentem współczucia dla krwawego trudu tych ludzi, ciężko pracujących“. („Głos Warszawski“, Nr 16, 1912 r.).

„Pisarz o niepoślednio bystrej i wnikliwej obserwacji, władający językiem nadzwyczaj kolorystycznym, co mu nie przeszkadza być jasnym, przejrzystym, zawsze doskonale myśl autora odzwierciadlającym; zasobnym w imponujące bogactwo metafor, porównań zawsze oryginalnych, prawie zawsze szczęśliwych“. („Słowo“, Nr 55, 1912 r.).

„Zdecydowane opanowanie formy, kompozycja zwarta i plastyka cechują nowele p. Kadena... Obrazek „Statysta“ najsympatyczniejszy: realizmem środków, szczerą i wierną psychiką, autor wydobyl serdeczny moment wzruszenia patryjotycznego u niezbyt zresztą uświadomionego narodowo murarza, który statystuje na przedsta wieniu „Kościuszko pod Racławicami“. Najpiękniejsze to karty książki p. Kadena... Niezaprzeczoną... zaletą książki jest ukazanie różnych zawodów w szeregu oryginalnie pomyslnych obrazków, technicznych szacunkiem dla codziennego trudu pracowitych rąk ludzkich i współczuciem dla nędzy i niedoli“. („Czas“, Nr 147, 1912 r.).

„Zawody“ — Kadena, zwracają uwagę niepospolitą plastyką słowa. W jasnych, treściwych, rzeźbionych zwrotach, obfitujących w porównaniu w drobiazgową opisowość, maluje autor ciężar pracy ludzi maluczkich, szarych, tulących się w suterren wilgoci lub bezdomnych, pochylonych nad pracą, wzgardzonych, głodnych, znużonych... Obok ludzi tych nie przechodzi autor z pobieżnym słowem współczucia, lecz nad pracą ich staje, wstrzymując czytelnika, przyglądać się jej każę, szukać pod jej znużeniem źródła myśli, nurtujących dusze szarej doli“. („Kurjer litewski“, Nr 70, 1912 r.).

„Banalności próżnobyśmy tu szukali. Wszystko w książce Kadena od założenia do stylu jest odmienne, inne, oryginalnie pomyslane... W osobie jego wyrasta na niwie naszego piśmiennictwa siła rzetelna i — duża“. („Kurjer Poznański“, Nr 100, 1912 r.).

„Aby na tle tak prostych zjawisk życia, jak te, które sobie wybrał p. Kaden za przedmiot swych obrazków... wydobyc tyle prawdy, porywającej prostotą ujęcia, trzeba mieć zmysł odczucia istotnie głębiej wnikający w życie i talent szczerzy, rozporządzający siłą artystycznych środków, którym dodaje barw i świeżości temperament młodości, bujność myśli i znaczna literacka kultura“. („Nowa Reforma“, Nr 280, 1912 r.).

„Już sam fakt, że dany utwór ukazał się pod egidą tak poważnej firmy wydawniczej, jak „Książka“ krakowska, wystarcza, aby zaciekawiał, gdy nazwisko autora mało albo wcale jest nieznanne... „Zawody“ na uwagę niewątpliwie zasługują... Cechuje je talent a wyróżnia z pośród wielu współ-

czesnych prac literackich dbałość o język... Nowele p. Kadena są zajmujące. Świadczą one o bystrym zmyśle spostrzegawczości autora i o darze wczuwania się w opisywane fakty i w opiewanych bohaterów". („Kurjer Poranny", Nr 175, 1912 r.).

KASPROWICZ JAN.

CHRYSTUS.

Poemat społeczno-religijny.

Cena w oprawie 3 kor.

„...Wielkim dziełem Kasprowicza jest poemat „Chrystus"... Utwór to wielki w założeniu — miejscami, o ile naturalizm nie przeszkadza w symbolizowaniu uczuć ogólnoludzkich i nie zgrzyta w formie — także w przeprowadzeniu"... (W. Feldman, „Współczesna Literatura Polska").

„...Miecz prokuratorski spadł na to dzieło dla jego bluźnierczego tonu, i słusznie, jeżeli bezbrzeżny smutek i nadmiar litości bluźnierstwo stanowią, a wymowa rozkrwawionego serca paszkwilem się stała". (Al. Brückner, „Dzieje literatury polskiej". Wydanie II. Tom II. Str. 422/423).

KULIKOWSKA MARCELINA.

BARWY DUSZY.

(Z portretem autorki). Cena 5 koron. (2 rb.).

„Wychodzi... ku nam z kart książki dusza, zdolna do całkowitego spalenia się na stosie ofiarnym, łaknąca piękna, sprawiedliwości i prawdy, pełna chwilami wiary w jutro, nade wszystko jednak smutna i boleśnie zadumana"... („Kurjer Warszawski", Nr 51, 1911 r.).

„Naogół noszą te wiersze piętno bolesnego przynębienia, z którego sama ich autorka zdawała sobie dobrze sprawę, pisząc w swym pamiętniku o „myśli o opuszczonych skrzydłach" i negatywnych siłach, z których czerpie swą twórczość". („Gazeta Warszawska", Nr 55, 1911 r.).

„Uderza w tym zbioru niezwykle rwanie się do życia, ton szlachetny i pewna muzyka wiersza. Kto wie, czy nożyce śmierci nie przecięły pasma niepospolitego". („Myśl niepodległa", Nr 165, 1911 r.).

„W poezjach Kulikowskiej tętni — by się tak wyrazić — imperatyw tworzenia. Myśl leci, wyrazy brzmią mocno, uczucia grają silnie. Skala ideowa i uczuciowa wcale szeroka". („Słowo", Nr 78, 1911 r.).

(Vide recenzję: „Gazeta Lwowska", 1911 r.).

KULIKOWSKA MARCELINA.

FRANIA.

Nowele. Cena 2 Kor. 60 hal. (1 rb.).

„Drobne te obrazki, pisane łatwo i potoczyscie, zawierają dużo szlachetnego uczucia i współczucia doli ludzkiej. Zasadniczym ich motywem jest smutek, tak swoisty duszy autorki, umiejacej głębiej patrzeć w życie". („Kurjer Warszawski", Nr 326, 1911 r.).

„Nowele te pisane są z prostotą i szczerem odczuciem, nie brak im przytym pewnej oryginalności w pomysle"... („Słowo Polskie", Nr 545, 1911 r.).

„Drobne nowelki, których myśl krąży bezustannie około śmierci. Świat przedstawia się autorce jako zbiorowisko nędzy, brutalstwa, bezducha, w najlepszym razie: niezrozumienia się wzajemnego. Dusza szamocąca się autorki, a wznosząca się nad swój ból, by odczuwać ból istnienia wogóle — to najwięcej ujmujące, napawa serdecznym współczuciem". („Krytyka", Nr 2, 1912 r.).

„Najbardziej uzasadnioną jednostką literacką jest tom nowel: Frania. Zasługują na uwagę zwłaszcza dwie z nich: „Francia" i „Pani Marszałkowa". Pierwsza ujmujące rzewnością odczucia niedoli sierocy, druga jest oryginalnym pomysłem, w którym czuć pragnienie uwydatnienia pewnej stylowości ducha kobiecego. Kobieta, która całe życie była piękną i pięknosc ta była całą jej istotą — w przeczuciu zgonu układa się w trumnę i każe pannie służącej zapamiętać sobie dobrze gość, ornamentację kwiatną, czyni słowem jeneralną próbę pośmiertną". („Museion", Nr 11, 1911 r.).

(Vide recenzje: „Kurjer Litewski", Nr 9, 1911 r.; „Gazeta Lwowska", 1911 r.; „Kurjer Warszawski", Nr 14, 1912 r.).

KULIKOWSKA MARCELINA.

Z DZIEJÓW DUSZY.

Pamiętnik. Cena 4 Kor. (1 rb. 60 kop.).

„Autorce nie chodziło o druk. Pisała dla siebie. I stało się dobrze. Nie mielibyśmy w przeciwnym razie w „Dziejach duszy" tej świeżości i tej bezpośredniości w wyrażeniu najintymniejszych załamań autorki. Książkę tę gorąco polecamy wszystkim czytelnikom"... („Gazeta wieczorna", Nr 439, 1911 r.).

„W spuściznie, pozostawionej po zgasłej poetce, znaleziono kilkanaście zeszytów notatek, pisanych dorywczo w różnych czasach i miejscach. Wybór ich zawarty w książce, świeżo wydanej, obejmuje lat piętnaście, od r. 1895, od czasów studenckiego życia na uniwersytecie w Gienewie, aż do czerwca 1910 roku. Ostatnie słowa, noszące datę 9 czerwca, skreślone

były zaledwie na dni kilka przed śmiercią; 19 czerwca wystrzelałem z rewolweru młoda autorka przecięła tragiczne pasmo swego żywota". („Prawda", Nr 51, 1911 r.).

„Dominujący ton współczucia dla wydziedziczonych, niekiedy przerwany zgrzytem ironji w nowelach Kulikowskiej, czyni wrażenie prawie niespodzianki, gdy je bierzemy do ręki po przeczytaniu jej pamiętnika. Osobiste zwierzenia autorki przesycone są znużeniem, pesymizmem i bezwładem duchowym: odbija się w nich, jak w tafla jeziora górskiego, gehenna bytowania na ziemi duszy, pragnącej przez całe życie zaczepić się o coś uczuciem i patrzącej co dnia na rozpyływanie się we mgłę niepochwytą, każdego porywu uczucia pod zimnym dotknięciem wiecznie czujnej, nieprzejednanej analizy mózgowej. Myśl zabija w niej uczucie co chwila — i w tym właśnie tkwi tragizm tej duszy... Piękna, smutna książka". („Kurjer Warszawski", Nr 14, 1912 r.).

„Z Dziejów duszy" to pamiętnik samobójczyny... Kulikowska żyć pragnęła, ale nie umiała brać życia „własnymi rękami". Była istotą słabą. Jej pamiętnik jest skargą... na samotność... Ton ogólny książki: zniechęcenie, apatia". („Kurjer Poranny", Nr 196, 1912 r.).

„W... szamotaniu się swoim autorka niezmiernie jest typowa dla pewnej kategorii dusz kobiecych. Zdobywa się na chwile buntu myślowego... Brak jednakowoż siły do prze-myślenia buntowniczych idei". („Krytyka", Nr 2, 1912 r.).

(Vide recenzje: „Kurjer Wileński", Nr 18, 1912 r.; „Gazeta Lwowska", 1911 r.).

KULIKOWSKA MARCELINA.

Z WĘDRÓWEK PO KRAJU.

(Kruświca. — Z zaboru pruskiego. — Kaszuby. — Zagłębie Dąbrowskie. — Śląsk Górny. — Z Warszawy).

Cena 2 kor. 60 hal. (1 rub.).

„Sympatyczna autorka... nie ogranicza się... na podaniu mniej lub więcej ścisłych danych natury ludoznawczej i społeczno politycznej, ale stara się zarazem odczuć duszę tego ludu... Autorka nietylko z uczuciem rodaczki Polki, ale i z razem z sumiennością badacza duszę ludu naszego oddaje w krótkich rozmowach z nim. A w tym tkwi główna wartość pracy pod względem etnograficznym". („Gryf", Nr 8, 1911 r.).

„Z Wędrówek po kraju" zdaje nam autorka sprawę ze swych podróży, a czyni to w sposób barwny, nie zapomina o wypukleniu żadnego z ważniejszych szczegółów, i wyciąga wnioski, oraz wypowiada sądy śmiałe i ciekawe, aczkolwiek nie na wszystkie zgodzić się można, gdyż autorka, z powodu zbytnej wrażliwości, nieraz sądzi jednostronnie. Notatki po-

dróżniczki obejmują jedynie ziemie polskie: Kruświcę, Zabór pruski, Kaszuby, Zagłębie dąbrowskie, Śląsk górny i Warszawę, i dlatego może... stają się bardzo miłą lekturą". („Gazeta Lwowska", 1911 r.).

„Mało jest w literaturze naszej książek o kraju, o ziemi naszej podzielonej, o duchu, który się po sercach ludzkich kołacza z siłą i tęsknotą pełniejszego życia, pisanych tak prosto, szczerze i zajmująco, pięknie i silnie, jak... książka M. Kulikowskiej. Słowa (jej)... mają siłę, która nie pozwala i nie chce opuszczać rąk bezzwładnie, z rezygnacją". („Przełom", Nr 10/11, 1911 r.).

(Vide recenzję: „Łan Młodzieży", Nr 152, 1911 r.).

LANGE ANTONI.

ELFRYDA.

Nowele i Fantazje.

(Widłak. — Testament. — Schadzka. — Elfryda. — Melodramat. — Pojednanie. — Rzeczywistość. — Zupa więzienna. — Bogowie).

Cena 4 kor. 20 hal. (1 rub. 60 hal.).

„Wszystkie (nowele) odznaczają się nader zręczną fabulą i zaprawione są właściwą autorowi ironją, z jaką charakteryzuje wady i przywary ludzkie". („Tygodnik Ilustrowany", Nr 20, 1912 r.).

„Doskonałe, pełne humoru nowele zamieszczał autor w zeszłorocznym „Świecie" i innych pismach. Z lekką, pozabawioną złośliwości, ironją, patrzy Lange na świat, na wesołe i smutne jego sprawy. „Elfryda", „Bogowie", „Widłak" — należą do opowiadań najlepszych w zbiorze". („Kurjer litewski", Nr 69, 1912 r.).

„Znacznie prostszym jest w ironji swojej Antoni Lange. Jego „Elfryda"... posiada miły, pozornie nawet niefrasobliwy humor. Pół serjo, pół żartobliwie, z bardzo subtelnym uśmieschem mówi Lange o ludziach, a gdy mu przyjdzie opowiadać o sobie, to isticie heinowska „Selbstironie" zabarwia nowelę". (Świat", Nr 24, 1912 r.).

„Znany powszechnie pisarz, niepospolity poeta i wybitny krytyk, Antoni Lange, puścił w świat... tom opowiadań p. t. „Elfryda". Dziwnego doznajemy wrażenia podczas czytania tych rzeczy, albowiem autor pisze tak żywo i barwnie, z taką niezwykłą plastyką i swobodą, że poprostu ulegamy złudzeniu: zdaje się nam, że na to wszystko patrzymy własnymi oczyma. Lange zdradza specjalne zamiłowanie do przedstawienia współczesnego człowieka z jego złożoną, pełną niepokoju organizacją rozgorączkowaną. Dzięki bystrej i trafnej obserwacji umie autor pochwycić w swych typach te najistotniejsze cechy, które wytwarza współczesne życie wielko-

miejskie... Antoni Lange jest nie tylko pierwszorzędnym poetą, lecz i świetnym prozaikiem... „Elfryda“ zajmie niezawodnie, dzięki swoim pierwszorzędnym zaletom, wybitne miejsce w literaturze, a zadowolić może nie tylko zwykłych pochłaniaczy beletrystycznych utworów, lecz i czytelników o bardzo wielkich wymaganiach“. („Izraelita“, Nr 21, 1912 r.).

„Lange — wykwinny poeta... — przedziwny, subtelny tłumacz i znawca poezji francuskiej, hiszpańskiej, sanskryckiej i innych... — a Lange nowelista, to dwaj inni ludzie. Inną nową twarz pokazał autor z tej książki. W nowelach tych przypomina trochę owego gawędziarza, co niezbyt już może nowe rzeczy opowiada, jednak w tak miły i bezpretensjonalny sposób, że się ich słucha chętnie“. („Gazeta wieczorna“ Nr 710, 1912 r.).

„Antoni Lange, poeta i wybitny tłumacz dzieł poetyckich z obcych literatur, nie jest nowelistą. Zebrane w niniejszej książce utwory noszą cechę swobodnych, poniekąd bezpretensjonalnych opowiadań o tym, co autor widział, co pobudziło jego humor, lub co nadawało się do ironicznego uchwycenia“. („Czas“, Nr 256, 1912 r.).

(Vide recenzja „Prawda“ Nr 31, 1912 r.).

LANGE ANTONI.

W CZWARTYM WYMIARZE.

Nowele.

Cena 4 kor. 20 hal. (1 rb. 60 kop.).

„Jak sam tytuł mówi, wszystko to są historie nadzwyczajne, niebywałe, trudne do pojęcia i niepodobne do prawdy, oparte na quasi-naukowych podstawach a czysto fantastyczne, coś w rodzaju słynnych opowieści Verne'go lub Wells'a... Opowiadania te... robią wrażenie, jakgdyby wytwórni poeta lubił bawić się, w wolnych od tworzenia pięknych poematów i bajecznych tłumaczeń z sanskrytu chwilach, rzucając na niechęć szklanych różnobarwnych kulek“. („Głos Narodu“, Nr 160, 1912 r.).

„Antoni Lange liryk — parnasista, poeta o wyszukanej formie, organizacja chłodna, wyrafinowania pełna, twórca, w którym intelekt zdławił instynkt — publikuje dwa tomy krótkich prozaicznych... utworów... Istotna cecha twórcy „Porzeczbu Shelleya“ — intelektualizm — pozostała niezmienną. Zbiór „W czwartym wymiarze“ konstatuje w Langem olbrzymi rozwój fantazjowania, wielką umiejętność konstruowania fantastycznych faktów... Inne momenty, zaciekawiające w utworach a względnie w autorze nowe, to pewne tony humoru i lekkich, mądrych, satyrycznych uśmiechów“. („Prawda“ Nr 31, 1912 r.).

MARKOWSKA MARJA.

MELODJE ŚMIERCI.

Cena 1 rubel.

„Lubię poezję p. Markowskiej. Wykwint duszy i rzewność tonu każą wpatrzeć się w smętne ich wnętrza... Wiersz „wzdyć-em ci służył“ przypomina okres złoty naszego piśmiennictwa. Archaizm pieści ucho, olśniewa, bo kto ciągłość kultury naszej może sobie odtworzyć z wszystkimi jej zaletami i wadami, ten, jak słodkie chwile dzieciństwa, pamięta mocną gwarę Reya, podniosłość Kochanowskiego, namaszczenie Skar-gi“. („Prawda“, Nr 3, 1910 r.).

„Skargę... nabrzmiałą istotnym, nieklamany bólem, który z głębszych płynie źródeł, przyniosła z sobą świeżo p. Marja Markowska... Wczytując się w te dźwięczne, istotnie melodyjne, przepojone szczerem uczuciem strofy, w których spowiada się dusza poetki ze swojej niemocy, z tęsknot swoich, z gorczy, którą wypila, uczymy się ją rozumieć... Tak śpiewa pokolenie, które przeżyło rewolucję ostatnią, opaliło sobie skrzydła w jej ogniu...“ („Kurjer Warszawski“, Nr 109, 1910 r.).

(Vide recenzję: „Myśl Niepodległa“, Nr 127, 1910 r.).

NALEPIŃSKI TADEUSZ.

CHRZEST.

Fantazja polska. Cena 4 kor. (1 rb. 60 kop.).

„...Wiersz płynie śpiewnie, rymy dzwonią, jak perły, rytm łka, jak skarga jaskółki. Nigdzie zgrzytu, nigdzie dysproporcji lub załamania się linii...“ („Myśl Niepodległa“, Nr 135, 1910 r.).

„Jakie... widzeń tych bogactwo! Jakie rytmów tych tempo! Jak każde z nich, wiotkie nieraz i bezcielesne, krwią tętni żywą!... Wysokich lotów potrzebują skrzydła (Nalepińskiego), a jeśli schylą się, to nigdy nad bagnem, lecz nad otchłanią, po której również można latać i podobnie jak w podniebiach dostrzegać tajemnice...“ („Krytyka“, Nr 6, 1910 r.).

„...Poemat ...marzycielskiego nastroju... kunsztownie zbudowane... oktawy odznaczają się zwartą siłą słowa, wyrazistą rytmiką, bogatą harmonią i obfitują w szczęśliwe zwroty, mocne, dobitne tony“. („Książka“, Nr 9, 1910 r.).

„Dopatruję się w tym poemacie młodzieńczym... bardzo ciekawej i poważnej zagadki wielkiego talentu poetyckiego. Tę przyszłość rozwiąże. Obyż jak najpomysłniej!“ („Kurjer Warszawski“, Nr 286, 1910 r.).

„Całość poematu, przybranego w szatę dźwięcznych i mocnych oktav, mimo pozornej rozbieżności poszczególnych części, sprawia głębokie i przejmujące wrażenie“. („Tygodnik ilustrowany“, Nr 2, 1911 r.).

(Vide recenzję: „Naprzód“, Nr 89, 1910 r.).

ORKAN WŁADYSŁAW.

DRZEWIEJ.

Powieść. (Winiety i okładka rysunku Wojciecha Jastrzębowskiego.
Ryciny K. Młodzianowskięgo).

Cena 6 kor. 80 hal. (2 rb. 60 kop.).

„Literatura polska wzbogaciła się o utwór, mający mnóstwo cech arcydzieła... Utwór — logiczny wyraz dotychczasowego rozwoju poety... Posuwaniem się w kraj marzeń jest każdy dalszy utwór Orkana. Sercem zawsze zostaje „przy tej smutnej ziemi“, duszą twórczą ją przerasta... Historyczne przechodzi w wieczyste... Droga... wysiłków pełna zbożnych, ku coraz wyższemu dążąc szczytom, zaprowadziła do epopei. Działo się to ongi — „drzewiej“ — w ojczyźnie poety... Ukochane Orkana Roztoki lasem prawie nietkniętym były; wirchy i ubocza jak nieprzejrzane kołysały się morze wierzchołkami ciemnymi — w głębiny zaś tych borów wniła się dusza poety... w świat baśni... Cztery postacie, po homerowski proste i surowe. Pierwsze osiedle ludzkie na skraju lasu, w nim biały, jak gołąb ojciec, dwaj synowie i córka. Syn jeden — Prokop — jakiś z prawniku Wyrwidąb, mocarz groźny, który wziął się za bary z lasem i zwierzem, aby je poddać panowaniu człowieka; drugi Danjel, pasterz górski, w którego głowie świat się troi i stroi cudownymi snami fantazji pierwotnej; między nimi siostra — jedyna pokąd wzrok młodych sięgnie — Ewa... Tragiedja nieuchronna... Najpiękniejsze karty... jakie wogóle w języku polskim napisano o odbiciu się natury w umyśle pierwotnego słowianina“. („Krytyka“, Nr 6, 1912 r.).

„Potężny to poemat prapierwotnej siły... Sen skomplikowanego i zagmatwanego człowieka współczesnego o cudownej prostocie bytu. Wzdychanie z głębi piersi schorzałej o moc olbrzymów, zmagających się z lasem, z dzikim zwierzem“. („Świat“, Nr 22, 1912 r.).

„Orkana „Drzewiej“ duszę utęsknioną niesie w legendarny świat, gdy ta ziemia... pod gęstwiną głowic i koron drzewnych była jakoby dno morskie: życia i żywiny pełna... Kompozycja powieści jest zwarta, jednolita; psychologia konsekwentna; ludzie żywi — i co więcej — bliżej, mimo pozorną dal czasu... Język świeży, nowy... zawsze forma odpowiada treści...“ („Wisła“, Nr 11, 1912 r.).

„(W najnowszej powieści Orkana) jest... umiłowanie mocy i potęgi, a do tej idei, promieniającej wielkością, nagina się język autora dosadny, twardy w powiedzeniach — i postacie, zarysowane na miarę bohaterów klasycznych — i akcja powieści jednolita, zwarta, prosta w koncepcji... Są momenty, w których powieść rośnie na wysoką miarę poematu epickiego prozą“. („Gazeta lwowska“, Nr 141, 1912 r.).

„Styl („Drzewiej“) ma krzepkość kamienia... Akcja powieści zarysowana jakby rylcem, piszącym po granitach... Spiżowe dźwięki... opisują przedziwnie puszcę... zmieniają się niekiedy w grzmoty i pioruny... lub szemrzą w przycichnięciu, jak deszcz rześisty... Właściwie każda stronica jest po mistrzowski napisana... „Drzewiej“ należy czytać kilkakrotnie i wciąż od nowa“. („Głos Narodu“, Nr 129, 1912 r.).

„Udało się autorowi odtworzyć w pełnej krasie tę odwieczną puszcę, te nieprzebyte pra-bory z ich nieokiełznanym przez człowieka życiem, z ich czarami, tajemnicami dnia i nocy, z mnóstwem legendarnych bóstw leśnych... („Drzewiej“) stanowi... niecodzienne zjawisko w piśmiennictwie bieżącej doby“. („Czas“, Nr z 28 czerwca 1912 r.).

„Dzieło, w którym (Orkan) dobiegając pełni męskiej twórczości, złożył... zapewne wszystko, co ma najlepszego... Potęga i barwność słowa... siła wyobraźni... zdrowy i.. jędrny temperament... prawdziwe z bożej łaski tchnienie poezji... oto znamiona najnowszej książki Orkana... Jeden z najwybitniejszych i najciekawszych utworów doby współczesnej“. („Słowo Polskie“, Nr 321, 1912 r.).

„Książka ta porusza i upaja — nie można się od niej oderwać. Zachwyca nie tylko wspaniałość i siła obrazów, ale i język... Język ten to jak pieśń ziemi, kiedy się do niej przyłgnie i do piersi pramacierzy przyłoży ucho“. („Gazeta Wieczorna“, Nr 710, 1912 r.).

ORKAN WŁADYSŁAW.

HERKULES NOWOŻYTNY I INNE WESOŁE RZECZY.

(Treść: Nad moją duszą żalobnicą. — Herkules Nowożytny. — Opowieść o planetniku. — O Wojtku, którego na Szczepana przekreślił. — Lis. — Przykry moment. — Jędrzej Baja i powieściopisarz. — Jak Jędrrek Sklarz po Włochach jeździł).

Cena 2 kor. (90 kop.).

„Herkules Nowożytny zawiera utwory humoru, przesianego przez ból serdeczny...“ (Wilhelm Feldman „Współczesna literatura polska“).

„Okazuje się..., że Orkan umie spoglądać na życie i świat z tego punktu widzenia, z którego one śmiesznymi wydać

się mogą, dostrzega ich komiczną stronę, gdyż widzi częstą, a naiwną sprzeczność między istotną treścią czynów, a ich uświadamianiem sobie, ich oceną moralną, między zamiarami a ich urzeczywistnieniem. Co więcej, autor umie się zdobyć nawet na swobodny i pogodny humor. („Jak Jędrak Sklarz po Włochach jeździł“). Samo przez się jednak rozumie się, że podstawowym tonem jest nie pogoda, lecz ból serdeczny“. (A. Drogoszewski, „Książka“, Nr 10, 1906 r.).

ORKAN WŁADYSŁAW.

NAD URWISKIEM.

Wydanie drugie z dodatkiem „Listów ze wsi“.

(ZBIÓR NOWEL. Treść: Chłop na łany wyszedł z kosą. — Nad Urwiskiem I. — Wilja. — Na Godnie Święta. — Bazię. — Wesoły dzień. — Piekiełko. — Błażkowa Łysina. — Niedowiarek. — Nad Urwiskiem II. — Po ugorach. — Z krainy Górców. — Tę krainę kęp. — Juzyna. — Miałem raz chwilę. — Przekleństwo. — O ziemi, o nędzy. — Po omaku. — Jasna polana. — Po ugorach i po szarych łąkach zbóż. — Noc. — Listy ze wsi).

Cena 3 kor. (1 rubel 20 kop.).

„Władysław Orkan wyszedł z ludu i sercem wśród ludu żyje. Wykształcenie nie przerwało nici uczucia, łączącej go ze środowiskiem ojczystym. Stał się śpiewakiem tego piekła nędzy chłopskiej, w którym przyszedł na świat... Beznadziejność spętała mu ducha i zaszklila źrenice, jak starym gazdom, których twarze tak pysznie maluje“. („Wiedza“, Nr 21, 1910 r.).

„Życie wsi, dusza chłopca, jego troski codzienne, jego zwyczaje odwieczne, jego miłość ziemi i najgłębsze uczucia i myśli — oto treść tej ciekawej książki“. („Kultura Polska“, Nr 7, 1910 r.).

ORKAN WŁADYSŁAW.

OFIARA.

Fragment w 3 aktach z roku 1846. Cena 1 kor. 50 hal. (75 kop.).

Krwawy obraz z dziejów okropnej rzezi tarnowskiej. Ponury dramat, rozgrywający się pomiędzy dwoma światami, obcemi sobie, wzajemnie się nie mogącymi zrozumieć. Z jednej strony porywy bohaterstwa, zrodzonego w duszach młodzieży, pełnych idealizmu i samozaparcia się — z drugiej — głuchy mur ciemnoty ludu, pomnającego krzywdy odwieczne, a podszezwianego przeciwko niosącemu mu wyzwolenie przez siły, wrogie jemu tak samo, jak i tamtym. Całość wywołuje wstrząsające wrażenie.

ORKAN WŁADYSŁAW.

WINA I KARA.

Tragedja w 3 aktach. Cena 2 kor. (90 kop.).

„Zupełnie... świadomym, dojrzałym dziełem artystycznym jest „Wina i Kara“. Poeta odrazu stwarza tu swój świat... W „Winie i Karze“ fatalistyczny, wyroczny charakter tragedji starożytnej połączony jest przedziwnie z chrześcijańską ideą odkupienia oraz z nawskroś współczesną ironją moralną. Dawnej miękkości Orkana niema już w „Winie i Karze“ prawie ani śladu... Najgłębszą treścią twórczości Orkana jest zagadnienie krzywdy i cierpienia... W „Winie i Karze“ spojrzał im w twarz zimnym, silnym, niezmaconym wzrokiem. Teraz dopiero rozpoczyna on więc może twórczości swojej wiek męski“. (Jan Sten, „Krytyka“, Nr 10, 1905 r.).

ORKAN WŁADYSŁAW.

Z MARTWEJ ROZTOKI.

Poezje. Z portretem autora.

Cena 5 kor. (2 ruble).

„Książka ta, to jak rozelkany wichurą wieczór jesienny Smutek jest głęboki i szczerzy — i tym bardziej zaraża. I ta mowa — napoły staropolska, dawno zapomnianymi wyrażeniami dzwoniąca — napoły górska. Przedziwna, osobna zupełnie — taka — Orkanowska“. („Gazeta Wieczorna“, Nr 710, 1912 r.).

„Smutek... i beznadzieja — to wyraz smętu całego pokolenia, co w martwocie przeżywa swe niesławne „dziś“... Ogółem „Z martwej roztoki“ ujmując swą niezmierną skromnością i szczerością“. („Głos Narodu“, Nr 129, 1912 r.).

„Cechą twórczości Orkana jest dzika, chropawa, ponura kamienność w tatrzańskich zawodzących wirachach i tym silna... Liryki te cechuje język mocny, zwarty, nawrotami głębokich refrenów obramiony, tajemniczy pomrokami elipsisów, o rytmicie nieprzewidzianej dygotliwej jak górski potok, o wabliwych echach baśniowych zwrotów, o relikwjach archaizmów. Duszą liryki Orkana... smutek skalistych, płonących pustkowi“. („Nowa Gazeta“, Nr 319, 1912 r.).

ROGOSZÓWNA ZOFJA.

DZIECINNY DWÓR.

Cena 3 kor. 60 hal. (1 rb. 50 kop.).

„Wśród długiego szeregu autorek, piszących dla dzieci, p. Rogoszówna zwróciła na siebie uwagę, jako autorka, obda-

rzona w tym względzie niepowszednim powołaniem pisarskim. „Dziecinny dwór“ jest istotnie perełką w powodzi banalnej produkcji wydawnictw z tej dziedziny, gdyż nie moralizując, daje zajmującą powieściową fabułę, żywy styl obrazowy i na każdym kroku wykazuje znajomość psychologii dzieci. Obok „Piskląt“ i popularnej bajki „O gdakaczu i gdakuli“, „Dziecinny dwór“ daje całą pełnię rozkosznych wzruszeń młodym czytelnikom“. („Nowa Reforma“, Nr 585, 1911 r.).

„Dziecinny dwór“ daje szereg malowniczych, pełnych głębokiej treści obrazów z życia dziecięcego na tle stosunków dworu wiejskiego“. („Naprzód“, Nr 283, 1911 r.).

ROGOSZÓWNA ZOFJA.

PISKŁĘTA.

(ZBIÓR NOWEL: Jureczek. — Jak sobie Jędrus „tiutkę“ znalazł. — Jaki „odpust“ zrobił Jędrus mamie, a jaki mama Jędrusiowi. — Jak się to Jędrus opiekował Marysią. — Jaką naukę dał tiutce Jędrus. — Hалуśka).

Wydanie drugie. Cena 2 kor. 60 hal. (1 rubel).

„Piskłęta“ Rogoszówny wprowadzają nas w świat... odczuć i wrażeń dziecięcych, podpatrzonych żywem, zrozumianych doskonale i przeniesionych odrazu na papier rzutem śmiałym, lekkim, zdradzającym nieomyślne drgnienie talentu... wszystko to staje nam przed oczyma, naszkicowane zaledwo, ale silnymi, pewnymi, utrwalającymi się odrazu w wyobraźni rysami. To jest talent“. („Słowo Polskie“, Nr 562, 1910 r.).

„W Polsce nikt jeszcze z takim odczuciem nie mówił o duszy dziecięcej. I nikt nie mówił o niej z takim artystycznym umiarkowaniem... „Piskłęta“ zasługują na baczną uwagę. Jest to dzieło młodego, szczerego i naprawdę dzielnego talentu“. („Nowa Reforma“, Nr 574, 1910 r.).

„A jeszcze co wam radzę dobrze wysłuchać — to „Piskłęta“ Rogoszówny. Bo tam jest jedna mała dziewczynka, Hалуśka, co mówi takim słodkim dziecięcym językiem, że człowiekowi aż rozkosznie się robi na sercu...“ („Wolne Słowo“, Nr 1, 1911 r.).

„W autorce „Piskląt“ witamy nowy talent. Tak wdzięcznych, tak pełnych powabu utworów, jak te nowele o niemowlętach i dzieciach, „ledwie od ziemi dorosłych“, niewiele posiadamy w naszej literaturze nadobnej...“ („Świat“, Nr 3, 1911 r.).

„Prawdziwe uczucie radości przejmują krytyka, gdy, po raz pierwszy biorąc do ręki książkę wstępującego na widownię autora — spotka się z poważną kulturą artystyczną i szczerem talentem. Niecodzienna to radość. Obie książki

Rogoszówny są z tych, które się odczytuje zawsze z upodobaniem“. („Gazeta Warszawska“, Nr 65, 1911 r.).

„Sądzę, że w „Piskłętach“ przybyło naszej literaturze dziecięcej niepospolite urokiem dziełko“. („Prawda“, Nr 18, 1911 r.).

„Zdarzają się palce tak subtelne i zręczne, że z kłębaka tych pajęczych zawikłań pomiędzy duszą dziecka a jego otoczeniem wypłatają tęczową nitkę porozumienia, a jeśli takie palce ujmą pióro, wtedy literaturze przybywa pisarz dziecięcy z Bożej łaski. Mniemam, iż nie omylił się, witając go w osobie p. Zofji Rogoszówny, której niewielki zbiór nowel, zatytułowany „Piskłęta“, świeżo przeczytałem.“ („Słowo“, Nr 164, 1911 r.).

„Z miłością i pieśczętą pochyla się autorka nad młodą duszyczką i ukazuje nam dziwy, prawdziwe dziwy. Jakież? A weź, Czytelniku, książkę do ręki, a mogę Cię zapewnić, że połkniesz ją jednym tchem, i nieraz wracać do niej będziesz... Gdy szukam myśla, kto potrafił w taki sposób, jak autorka, zbliżyć się do duszy dziecięcej, wydaje mi się, że poszukiwania takie mogą być próżne. „Piskłęta“ — to jedna z najpiękniejszych książek, jakie się ukazały w ostatnich kilku latach“. („Książka“, Nr 5, 1912 r.).

(Vide recenzje: „Naprzód“, Nr 283, 1911 r.; „Kurier Lwowski“, Nr 588, 1910 r.; „Myśl niepodległa“, Nr 156, 1910 r.).

RYGIER-NAŁKOWSKA ZOFJA.

KOBIETY.

Powieść. Wydanie drugie.

Cena 4 kor. 20 hal. (1 rb. 60 kop.).

„Musimy pamiętać, że w tej szczególnej powieści rozsiadano sporo pierwszorzędnego piękna. Druga część Pieśni Miłości, zimna w treści, lśniąco ładną formą, czaruje samym pomysłem. A w Lodowych Polach, wszędzie, gdzie autorka nie boi się uczucia i gdzie nie przykłada swej bohaterce pochlebiającego lustra, imponuje sposobem ujęcia przedmiotu, czujnością poetką i kunsztowną prozą“. („Nowa Gazeta“, dnia 1 lipca 1906 r.).

„Powieść, mająca chwilami bezpośredniość pamiętnika, to z ogromną wnikliwością psychologiczną i artystyczną brawurą nakreślona autoanaliza kobiety, która dawno prześniła dobie, kiedy miłość była jedynym pragnieniem i zdarzeniem jej życia, a przekroczyła też ową naiwną fazę społecznikostwa, gdy formułą ekonomiczną rozwiązywano wszystkie problemy, leczono cierpienia duszy i ciała...“ („Krytyka“, zeszyt VIII—IX, 1906 r.).

„Młodość, świeżość doświadczenia i pewnego rodzaju

inteligentny entuzjazm — oto, co stanowi urok tej książki... pisana mocnym i zwięzłym językiem i zapowiadająca duży talent pisarski. Jedno z lepszych zwierciadeł współczesnego upadku i rozbicia jednostki. Rzeczą nową — przynajmniej w literaturze polskiej — jest traktowanie kobiety, jako istoty całkiem równej mężczyźnie". („Przegląd Społeczny", Nr 31, 1906 r.).

(Vide także recenzje: „Przegląd bibliograficzny", Nr 6—7, 1906 r.; Dział „Beletrystyki" w kalendarzu Ungra, 1907 r.; „Świat", Nr 3, 1907 r.; „Głos Narodu", Nr 151, 1912 r.; „Społeczeństwo", Nr 49, 1909 r.).

RYGIER-NAŁKOWSKA ZOFJA.

NARCYZA.

Powieść.

Cena 5 koron (2 ruble).

„Narcyza" p. Rygier-Nałkowskiej, to rzecz zakreślona na dużą miarę. Na trzystu kilkudziesięciu stronach autorka przeprowadza nas przez tajniki duszy kobiecej, duszy niecodziennej wcale, obdarzonej ogromną skalą wrażliwości i wielką inteligencją, posiadającej przytym to, co się nazywa charakterem, i osadzonej w ciele pięknym, młodym, pończym, którego powaby czujemy nieledwie z samych kart powieści, z zapachu słów jej własnych, z wdzięku mimowolnego, ożywającego każdą scenę, w której ona występuje... P. Nałkowska ma talent wybitny; jest to niewątpliwie wśród piszących współcześnie kobiet jedna z najzdolniejszych". („Słowo Polskie", Nr 562, 1910 r.).

„Z zajęciem można śledzić rozwój talentu Z. Rygier-Nałkowskiej. Coraz to większe opanowanie środków artystycznych, coraz to większy zakres obserwacji życiowej. Od przeżyć czysto kobiecych przechodzi do coraz to ogólniejszych, coraz to głębszych. „Narcyza" nie jest tylko reprezentantką pewnego typu kobiecego. Wciela ona zagadnienia dobrego i złego, czynu i ofiary, w stosunku do jednostki i subiektywnych jej przeżyć". („Świat", Nr 9, 1911 r.).

„Narcyza jest typem bardzo prawdziwym i bardzo czystym, a jako zamierzenie literackie jest niepospolitą próbą wyidealizowania oschłego charakteru". („Prawda", Nr 10, 1911 r.).

„Najnowszy utwór „Narcyza" znamionuje znaczny postęp pod względem literackim". („Tygodnik Ilustr.", Nr 22, 1911 r.).

„Że już w paru miesiącach okazało się potrzebnym drugie wydanie „Narcyzy", to mnie wcale nie dziwi. Jako lektura przewyższa ona poprzednie powieści pani Nałkow-

skiej, jako dzieło sztuki także. Tam mieliśmy zbyt wyraźne, luźne urywki z pamiętnika autorki, skrawki liryczne i krajobrazowe, związane od biedy w całość, tu pojawia się po raz pierwszy kompozycja. Zarysowują się trzy wymiary: szerz, dal i głębia". („Nowa Reforma", Nr 262, 1911 r.).

„Twórczość Nałkowskiej należy do najbardziej fascynujących w naszej literaturze". („Slov. Przechled", Nr 7-9, 1911 r.).

„Jeden z lepszych, jeżeli nie najlepszy utwór tej autorki". („Przedświt", Nr 7-8, 1911 r.).

„Autorka przeprowadza swoją bohaterkę przez cały szereg sytuacji ciekawych i kreślonych ze zniewalającym talentem, wiąże ją z całym szeregiem figur silnie i wyraźnie postawionych... W sposobie opracowywania materiału przebłykuje czasami tu sztuczność i nienaturalność, jakkolwiek na ogół wszystko tu przewycięża dojrzały, świadomy swych środków, oryginalny talent". („Książka", Nr 9, 1911 r.).

„Narcyza" tłumaczy nam, iż nie posiadamy właściwej kwalifikacji czynów. Jednakowe czyny mogą być raz dobre, drugi raz złe — zależnie od pobudek, które je wywołały. W tym odwołaniu się do innego, niż zwyczajnie przyjęte kryterium sądu, tkwi znaczenie bojowe „Narcyzy". („Krytyka", Nr 2, 1911 r.).

„Popularność Rygier-Nałkowskiej pośród młodzieży polskiej, zwłaszcza żeńskiej, szybko wzrasta. Utwory jej poświęcone są analizie duszy kobiecej. Zadanie to wypełnia ona świetnie... Język jej pod względem piękności nie ustępuje językowi Żeromskiego i Przybyszewskiego. Jest ona rzeczniczką wolnej miłości. W większości utworów zaciekawia ją problem konfliktu między intelektem i instynktem. W najnowszej powieści „Narcyza". Rygier-Nałkowska dochodzi do wniosku że „szczerzy i prawdziwy" jest tylko instynkt i nim tylko kierować się należy". („Sowremienijj Mir", Nr 4, 1912 r.).

(Vide recenzję: „Wolne Słowo", Nr 119, 1911 r.).

SIEROSZEWSKI WACŁAW.

BAJKA O ŻELAZNYM WILKU.

(Z 14 ilustracjami kolorowymi i rycinami J. Rembowskiiego. W ozdobnej oprawie).

Cena 10 Koron (4 ruble).

„Bajka o żelaznym wilku" jest jedną z tych książek, która pozostanie na długi okres trwałym i wartościowym nabytkiem literatury dla młodzieży...". („Nowa Reforma", Nr 579, 1911 r.).

„Zawsze ogromnie wytworna spółka wydawnicza „Książka", z jedną tylko nowością gwiazdkową wystąpiła w tym

roku. „Bajka o żelaznym wilku” Wacława Sieroszewskiego, to stare podanie ludowe, krążące w opowiadaniach nianiek po wszystkich dziecięcych pokoikach, przeobraziło się pod piórem świetnego pisarza w alegorię społeczną bardzo przejrzystą dla umysłów dojrzałych... Typograficzna strona tej książki jest wprost przepyszna, a ilustracje Rembowskiego rwą oczy cudną grą barw i finezją rysunku. Tak wspaniale wydane dzieło nie posiadała dotychczas beletrystyka młodociana”. („Słowo”, Nr 346, 1911 r.).

„Sieroszewski w „Bajce o żelaznym wilku” kładzie nacisk na zagadnienia społeczno-filozoficzne, dąży przez serce do umysłu. Rozumie się, że nie czyni tego zapomocą suchych formulek, niestrawnych dla umysłu dziecięcego, przeciwnie — prowadzi na tęczowej szarfi baśni duszę i serce złem nieskażone w krainy nieznanych prawd i praw — każe mu ukochać biednych i nieszczęśliwych, każe się domyślać, kędy leży prawda walk klasowych, każe rozumieć życie pełne z wszystkimi jego zaletami i zmaganiem”. („Głos Narodu” Nr 13, 1912 r.).

„Niezaprzeczenie perłą wydawnictw gwiazdkowych jest „Bajka o żelaznym wilku” Sieroszewskiego. Zewnętrzna szata wysoce artystyczna, piękne ilustracje, wielki polot fantazji, głębia uczucia, przenikającego tę fantastyczną i poetyczną, a bardzo poważną bajkę, sprawiają, że jest ona równie zajmująca dla czytelników wszelkiego wieku; dla tych, którzy wyczują lub odkryją myśl w niej ukrytą”. („Kurjer Poranny”, 1911 r.).

„Pisał ją mocarz słowa, a choć treść bajki znana, bo osnuta na ludowej starej bajce, lecz jak odmienna od innych, jaka potężna w słowach, cudna w obrazach, głębia w pomyśle. Talent Wacława Sieroszewskiego lśni się tu wszystkimi blaski i porywa czytelnika od pierwszego słowa. Opis polowania, lasu, przyrody, następnie walka króla z napastnikami, wszystko to mistrzowsko zrobione, a technice pełnią życia. Pozatym z książki tej więcej czar poezji, ukochanie wszystkich cierpiących. Książka ta bardzo zajmująca, wydana też prześlicznie z 14 rycinami p. Jana Rembowskiego...”. („Kurjer Łwowski”, Nr 578, 1911 r.).

„Książka ta, obok „W pustyni i puszcy” Sienkiewicza, jest pierwszą z tegorocznych wydawnictw gwiazdkowych”. („Gazeta Wieczorna”, Nr 423, 1911 r.).

„Bajka o żelaznym wilku” wzbogaca niepoślednim klejnotem naszą literaturę fantastyczną... Język „Bajki o żelaznym wilku” błyszczy wszystkimi zaletami pióra Sieroszewskiego. Wydanie książki jest bardzo staranne, a zdobiące ją ryciny Jana Rembowskiego stoją zupełnie na wysokości zadania”. („Kurjer Warszawski”, Nr 345, 1911 r.).

„I znowu zajaśniały w pełni blasku olśniewające skarby niewyczerpanej wyobraźni; i znowu, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, otworzył się przed nami cudowny świat marzeń poetyckich, nierównie piękniejszy od rzeczywistości; i znowu przemówiło do nas miłujące serce poety, któremu żadne cierpienie ludzkie, żadna łza gorzka, w cichej samotności wylana, obcą nie jest. Piękny to dar wielkiego talentu dla tych najmłodszych czytelników, z których wyrósł kiedyś kraj obywateli”. („Tygodnik Ilustrowany”, Nr 50, 1911 r.).

(Vide recenzje: „Prawda”, Nr 51, 1911 r.; „Kurjer wileński”, Nr 159, 1912 r.; „Gazeta poniedziałkowa”, Nr 52, 1911 r.; „Świat”, Nr 50, 1911 r.).

SIEROSZEWSKI WACŁAW.

BAJKI.

(TREŚĆ: Przygoda tygrysa. — W ruinach. — Inwalidzi. — Dary wiatru północnego).

W ozdobnej oprawie. Winieta okładowa rysunku Jana Rembowskiego, wykonana sposobem litografii. 49 rysunków w tekście Jana Małachowskiego.

Cena 6 kor. (2 rb. 40 kop.).

„Znakomity pisarz, który już w poprzednich swoich książkach dla młodzieży złożył dowód niepospolitej umiejętności obcowania z młodem umysłami, i tym razem ofiarował dzieciom polskim garść opowiadań niepowседневnych...”. („Kurjer Warszawski”, Nr 346, 1910 r.).

„Niezmierzona plastyka słowa i wdzięk, talent opisowy, posiadający dużo cech stylu i obserwacji Lotiego lub Kiplinga, oraz ogromny podkład uczuć i swojskości sprawiają, że „Bajki” Sieroszewskiego, będąc utworem literackim pierwszej marki, gotującym przednią rozkosz dojrzałego czytelnikowi, równocześnie są zajmującą i pobudzającą szlachetne strony uczuć lekturą dla młodzieży”. („Nowa Reforma”, Nr 580, 1910 r.).

„Bajki”, nawpół fantastyczne, w połowie pouczające, świetnym piórem, niecałym złote iskry humoru, pisane, a tak zajmujące, że oderwać się od nich trudno. A szata zewnętrzna wydawnictwa: piękna vinieta okładowa w kolorach Jana Rembowskiego, pół setki rysunków w tekście Jana Małachowskiego, nie pozostawia nic do życzenia”. („Tygodnik Ilustrowany”, Nr 51, 1910 r.).

„...Na choince dziecięcej zawiesił szereg precydujących gwiazd swego talentu — Wacław Sieroszewski. Królewską prawdziwie powodowany szczodrobliwością wlał on w swe „Bajki” całe czarodziejstwo barw, światła i tonów, całe bo-

gactwo wyobraźni, na której paletę zbierał farby i blaski z oceanów, łądów i mórz całego świata..." („Prawda", Nr 53, 1910 r.).

„Nowa książka Sieroszewskiego przeznaczona jest dla młodzieży. Muszę stwierdzić, że będzie napewno jedną z najbardziej pociągających lektur... Po „Djabie zamorskim" jest to jedna z najlepszych książek dla dzieci i młodzieży". („Myśl Niepodległa", Nr 156, 1910 r.).

„...Ten pan Sieroszewski to pisze piękne książki dla dużych ludzi. I ma bardzo mało czasu. Ale on także bardzo kocha małe dzieci. I powiada sobie: „a co ja będę ciągle pisał dla dużych? A właśnie, że ja znajdę czas i napiszę coś dla tych małych ludzi! Niech czytają!" A jak pan Sieroszewski coś chce napisać, to zawsze umie. On ponawymyślał dla was takie cudowne Bajki o zbójnikach tatrzańskich i o jednym chłopcu, co między niemi był i usługiwał — że jak słucha się o tym, to robi się okropnie straszno na duszy, aż włosy powstają, ale coraz więcej chce się słuchać. I dziecko nawet spaćby nie poszło, a ciągleby słuchało". („Wolne Słowo", Nr 1, 1911 r.).

(Vide także recenzje: „Gazeta Warszawska", Nr 345, 1910 r.; „Życie", Nr 1, 1911 r.; „Gazeta Poniedziałkowa", Nr 36, 1910 r.; „Nowe Tory", Nr 9, 1910 r.; „Der Buchkritiker", Nr 6, 7, 8, 1911 r.).

SIEROSZEWSKI WACŁAW.

DNO NĘDZY.

(Brzask. — W puszczy białowieskiej. — Szczelina grecka).

(Nowele. Wydanie 3-cie. Cena 3 kor. 20 hal. (1 rb. 20 kop.).

„Wszystkie (nowele) odznaczają się zwykłą u Sirki barwnością kolorytu egzotycznego i przenikliwością w odtwarzaniu ludzi pierwotnych i ich dusz prostych, w których przejawia się ogólnoludzki smutek i cierpienie. Pod tym ostatnim względem Sieroszewski nie ma sobie równych w naszej beletryście dawnej i współczesnej". („Książka", Nr 8, Sierpień 1904 r.).

„Autor obok pysznych obrazów natury umiał wykazać tyle delikatności serca i przenikliwości, że czytelnik nader plastycznie widzi grę pierwotnej psychologii, pierwotnych, a przecież silnych i pięknych nieraz popędów i uczuć bohaterów". („Przewodnik Oświatowy", Nr 719, 1909 r.).

„Dno nędzy" — obozowisko trędowatych, na które autor zstąpił wprost z zaparciem się siebie, — przypomina opowieść Hjoba... („Tygodnik Ilustrowany", Nr 36, 1910 r.).

SIEROSZEWSKI WACŁAW.

MAŁŻEŃSTWO.

(Być albo nie być. — Tułacz).

Wydanie 2-gie. Cena 4 kor. 60 hal. (1 rb. 80 kop.).

„W formie wysoce artystycznej, w sposób dyskretny i subtelny, poruszył Sieroszewski w „Małżeństwie" odwieczne zagadnienie stosunku płci do siebie i społecznej jego formy — małżeństwa... Z całej nowej książki Sirki wieje prąd siły i świeżości, przemawia duch niezmierzony, twórca prawdziwy". („Krytyka", Nr 1, 1909 r.).

„Opowiadania te... oprócz wielkiej wartości artystycznej, mają również i wysoką wartość moralną, albowiem wzniecają w nas wiarę w szczytne przeznaczenia przyszłej ludzkości". („Rassegna Nazionale", 16 września 1909 r.).

„...Symfonią wielkiej mocy i piękności jest powieść, a raczej dłuższa nowela, p. t. „Małżeństwo". Ciekawa z wielu względów. Przedewszystkim krajobrazy należą do najpiękniejszych, jakie stworzył kiedykolwiek Sieroszewski; tyle w nich siły, bujnego życia, nieposkromionej żywiołowości, która nie zaznała jeszcze wędzida. A potem — niezmiernie interesujący i doskonale postawiony jest tu problemat psychologiczny, ...ten utwór... zaliczyć możemy śmiało do najlepszych dzieł Sieroszewskiego". („Książka", Nr 9, 1909 r.).

„Powtórna edycja, świadcząca o wyczerpaniu się nakładu w ciągu niespełna roku, jest objawem radosnym i pocieszającym. Dowodzi ona zwracania się opinii coraz szerszej ku twórcy szczerego artyzmu, ku zagadnieniom poważnym i głębokim". („Myśl Niepodległa", Nr 35, 1910 r.).

„Talent Sieroszewskiego wznosi się... do najwyższej swej miary w „Być albo nie być". Karty tu stworzone nie przemienia wśród dokumentów ludzkich... („Tygodnik Ilustrowany", Nr 36, 1910 r.).

„Być albo nie być" — to nietylko jedna z nowel utalentowanego autora. Doszukuję się w tym utworze wskazania do zrozumienia istoty twórczości Wacława Sieroszewskiego". („Społeczeństwo", Nr 40, 1910 r.).

SIEROSZEWSKI WACŁAW.

NA DALEKI WSCHÓD.

Wydanie 2-gie, z dodatkiem dwóch rozdziałów.

Cena 4 Kor. 20 hal. (1 rb. 60 kop.).

„Obrazy autora odznaczają się talentem, a refleksje — współczuciem dla cierpień ludzkich... Książka Sieroszewskiego jest

perłą w naszej literaturze podróżniczej...". („Książka", Nr 5, 1904 r.).

„Kartki ze Wschodu. Notatki z podróży dalekiej, z włóczęgi po krajach nieznanych a tyle ciekawych, tyle pouczających! Nie jest to suchy elaborat uczonego podróżnika, to raczej pamiętnik artysty o rzeczach zwykłych, czasem bardzo realnych, to znów o pięknych, o tych, które umierają i gasną, i tych, które się rodzą. Wrażliwy umysł Sieroszewskiego chłonie te wszystkie cuda, by je potem z plastyką artysty odtworzyć i naszej pamięci przekazać. Nie bada, nie analizuje, jeno patrzy, a że patrzeć umie i dostrzegać potrafi — tworzy ze swych kartek, z pośpiesznie szkicowanych notat, rzeczy, więcej nieraz dające, niż drobiazgowie i sumienne opisy. Poznajemy więc ludzi i miasta, urządzenia i obyczaje, charakter i upodobania, życie wreszcie obecne i życie minione". („Świat", Nr 3, 1912 r.).

„Jest to zbiór zajmująco i artystycznie skreślonych wycieczek spostrzeżeń i wrażeń. Wprost, jak w kalejdoskopie, stenograficznie rozciąga autor wobec czytelników mozaikowy obraz mało znanego dalekiego Wschodu... Wogóle książka pod każdym względem zajmująca i pouczająca". („Rusky Obzor", Nr 2, 1912 r.).

„Obrazy z przyrody i życia egzotycznego, nacechowane głęboką spostrzegawczością i szczerem odczuciem natury i ludzi, „Dalekiego Wschodu". („Tygodnik Ilustrowany", Nr 27, 1912 r.).

SIEROSZEWSKI WACŁAW.

RISZTAU.

(Risztau. — Pustelnia w górach. — Czukcze).

Wydanie drugie. Cena 3 kor. 60 hal. (1 rb. 50 kop.).

„Rzeczy to zwarte i piękne w odbiciu przyrody kaukaskiej, tak potężnej i złowrogiej, jako też i dalekich, niezmiernych pól śniegowych kraju północnego — Czukczów. Epika to żywa, gorąca, pulsująca krwią serdeczną. Książka to młoda, budząca". („Przełom", Nr 10—11, 1911 r.).

SIEROSZEWSKI WACŁAW.

ZAMORSKI DJABEL.

Powieść, z 54 rysunkami Henryka Minkiewicza. W ozdobnej oprawie. Wydanie 2-gie. Cena 5 kor. 20 hal. (2 rb.).

„Na czele wydawnictw gwiazdkowych postawićby należało „Jan-Guj-Tzy" („Zamorski Djabeł"), książkę, w której

znakomity pisarz dał niejako wzór powieści dla młodzieży...". („Kurjer Warszawski", Nr 352, 1908 r.).

„Siła tej powieści leży w niezwykle barwnym i zaciekawiącym opisie tego mało znanego świata i jego zwyczajów i w wiernej charakterystyce osób i stosunków... Egzotyczne ilustracje dodają powieści rozmaitości". („Przegląd Powszechny", sierpień 1909 r.).

„Dla starszej młodzieży wyszło parę książek bardzo pięknych. Pierwsze wśród nich miejsce należy się dwom książkom W. Sieroszewskiego: „Zamorski Djabeł", malującej przygody Polaka w Chinach, i „Ze świata", zbiór opisów i przygód, przeżytych i głęboko odczuty, o wielkiej wartości naukowej i etycznej". („Krytyka", Nr 1, 1910 r.).

„Sieroszewski, łączący w sobie etnografa, artystę i głębokiego znawcę duszy ludzkiej, wielkim okazuje się także i w dwóch świeżych swych dziełach: „Zamorski Djabeł" i „Ze świata". Zbytecznym byłoby mówić, iż, czytając te dwie książki Sieroszewskiego, poznajemy życie zewnętrzne owych dalekich ludów, które jednak czują pragnienie wolności, miłość i ból tak samo, jak my, „cywilizowani"; co więcej, uczymy się odczuwać ich cierpienia. Na kartach tych książek odbija się tragiedja narodu...". („Rassegna Nazionale", Nr 5, 1910 r.).

„Najświetniejszym... nabytkiem naszej niebogatej literatury dla młodzieży jest piękna powieść „Zamorski Djabeł"... Obok Coopera i Beecher-Stowe stanie „Zamorski Djabeł" Sieroszewskiego jako nasz osobisty wkład w światowej pedagogice białych...". („Tygodnik Ilustrowany", Nr 38, 1910 r.).

SIEROSZEWSKI WACŁAW.

ZE ŚWIATA.

(Wśród lodów — Polowanie na reny. — Polowanie na wieloryby. — Bokser. — Kulisi. — Latorośle).

Opowiadania, z 53 rycinami. W ozdobnej oprawie. Cena 5 kor. (2 rb.).

„Treść tych opowiadań, osnutych na obserwacjach z czasów przymusowego pobytu na Syberji i wśród Jakutów, technie urokiem szczerości, jaki wywołać może tylko wielka zdolność odczuwania dusz ludzkich... Książka ta maluje z niepospolitą zdolnością narracyjną nie tylko obcych nam ludzi; ostatnia bowiem jej część pt. „Latorośle" wprowadza czytelnika w grono dzieci polskich". („Kurjer Poranny", Nr 84 (355), 1909 r.).

„Oto pisarz dużego talentu, poeta nawskroś, przychodzi

do młodzieży polskiej w tym roku z książką p. t. „Ze Świata“, z książką piękną, bogatą w treść, ale obcą tłem. Jego opowiadania... mają niepospolity urok rzeczy przeżytych, widzianych. Jedynie w „Latoroślach“ jesteśmy wśród dzieci polskich i poznajemy, że Sieroszewski jest nietylko znakomitą opowiadaczem swoich wrażeń egzotycznych „ze świata“, ale jednocześnie nowelistą „małego światka“, umiejącym wybornie orjentować się wśród zjawisk, uderzających w duszę dziecka“. („Kurjer Warszawski“, Nr 347, 1909 r.).

„Książkę „Ze świata“, pomimo rozzdzierających jej bólów, zaliczymy do najpiękniejszych darów dla młodzieży od lat przynajmniej 12“. („Książka“, Nr 3, 1910 r.).

„Znakomite podróżnicze opowieści... Sieroszewski wzbogacił niezmiernie polską literaturę dla młodzieży; wzbogacił zaś ją nietylko... rozszerzeniem zakresu na kolorowe ludy i lądy, ale także i znacznym podniesieniem poziomu...“ („Tygodnik Ilustrowany“, Nr 36—37, 1910 r.).

„Autor, znany podróżnik, żywo i wyraziście maluje przygody na morzu i na lądzie, przykuwa uwagę i ani na chwilę jej nie rozluźnia... niemałego trzeba talentu, aby tematem od nas tak odległym nie na chwilę tylko, lecz na dłużej zajmą; autor trudności wszystkie szczęśliwie ominął“. („Przegląd Powszechny“, Nr 10, 1910 r.).

SIEROSZEWSKI WACŁAW.

Z FALI NA FAŁĘ.

(Japonja w zarysie. — Harakiri księcia Asano Naganori. — O-Sici. — Pojednanie. — Widmo sakurskie. — Ingwa. — Jak liść jesienny...).

Wydanie trzecie.

Cena 5 kor. (2 ruble).

„Sieroszewski ukazuje nam duszę japońskie w szczególności, indywidualny sposób... Cały tom wnosi do literatury żywioł nowy, odświeżający“. („Krytyka“, Nr 6, 1910 r.).

„W literaturze polskiej nie mieliśmy dotychczas oryginalnego obrazu Japonji. Kreśli go dopiero po raz pierwszy, na podstawie wrażeń bezpośrednich, Wacław Sieroszewski. Nie suchym wykładem poprzedza autor szereg utworów nowelistycznych, osnutych na motywach japońskich, ale wspaniałym, poetycznie pisanym zarysem kraju... idziemy krok za krokiem za dobrym przewodnikiem, który nie szczędził trudu artystycznego, aby... dać nam możliwie dokładne pojęcie o kraju i o zamieszkującym go narodzie... Autor przerzuca nas „z fali na fałę“, dodaje bowiem do swojej

książki japońskiej europejskie już opowiadanie p. t. „Jak liść jesienny“... Kłębi się przed naszymi oczami, stłoczony w pudle jednego okrętu, cały nasz świat współczesny...“ („Kurjer Warszawski“, Nr 151, 1910 r.).

„Świetne pióro Sieroszewskiego nie przestaje obdarzać nas wciąż dziełami niepospolitej wartości artystycznej... znów mamy sposobność podziwiać rozkwit jego talentu...“ („Tygodnik Ilustrowany“, Nr 34, 1910 r.).

„Sieroszewski jest — nietylko w literaturze naszej, ale wogóle w literaturze europejskiej — najwybitniejszym, największym „poetą Azji“, jej północnych i wschodnich krain... Ten cały świat egzotyczny nie ma dla Sieroszewskiego żadnych tajemnic... Z sielanki dwojga globetrotterów-Polaków — Sieroszewski zdołał uczynić arcydzieło nieporównane... I jak każde wielkie dzieło sztuki, tak i ta prosta opowieść wzrasta do wyżyn symbolu...“ („Świat“, Nr 36, 1910 r.).

„Proste charaktery... proste zawikłania i rozwiązania... („Jak liść jesienny“) stanowi najbardziej osobistą rzecz, jaką dotąd dał Sieroszewski, należy też do najlepszych jego utworów. Całość... daje obok pięknych bardzo opisów ogromnie szczere i dobre wzruszenia uczuciowe“. („Widnokręgi“, Nr 14, 1910 r.).

„Książka „Z fali na fałę“ jest jednym z najcenniejszych beletrystyki naszej ostatnich lat klejnotów... Jest ona też nowym, świetnym objawieniem talentu, który z umiłowanego tematu wykrzesał iskry najszczerzego natchnienia“. („Nowa Reforma“, Nr 518, 1910 r.).

„...Twórcza, cudowna potęga serca, potęga twórczych przeistoczeń, tkwiąca w cierpieniu, jest ukrytą podziemną melodją całej działalności pisarskiej Sieroszewskiego. Działalność ta stanie się kiedyś jedną z najpiękniejszych kart ducha polskiego...“ („Prawda“, Nr 43, 1910 r.).

„...Temu głębokiemu odczuciu natury, jakiego świadectwo złożył Sieroszewski w „Liściu jesiennym“, dorównywa wielu poetów europejskich. W pokaznym tomie „Z fali na fałę“ wszystkie utwory wykołysało serce, bijące wzruszeniem na widok bujnego życia, tym razem życia w szatach wschodnich. Ale pierwsze miejsce pośród tych utworów zajmuje krótka nowela zatytułowana: „Pojednanie“. Pod względem artystycznym jest ona bez zarzutu; zbudowana zwięźle i harmonijnie“. („Literatura i Sztuka“, dodatek do „Nowej Gazety“, Nr 9, 1911 r.).

„...Niebywałam powodzeniem cieszy się ostatnia książka Wacława Sieroszewskiego p. t. „Z fali na fałę“. W niespełna cztery miesiące wychodzi (ona) w drugim wydaniu. Należy z uznaniem dla polskiej publiczności podnieść ten fakt“. („Kurjer Poranny“, 14 maja 1911 r.).

„Nowele powyższe są dowodem głębokiego wniknięcia

w sam rdzeń istoty duszy orientalnej, sięgającym najwyższych dziedzin arcyzmu". („Książka", Nr 4, 1911 r.).

(Vide recenzję: „Naprzód", Nr 115, 1910 r.; „Przedświt", Nr 7, 8, 1910 r.; „Społeczeństwo", Nr 40, 1910 r.; „Kronika powszechna", Nr 2, 1911 r.).

STRUG ANDRZEJ.

W TWARDEJ SŁUŻBIE.

(„Ludzi Podziemnych" serja III. Treść: Prolog. — Cienie. — Sielanka. — Ostatnie listy).

Cena 2 kor. 60 hal. (1 rb.).

„Opuszczając z Andrzejem Strugiem ten tajemny świat podziemi, co się przepala płomieniem nowego życia, pragniemy zwrócić uwagę czytelników na przepyszne, czarujące ogrody poezji, na które zlewa autor najjaśniejsze blaski swej sztuki". („Kurjer Lwowski", Nr 7, 1910 r.).

„Każda nowa książka Struga przynosi nowe barwy i aromaty, nowych ludzi, nową duszę polską. Takich ludzi literatura jeszcze nie miała..." („Prawda", Nr 6, 1910 r.).

„Pan Andrzej Strug jest już znany czytającej publiczności. Dwa przedtem wydane zbiorki uczyniły go jednym z najbardziej interesujących beletrystów współczesnych". („Myśl Niepodległa", Nr 25, 1910 r.).

„Na czoło produkcji nowelistycznej ostatniej doby wysuwają się utwory Andrzeja Struga. Jest on nowelistą z urodzenia i temperamentu. obfitującym w bogactwo pomysłów, nie pozwalające mu skupić się dłużej nad jednym z nich. Śpieszno mu do nowej sytuacji, do nowej odmiany typu „człowieka podziemnego". Nie wychodząc poza zakres tego typu, Strug nie powtarza się jednak nigdy". („Krytyka", Nr 1, 1910 r.).

„Obrazy chwil bolesnych i wstrząsających, niekiedy oblałych oślepiającymi blaskami szczęścia, nieuchwytnego dla dusz, wytraconych z normalnych kolei życia". („Kultura Polska", Nr 7, 1910 r.).

„Typy różnych działaczy, przeprowadzone przez czyszcielez i uśmiechów poety". („Slovansky Przechled", Nr 10, 1910 r.).

„Strug... jest przede wszystkim psychologiem o dużych zdolnościach analitycznych. Dusze, przez niego preparowane, mają jednak nie tylko wartość dokładnych preparatów naukowych. Ożywia je także technienie prawdziwego arcyzmu, opromienia blask szczerzej poezji, skąpanej w szemrzącej cicho fali jakiegoś wielkiego morza melancholji, bijącego o brzeg tego ładu, który się życiem nazywa"... („Kurjer Warszawski", Nr 171, 1910 r.).

(Vide recenzję: „Naprzód", Nr 339, 1909 r.).

ŻEROMSKI STEFAN.

SUŁKOWSKI.

Tragedja w 5 aktach.

Wydanie drugie. Cena 6 koron (2 ruble 40 kop.).

„Piewca... objął niziny i ukazał wszystkie ich krzywdy, postawił na ich cokole człowieka — wojownika, uposażył go we wszystkie cechy, jakie najlepsi w narodzie wymarzyli o bohaterze polskim. I ten bohater przebóstwia się w naszych oczach. Dokonywa się najwyższy jedyny cud, w jaki człowiek dzisiejszy może wierzyć. Takim jest tryumf gienjuszu". („Krytyka", Nr 7—8, 1910 r.).

„...Utwór, pełen pierwszorzędnych piękności i myśli głębokiej, gorzką jednak mieści w sobie strawę..." („Goniec poranny", Nr 292, 1910 r.).

„Sułkowski" na scenie przedstawiony — będzie to kawał gienjuszem ożywionej historii". („Naprzód", Nr 38, 1910 r.).

„Sułkowski" Żeromskiego jest tragedją walki o niepodległość duszy polskiej, o wyhodowanie z niej całkowitej woli, któraby szła, jak „żywy pocisk, torujący drogę wolności". Spiżowy ton pieśni Żeromskiego... stał się niemal syntezą dążeń i pragnień pokolenia... „Sułkowski" do tego ognia, który ma objąć serca polskie, dorzuca cały las paliwa. Kto zbłądzi w serdeczne wnętrza tej książki, choćby tysiąc razy wyrzekł się polskości, rozełka się i zmęźnieje, rozkwili i stanie się jak spiżowy szczerbiec Bolesławów, co zwycięstwo pisze". („Przedświt", Nr 7—8, 1910 r.).

„Pod względem potęgi ekspresyjnej, zrównoważenia tudzież pełni środków artystycznych, utwór ten zajmie prawdopodobnie miejsce najwyższe w szeregu dzieł dotychczasowych Żeromskiego. Są w nim zdania, obrazy i słowa, gdzie polszczyzna, niesłyszana dotąd, poczyną drgać wspólnie z tętnem żywiołów..." („Myśl Niepodległa", Nr 40, 1910 r.).

„Każde nowe dzieło Żeromskiego staje się ważnym zjawiskiem naszej kultury współczesnej... „Sułkowski" powstał całkowicie ze stosunku autora do ogólnej klęski narodu. Jest też mniej dziełem sztuki dramatycznej, jak uczuciowym pomnikiem epoki; mniej tragedją sceniczną, jak tragedją myśli jednego z najwrażliwszych Polaków dzisiejszych, cierpiących na stałą, nieuleczalną bezsenność ducha..." („Nowa Gazeta", Nr 462, 1910 r.).

„Tragedję budzi w nas dzieło Żeromskiego, z siłą i mocą „rozrywające rany polskie", przemawiające do nas głosem twardym i czasem bezlitosnym". („Kurjer Warszawski", dnia 21 lipca 1910 r.).

„Przebiegane są, zwłaszcza w akcie V, przedzgonne rozmowy Sułkowskiego z jego przyjacielem Venturą“. („Świat“, Nr 30, 1910 r.).

„Dziś w Żeromskiego wciela się sumienie narodowe. Dusza jego stała się niejako świętym kielichem, do którego spływają wszystkie łzy i cała krew umęczonego narodu. Każdy nowy utwór mistrza-pisarza jest jednym krzykiem bólu ludu zabijanego... Żeromski zdaje się nosić w sercu ogromny ból całego narodu. — „Sułkowski“ jest dziełem, napisanym dla Polaków przez jednego z najszlachetniejszych synów Polski“. („Mercure de France“, Nr 323, str. 563, 1910 r.).

„Duch wzniosłości panuje w tym dziele, jednym z najwspanialszych z nowej literatury“. („Slovansky Przhled“, Nr 7—9, 1911 r.).

(Wide recenzje: „Głos“, Nr 140—143, 1910 r.; „Wiek Nowy“, Nr 2722—2725, 1910 r.; „Promień“, Nr 1/3, 1911 r.)

ŻEROMSKI STEFAN.

URODA ŻYCIA.

Powieść w 2 tomach.

Wydanie drugie. Cena 9 koron. (3 rub. 60 kop.).

„Bohaterem powieści jest zrusyfikowany Polak, który jednak wraca do ideałów przodków i za sprawę polską ginie“. („Kurjer litewski“, Nr 153, 1912 r.).

„Ostatnia powieść autora, „Ludzi Bezdolnych“ ... jest łkającą pieśnią o geniuszu, któremu zabroniono mówić, myśleć, działać, jest bolesną pieśnią o herosie, z którego twardy los chce siłą uczynić Kalibana... Gorzkiemi jak piołun jest wypłakana łzami, a tak gorącemi miłością nieszczęsnej ojczyzny, że zda się te łzy, spadając na skałę, przepaliłyby skałę na wylot“. („Kurjer Poranny“, Nr 187, 1912 r.).

„(Żeromski) wspina się w „Urodzie Życia“ na wyżyny zagadnień naszego narodowego bytu i aż stamtąd snuje swój wątek powieściowy. Dzieje... rosyjskiego oficera artylerji są kanwą dla polskiej tragedji... Romantyczne dzieje Piotra Rozłuckiego wyrzują się w... mózgach, jako apoteoza bohatera; wszak wszystko w nim porywające, piękne, górne, czar bije od tej postaci... „Marzenia są wolne od cła“. Nie te jednak, które z czysto literackiej pracowni wychodzą, przybrane w czar najartystyczniejszego słowa, jakie brzmi w Polsce, by z siłą sugestji narzucić się głowom wrażliwym“. („Słowo“, Nr 170, 1912 r.).

„Najnowsza powieść Żeromskiego „Uroda Życia“ ukaże się na szpaltach paryskiego tygodnika „La Vie“ — w ślad za tym, niewątpliwie, w wydaniu książkowym... Treścią „Urody

Życia“ jest... rzeczywistość Polski dzisiejszej... Mam wrażenie, że powieść Żeromskiego... powinna ująć za serce Francuzów... Francuz odnajdzie tu krew krwi swojego instynktu czytelniczego: romans. A kto wie, czy wśród swoich dzisiejszych pisarzy natrafić zdoła na takiego rasowego romansopisarza, jakim jest Żeromski“. (Tygodnik Ilustrowany, Nr 29, 1912 r.).

„Każdy nowy twór powieściowy Stefana Żeromskiego jest nie tylko wielkim dziełem poetyckim, lecz również wielkim czynem społecznym... Hymnem woli, dytyrambem na cześć siły twórczej jest ta ostatnia powieść Żeromskiego. Jest ona głośnym „Sursam corda“!... Piotr Rozłucki daje społeczeństwu całemu przykład człowieka, który zmógł przysłowiową „improductivité slave“, przemógł kwietyzm, zastój, sen — a wewnętrzną mocą, ukrzepioną na mogile ojca, złożonego w ziemi polskiej, wymanecypował się... jego „contra spem spero“ stanie się bodźcem i pobudką“. („Gazeta Wieczorna“, Nr 796, 1912 r.).

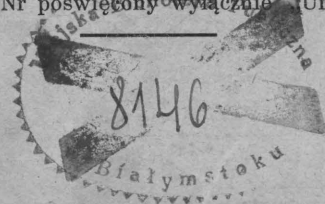
„Zawarszy przymierze z takimi, jak Wolski i Bezmian, by razem, każdy na obranym polu pomnażać „moc polskiego ducha“, Piotr buduje aeroplan. Narzędzie to do wynoszenia się na wyżyny, przetworzy postać świata, pokona moce, ponad które wynieść się trzeba, by je unicestwić... Nic to wszystko, choć... zgrzytem kończy się powieść. Bo żeglarz powietrzny nie na skrzydłach fantazji jedynie, lecz czynu, zdoła kiedyś dobić do brzegu, na którym toczy z tragiczną niemocą bój straszny, ale nie beznadziejny, uroda życia!“. („Goniec Wieczorny“, Nr 316, 1912 r.).

„Nowa powieść Żeromskiego jest u nas wypadkiem doniosłości niepowtarzalnej. Chociaż zjawisko, samo przez się, nie traci nigdy charakteru literackiego, to jednak przez dyskusję, jakie wywołuje, wkracza w dziedzinę społeczną. — „Uroda Życia“ będzie czytana z takim samym zapalem polemicznym, jak poprzednie utwory autora „Popiołów“. Sięga ona daleko w głąb życia polskiego, porusza cały szereg zagadnień, zagląda odważnie w tragedję naszej niemocy, szuka dróg ratunku, upaja się marzeniem, wielbi niezlomność dusz... Ogromny talent Żeromskiego zajaśniał tu znowu całym swym blaskiem, a historia miłości Piotra i Tatjana należeć będzie do najświetniejszych kart, jakie napisał“. („Nowa Gazeta“, Nr 305, 1912 r.).

„Opowieść o życiu człowieka, którego duszę żołnierską... Polski czar odbija... Opowieść o życiu człowieka, który pod nakazem owego czaru bezlitośnie własne, złote szczęście morduje, krwawe rany żarem i goryczą wypala... i trwa w pracy nieopierzanej zaciekle, aż inne, rycerskie, umiłowane marzenia opancerzyć stała, aż orlego lotu bohaterstwo swoje nauczy. Taką drogą prowadzi powieść swoją ostatnią Że-

romski, jednego człowieka raz wraz rojem twarzy i zdarzeń otaczając... Książki Żeromskiego, a przynajmniej książek tych większość jest czymś innym i czymś więcej, niż zdarzeniem literackim. Żeromski podobnie jak i Wyspiański jest przede wszystkim wiecznie płonącym zniczem polskiej sprawy... A obok Słowackiego jest Żeromski pierwszym, który miałby prawo bezsprzeczne do pomnika z napisem: „patri patriae“... I jest, jest ta mowa w ustach jego — ojczyznę. Mowa Żeromskiego to żywioł cały... Szept pacierzy jest w niej i szcęk broni i pomruk idący szczytem borów“. („Kurjer Lwowski“, Nr 343, 345, 347 i 349, 1912 r.).

„Proza... uskrzydłona... podejmująca zadania i cele zaszłej wielkiej poezji... zenit swego rozwoju osiągnęła w utworach Stefana Żeromskiego... Na podłożu takiegoż samego najkrwawszego ukochania narodu, jakie istniało w zmarłych wielkich twórcach... rodzi się... Prometeida polski... Piotr Rozłucki, Nigdy... cechy, istotę twórczości Żeromskiego stanowiące, nie doszły takich szczytów i tak wysoce harmonijnego napięcia jak w „Urodzie Życia“... Prowadzi Żeromski Piotra przez przekroje pokładów w życiu polskim, jak ongi Wirgiliusz Danta po kręgach piekielnych... Czy mógł Żeromski czynowi swego Prometeidy dać rozwiązanie doraźne, pogładowe, realistyczne? Czy mógł zakreślać bieg strzały swej tęsknoty? — Nie. Dlatego też dał on li stan swego herosa, stan, który nie wyklucza żadnej możliwości osiągnięcia przyszłym czynem celu: obudzenia życia w narodzie... (K. Wroczyński) W duszy i o duszę Polaka Rozłuckiego walczy uśmiechnięty dajmon biały Urody życia z żałobnym duchem ziemi, Narodu, Historji, Przyszłości, Wyzwolenia. Białe muśliny i liście winogrodu spłotły się z oczkami włosienicy i oplątały miedziany pancerz... (J. Janowski.) Załedwie... Rozłucki krokiem stąpił na rodzinne pola, już cała przyroda bratnie mu otwiera ramiona... Nikt głębiej od Żeromskiego nie wniknął w sprawę wzajemnego współoddziaływania między narodem a ziemią, pojętą jako organ a zarazem podścielisko historji. Nikt, oprócz niego, ku ziemi nie przysunął się na tak bliską, poufną odległość — na odległość dwu serc, bijących ku sobie... (W. Rz.) Wydaje mi się rzeczą nie ulegającą zaprzeczeniu, że Żeromskiemu chodziło o urodę polskiego życia... Uroda polskiego życia jawi się Rozłuckiemu w każdym najdrobniejszym szczególe... Cokolwiek rozpocznie... wszystko ziemi jego służy, wszystkiemu sprzyja ukochanie ziemi (J. Dąbrowski). Każdy nowy utwór (Żeromskiego) jest walką o niepodległość duszy polskiej, uwodzonej na manowce przez otaczające ją wraże siły... (Ign. Mucha). („Prawda“, Nr 29, 1912 r. — cały Nr poświęcony wyjątkowo „Urodzie Życia“).



8146
A

